

Wojna niszczy wszystko prócz miłości. Poruszająca opowieść
o determinacji, odwadze i miłości ponad podziałami.

Barbara Wysoczańska

LEKARKA NAZYSTÓW

ANNA
RYBAKIEWICZ

TA MIŁOŚĆ NIE
MIAŁA PRAWA SIĘ
WYDARZYĆ.

FILIA

ANNA
RYBAKIEWICZ

LEKARKA
NAZYSTÓW

FILIA

Jeżeli przysięgi tej dochowam i nigdy jej nie naruszę, niechaj mi
wolno będzie żyć w szczęśliwości i poważaniu po wsze czasy
i używać owoców sztuki mojej, jeżeli zaś przysięgę tę naruszę –
niechaj przeciwnej doznam doli.

– Przysięga Hipokratesa –

Brzeziński Tadeusz, *Etyka lekarska*
Wydawnictwo Lekarskie PZWL, Warszawa 2013

PROLOG

Wiedeń, 4 października 1948

Wchodząc do ogromnego gmachu budynku Uniwersytetu Wiedeńskiego, miałam wrażenie, że znowu jestem studentką pierwszego roku medycyny. Wyobcowaną i zahukaną dziewczynką z dalekiego kraju, która spuszczała wzrok na widok każdego napotkanego mężczyzny. Bynajmniej nie wynikało to z mojej cnotliwej natury czy skromności, ale z samego faktu, że byłam kobietą. Wciąż miałam przed oczami artykuł „Przeglądu Lekarskiego”, który swoimi wielkimi, drukowanymi na pożółkłym papierze literami wręcz wrzeszczał na mnie: „Precz z Polski z dziwolągiem kobiety-lekarza”. I chociaż pochodził z czasów, w których nie było mnie jeszcze na świecie, to już na zawsze zasiał w mojej głowie ziarno zwątpienia. Co prawda, dzięki emancypantkom walczącym o dostęp kobiet do zawodu lekarza, polskie uniwersytety w końcu pozwoliły studiować nam na swoich lekarskich wydziałach, niemniej wciąż stanowiłyśmy niewielki odsetek wszystkich studentów. Może dlatego jedynie wiedeńska uczelnia zdecydowała się przyjąć mnie do swojego grona. Może właśnie dlatego pokochałam Wiedeń miłością bezwarunkową...

Gdy zaczynałam tu naukę w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku, studentów z Polski było zaledwie kilkanaścioro, w tym dwie kobiety, ja i Fryderyka, zwana potem przeze mnie zdrobniale Frysią. Również tutaj medycyna, jak i pozostałe kierunki, zdominowane były przez mężczyzn. Oni tu rządzili, byli wykładowcami i czuli się jak u siebie. My stanowiłyśmy jedynie ciekawy dodatek, który dobrze wyglądał w lekarskiej prasie.

Studentkami zostawały albo dziewczyny z odpowiednim statusem społecznym (tak jak Frysia, której ojciec był bogatym Żydem,

właścicielem warszawskiej fabryki), albo te, które swoimi medycznymi zdolnościami wystarczająco zaciekały komisję rekrutacyjną. Mimo że nie byłam wysoko urodzona, w domu nigdy nam niczego nie brakowało. Wychowywał mnie ojciec, który był zwykłym, powiatowym lekarzem. Moja matka zmarła, gdy miałam niespełna sześć lat. Wtedy podobno powiedziałam do stojącego nad trumną ojca, że gdy dorosnę, zostanę lekarzem i nie pozwolę mamie umrzeć drugi raz.

Ojciec przez całe moje dzieciństwo nie odstępował mnie nawet na krok. Pracował po kilkanaście godzin dziennie, często przyjmując pacjentów w domu. Jednak zawsze musiał mieć mnie blisko siebie, nieustannie czuwając, aby nic złego mi się nie przytrafiło. Ja w tym czasie leczyłam swoje lalki, naśladując jego słowa i gesty. Z biegiem lat zamieniłam lalki na ludzi, stając się osobistą asystentką doktora przy wszystkich poradach i zabiegach. Chociaż w tamtym czasie rola kobiety ograniczała się niemalże do korzystnego zamążpójścia, zdarzało się, że jakaś niewiasta kontynuowała swoją edukację. Pamiętam płacz starszej pacjentki, która pełna obaw żaliła się mojemu ojcu, że jej córka postanowiła pójść na studia, co – według niej – przekreśli szanse młodej dziewczyny na jakiegokolwiek zrękowiny, bo przecież mężczyźni nie lubią wykształconych kobiet. Pamiętam także słowa jej męża, który pocieszał ją, mówiąc, że przecież ich pierworodna nie jest urodziwa, więc nawet studia już jej nie zaszkodzą. Tymczasem mój ojciec nieustannie powtarzał mi, że jestem mądra, piękna i silna. Nigdy nie pozwolił, abym jako kobieta poczuła się gorsza. Wręcz przeciwnie, jego zdaniem mogłam zostać, kim tylko chciałam, a ja bezgranicznie mu wierzyłam. W końcu był moim ojcem.

Myśl o pójściu na medycynę ciągle siedziała gdzieś w mojej głowie. Tata za każdym razem, gdy stawiał diagnozę, zwracał się do mnie z pytaniem, czy ją potwierdzam, co powodowało u chorych dodatkowe palpitacje serca, a czasem nawet widoczne oburzenie. Dopiero gdy głośno analizowałam dany przypadek, używając łacińskich zwrotów, wystraszeni pacjenci wypuszczali powietrze z płuc i patrzyli na mnie z podziwem. Pokochałam to uczucie i zapragnęłam, by pojawiało się częściej. Ostateczną decyzję podjęłam dużo później, gdy pod nieobecność ojca odebrałam swój pierwszy poród, w ostatnim momencie ratując życie

matki i dziecka. Wtedy niewiele brakowało, żeby mężczyzna został wdowcem, a dzieci sierotami. A tak niewiele wystarczyło, aby temu zapobiec... To dlatego chciałam zostać lekarzem. Chciałam ratować ludzkie życia. Jednak droga do celu była długa i wyboista...

Kiedyś pragnęłam udowodnić całemu światu, że nadaję się na medycynę. Potem, że sprostam zawodowi chirurga. Teraz potrzebowałam dowieść wszystkim, że zasługuję na to stanowisko. Dlatego musiałam być twarda i silna. Pokazać im swoją wartość. Wiedziałam, że inaczej nie zdobędę szacunku studentów, nie mówiąc już o kolegach z katedry medycyny. Za nic nie mogłam dać po sobie poznać, jak bardzo jestem zdenerwowana przed swoim pierwszym wykładem na tej uczelni. Odruchowo poprawiłam moje blond włosy opadające swobodnie na ramiona i wygładziłam czerwoną, obcisłą spódnicę. Nabrałam powietrza w płuca i z impetem pchnęłam ogromne, drewniane drzwi. Pewnym krokiem wkroczyłam na aulę. Rzuciłam szybkie spojrzenie na wpatrujące się we mnie twarze. Frekwencja była zaskakująco dobra. Wszystkie miejsca były zajęte. Na mój widok ucichły prowadzone rozmowy. Słyszeć było tylko stukot moich pantofli, uderzających rytmicznie o miejscami wytarty już parkiet. Mimo wysokich obcasów, z gracją pokonałam schodki prowadzące na podest, na którym ustawiona była mównica. Podeszłam do mikrofonu i poprawiłam jego wysokość, tak aby mieć go bliżej ust.

– Dzień dobry państwu – powiedziałam po niemiecku, a z głośników rozległ się nieprzyjemny szum. Oddaliłam nieznacznie mikrofon. – Witam wszystkie zgromadzone tu panie, jak i panów.

Ponownie przyjrzałam się swoim studentom. Nie mogłam się nadziwić, jak wiele wśród nich było kobiet. Czułam niesamowitą satysfakcję, widząc je w tym miejscu. Wiedziałam, że nie będą się już bać. Nie będą dyskryminowane i poniżane. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak długo odmawiano nam prawa do nauki. Przecież posiadałyśmy naturalne predyspozycje do opieki nad pacjentami. Kobiety przez całe stulecia troskliwie zajmowały się swoimi dziećmi, mężami, rodzicami czy teściami. Byłyśmy dużo bardziej wyczulone na cierpienia innych, a dodatkowo przepełniała nas wrodzona empatia.

– Nazywam się Alicja Sambor – kontynuowałam. – Jestem docentem nauk medycznych. Od tego trymestru kieruję Zakładem Chirurgii Operacyjnej i Doświadczalnej na Uniwersytecie Wiedeńskim, a od dziś będę również państwa wykładowcą. Oczywiście spotkacie mnie także podczas swoich praktyk w szpitalu klinicznym, na którego oddziale chirurgicznym obecnie pracuję.

Odwróciłam się do zawieszanej za moimi plecami wielkiej zielonej tablicy. Wzięłam do ręki białą kredę i napisałam drukowanymi literami swoje imię i nazwisko, po czym wróciłam do mównicy.

– Alicja Sambor – powtórzyłam, wiedząc, że znakomita większość moich studentów to Austriacy, dla których zapamiętanie mojego nazwiska nie będzie łatwe. – Słowo Sambor oznacza tego, dla którego najważniejsza w życiu jest sama walka. I taką właśnie wyznaję zasadę – powiedziałam stanowczym głosem. – Proszę państwa, jeżeli chcecie być lekarzami, jeżeli całym swoim sercem kochacie ten zawód, to od dziś najważniejsza dla was musi być walka o życie i zdrowie wszystkich waszych pacjentów. Z naciskiem na słowo „wszystkich”!

Studenci patrzyli na mnie nieruchomo. Nadal siedzieli w skupieniu i kompletnej ciszy.

– Zadanie lekarza jest następujące – tłumaczyłam dalej – przyjąć każdego pacjenta, postawić trafną diagnozę, zastosować skuteczne leczenie i wydać dalsze zalecenia. Tyle i aż tyle. Proszę mi wierzyć, nie zawsze będzie to proste. To nie jest lekki zawód. Nie zawsze uda wam się uratować czyjeś życie, nawet jeżeli dacie z siebie tysiąc procent. Nie zawsze usłyszycie słowo „dziękuję”. Czasem będziecie musieli podjąć tę najtrudniejszą z możliwych decyzji... – zawiesiłam na chwilę głos na wspomnienie najgorszego dnia swojego życia i chłopaka leżącego na zimnej posadzce łomżyńskiego więzienia. – Nie zawsze będziecie leczyć tych, którzy na to zasługują. Ale zawsze musicie pamiętać, że dla lekarza najważniejsza jest sama walka... Walka, by za wszelką cenę żadnemu życiu nie pozwolić odejść, jeżeli tylko potraficie je zatrzymać.

Patrząc na zatroskane twarze siedzących w pierwszym rzędzie młodych ludzi, pomyślałam, że chyba wypadłam zbyt oschle. Nie chciałam, żeby się mnie bali, ale też nie chciałam na siłę pozyskać ich sympatii.

– Chyba na początek wystarczy tych wszystkich wzniosłych słów – zreflektowałam się i szeroko uśmiechnęłam. – Może macie państwo do mnie jakieś pytania? Słucham?

Panująca głucha cisza zaczęła mnie powoli onieśmielać. Pragnęłam, by ktoś w końcu ją przerwał.

– Ja mam jedno pytanie, jeżeli można...

To był męski głos. Zbyt dojrzały jak na pierwszorocznika. Chociaż zdarzały się i takie przypadki, gdy po wielu latach udawało się komuś odłożyć wystarczającą ilość pieniędzy na czesne albo znaleźć czas na dalszą specjalizację. Wtedy okazywało się, że wykładowca był młodszy od swojego studenta. Próbowałam zlokalizować mojego rozmówcę, ale światła, które oświetlały mównicę, skutecznie mi to uniemożliwiały. Wiedziałam tylko, że siedział wysoko, w jednym z ostatnich rzędów.

– Słucham? Proszę mówić. Śmiało – zachęcałam.

– Od kilku dobrych lat zastanawia mnie jeden medyczny przypadek. Pani, jako chirurg doświadczalny, powinna z łatwością odpowiedzieć mi na to pytanie.

Założyłam ręce na piersi i wsłuchiwałam się w rozbrzmiewający echem, lekko zniekształcony męski głos.

– Brzmi interesująco. Mam nadzieję, że pana nie zawiodę. Proszę kontynuować.

– Pacjent, lat czterdzieści. Rana postrzałowa brzucha w okolicy przykręgosłupowej lewej, na wysokości L2-L3. Nieduża z niewielkim wlotem pocisku. Brak rany wylotowej. Silne krwawienie.

Początkowo nie zdawałam sobie sprawy ze znaczenia tych słów. Przeanalizowałam w głowie obrażenia i szybko postawiłam diagnozę. Odpowiedź była tak prosta, że wypowiedziałam ją odruchowo.

– Kwalifikacja w trybie pilnym do zabiegu operacyjnego. Pacjent ma duże szanse na przeżycie.

– Zapewne ma pani rację – stwierdził spokojnie, ale czuć było, że nie na taką odpowiedź liczył. – A jeżeli pacjent został postrzelony w środku lasu, nie ma zapewnionej opieki medycznej, a do najbliższego szpitala jest ponad dwadzieścia kilometrów?

Poczułam, jak nogi się pode mną uginają. Musiałam przytrzymać się kurczowo mównicy, aby nie upaść. Wzięłam głęboki oddech. Może to

przypadek. Zwykły zbieg okoliczności... W głowie miałam tysiąc myśli, ale nie mogłam dać tego po sobie poznać.

– Jego szanse spadają wtedy do zera – odpowiedziałam pośpiesznie, łapiąc się odruchowo za brzuch. W momencie, w którym chciałam przejść do kolejnego pytania i tym samym uciąć tę podejrzaną wymianę zdań, usłyszałam znowu jego chłodny głos, który tym razem przyprawił mnie o gęsią skórę na całym ciele.

– Czy spotkała się pani kiedyś z przypadkiem, żeby w takiej sytuacji pacjent przeżył?

– Nie – odpowiedziałam bez zastanowienia.

To było kłamstwo. Prawa powieka, jak zwykle w takich sytuacjach, zaczęła mi delikatnie drżeć.

– Bo widzi pani, to jest właśnie ta zagadka... – powiedział wyraźnie zadowolony z siebie. – W jaki sposób pacjentowi udało się przeżyć?

Mężczyzna nie ustępował. Jego głos zaczął wydawać mi się niepokojąco znajomy. Moje serce zaczęło szybciej pompować krew. Miałam wrażenie, że wszyscy widzą moją bliznę na brzuchu, mimo że była szczelnie ukryta pod czerwonym, dopasowanym żakietem.

– Zapomniałem dodać, że postrzelony pacjent ostatecznie wskoczył do rzeki...

Teraz miałam już pewność. Ten człowiek był wtedy przy tamtym moście. Widział, jak mnie postrzelono. Znał całą prawdę. Ale kim jest i czego ode mnie chce? Przecież minęły już cztery lata. Poczułam, jak ogarnia mnie strach. Ten sam, który towarzyszył mi przez całą wojnę. Jednak tamte czasy minęły. Wojna się skończyła, a ja jestem bezpieczna.

– Kto to powiedział?! – uniosłam nienaturalnie głos. – Kto to powiedział?! – powtórzyłam i ruszyłam w stronę mojego rozmówcy, powtarzając sobie w duchu: – „Jestem bezpieczna...”.

Nowogród, 1941

– Musimy iść szybciej – ganiłam córkę, chociaż wiedziałam, że ona, tak samo jak ja, idzie ostatkiem swoich sił. Był chłodny jesienny wieczór, a ja czułam, jak krople potu spływają po moich plecach.

– Nie dam już rady – odpowiedziała, przystając i łapiąc się rękami pod boki.

Postawiłam nasze walizki na ziemi, dając na chwilę odpocząć zmęczonym mięśniom. Spakowany w ciągu kilku minut dorobek całego życia z każdym kolejnym kilometrem ciążył mi coraz bardziej.

– Klaro, nie mamy czasu. Chcesz spać w lesie? Poza tym nie posiadamy nocnych przepustek. Wiesz, co się stanie, jak przyłapią nas żandarmi? – powiedziałam łagodnie, acz stanowczo. – Chodźmy, to już niedaleko. Zaraz będziemy w domu.

– A jak tamtego domu już nie ma? Jak Niemcy go spalili albo zrzucili na niego bombę? Co będzie, jak się okaże, że przyjechałyśmy z Warszawy na darmo?!

– Klaro... – zaczęłam mówić, ale przerwał mi odgłos nadjeżdżającego samochodu. Obejrzałam się. To była niemiecka ciężarówka. Odruchowo zaczęłam szukać wokół siebie jakiejś kryjówki, jednak na ucieczkę w las było już za późno. Na pewno nas widzieli. Jak zaczniemy uciekać, pogorszymy tylko swoją sytuację.

– Klaro, nic nie mów i zachowuj się normalnie. Pamiętaj, głowa w dół i nie patrz im w oczy. Naciągnij czapkę mocniej na głowę.

Perspektywa spotkania oko w oko z Niemcem napawała mnie smutną bezsilnością. Pamiętam, jak wypatrywaliśmy wrogich wojsk z okien naszego warszawskiego mieszkania. Zewsząd dochodziły nas straszne

opowieści. Obraz nazistów był tak przerażający, że aż nie mógł być prawdziwy. Chcieliśmy ich w końcu zobaczyć. Przekonać się na własnej skórze, czy rzeczywiście mamy powody do obaw. Odczuwałam wtedy nawet lekkie podekscytowanie. Nagle przyszli. Pojawili się znikąd i byli już wszędzie. Na każdej ulicy, na rogu każdego domu, w każdym zaułku. Uzbrojeni w karabiny i granaty. Zadowoleni z siebie. Niejednokrotnie cuchnący alkoholem. Wyglądali, jakby byli tu od zawsze. Jakby byli na swoim. Zewsząd słyhać było już tylko brzmiające z głośników słowa: *Achtung, Achtung...* Tego dnia głos Hitlera, wydobywający się z naszego małego radia ustawionego na stole w salonie, prosto z Reichstagu, ogłaszał całemu światu, że Polska traktatu wersalskiego nie powstanie nigdy więcej. Gdy na koniec rozległ się krzyk słuchającego go tłumu Niemców cieszących się z naszego upadku i dumnie śpiewających swój hymn *Niemcy, Niemcy ponad wszystko*, po raz pierwszy ogarnęło mnie prawdziwe przerażenie. Janek widział to i zapewnił mnie, że lada chwila Francja i Anglia przekroczą granice Polski i wesprą nas w walce. Nie byłam pewna, czy mówił prawdę, czy specjalnie, ze względu na mnie, kłamał, ale byłam mu wdzięczna za te słowa otuchy. Jak się okazało kilka dni później, to nie Francuzi ani Anglicy, a Sowieci przekroczyli granicę naszego kraju, podbijając wschodnie ziemie.

Podniosłam obie walizki, Klara wzięła swoją i ruszyliśmy przed siebie poboczem drogi. Po chwili wyprzedził nas ciemnoszary samochód. Byłam pewna, że zwyczajnie nas minęli. Jednak pojazd, jak na złość, zatrzymał się z piskiem opon kilkadziesiąt metrów dalej. Od strony pasażera wyskoczył młody żandarm w szarozielonym mundurze. Na głowie, zamiast hełmu, miał furażerkę ozdobioną niemiecką gapą. Pewnym krokiem maszerował w naszym kierunku, poprawiając broń zawieszoną przy pasku. W oczy rzuciła mi się jego błyszcząca klamra z nazistowskim emblematem.

– Klaro – szepnęłam – gdyby coś mi się stało, uciekaj w las, a potem odzyskaj panią Michałową. Ona się tobą zaopiekuje.

– Mamo... – powiedziała drżącym głosem, gdy żandarm zatrzymał się tuż przed nami.

Niemiec rzucił na nas przelotne spojrzenie, jakby upewniał się, że nie stwarzamy zagrożenia.

– Dokumenty – powiedział łamaną polszczyzną.

– Bardzo proszę – odpowiedziałam po niemiecku, czym niewątpliwie go zaskoczyłam. W tych stronach mało kto władał ich ojczystym językiem. Z racji wschodniego położenia terenu tutejszym bliższy był język rosyjski. Szybkim ruchem wyciągnęłam z torebki dwie kenkarty. Wręczając mu je, delikatnie na niego spojrzałam. Miał nie więcej niż dwadzieścia kilka lat, był ode mnie dużo młodszy, a mimo to na jego widok musiałam drzeć ze strachu, a przynajmniej stwarzać takie pozory, i przede wszystkim być bezwzględnie posłuszną. Niezależnie od tego, co powie lub co będzie chciał zrobić.

– Panie z Warszawy? – zapytał wyraźnie zainteresowany tym, co przeczytał w naszych dokumentach.

– Tak, *Herr Oberleutnant* – odpowiedziałam, specjalnie go wywyższając.

Chłopak nie miał oficerskiego stopnia. Był zwykłym żandarmem. Nie posiadał żadnych odznaczeń ani na pagonach, ani na rękawach, ale przez ostatnie miesiące nauczyłam się, że Niemcy dobrze reagowali, gdy dodawałam im jakiś wyższy stopień. W końcu uważali się za najlepszą z ras.

– Ładny akcent – skomentował i oddał mi papiery. – Dokąd panie idą?

– Do Nowogrodu. Mamy tam domek po dziadkach mojego męża. Pobyt nad rzeką dobrze nam robi.

– Podwieziemy panie. Zapraszam – powiedział i zaczął wycofywać się w kierunku wozu.

– Bardzo pan miły, *Herr Oberleutnant*, ale przez większą część drogi jechałyśmy, więc teraz trochę ruchu nam nie zaszkodzi. Poodychamy świeżym powietrzem, przecież właśnie dlatego przyjechałyśmy. Próbowałam wysilić się na uśmiech, chociaż moja odmowa mogła skończyć się tragicznie. Równie tragicznie, co podróż z tymi Niemcami.

Taka życzliwość z ich strony była w Warszawie rzadkością. Tam na widok szarozielonego munduru uciekano w pośpiechu. Ludzie przemykali z bramy do bramy, aby przypadkiem na żadnego z nich nie wpaść. Może tutaj – na prowincji – stacjonowali ci, którzy mieli jeszcze resztki sumienia... Chociaż, po wydarzeniach ostatniego dnia, przestałam się łudzić. Na tę myśl ponownie zobaczyłam oczy mojego

męża, patrzące na mnie łagodnie znad chirurgicznej maseczki. Tym jednym spojrzeniem powiedział mi więcej niż tysiąc słów. Zobaczyłam w nich wyznanie miłości, zapewnienie, że wszystko będzie dobrze i nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Do końca życia zapamiętam jego ostatnie słowa... *Alicjo, teraz musisz poradzić sobie sama, wiem, że dasz radę...* Dla słuchających nas nazistów, zdanie to dotyczyło trwającego zabiegu. Dla mnie było to ostatnie pożegnanie z ukochanym. Potem Gestapo wyprowadziło go z sali operacyjnej. Nigdy więcej miałam już nie zobaczyć jego łagodnych i mądrych oczu...

– Do miasteczka zostało wam dziesięć kilometrów.

Słowa młodego Niemca wyrwały mnie z zamyślenia. Musiałam być czujna. Jego miły głos mógł być pułapką. Miał prawo zabrać nas na posterunek jako kolejną atrakcję dla niemieckich żołnierzy znudzonych dwuletnią wojaczką.

– Niedługo godzina policyjna – ciągnął dalej. – Są panie pewne?

Chłopak nie dawał za wygraną. Biłam się z myślami. Czysta uprzejmość czy podstęp? Obie byłyśmy wykończone. Jednak zdrowy rozsądek wziął górę.

– Tak, jak najbardziej, *Herr Oberleutnant*, dość szybko chodzimy.

Niemiec po raz ostatni zmierzył nas wzrokiem i odszedł. Gdy ciężarówka ruszyła w kierunku lasu, poczułam, jak zaczyna mi wirować w głowie. Zmęczenie, głód i stres zrobiły swoje. Odkąd aresztowano Janka, chodziłam jak otępiała. Nic nie jadłam i nie piłam. Mój organizm nawet nie czuł takiej potrzeby. Byłam w stanie cokolwiek przełknąć, dopiero gdy wróciłam z Kwatery Głównej Gestapo. Pamiętam, że idąc wtedy aleją Szucha w kierunku naszego domu na Czerniakowskiej, pozwoliłam sobie nawet na delikatny uśmiech. Przecież wszystko powinno być się udać. Miałam wkrótce odzyskać mojego męża. Gdy następnego ranka zjawił się w moim salonie dowódca polskiego batalionu (dla którego od kilku miesięcy potajemnie pracował Janek) i oznajmił mi, że mój mąż został rozstrzelany, a wyrok podpisał nie kto inny, jak nasz austriacki przyjaciel, zwróciłam całą zawartość żołądka wprost na dywan. Potem już tylko w hysterii pakowałam nasze ubrania, nie wiedząc kompletnie, co robię ani jaki mam plan. Wiedziałam tylko, że musimy uciekać. Natychmiast. Będąc już poza murami miasta,

uzmysłowiłam sobie, że nie wzięłam żadnej jego fotografii. Przez całą drogę wyrzucałam sobie, że zapomniałam o naszym portrecie ślubnym stojącym na komodzie, zawieszanej na ścianie fotografii wykonanej ostatniego dnia naszego pobytu w Wiedniu, czy pamiątkowym ujęciu z zaręczyn osadzonym w małej ramce na stoliku nocnym. Wszystko przepadło. Wiedziałam, że już nigdy ich nie odzyskam. Ani tych fotografii, ani męża, ani mojego życia...

Zamknęłam oczy i potrząsnęłam głową z nadzieją, że wyrzucę cały ten ból. Nie mogłam pozwolić sobie na rozpacz. Na wojnie nie ma czasu na żalobę. Nawet gdy traci się miłość swojego życia. W jednej chwili porzuciłam całą złość, bezradność, żal i smutek, bo przecież była jeszcze ona... Klara, nasze jedyne dziecko. Musiałam ratować ją za wszelką cenę.

– Lepiej się pośpieszmy. Mogą nas obserwować, czy rzeczywiście zdążymy przed nocą.

Klara nic nie odpowiedziała, tylko posłusznie ruszyła przed siebie.

Miałam wrażenie, że las ciągnie się w nieskończoność. Nie byłam pewna, czy większy strach czułam, idąc pustymi polami, gdzie nie było za czym się schować, czy lasem, w którym za każdym drzewem mogło czaić się niebezpieczeństwo. Bacznie obserwowałam wszystkie mijane po drodze krzaki. Nie miałam żadnej broni, oprócz schowanego w skórzanej torbie skalpela. Wystarczyłoby, żebym przecięła odpowiednie miejsce, którąś tętnicę, i śmierć nadeszłaby w kilkanaście sekund. W obronie córki mogłabym zrobić wszystko, ale czy potrafiłabym zabić? W duchu modliłam się, żebym nigdy nie stanęła przed takim wyborem. Całe życie uczono mnie jak ratować, a nie jak zabijać. Dlatego nie walczyłam z Niemcami, po prostu nie umiałam...

– Mamo!

Głos córki przerwał moje rozmyślenia. Wyteżyłam wzrok i dostrzegłam to samo, co ona. Ciemnoszara ciężarówka leżała bokiem w przydrożnym rowie, a nad nią unosiły się kłęby dymu. Wypadek czy zasadzka? Serce zaczęło mi szybciej bić.

– Mamo, co robimy? Uciekamy?

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze.

Wyjścia były dwa. Czym prędzej biegniemy w głąb lasu, aby nikt nie powiązał nas z tym zdarzeniem albo... sprawdzam funkcje życiowe, oceniam ryzyko, stawiam diagnozę... Tak nakazywał mi instykt. Zawód, który wykonywałam, siedział we mnie tak mocno. Byłam lekarzem z powołania. Każda część ciała kazała mi biec na miejsce wypadku, pomóc poszkodowanym. Nieważne, kim byli i w jakim mówili języku. Pod każdym kolorem munduru kryło się to samo ciało. Identycznie reagowało na ból, utratę krwi, chorobę...

– Mamo?! – Klara dopytywała mnie zdenerwowanym głosem.

Zacisnęłam mocniej rękę na skórzanej torbie sanitarnej. Gdy we wrześniu wiadomym było, że Niemcy lada chwila wkroczą do Warszawy, w mieście zaczął się niesamowity zryw. Kto mógł – uciekał. Zamożni samochodami, biedni piechotą. Żydzi i Polacy. Każdy szukał ratunku. Znajomi wydzwaniali do nas, pytając, czy uciekamy z nimi. Wielu oferowało nam miejsca w swoich pojazdach. Wszyscy radzili wyjechać, a my wciąż biliśmy się z myślami. Część personelu została zmobilizowana do wojska. Inni odeszli z obawy o własne życie i w pełni akceptowaliśmy ich decyzję. Zostali ciężko chorzy pacjenci, a przy nich najodważniejsi lekarze i siostry. Zostaliśmy i my. Sąsiedzi pukali się w głowy, gdy oznajmialiśmy im, że nie opuszczamy Warszawy. Na początku października w szpitalu pojawili się pierwsi żołnierze SS. Maszerowali po korytarzach, jakby byli u siebie. Cały personel ustawiony w szeregu pod ścianą przyglądał się niemieckim lekarzom (sprawdzającym nasze oddziały pod kątem możliwości leczenia niemieckich pacjentów). Miałam wrażenie, że nie stanowią zagrożenia. Byli wręcz życzliwi i łagodni. Zapewniali, że będziemy dalej pracować na swoich stanowiskach, ale lecząc Niemców. Otuchy dodało nam to, że pozwolili zatrzymać część łóżek z przeznaczeniem dla polskich pacjentów. Wtedy też pierwszy i ostatni raz pomyślałam, że przecież każdy lekarz, niezależnie od noszonego munduru, jest w dalszym ciągu lekarzem, który wierność przysięgał tym samym wartościom, wymawiał te same słowa przysięgi Hipokratesa. Zatem nigdy celowo nie zrani i nie pozbawi życia drugiego człowieka, a zrobi wszystko, co w jego mocy, aby go uratować.

Dalej pracowałam w Szpitalu Wolskim i leczyłam polskich pacjentów. Jednak coś za coś, bo nowymi pacjentami byli również wrogowie. Jako chirurg ratowałam przede wszystkim życie tych, którzy zostali ranni w walce. Rzadko kiedy zgłaszał się Niemiec z innymi, naturalnymi dolegliwościami. Nasi z podziemia próbowali ich bez względu na wszystko zabić, ja natomiast ratować. Gdy kładziono ich na mój stół, nie pytałam, z jakiej są formacji ani z kim przed chwilą walczyli. Moje zadanie było oczywiste. Zrobić wszystko, aby nie dopuścić do śmierci pacjenta. I musiałam być w tym skuteczna. Niemcy nie mogli nabrać żadnych podejrzeń, że ja albo ktoś z personelu mógłby celowo ich źle leczyć. To skończyłoby się tragicznie zarówno dla lekarzy, jak i dla polskich pacjentów. Póki Niemcy byli zadowoleni, póty zostawiali nas w spokoju. Miałam jeszcze jedno zadanie, najważniejsze, o którym wiedzieli tylko nieliczni... Nie mogłam rzucić tej pracy, bo musiałam za wszelką cenę chronić męża, osłaniać go przed Niemcami. Dniami i nocami pracowałam za nas dwoje. Dawałam mu tym samym cenny czas, który mógł poświęcić na przeprowadzanie potajemnych operacji na rannych z ruchu oporu. Dzięki mojej pracy Janek miał szansę uratować dziesiątki, jak nie setki walczących Polaków. Nie zrobiłby tego bez mojej pomocy. Tak stałam się lekarką nazistów...

Coś w mojej głowie szeptało mi, żebym odwróciła wzrok i pobiegła z córką do lasu. Tak byłoby łatwiej. Chociaż uratowałam już wielu niemieckich żołnierzy, to nie byłam wcale taka pewna, czy zdołam zrobić to teraz, gdy wiem, że jeden z nich odebrał życie Jankowi. Bez mrugnięcia okiem człowiek w szarozielonym mundurze zabił mojego męża. Już nie miało znaczenia, ile niemieckich żyć zdołał uratować swoimi rękoma. Nagle w ich oczach był zdrajcą, a zdrajcy karani są śmiercią. Próbowałam wmówić sobie, że to daje mi prawo odejść z czystym sumieniem z tego miejsca, że ich zbrodnia zwalnia mnie z obowiązku ratowania ludzkiego życia, niemieckiego życia. Zamknęłam oczy i zobaczyłam twarz tamtego chłopca. On nie zabił mojego męża. Nawet go nie znał. Nie skrzywdził też nas...

– Klaro – powiedziała stanowczo, wiedząc już, jak powinnam się zachować. – Weź walizki i schowaj się za tamtym krzakiem.

Wskazałam ręką na duży, czarny bez, rosnący wzdłuż lewej ściany lasu.

– A ja podejść bliżej i sprawdzę, czy żyją.

– Mamo, proszę cię, uciekajmy, przecież to Niemcy! Niech tam zginą!

Klara chwyciła mnie za rękę i ciągnęła mocno w swoją stronę.

– Myślisz, że śmierć tego młodego chłopaka coś zmieni? Że położy kres wojnie? Klaro, zajmie mi to dosłownie chwilę. Schowaj się. Zaraz obie stąd pójdziemy.

Wysunęłam dłoń z jej uścisku. Musiałam postąpić zgodnie z własnym sumieniem. Byłam w końcu lekarzem. Pragnęłam pozostać wierna przysiędze.

– A gdyby coś mi się stało, to uciekaj sama. Znajdź panią Michałową. Powiedz, kim jesteś. Ona się tobą zaopiekuje – dodałam po chwili.

Nie czekając na jej reakcję, pobiegłam w kierunku ciężarówki, trzymając z całych sił swoją torbę. Znowu poczułam się jak lekarz. Nabrałam pewności siebie, byłam silniejsza. Gdy dotarłam wystarczająco blisko, zwolniłam kroku i ostrożnie obeszedłam przewrócony wóz. Przednia szyba była całkowicie wybita, a miejsce kierowcy puste. Młody żandarm, który jeszcze przed chwilą proponował nam podwózkę, leżał na boku, trzymając się za nogę. Zobaczyłam wielki kawałek szkła wystający z jego uda. Z rany sączyła się krew. Twarz chłopaka była mokra od potu. Przez chwilę wpatrywałam się w niego nieruchomo, po czym momentalnie zadziałał instynkt.

– Jestem lekarzem. Pomogę ci, ale musisz wyjść z kabiny – powiedziałam spokojnym głosem.

– Nie dam rady – odpowiedział, wyginając twarz z bólu.

– Musisz spróbować. Tam nie będę w stanie ci pomóc.

Butem przejechałam po ramie przedniego okna, żeby usunąć wystające stamtąd kawałki szkła. Chłopak przekręcił się na bok i wysunął głowę przez oczyszczoną ramę.

– Trzymaj dłonie nad raną i mocno dociskaj. Nie dotykaj szkła – poinstruowałam go i z całych sił chwyciłam go pod plecy. Powoli zaczęłam wysuwać go z ciężarówki. Chłopak jęczał niemiłosiernie. Przeciągnęłam go na drugi koniec drogi na wypadek, gdyby zapaliła się benzyna i wszystko stanęło w ogniu. Twarz żandarma robiła się coraz

bledsza. Zawróciłam szybko po torbę rzuconą pod ciężarówką i po chwili przyklęknęłam przy jego nogach.

– Mam na imię Alicja. Jestem lekarzem – powtórzyłam dla pewności. – Postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby jak najszybciej ci pomóc – zaczęłam mówić swoją wyuczoną regułkę, jak gdyby to był zwykły przypadek i zwyczajny pacjent.

– Muszę odsłonić ranę. Rozetnę ci spodnie, dobrze?

– Tak – potwierdził, zaciskając mocniej zęby.

Wyjęłam z torby nożyczki i rozcięłam nogawkę po całej długości. Jego noga była już cała czerwona od krwi.

– Zdejmę ci pasek, żeby zrobić opaskę uciskową. Będzie trochę bolało. Musisz wytrzymać.

Delikatnie przełożyłam skórzany pas dwa razy wokół uda chłopaka i mocno zacisnęłam kilka centymetrów nad wystającym szkłem.

– To spowoduje ścisnięcie naczyń krwionośnych i tym samym zatrzyma krążenie.

Chłopak patrzył na mnie z niezrozumieniem.

– Przystaniesz krwawić – wyjaśniłam.

– Boję się – powiedział półszepem. – Nie chcę umierać.

Jego całe ciało zaczęło drżeć. Adrenalina powoli opadała. Nie chciałam, aby wpadł teraz w panikę i zaczął się niepotrzebnie rzucać, mógłby wtedy tylko pogorszyć swój stan.

– Jak masz na imię?

– Max.

– Posłuchaj mnie uważnie, Max. Nie pozwolę ci umrzeć. Rozumiesz? Umiem ci pomóc i to zrobię. Tylko muszę, jak najszybciej zająć się tą raną. Przydaliby się teraz twoi koledzy – mówiąc to, podniosłam wzrok i popatrzyłam na pustą drogę. Jeżeli ktoś szybko po niego nie przyjedzie, to chłopak umrze i nic, co powiem, tego nie zmieni. Młody Niemiec zobaczył strach w moich oczach. Czułam, że domyśla się możliwego scenariusza.

– Max, masz dziewczynę? – zapytałam, wyjmując z torby ligninę.

– Nie.

– To tym bardziej nie możesz dziś umrzeć. Musisz poznać smak miłości – mówiąc to, zmusiłam się do uśmiechu. Uśmiech lekarza zawsze działał

odprężająco na pacjentów, wzbudzał zaufanie. Chciałam, aby chociaż na chwilę się uspokoił, bo jego przyspieszone tętno wcale nie ułatwiało mi zadania.

– Jest jedna, która bardzo mi się podoba – mówił drżącym głosem. – Ale ona o tym nie wie.

– Jak ma na imię? – ciągnęłam dalej.

Chłopak zaczął się wyciszać. Pytania o ukochaną lub rodzinny dom zawsze przynosiły pożądany efekt.

– Ewa.

– Ewa? Nie Eva? – dopytałam zdziwiona. Potwierdził skinieniem głowy.

Znowu popatrzyłam na pustą drogę. Próbowałam wysilić słuch, żeby usłyszeć warkot silnika. Zamiast tego wychyciłam dźwięk łamiącej się gałęzi dochodzący od strony lasu. Spojrzałam tam i znieruchomiałam.

– *Hände hoch!* – krzyknął po niemiecku żandarm idący w naszym kierunku lasem. Zapewne był brakującym kierowcą. Trzymał wycelowany we mnie pistolet. Momentalnie puściłam nogę chłopaka i ostrożnie zaczęłam unosić ręce nad głowę.

– Nie strzelaj, jestem lekarzem!

– Niemka? – zapytał zdziwiony.

– Nie, Polka. Pomagam mu! Jestem lekarzem! Proszę, nie strzelaj! – krzyczałam przerażona w jego stronę.

Żandarm zbliżał się wolnym krokiem, rozglądając się na boki i nie spuszczać ze mnie lufy broni. Spoglądał to na mnie, to na swojego kolegę.

– To prawda – powiedział ranny chłopak. – Wilhelm, nie strzelaj. Ona mi pomaga.

– Twój kolega musi natychmiast być operowany, inaczej nie przeżyje.

– Nasi już jadą – odpowiedział, ale nie ruszył się nawet o centymetr. Stał, przygotowany do oddania strzału. Czujny, jakby obawiał się kolejnej zasadzki.

– Mogę opuścić ręce? Muszę zająć się raną – powiedziałam spokojnym głosem.

Chłopak kiwnął głową. Parę minut później z głębi lasu wyłoniła się kolejna ciężarówka. Zatrzymała się kilkadziesiąt metrów od nas. Z jej

wnętrza wyskoczyło ponad dziesięciu uzbrojonych po zęby Niemców. Jeden z nich, najstarszy, który sprawiał wrażenie ich dowódcy, pewnym krokiem ruszył w naszą stronę. Reszta obstawiała teren wokół. Opuściłam ponownie wzrok. Nasłuchiwałam zbliżających się ciężkich kroków. Pilnujący mnie chłopak w końcu opuścił broń, zasalutował i stuknął podbitymi obcasami na widok swojego zwierzchnika.

– Co się stało? – zapytał mężczyzna głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji.

W jego tonie było coś przerażającego. Nie miałam odwagi na niego spojrzeć. Dalej uciskałam ranę Maxa i wpatrywałam się w buty Niemca stojącego przed nami. Idealnie wypastowane i wypolerowane, od których wręcz biła pedantyczna czystość.

– Zasadzka, panie komendancie. Partyzanci. Ścigałem ich, ale uciekli. Werner jest ranny.

– Kim jest ta kobieta?

– Nie wiem. Gdy wróciłem, już tutaj była.

Usłyszałam, jak mężczyzna odbezpiecza swoją broń. Po chwili poczułam zimną lufę na skroni.

– *Ich bin Arzt!* Jestem lekarzem! – krzyczałam spanikowana. – Próbuje uratować życie pańskiemu żołnierzowi!

Nadal nie podnosiłam głowy. Niemcy uwielbiali uległość. Lubili czuć się panami życia i śmierci. Taka władza sprawiała im najwyższą przyjemność. W końcu mężczyzna odsunął broń od mojej skroni.

– Wiem, jak mu pomóc, muszę operować. Założyłam zacisk nad raną, co chwilowo zatamowało krwawienie, ale jeżeli w ciągu godziny go nie zdejmę, nastąpi niedotlenienie tkanek, a potem martwica. Wtedy, w najlepszym wypadku, pański żołnierz zostanie bez nogi – tłumaczyłam po niemiecku.

– Do szpitala z nim. Ją do aresztu – rozkazał oschłym głosem, któremu nie sposób było się sprzeciwić.

– Do Łomży jest czterdzieści minut drogi. – Próbowałam nie myśleć o jego ostatnich słowach. Wiedziałam, że jeżeli chłopak umrze, wtedy na pewno zemszczą się na mnie. Nawet jeżeli teraz próbuję go ratować. Z drugiej strony za to, że podważyłam jego decyzję, mógł mnie po prostu

zabić. Wystarczyłoby jedno słowo za dużo. Widziałam to już niejednokrotnie. Niemcy nie akceptowali sprzeciwu.

– Mam niezbędne narzędzia. Potrzebuję stołu, światła i spirytusu. Brakuje mi tylko surowicy przeciwwężcovej, a rana jest zabrudzona.

Dalej spoglądałam na jego buty. Próbowałam udawać bezbronną i niegroźną. Bacznie obserwowałam, jak przechadza się wokół mnie. Spojrzałam na Maxa z nadzieją, że powie coś w mojej obronie, ale chłopak nie patrzył na swojego dowódcę. Nie próbował walczyć nawet o siebie, a przecież to o jego życie tu chodziło. Pomyślałam wtedy, że może tak ich szkolono, pewnie mieli być bezwzględnie posłuszni i pozbawieni własnego zdania. Łatwiej było nimi wtedy sterować. W końcu mężczyzna przysunął się bliżej mnie i nieznacznie nachylił.

– Jeżeli kłamiesz, nie dożyjesz świtu – powiedział mi wprost do ucha, a po moim ciele przeszedł dreszcz. Wiedziałam, że nie żartował.

– Na ciężarówkę z nimi, i na posterunek! – krzyknął do swoich ludzi.

– *Herr Kommandant...* – powiedziałam, wstając z kolan, chociaż zimny pot spływał mi po plecach. Zobaczyłam, że mężczyzna zatrzymuje się i odwraca w moją stronę. Musiałam zaryzykować. Podniosłam wysoko głowę. Spojrzałam swoimi zielonymi oczami prosto na niego.

Niemiec był starszy ode mnie zaledwie o kilka lat, ale na blond włosach widoczna była już lekka siwizna. Oczy miał pozbawione jakichkolwiek emocji. Zimne i przerażająco puste. Były jasnoniebieskie, wpadające w szare, co tylko podkreślało bijące od nich zimno. Na mocno zarysowanej szczęce z daleka widoczne były, zaciśnięte do granic możliwości, wąskie usta.

– *Herr Kommandant...* – powtórzyłam, nie odrywając od niego wzroku.

– W lesie schowała się moja dwunastoletnia córka, ona musi mi asystować przy zabiegu. Bez niej nie dam rady.

To było kłamstwo. Klara kompletnie się na tym nie znała. Nigdy nie była obecna podczas naszych operacji. Poczułam, jak zaczyna mi drżeć prawa powieka. Nienawidziłam tej swojej słabości. Z kolei twarz mężczyzny była nieruchoma. Głos bez emocji należał do człowieka o twarzy, która również była ich pozbawiona. Nawet jeden mięsień na niej nie drgnął, podczas gdy ja cała się trzęsłam. Nie wiedziałam, czy

dobrze zrobiłam, ujawniając jej obecność, czy też popełniłam najgorszy błąd swojego życia.

Komendant zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu. Nic nie mówiąc, odwrócił się i dał ręką znać, żeby ładować nas do ciężarówki. Szybko pobiegłam po Klarę i razem wsiadłyśmy na pakę. Usiadłyśmy po obu stronach rannego żołnierza i przez resztę drogi patrzyłyśmy na siebie ze strachem.

Niemiecki posterunek znajdował się w samym centrum miasteczka, w opuszczonym, dwupiętrowym drewnianym domu. Wydawało mi się, że wcześniej należał on do zaprzyjaźnionej z moimi teściami rodziny Bączków, ale pewności nie miałam. To były strony mojego męża, ja bywałam tu tylko jako wczasowicz, gdy oboje z Jankiem, jakimś cudem, dostaliśmy urlop w szpitalu w tym samym czasie. Ostatni raz byliśmy tu rok przed wybuchem wojny.

Zeskoczyłam z paki i pomogłam zejść córce. Niemcy na noszach zanieśli rannego kolegę do wnętrza budynku. Weszłyśmy zaraz za nimi. W kącie zobaczyłam młodziutką dziewczynę z czarnymi warkoczami, która przyglądała nam się z niedowierzaniem.

– Potrzebuję czystego obrusu, spirytusu i więcej światła – powiedziałam do niej po polsku i zaczęłam zdejmować płaszcz. – Położymy rannego na stole, ale najpierw obrus – zwróciłam się do komendanta. Chciałam udowodnić, że wiem, co robię, ale w jego oczach nie widziałam zainteresowania.

Dziewczyna szybko pobiegła do drugiego pokoju i wróciła ze śnieżnobiałym nakryciem stołu. Komendant stanął przy schodach i bacznie obserwował całą sytuację. Zawiesiłam płaszcz na wieszaku i spięłam włosy w kok. Rozejrzałam się wokół. Warunki sanitarne były kiepskie. Zamiast sterylnej szpitalnej sali, miałam jadalnię z resztkami jedzenia na stole. Robiłam więc, co mogłam. Polałam cały obrus spirytusem, a potem wszystkie swoje narzędzia. Wyszorowałam dokładnie ręce i odkaziłam je. Dopiero wtedy mogłam zaczynać.

– Max, nie będę cię okłamywać, będzie bolało, i to bardzo. Nie mam czym cię znieczulić, musisz wytrzymać. Najprawdopodobniej szybko zemdlejesz i obudzisz się po wszystkim. Zrozumiałeś?

Chłopak nic nie odpowiedział. Patrzył w sufit. Włożyłam mu między zęby gumową rurkę.

– Ktoś musi go trzymać, żeby się nie poruszył – powiedziałam, patrząc w stronę komendanta. – Najlepiej kilka osób.

Komendant skinął głową na pozostałych i wszyscy, jak na zawołanie, chwycili leżącego na stole kolegę. Delikatnie zaczęłam rozsuwać skórę wokół szkła. Max zwijał się z bólu, a to był dopiero początek. Ostrze wbiło się głęboko w tkanki, więc żeby zobaczyć wszystkie uszkodzenia, musiałam odgiąć skórę jeszcze bardziej. Zanim zdążyłam wyjąć odłamek szkła, tak jak to przewidziałam, chłopak zemdlał. Mocniejsi od niego tracili przytomność przy drobniejszych urazach. Odetchnęłam z ulgą. Ulżyło mi, nie tyle z powodu tego, że Niemiec przestał cokolwiek czuć, ale ze względu na fakt, że na nieprzytomnym pacjencie mogłam precyzyjniej wykonać swoją pracę.

– Klaro, więcej światła proszę – zwróciłam się po polsku do córki.

Jednak ona nie zareagowała. Spojrzałam na nią. Stała blada i nieruchoma obok stołu. Odruchowo zerknęłam na komendanta. Przyglądał mi się, jakby domyślał się wcześniejszego kłamstwa. Przełknęłam ślinę i skierowałam głowę w stronę dziewczyny stojącej pod kuchennym regałem.

– Możesz poświecić mi na ranę?

Dziewczyna nic nie mówiąc, podeszła do stołu i uniosła stojącą na nim karbidówkę w kierunku rany, tak aby oświetlić jej wnętrze. Ponownie spojrzałam ukradkiem na komendanta. Miałam wrażenie, że analizuje każdy mój ruch. Serce zaczęło walić mi jak oszalałe. Czy rzeczywiście domyślił się, że go okłamałam co do lekarskich umiejętności córki? Musiałam się uspokoić. Zaczęłam nucić pod nosem ulubioną piosenkę Janka *Dziś ta i jutro ta*.

Jakiś czas później podwiązywałam ostatnie krwawiące naczynie i gdy w końcu oczyściłam ranę, mogłam zabrać się za szycie.

– Koniec – powiedziałam, odkładając nicie z igłą. – Przeżyje, jeżeli nie wda się żadne zakażenie.

Popatrzyłam na komendanta, z którego jakby uszło powietrze, a szczeka delikatnie się rozluźniła. W tym samym momencie otworzyły się drzwi, a w progu pojawił się niemiecki lekarz w identycznym

mundurze i torbą sanitarną w ręku. Komendant ponownie wyprostował się jak strzała i napiął ciało.

– *Herr Kommandant* Hizel – lekarz zasalutował i stuknął podbitymi butami.

– *Herr Doktor* Kaufman – odpowiedział komendant.

– Przyjechałem do rannego – zaczął mówić, przyglądając się leżącemu na stole chłopakowi. – Co się tu dzieje? Kim pani jest i co pani najlepszego zrobiła?!

Mężczyzna przenosił wzrok z nogi chłopaka na mnie, to znowu na komendanta.

– Jestem lekarzem. Wykonałam zabieg wyjęcia ciała obcego z rany. Potrzebny jest tylko zastrzyk przeciwko tężcowi.

– Kto pozwolił pani leczyć niemieckiego żołnierza?!

Lekarz rzucił się jak oparzony. Gestykulował rękami na prawo i lewo. Zaczynałam poważnie obawiać się o nasze życie. Wiedziałam, że Polakom nie wolno bez pozwolenia zajmować się niemieckimi pacjentami, ale to była sytuacja wyjątkowa. Zanim dostałabym zezwolenie, chłopaka nie byłoby już między żywymi. Przez moment pożałowałam, że nie uciekłyśmy do lasu, gdy jeszcze mogłyśmy. Cofnęłam się odruchowo pod ścianę, osłaniając jednocześnie Klarę.

– Ten żołnierz nie przeżyłby drogi do szpitala. Bardzo krwawił. Mam specjalizację z chirurgii – tłumaczyłam nerwowo.

– Pani?! – mówił coraz głośniej, a w kącikach jego ust pojawiła się biała piana. Lekarz zaczął przemywać swoje ręce i odkażać przywieszane narzędzia. – Pani może być co najwyżej instrumentariuszką, ale nie lekarzem! Zapewniam, że nie ujdzie to pani na sucho! Panie komendancie, pan na to wszystko pozwolił?!

Na te słowa komendant zerwał się z miejsca i, idąc w moim kierunku, zaczął wyjmować broń z kabury.

– Niech pan tego nie robi! – krzyknęłam przerażona. – Zrobiłam wszystko zgodnie ze sztuką medyczną. Nic więcej mu nie pomoże, a otwarcie rany tylko zaszkodzi. Jestem lekarzem! Nie kłamie, na Boga! – Popatrzyłam na nich błagalnie.

Komendant stał nieruchomo, z ręką spoczywającą na broni wciąż zapiętej przy skórzanym pasku. Patrzył mi prosto w oczy. Zero emocji.

Zero uczuć. Gdyby nie lekko zaciśnięte usta, pomyślałabym, że nie jest człowiekiem, a maszyną.

– Kobieta lekarz i to na dodatek chirurg?! – prychnął niemiecki lekarz.

– Te Polki są głupsze, niż myśleliśmy – rzucił przez zęby z nienawiścią.

Nie pierwszy i nie ostatni raz słyszałam takie zniewagi pod swoim adresem. Zrobiłam to, co było konieczne, aby uratować chłopaka. Wiedziałam o tym i nie potrzebowałam niczyjej aprobaty. Pokornie, bez słów przyjął krytykę.

– Mama studiowała medycynę w Wiedniu!

Usłyszałam za sobą głos mojej córki. „Głupia!” – pomyślałam w duchu. Po co się odzywała. Teraz nie wyjdziemy z tego żywe. Spojrzałam na komendanta. Zobaczyłam, jak rozluźnia dłoń zaciśniętą na broni i przętyka ślinę. Zatem się wahał.

– W Wiedniu? – Zaśmiał się w głos niemiecki lekarz. – To bardzo ciekawe.

Mężczyzna patrzył na mnie w milczeniu przez dłuższą chwilę. W końcu w jego oczach zobaczyłam jakiś błysk. Czułam, że będzie mnie za chwilę sprawdzał, że wymyślił jakiś podstęp, aby złapać mnie na kłamstwie.

– To może powie nam pani, jak nazywał się polski wykładowca na Uniwersytecie w Wiedniu. Wybitny lekarz, pionier torakochirurgii – powiedział pewnym siebie głosem.

Zobaczyłam, jak z nieukrywaną radością czeka na moje potknięcie, gotowy wkroczyć do ostatecznego ataku. Byłam pewna, że w przypadku błędnej odpowiedzi, sam zada mi śmiertelny cios.

– Jan Sambor. Profesor Jan Sambor – odpowiedziałam bez chwili namysłu. Znałam prawidłową odpowiedź, jednak wymówienie tego imienia nie przyniosło mi żadnej ulgi, nie poczułam zwycięstwa nad Niemcem. Wręcz przeciwnie, był to gorzki smak porażki, a moje serce przeszła niewidzialna kula.

– To światowej sławy specjalista. Mogła pani o nim słyszeć – odparł ze złością.

– Wykładał w Wiedniu w latach dwudziestych. Następnie przeniósł się do Warszawy, gdzie objął stanowisko ordynatora Szpitala Wolskiego. Sto osiemdziesiąt dwa centymetry wzrostu. Brunet. Niewielka blizna pod prawym okiem, po studenckiej bijatyce.

Mężczyzna patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Nadal nie wierzył w moje słowa.

– Skąd pani to wszystko wie? – dopytywał podejrzliwie.

– Byłam jego studentką, a następnie współpracownikiem w Szpitalu Wolskim. Razem, jako pierwsi w Polsce, przeprowadziliśmy z powodzeniem operację zaszycia pękniętego wrzodu żołądka. Zapewne *Herr Doktor* słyszał o tej operacji. Była szeroko opisywana w prasie lekarskiej. Aczkolwiek mój udział został skrętnie ominięty, bądź też sprowadzony do roli instrumentariuszki. Tymczasem zabieg przeprowadziliśmy z Jankiem ramię w ramię, jak równy z równym. Asystowało nam dwóch lekarzy i zespół pielęgniarek.

Lekarz wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. Jakby próbował odszukać coś w swojej głowie.

– Pamiętam, było nawet zdjęcie wykonane tuż po zabiegu. Jednak nie przypominam sobie na nim żadnej kobiety – powiedział zmienionym tonem głosu. – A wie pani, że ja również asystowałem kiedyś profesorowi Samborowi w trakcie jednej operacji?

Miałam wrażenie, że oczekiwał mojego uznania. Jednak na mnie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Mój mąż niejednokrotnie operował w ościennych miastach, nawet za granicą, ucząc innych lekarzy swoich technik.

– Zatem wie pan, dlaczego koledzy nazywali mojego... – ugryzłam się w język – nazywali Jana Sambora słowikiem?

Lekarz popatrzył na mnie zdumiony, po czym odłożył skalpel na stół. Jego wyraz twarzy się zmienił. Ulotniła się cała złość. Wyglądał, jakby zrozumiał swój błąd. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam na twarzy żadnego Niemca. Oni przecież byli nieomylni.

– W trakcie swoich operacji często nucił piosenki – powiedział, wyjmując z torby strzykawkę i ampułkę z medykamentem. – *Herr Kommandant* – zwrócił się bezpośrednio do komendanta. – Zrobię pacjentowi zastrzyk z surowicą przeciwwężcowa i wracam do Łomży.

Komendant w końcu zdjął swoją dłoń z kabury. Przez chwilę patrzył mi prosto w oczy. Nie zobaczył w nich już jednak żadnego strachu. Na wspomnienie męża ogarnęła mnie wyłącznie wściekłość. Musiałam zacisnąć pięści, żeby pozwolić ujść emocjom.

– To tyle – powiedział, odstawiając zaczęętą ampułkę z medykamentem na kuchenną szafkę. – Nic tu po mnie. Pani doktor, mimo dość skromnych warunków, z całą pewnością poradziła sobie z tak prostym zabiegiem.

Po tych słowach poczułam, jak powoli opada ze mnie całe napięcie. „Pani doktor” – powtórzyłam sobie w duchu. Duma mieszała się z goryczą.

– Panie komendancie, czy możemy już iść do domu?

Komendant, nie patrząc na mnie, skinął ledwie zauważalnie głową. Chwyciłam Klarę za rękę i zaczęłam iść w kierunku drzwi.

– Proszę zaczekać – powiedział lekarz. – A co słyhać u profesora Sambora?

Na te słowa coś ścisnęło mnie w gardle. Nie byłam pewna, czy będę w stanie cokolwiek mu odpowiedzieć. Wiedziałam jednak, że nie mogę wyjść bez słowa. Powoli odwróciłam się w kierunku mężczyzny.

– Profesor Sambor do niedawna pracował jeszcze w Szpitalu Wolskim, gdzie leczył chorych i rannych Niemców. Wielu z nich żyje tylko dzięki niemu – powiedziałam łamiącym się głosem.

– Doprawdy? – dopytał.

– Tak. Był bardzo cenionym lekarzem wśród waszych żołnierzy.

– To zrozumiałe! – powiedział zadowolony. – Nie znam lepszego specjalisty!

– Nie znał pan – poprawiłam go. – Dziś rano go rozstrzelali... Ci sami Niemcy...

Lekarz nie spojrzał na mnie więcej. Wrzucił pustą strzykawkę do torby i skupił całą uwagę na jej szczelnym zapięciu. Jakby to, co przed chwilą powiedziałam, zupełnie go nie obchodziło. Jakby moje słowa wcale do niego nie dotarły, a przecież przed momentem tak chełpił się znajomością z profesorem, próbując ogrzać się w blasku jego sławy. Niemiec, jak gdyby nigdy nic, chwycił torbę i zasalutował komendantowi, dając znać, że wychodzi. Ja również odwróciłam się w kierunku drzwi i pośpiesznie opuściłam posterunek.

Gdy dotarliśmy do domu, było już ciemno. Niewiele potrafiłam dojrzeć w tym mroku. Jedno było pewne. Dom przetrwał wojenną zawieruchę.

Co prawda drzwi były otwarte na oścież, w środku brakowało większości mebli, a co cenniejsze zostało złupione, ale przynajmniej miałyśmy dach nad głową. W kuchni, obok kaflowego pieca pod oknem, wciąż stał niewielki stół i dwa taborety. W jednym pokoju znajdowały się łóżko i szafa, a w drugim niewielka leżanka. Byłam tak wykończona tym dniem, że nie miałam już sił czegokolwiek sprzątać. Rzuciłyśmy się z Klarą na wielkie łóżko i momentalnie zasnęłyśmy.

Nie wiem, ile czasu minęło do chwili, gdy poczułam na twarzy męską dłoń zasłaniającą mi usta. Próbowałam się wyszarpać, ale mężczyzna trzymał mnie z całych sił. Po chwili wypchnął mnie do kuchni. Kątem oka spojrzałam na Klarę. Na szczęście spała głębokim snem. W świetle księżyca, które wpadało przez okno, naliczyłam jeszcze dwie postacie. Ten trzeci ciągle zasłaniał mi ręką usta i przytrzymywał w pasie. Nie byłam w stanie się wyrwać. Był zdecydowanie zbyt silny.

– Na mój znak kolega za tobą odsłoni ci usta. Jeżeli krzykniesz, zginiecie od razu, ty i twoja córka. Zrozumiałaś? – zapytał stojący naprzeciwko mnie mężczyzna.

Nie widziałam jego twarzy, ale czułam, że jest śmiertelnie poważny. Był wyższy ode mnie o głowę. Nie był tak postawny jak ten, który mnie trzymał, ale wyglądał na równie silnego.

Kiwnęłam twierdząco głową. Po chwili stałam już swobodnie, ale nadal nieruchomo. Nie miałam pojęcia, kim są ci mężczyźni, ani jakie mają wobec nas zamiary. Jednakże, jeżeli do tej pory mnie nie zabili, ani nie skrzywdzili, była nadzieja, że nic złego nam nie zrobią. Ten, który mnie do tej pory trzymał, podszedł do okna i bacznie obserwował podwórko. Zauważyłam automat przewieszony na jego plecach. Miał na sobie przerobiony niemiecki mundur. Zrozumiałam, że odwiedzili nas partyzanci.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Alicja Sambor. Ten dom należał do dziadków mojego męża.

– Nic mi to nie mówi. Jesteś Niemką?

– Nie – odparowałam. – Jestem Polką. Uciekłyśmy z córką z Warszawy. Tam... – zawahałam się, ile powinnam mu powiedzieć – tam już nie jest bezpiecznie.

– Kłamiesz! – syknął przez zęby. – Uratowałeś dziś żandarma! Szwaba! Wiesz, co robimy tutaj z takimi jak ty?!

– Jestem lekarzem. Uratowałam człowieka.

– A więc przyznajesz się?

– Jesteś partyzantem i twoim zadaniem jest walczyć. Ja jestem lekarzem i moim zadaniem jest ratować ludzkie życie. – Próbowałam w jakiś sposób wytłumaczyć swoje zachowanie, ale wiedziałam, że dla niego nic, co powiem, nie będzie miało większego znaczenia.

Przecież on i jego koledzy z narażeniem życia urządzili w lesie zasadzkę na Niemców, a ja miałam czelność uratować wroga. Mogło to świadczyć tylko o jednym...

– Taka jesteś wspaniałomyślna?! Może jednak nie mówisz nam prawdy? Może mężulek też maszeruje w armii Hitlera?

Mężczyzna przysunął się bliżej mnie. Stłumione światło księżyca oświetliło jego twarz. Była bardzo wymęczona. Wielkie worki pod oczami i zapadłe policzki świadczyły o niedożywieniu.

– Jestem lekarzem. Chirurgiem. Przyjechałam z Warszawy. Dziadkowie mojego męża urodzili się w Nowogrodzie – powtarzałam jak mantrę. – Jeżeli potrzebujecie pomocy, chętnie wam pomogę. Mam niezbędne narzędzia, mogę operować, zszywać. Nie mam tylko medykamentów.

Mężczyzna wyjął z kieszeni scyzoryk, rozłożył go i jednym ruchem przyłożył mi ostrze do szyi. Zauważyłam ranę na jego dłoni.

– Jeżeli kłamiesz, my się o tym dowiemy. Jeżeli jeszcze raz uratujesz jakiegoś Szwaba, to zginiesz. Będziemy cię bacznie obserwować. Zrozumiałaś? – mówiąc to, mocniej docisnął nóż do mojej szyi.

– Zrozumiałam – odpowiedziałam, czując ostrze na krtani. – Od czego ta rana? Nie wygląda dobrze. Jest za bardzo spuchnięta. Jeżeli wda się tęzec, za kilka dni będzie po tobie – mówiłam to bez zastanowienia, jakbym po prostu stawiała kolejną diagnozę. Tak naprawdę próbowałam pozyskać jego zaufanie. Udowodnić, że jestem tym, za kogo się podaję, lekarzem, a przede wszystkim Polką. Przekonać ich, że jestem po dobrej stronie, po ich stronie.

– Nic mi nie będzie – odpowiedział butnie, ale wyczułam w jego głosie delikatną niepewność.

– Przyjdź jutro w nocy. Postaram się załatwić surowicę.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Dał znać pozostałym i już po chwili zostałam sama na środku pustej kuchni. Upadłam na ziemię i zasłoniłam dłonią usta. Wydałam z siebie cichy jęk. Mimo że przed chwilą udawałam pewną i silną, w środku cała dygotałam. Byłam wręcz przerażona. Tak bardzo pragnęłam znaleźć się w ciepłych objęciach mojego Janka. Raz jeszcze móc wtulić się w jego ramiona. Poczuć się bezpieczna... „Dlaczego mnie zostawiłeś?!” – powtarzałam sobie w duchu. – „Jak mogłeś! Obiecałeś, że nie dasz się złapać!” – krzyczałam na niego w swojej głowie. Chciałam być na niego zła, wściekła! Chciałam go winić za wszystko, co nas spotkało! Jednak zamiast tego, widziałam tylko jego uśmiechnięte oczy, patrzące na mnie znad maseczki. W uszach słyszałam, jak nuci swoją ulubioną piosenkę Eugeniusza Bodo *Dziś ta i jutro ta...* i spokojnie bierze do ręki skalpel. *Alicjo, przypomnij mi, jak to dalej leciało?* Prosił prawie za każdym razem, gdy wspólnie operowaliśmy, zmuszając mnie tym samym do śpiewania razem z nim, chociaż dobrze wiedział, że nie miałam do tego za grosz talentu.

Zawsze myślałam, że jeżeli kocha się kogoś tak bardzo i jest się czyjąś bratnią duszą, to gdy nadejdzie koniec tej drugiej osoby, ta pierwsza będzie o tym wiedziała. Byłam przekonana, że jakiś głos w mojej głowie szepnie mi „żegnaj kochanie”, że poczuję ból przeszywającej go kuli. Tymczasem rankiem, gdy nadeszła wiadomość o jego śmierci, nie czułam nic. Zupełnie nic. Sekunda, w której zginął, była tylko jedną z wielu tamtego dnia. Nie różniła się niczym od innych. Nie było żadnego znaku na ziemi lub niebie, który przepowiedziałby mi jego śmierć. Firanka w oknie tajemniczo nie zatrzepotała, drzwi nie otworzyły się niespodziewanie same. A przede wszystkim jego śmierć nie zatrzymała trwającej wojny.

Chociaż dokładnie znałam anatomię człowieka, wielokrotnie byłam świadkiem czyjejś śmierci i osobiście robiłam sekcje zwłok, wciąż łudziłam się, że w naszym ciele jest coś więcej niż tylko tkanki, narządy, płyny... Że gdzieś tam jest też dusza. Niewidzialna siła, która nas spaja. Czyni z nas ludzi. Gdy we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku do szpitala zaczęli napływać pierwsi ranni Polacy, a ja zobaczyłam na własne oczy ogrom cierpienia i koszmar wojny, nawet

wtedy nie straciłam nadziei, że czeka nas coś więcej. Wierzyłam, że żaden z tych dzielnych, młodych ludzi, nie poświęcił życia na darmo. Dopiero kilka dni temu, gdy zabili mojego Janka, a ja nie poczułam kompletnie nic, zrozumiałam, że niczego więcej już nie będzie. Koniec życia oznaczał kres wszystkiego. Nie będzie żadnego „potem”. Wszystko, co poświęciliśmy, było daremne. Jego śmierć będzie tylko jedną z wielu. Niczego nie zmieni. Zrozumiałam, że nie odnajdzie mnie jego dusza. Nie spotkamy się w żadnym lepszym świecie. Straciłam go na zawsze. Jeden strzał, a może kilka, odebrały mi cały sens życia...

Od dnia, w którym mojego męża aresztowało Gestapo, przepłakałam każdą minutę. Od dnia, gdy go zabili, nie uroniłam już ani jednej łzy. Chciałam być silna i walczyć. Przecież Sambor to nic innego jak walka. Pragnęłam, by był ze mnie dumny. Teraz musiałam walczyć z partyzantami. Udowodnić im, że jestem z nimi. Mieli prawo się mnie bać. Byłam obca i uratowałam Niemca.

Podniosłam się z kolan i wróciłam do łóżka. Przytuliłam się do Klary i powoli zasnęłam.

Następnego dnia przed południem wzięłam swoją skórzaną torbę sanitarną i ruszyłam w kierunku miasteczka. Nasz domek znajdował się na niewielkiej skarpcie nad samą rzeką Narew. Był ostatnim na drodze. Za nim rozciągał się już tylko sosnowy las. Do najbliższych sąsiadów miałyśmy dobrych kilka minut. Taka lokalizacja miała swoje plusy i minusy. Nie byłyśmy na celowniku żandarmów, ale też nie wiedziałyśmy, co tak naprawdę dzieje się w miasteczku.

Klara została w domu. Poleciałam jej, żeby pod moją nieobecność zawsze siedziała na strychu. Tymczasem ja szłam wolnym krokiem i przyglądałam się mijanym gospodarstwom. Nowogród był typowym małym miasteczkiem wschodniej Polski. Prawie wszyscy żyli tutaj z roli, szczególnie teraz. Z działających przed wojną sklepów została tylko piekarnia. Z trudem mogłam rozpoznać to miejsce. Rozwalające się domy, stodoły bez dachów i ta głucha cisza. Nie było słyhać żadnych odgłosów zwierząt. Ludzie przemierzali ulice chyłkiem, witając się jedynie zdawkowo.

Na ławce, pod jednym z domów, siedziało trzech starszych mężczyzn o siwych włosach. Skinęłam im głową i powiedziałam „pochwalony”, tak jak było tutaj w zwyczaju. W odpowiedzi nie usłyszałam żadnego słowa, za to wszyscy, jak na zawołanie, splunęli pod moje nogi. Zatem już wiedzieli. Udałam, że tego nie widzę. Szłam wyprostowana w kierunku posterunku żandarmerii.

Na podwórku kręciło się kilku Niemców. Przywitałam się z nimi po niemiecku i czekałam, aż któryś podejdzie bliżej.

– Co pani tu robi?

Usłyszałam za sobą głos komendanta. Odwróciłam się w jego stronę. Znowu nie miałam odwagi spojrzeć mu w twarz. Patrząc na jego świeżące się od jesiennego słońca buty, odpowiedziałam, że przyszedłam sprawdzić stan pacjenta. Komendant przesunął się na bok, dając mi znak, że mogę wejść do budynku. Sam szedł tuż za mną. W środku krzątała się ta młoda Polka. Rzuciła mi przelotne spojrzenie i wróciła do swoich zajęć.

– Gdzie jest pacjent? – dopytałam.

– Prosto i na lewo.

Usłyszałam za sobą jego zimny jak lód głos. Poczułam na plecach ciarki. W niewielkim pokoju, na połowym łóżku, leżał młody Niemiec. Był przytomny. Na widok komendanta próbował się podnieść.

– Nie ruszaj się – odparowałam, zanim zdążył to zrobić. – Lepiej, żebyś przez kilka dni leżał. Jutro możesz spróbować zrobić kilka kroków, ale tylko przy szcudłach. Rozumiesz?

– Tak – odpowiedział.

– Zmienię ci teraz opatrunek, dobrze Max? – mówiąc to, zaczęłam rozpinać guziki swojego płaszcza.

Chłopak popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie gafę, jaką popełniłam. To, na co mogłam pozwolić sobie wczoraj, dziś było surowo zabronione. Odruchowo spojrzałam na twarz komendanta. Stał w drzwiach pokoju, cały napięty jak strzała. Widziałam, jak zaciska szczękę. Poza tym drobnym szczegółem jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Serce waliło mi jak oszalałe.

– *Herr Werner*, czy mogę zobaczyć pana nogę? – poprawiłam się.

Chłopak nic nie odpowiedział, odsunął tylko koc ze swoich nóg i czekał na dalsze instrukcje. Rana goiła się dobrze. Szwy były na swoich miejscach. Blizna będzie zapewne ledwo widoczna.

Komendant bacznie mnie obserwował, a ja zastanawiałam się, jakim cudem w takich warunkach wyciągnę od nich ampułkę, pozostawioną wczoraj przez niemieckiego lekarza. Przyszedł mi do głowy jeden pomysł. Poczułam, że od razu zaczęła mi drżeć powieka.

– Panie komendancie, muszę zrobić zastrzyk pacjentowi. Czy mogę prosić o lek, który zostawił *Herr Doktor* Kaufman? – zapytałam, stojąc do niego bokiem i odwieszając płaszcz na oparciu krzesła.

– Ewa! – krzyknął komendant, a po chwili w pokoju pojawiła się młoda Polka.

„Ewa” – powtórzyłam sobie w duchu. W tym samym momencie zerknęłam ukradkiem na leżącego chłopaka, a on na mnie. Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia.

– Czy możesz przynieść mi szklaną fiolkę, którą zostawił tu wczoraj tamten lekarz? – zapytałam. – I jeszcze spirytus do odkażenia rany.

– Będę musiała wyparzyć strzykawkę. To trochę zajmie – powiedziałam już po niemiecku, patrząc na komendanta.

Miałam nadzieję, że zostawi nas samych i pójdzie zająć się swoimi sprawami, a ja w tym czasie zastanowię się, co wstrzyknę żandarmowi zamiast drogiego medykamentu.

– Jak pani skończy, zapraszam na górę do mojego gabinetu – powiedział, po czym wycofał się w głąb korytarza.

Po chwili słyszałam, jak jego ciężkie buty pokonują drewniane schody prowadzące na piętro.

Młoda dziewczyna przyniosła ampułkę i wręczyła mi ją bez słowa. Nawet nie spojrzała na leżącego na łóżku chłopaka. On za to wpatrywał się w nią bez przerwy. Korzystając z okazji, schowałam medykament do torby i przelałam odrobinę spirytusu do pustego słoiczka, który ze sobą zabrałam. Potem, z pustą strzykawką, ruszyłam w stronę chłopaka. Odkaziłam skórę nogi, a następnie, zanim zdążył się zorientować, jednym ruchem wbiłam igłę w jego udo, po czym szybko ją wyciągnęłam.

– Już po wszystkim – powiedziałam. – Przyjdę za kilka dni zdjąć szwy. Do tego czasu postaraj się jak najmniej chodzić, dobrze?

– Dobrze – odpowiedział, poprawiając koc. – Dziękuję pani. Uratowała mi pani życie.

– Nie ma za co. Może ty również kiedyś je komuś uratujesz. To bardzo miłe uczucie – wyjaśniłam chłodno.

Chłopak wyraźnie się zmieszał i nic nie odpowiedział. Kiwnęłam do niego głową na pożegnanie i ruszyłam w stronę schodów. Będąc na górze, delikatnie zapukałam do drewnianych drzwi. Po chwili usłyszałam rozkaz, by wejść. Gabinet komendanta zajmował praktycznie całe piętro. Po lewej stronie znajdował się stół z krzesłami i fotel. Pośrodku – olbrzymie biurko i krzesło naprzeciwko niego. Z prawej strony, pod ścianą, stało łóżko i komoda. Było ciemno, ale przytulnie. W oknach wisiały ciężkie, zielone zasłony, które skutecznie tamowały promienie słońca próbujące przedostać się do wewnątrz. Czułam znajdujący się w powietrzu zapach tytoniu. Znad popielniczki ustawionej na biurku wciąż unosiła się wąska strużka dymu.

– Proszę siadać – powiedział, nie patrząc na mnie.

– Dziękuję, postoję.

Komendant spojrzał na mnie i, po dłuższej chwili, przemówił.

– Wczoraj byłem dla pani zbyt wyrozumiały i chyba pani zapomniała, gdzie jest pani miejsce! Więcej szacunku, pani doktor! – powiedział, sięgając do kabury zawieszanej na pasie mundurowym.

Nim zdążył wyciągnąć broń, siedziałam na krześle naprzeciwko jego biurka. Komendant wyjął magazynek z nabojami, przyjrzał mu się dokładnie i wsadził go z powrotem. Broń odłożył na biurko z lufą skierowaną w moją stronę.

– Bardzo nie lubię się powtarzać. Rozumie pani? A najbardziej nie znoszę, gdy ktoś podważa moje zdanie.

– Przepraszam, panie komendancie, to się nie powtórzy.

– Mam nadzieję. Szkoda by było pozbyć się jedynej lekarki w okolicy.

Przełknęłam ślinę.

– Dokumenty.

Otworzyłam torbę i wyciągnęłam dokumenty leżące obok ukradzonej fiolki z medykamentem. Na jej widok serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Podałam komendantowi kenkartę i z powrotem usiadłam na krześle.

– Sambor... – powiedział jakby do siebie, a po chwili popatrzył na mnie zdziwiony. – Żona?

– Wdowa.

Pierwszy raz wymówiłam to paskudne słowo na głos. Odruchowo poprawiłam obrączkę na palcu.

– Za co rozstrzelano męża?

– Nie wiem – skłamałam, a powieka zaczęła mi drżeć.

Komendant wziął pistolet do ręki, wstał ze swojego krzesła, powoli obszedł biurko i przysiadł na jego blacie naprzeciwko mnie. Lewą nogę oparł o krawędź mojego krzesła. Wsparł się ręką o kolano i przyłożył mi pistolet do uda.

– Skłam jeszcze raz, a przestrelę ci nogę. Jej akurat nie potrzebujesz, żeby leczyć moich ludzi. Rozumiesz?

Zadrżałam z przerażenia. Opuściłam nisko głowę i patrzyłam w drewnianą podłogę.

– Za co rozstrzelano twojego męża? – powtórzył dobitnie. – I patrz mi prosto w oczy, jak mówisz. Od razu poznam, czy kłamiesz. Powieka zaczyna ci wtedy drżeć.

Popatrzyłam na niego ze zdziwieniem. Jak udało mu się rozgryźć mnie tak szybko? Musiałam na niego uważać. Był bardziej przebiegły, niż mi się początkowo wydawało.

– Mój mąż... – zaczęłam niepewnie. – Janek... on był dobrym człowiekiem. Leczył ludzi. Wszystkich bez wyjątku. Niemców i Polaków – tłumaczyłam, patrząc prosto w jego zimne, jasnobłękitne oczy. – Kiedyś zgłosił się do niego polski dowódca z prośbą o pomoc rannym w ostatniej akcji żołnierzom podziemia. On im pomógł. Potem znowu i znowu. Aż w końcu wpadł.

– Pani również leczyła polskich bandytów? – zapytał oskarżycielsko.

– Nie – zaprzeczyłam stanowczo. – Mąż mi zabraniał. Uważał, że to zbyt niebezpiecznie. Zawsze robił to sam. Nie wiedziałam ani gdzie, ani kogo leczy. Nic mi nie tłumaczył. Nic więcej nie wiem. Powtarzał, że to dla mojego dobra – mówiłam, nie odrywając od niego wzroku. – Pracowałam normalnie w szpitalu. Leczyłam przywożonych Niemców i Polaków, ale nigdy nikogo z podziemia.

– To dlaczego uciekła pani z Warszawy? – dopytał, nie odrywając lufy pistoletu od mojego uda.

– Bałam się, że wszyscy pomyślą tak, jak pan komendant. Że skoro byłam lekarzem i żoną Sambora, to we wszystkim brałam udział. Bałam się, że przyjdą i zabiją mnie i córkę.

Zamiast powieki zaczęły mi drżeć usta. Za to, co mu teraz powiedziałam, mógł mnie zabić na miejscu lub wydać w ręce Gestapo. Przecież przyznałam się, że wiedziałam o konspiracyjnej działalności męża.

– Nie kłamię – dodałam, patrząc mu prosto w oczy.

Komendant wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. Czułam, jak jego wzrok przenika mnie na wskroś. Zaczęłam jeszcze bardziej drżeć.

– Widzę – odrzekł chłodno, po czym zdjął nogę z mojego krzesła i wrócił za biurko. Rozsiadł się wygodnie na swoim krześle i w milczeniu patrzył na mnie długi czas.

– To tyle. Do widzenia, pani Sambor.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie. Komendant wziął do ręki jakieś dokumenty i nie zwracał już na mnie uwagi. Powoli podniosłam się z krzesła i ruszyłam w stronę wyjścia.

Z duszą na ramieniu zesłam po drewnianych schodach.

W kuchni oczekiwała mnie tamta dziewczyna.

– To dla pani – powiedziała, wskazując na stojący pod jej nogami koszyk z jedzeniem.

– Dla mnie? – upewniłam się. – Nie rozumiem.

– Komendant kazał dla pani przygotować. To za wczoraj.

Dziewczyna, nie mówiąc nic więcej, odwróciła się na pięcie i żwawym krokiem pomaszerowała w głąb kuchni. Byłam skonsternowana. Dlaczego to zrobił?

Z trudem dźwignęłam wypchany po brzegi wiklinowy koszyk. Całą drogę czułam wydobywający się z niego zapach świeżej kiełbasy. Gdy szłam przez podwórze, mój żołądek coraz głośniejsze dopominał się jedzenia. Weszłam po schodkach do domu i postawiłam koszyk na stole.

– Klara! – zawołałam co sił.

Po chwili usłyszałam delikatne kroki nad głową. Kłapa w suficie otworzyła się, a ze środka wyskoczyła moja córka.

– Poczekaj, pomogę ci – powiedziałam i uskokczyłam do niej, łapiąc ją za nogi.

– Nie trzeba, mamuś, dam radę. – Zaśmiała się i z impetem zeskoczyła.

– Zobacz, co mamy. – Wskazałam na pozostawiony na stole koszyk. – I jak pachnie – dodałam.

– O Boże! Tyle jedzenia?! Od kogo to?

Klara wpatrywała się we mnie, czekając na odpowiedź. Wiedziałam, że jeżeli powiem jej prawdę, nie zje nawet kawałka.

– Kupiłam od ludzi z miasteczka. Mają tu pod dostatkiem jedzenia, nie to co u nas w Warszawie. Jedz do woli.

– A ty? – zapytała podejrzliwie.

– Ja już jadłam – skłamałam. Poszłam do pokoju, żeby uciec od tego zapachu. Wypakowałam skradziony lek z torby i ukryłam go pod luźną deską w podłodze. W tym samym miejscu poprzedniego wieczoru ukryłyśmy dolary, które obie przez całą drogę przemycałyśmy w bieliźnie. Wyjęłam dwa banknoty i schowałam w stanik.

– Klaro, pójdę jeszcze na chwilę do wioski. Może uda mi się kupić kilka kur. Pomyśl, jak cudownie byłoby mieć codziennie świeże jajka.

– Mamo, przed chwilą co wyszłam z tego strychu.

– Klaro, to zajmie mi góra dwadzieścia minut. A jutro rano zrobię nam obu jajecznicę ze szczypiorkiem, co ty na to?

Córka uśmiechnęła się na tę myśl. Ja również.

Idąc przez Nowogród, ponownie czułam na sobie nieprzychylne spojrzenia miejscowych. Może mnie nie poznali? Może nie wiedzą, że jestem od Samborów? Postanowiłam udać się prosto do pani Michałowej, która zawsze opiekowała się domem podczas naszej nieobecności. Starsza kobieta mieszkała kilka gospodarstw dalej, za posterunkiem, więc, aby tam dotrzeć, ponownie musiałam przejść obok Niemców. Kątem oka spozrzałam w okna na piętrze. Widać w nich było jedynie ciężkie, zielone zasłony. Odetchnęłam z ulgą. Komendant był jak tykająca bomba. Mimo że tłumiał emocje i nie dawał po sobie poznać, co

mu chodzi po głowie, to widać było, że tylko czekał na odpowiedni moment, żeby wyrzucić je z siebie ze zdwojoną siłą, niczym wulkan. Nie chciałam ani być przyczyną wybuchu, ani nawet być w jego zasięgu. Czułam, że jego niszczycielska siła mogłaby zrównać nas wszystkich z ziemią.

– Pochwalony – powiedziałam, wchodząc na podwórze.

Dwójka maluchów na mój widok wbiegła do domu. Po chwili na schodkach pojawiła się ich babka, stara Michałowa.

– Pochwalony – powtórzyłam.

– Pochwalony – odpowiedziała surowo.

– Poznaje mnie pani? – upewniłam się.

– Oczywiście. Dlaczego bym miała pani nie poznać. Doktorowa.

Kobieta okryła się szczelnie kolorową chustą. Minę miała zaciętą. Widać było, że nie jest skora do rozmowy. Było to dziwne, zważywszy, że zawsze była wobec mnie życzliwa i ciepła.

– Przyjechałam z córką. Zostaniemy tu na jakiś czas – zaczęłam się tłumaczyć.

– Niemców przyjechała pani leczyć? – zapytała pogardliwie.

– Takie czasy – odpowiedziałam wymijająco. – Przyszłam zapytać, czy nie sprzeda mi pani kur?

– Niestety nie mam nic na sprzedaż. Takie czasy.

Zacisnęłam mocniej zęby. A więc i ona była przeciwko mnie.

– Wystarczą nawet dwie. Dobrze zapłacę. Zielonymi – ostatnie słowo dodałam szeptem.

– Przykro mi – odpowiedziała i zawróciła w stronę chaty.

W drzwiach pojawiła się jej córka, Stefcia, która była w zaawansowanej ciąży. Uśmiechnęłam się do niej. Dziewczyna minęła matkę i skierowała się w moim kierunku. Michałowa złapała ją za rękę, ale ona zręcznie się oswobodziła.

– Dzień dobry – powiedziała, gdy stanęła przede mną. – Dawno pani u nas nie było.

– Jak widać za długo.

Głęboko westchnęłam i odruchowo dotknęłam jej brzucha.

– Już nisko. Niedługo powinien zacząć się poród.

– Tak. – Dziewczyna pogładziła się po brzuchu. – Poprzednie dwa, nim zdążyły się na dobre zacząć, to już było słyszeć kwilenie w izbie. Mama się śmieje, że jestem jak te kury noski. Dzieci same ze mnie wyskakują.

– To dobrze. W razie czego proszę mnie wołać.

Dziewczyna skinęła głową.

– Do widzenia – powiedziałam i zrobiłam pierwszy krok w stronę furtki.

– Ludzie mówią, że jest pani teraz lekarką nazistów, to prawda?

Odwróciłam się do niej.

– A jak odbiorę twój poród w drewnianej chacie, to będę wiejską akuszerką?

– Tutejsi ludzie dużo przeszli. Nie wie pani, co tu się działo we wrześniu trzydziestego dziewiątego. To była masakra, co z nami Niemcy zrobili. Tylu naszych z 33. Pułku im. Strzelców Kurpiowskich zginęło, zacięcie broniąc naszego miasta. Front ciągnął się wzdłuż rzeki, ponad pięćdziesiąt kilometrów. Bombardowania trwały kilka dni. Widziała pani, co zostało z naszych bunkrów? – Dziewczyna westchnęła. – Proszę im dać trochę czasu. Przekonają się do pani, jak zobaczą, że pani im żadnej krzywdy nie robi.

Nic nie odpowiedziałam. Odwróciłam się i po chwili byłam już z powrotem na drodze. Zaszłam jeszcze do trzech innych domów, ale w żadnym nie chciano sprzedać mi inwentarza. Z pustymi rękami wróciłam do siebie. Klarze powiedziałam, że mam obiecane kury na kolejny tydzień. Na szczęście ona była jeszcze młoda i ciągle miała w sobie tę dziecięcą naiwność, z którą łatwiej było iść przez ten mroczny świat.

Leżąc w łóżku, nie mogłam zmrużyć oka. Zastanawiałam się, czy tamten partyzant przyjdzie, czy jednak będzie się bał tak zaryzykować. Nie znał mnie. Nikt z tutejszych tak naprawdę nic o mnie nie wiedział. Może myślał, że powiedziałam Niemcom o ich nocnej wizycie w moim domu i że tym razem będzie już czekała na nich zasadzka? Na wszelki wypadek zawnocowałam strzykawkę. Leżała już na stole, napełniona medykamentem i przygotowana do użycia. Klara spała w najlepsze. Obracałam się z boku na bok, aż w końcu wstałam

i podeszłam do okna w kuchni. Wyrzałam na zewnątrz. Nie było widać żywego ducha. Może jednak nie przyjdzie? Tej nocy księżyc co rusz chował się za chmurami. Zastanawiałam się, jak oni wytrzymują psychicznie w takim lesie. Sami. W ciągłym strachu. Wtedy zobaczyłam młodego chłopaka, który skradał się wzdłuż ogrodzenia z automatem w ręku, w końcu dobiegł do studni i położył się za nią, kierując lufę broni w stronę drogi. W tym samym momencie usłyszałam skrzypnięcie drzwi wejściowych, a po chwili w kuchni stał mężczyzna z bronią w dłoni. W głowie miałam pustkę. Nie wiedziałam, co powinnam teraz zrobić lub powiedzieć.

– To pan? – zapytałam niepewnie, bo kompletnie nic nie widziałam poza konturem jego ciała.

– Możesz mówić mi Zając. Porucznik Zając – odpowiedział.

Po głosie poznałam, że to rzeczywiście mój wczorajszy gość.

– Alicja, tak?

– Nazywam się Sambor – poprawiłam go oschle. – Ale możesz mówić mi pani doktor. – Nie zamierzałam spoufalać się z człowiekiem, który zaledwie ubiegłej nocy przykładał mi nóż do szyi. – Usiądź na krześle i podwiń rękaw.

Podeszłam do stołu, gdzie wyczułam pod ręką strzykawkę.

– Tutaj nic nie zobaczę. Możesz usiąść przy oknie?

Mężczyzna wziął taboret do ręki i postawił go pod kuchennym oknem. Odkaziłam spirytusem jego ramię i zrobiłam zastrzyk.

– Gotowe – powiedziałam, prostując się.

Mężczyzna chciał coś powiedzieć, jednak zamiast tego stłumił ręką kaszel.

– Kaszle pan? Od dawna?

– To nic takiego, po prostu zaschło mi w gardle.

– Lepiej to sprawdzić. Proszę rozpiąć koszulę.

Nie czekając na jego reakcję, podeszłam do skórzanej torby ustawionej w korytarzu i zaczęłam po omacku ją przeszukiwać. Gdy wyczułam pod ręką fonendoskop, ostrożnie wyciągnęłam go spod innych narzędzi. Mężczyzna siedział dalej w tym samym miejscu z szeroko rozpiętą koszulą. Przyłożyłam drewnianą końcówkę do jego klatki piersiowej.

– Proszę powoli nabierać i wypuszczać powietrze – powiedziałam, a mężczyzna bez słowa wykonywał moje polecenia. – Jeszcze raz, tylko mocniej.

– Czysto – dodałam po chwili.

– Mówiłem – stwierdził, zadowolony zapinając guziki.

– Nie za zimno już na samą koszulę?

Wrześniowe noce były wyjątkowo chłodne w tym roku. Ubranie, które miał na sobie, było zdecydowanie nieodpowiednie.

– Trzeba się hartować przed zimą – mówiąc to, uśmiechnął się do mnie.

Popatrzyłam na niego, jednak nie odwzajemniłam uśmiechu. Wiedziałam, że tylko żartował i nie mogłam wypuścić go w takim stanie.

– Proszę tu zaczekać.

Szybkim krokiem ruszyłam w stronę sypialni. Otworzyłam szafę i zatrzymałam wzrok na szarym swetrze. To był ulubiony sweter Janka. Śmiałam się, że prędzej zjedzą go mole, niż on kupi sobie drugi. Był jedyną jego rzeczą, którą zabrałam, uciekając z Warszawy. Delikatnie wzięłam go do ręki i przysunęłam do twarzy. Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki wdech. Nadal nim pachniał. Wróciłam do kuchni. Zajac stał już w korytarzu, gotowy do wyjścia.

– Proszę, możesz go wziąć. – Wyciągnęłam do niego sweter.

– Dziękuję, nie trzeba było się kłopotać.

– To żaden kłopot, nam się już nie przyda – powiedziałam, zaciskając dłoń na swetrze jeszcze przez moment. W końcu wypuściłam go z rąk. Czułam, jak zaczynają szklić mi się oczy. Odwróciłam się i podeszłam do stołu. Wzięłam do ręki wiklinowy koszyk.

– Mam jeszcze coś. Prezent od samego *Herr Kommandanta* dla leśnych.

Gdy z powrotem spojrzałam na stojącego w otwartych drzwiach mężczyznę, ubranego już w szary sweter mojego męża, przez ułamek sekundy zdawało mi się, że to Janek stoi w korytarzu. Zamarłam. Poczułam, jak moje serce przeszywa ostry ból. Chwilę zajęło mi, zanim ruszyłam się z miejsca. Miałam nadzieję, że Zajac tego nie zauważył.

– Proszę. – Wręczyłam mu koszyk. – Jeżeli to nie kłopot, to koszyk do zwrotu. Możliwe, że będę musiała oddać go Niemcom.

– Jest pani pewna?

Kiwnęłam głową. Po chwili byłam już sama. Czterech mężczyzn praktycznie bezszelestnie wycofało się z mojego podwórka w stronę lasu. Zaczęłam czuć rosnący we mnie ból, nagle brakowało mi tchu. Widziałam przed oczami twarz męża. Oddałabym wszystko, aby tu był, aby wrócił... Tej nocy nie mogłam już zasnąć...

Nazajutrz znowu wybrałam się do miasteczka z nadzieją, że może gdzieś dostanę trochę mięsa lub jajek. Zabrałam ze sobą torbę sanitarną, która była niczym moja tarcza, na wypadek, gdybym musiała komuś udowodnić, że jestem tylko lekarzem, a nie niemieckim szpiegiem. Chodziłam od gospodarza do gospodarza, ale wszędzie zamykano przede mną drzwi. Nie mogłam dziwić się ludziom, że nie chcieli mi pomóc. Przecież ich synowie, ojcowie i bracia walczyli na wojnie, a ja w tym samym czasie otwarcie pomagałam Niemcom. W ich oczach byłam zdrajczynią. Ci ludzie nie mieli pojęcia, że każdy lekarz w Warszawie, prędzej czy później leczył też nazistów. Nie mieliśmy żadnego wyboru, musieliśmy to robić, jeżeli chcieliśmy zachować pracę, a nierzadko i życie. Część, tak jak my z Jankiem, po prostu wykorzystywała pracę i medykamenty dla podziemia. Tutaj, na prowincji, życie toczyło się inaczej. Nikt oprócz Ewy nie pracował dla Niemców, a czuć było, że Ewa nie robi tego dobrowolnie, wręcz biła od niej nienawiść do nich.

Idąc w stronę miasteczka kamienistą drogą, prowadzącą od strony opustoszałego już muzeum kurpiowskiego, które przed wojną było chlubą Nowogrodu, zobaczyłam pod nogami krople krwi. Pojawiały się w równych odstępach, tak jakby samoczynnie skapywały i układały się w jeden ciąg. Odruchowo podążyłam tym czerwonym tropem, który był ledwie widoczny między opadłymi z drzew, pierwszymi pożółkniętymi liśćmi. Ślady prowadziły w głąb podwórka i skręcały do chaty. Na zewnątrz nie było żywej duszy. Nad niewielkim, drewnianym domem, rozpościerał się olbrzymi dąb. Podeszłam do drzwi i delikatnie zapukałam. Nikt nie otwierał. Zapukałam mocniej.

– Jest tam kto? – krzyknęłam. – Jestem lekarzem. Mogę pomóc.

W końcu drzwi się nieznacznie uchyliły, a w szparze między nimi a framugą zobaczyłam wystraszoną kobiecą twarz.

– Tak? – zapytała nieśmiało.

– Widziałam krew na drodze, czy ktoś jest ranny?

Kobieta nic nie odpowiedziała. Przymknęła drzwi. Słyszałam jakieś ciche rozmowy, a po chwili drzwi ponownie się otworzyły. Wpuściła mnie do środka. Gdy tylko zrobiłam pierwszy krok, poczułam lufę karabinu na plecach.

– Ręce do góry! I niczego nie próbuj! – Usłyszałam męski głos. Popchnął mnie mocniej w stronę izby. Posłusznie zrobiłam, co kazał. W środku zobaczyłam jeszcze trzech mężczyzn i trójkę małych dzieci. Domyśliłam się, że ci ubrani w szarozielone, poniemieckie mundury z polskimi orzełkami to partyzanci, a pozostali to jedynie domownicy.

– Ktoś ty? – zapytał jeden z nich, podchodząc bliżej mnie.

– Alicja Sambor – odpowiedziałam.

– To Niemka – powiedział gospodarz. – Na własne uszy słyszałem, jak gadała po ichniemu, gdy wychodziła z posterunku!

Zobaczyłam, jak partyzant sięga po swoją broń.

– Jestem Polką! Znam niemiecki, ale to chyba jeszcze nie zbrodnia? Przyjechałam kilka dni temu z Warszawy. Jestem synową państwa Samborów spod lasu.

– Po co tu przyszłaś? – dopytał, nadal trzymając rękę na kaburze.

– Zobaczyłam krew na drodze, pomyślałam, że ktoś może potrzebować mojej pomocy. Tylko tyle. Nie wiedziałam, że tu jesteście! Mówię prawdę!

– O Boże! – krzyknęła przerażona kobieta. – Niemcy przyjechali! Ona ich przyprowadziła!

– To kłamstwo! Oni nie wiedzą, że tu jestem! Nikomu nic nie mówiłam!

Partyzant szybkim ruchem złapał mnie i przyciągnął do siebie. Przystawił mi lufę pistoletu do głowy.

– Przyjąć pozycję! – krzyknął do reszty. – Będziemy negocjować! Swojej przecież nie zabiją!

– Nie jestem Niemką! Nic dla nich nie znacę! Zabiją mnie i was! Nawet się nie zawahają! Musicie mi uwierzyć!

Partyzant trzymał mnie z całych sił. Rozległ się płacz dzieci. Kobieta przerażona okryła je swoim ciałem.

– Zabiją nas! O Boże! Zabiją wszystkich! – krzyczała, zanosząc się od płaczu.

W głowie miałam tysiące myśli. Próbowałam znaleźć jakieś rozwiązanie. Kobieta miała rację. Za pomoc partyzantom była tylko jedna kara... Śmierć dla każdego, kto był w tym domu.

– Posłuchaj mnie – zwróciłam się do niego. – Puść mnie, wyjdę do nich i spróbuję nas uratować. Albo mi zaufasz, albo wszyscy zginiemy! Na litość boską, przecież jest was za mało do odparcia ataku!

– Jak?

– Daj mi pomyśleć... – odpowiedziałam.

Pośpiesznie wybiegłam z domu, tak jakby mnie ktoś gonił. Miałam przerażenie w oczach. Tego jednego nie musiałam udawać. Do ust miałam przyłożony biały kawałek szmaty. Ciężko oddychałam przez gruby materiał. Po czole spływała mi woda, która miała wyglądać na pot. Ręce mi drżały. Widziałam, jak niemieccy żandarmi zbliżają się do mnie.

– Stójcie! – krzyknęłam do nich z całych sił. – Nie podchodźcie bliżej!

Nie zważali jednak na moje słowa.

– To tyfus! – krzyknęłam znowu.

Momentalnie wszyscy jakby skamienieli. Wiedziałam, że Niemcy boją się tylko dwóch rzeczy – swojego *Führera* i tyfusu. Zobaczyłam, jak komendant robi kilka kroków do przodu. Musiałam grać dalej. Rzuciłam torbę na ziemię i wyjęłam z niej butelkę spirytusu, którą właśnie zabrałam od gospodarza. W popłochu zaczęłam wylewać jej zawartość na swoje dłonie, ręce i całą siebie. Tylko tyle przyszło mi do głowy w tak krótkim czasie.

– Cała rodzina! Wszyscy leżą! I te malutkie dzieci z tyfusem! – mówiłam z udawanym żalem w głosie. – Nikt nie może wejść do środka! Przeniesiecie tę zarazę dalej! Taka straszna śmierć! Tak mi żal tych dzieci... – Otarłam rękawem mokre czoło, zasłaniając tym samym drżenie powieki.

Patrzyłam, jak Niemcy spoglądają na siebie z wyraźnym lękiem. Nikt nie odważył się już podejść bliżej. Żaden nie był już taki pewny. Komendant popatrzył jeszcze przez chwilę na mnie i zarządził szybki odwrót. Ciągle stałam ze szmatą przyłożoną do ust. Pod wilgotnym już materiałem skrywałam uśmiech zwycięstwa. Wiedziałam tylko, że za

jakiś czas przyjdzie mi się wytłumaczyć przed komendantem z błędnej diagnozy.

Przez kilka następnych dni obie z Klarą skupiłyśmy się wyłącznie na poprawie stanu naszego nowego domu. W szopie znalazłyśmy trochę narzędzi, więc postanowiłyśmy połatać dziury w dachu. Niektóre czerwone dachówki zostały zerwane i rozrzucone po podwórku. Wystarczyło trochę gwoździ i młotek, by znowu były na swoim miejscu. Szczęśliwie nie należałam do osób cierpiących na lęk wysokości. Klara z kolei zabrała się za malowanie i naprawę okiennic, które z biegiem lat obluzowały się na tyle, że nie można było ich domknąć. W szopie wciąż stała zamknięta jeszcze puszka z niebieską farbą. Zamiast pędzla malarskiego, którego nie posiadałyśmy, użyłyśmy starego pędzelka do golenia po dziadku Janka. Obu nam potrzebny był właśnie taki wysilek, aby chociaż na chwilę zapomnieć o przygniatającej nas żalobie.

– Tata byłby z nas dumny – powiedziałam, siadając na trawie przed domem.

– Myślisz, że jest tu z nami?

– Zawsze będzie obok nas. Przecież wiesz, jaki on jest nadopiekuńczy. – Zaśmiałam się, chociaż w sercu czułam tylko ból.

– Był – poprawiła mnie córka.

– Był... – powtórzyłam cicho i przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w pustą ławkę przed domem, na której zawsze siadaliśmy o wschodzie słońca z kubkiem ciepłego mleka. Spojrzałam na Klarę, miała łzy w oczach. Wiedziałam, że gdy znowu zacznie płakać, nie będę w stanie ukoić jej żalu. – Dobra, została mi ostatnia dachówka. Przytrzymasz mi drabinę? – zaproponowałam, żeby odwrócić jej uwagę.

– Dobrze, mamuś.

Podniosłam się i otrzepałam spodnie. Część naszych ubrań, których nie mieliśmy już gdzie trzymać w warszawskim mieszkaniu, nadal zalegała na strychu wiejskiego domku. Męskie spodnie i koszula nadawały się idealnie do pracy na dachu. Koszulę zawiązałam na supeł, bo sięgała mi aż do połowy uda. Spodnie ścisnęłam paskiem. Włosy podwiązałam chustą zwiniętą jak opaska.

Ostrożnie wspięłam się z powrotem na dach. Gdy wbijałam kolejny gwóźdź, usłyszałam znajomy warkot ciężarówki. Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam nadjeżdżający z oddali, ciemnoszary samochód. Dalej, jak gdyby nigdy nic, stukałam ciężkim młotkiem w miedziany łupek gwoźdź. Jednocześnie nasłuchiwałam, w którym kierunku zmierzali Niemcy. Gdy zrobiłam ostatni zamach, silnik zgasł. Już wiedziałam, że przyjechali do nas. Zaczęłam powoli wycofywać się z drabiny. Zanim znalazłam się na dole, na podwórku roiło się już od żandarmów, którzy przeczesywali każdy zakamarek. Wśród nich był sam komendant; oparty o studnię, odpałał właśnie papierosa. Przyglądałam mu się z daleka. Mimo znienawidzonego szarzielonego munduru, nie mogłam nie zauważyć, że był wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Wysokim i dobrze zbudowanym. Czarny kołnierzyk ściśle przylegał do jego szyi. Szerokie ramiona nad wyraz dobrze prezentowały się w dopasowanej marynarce. Komendant wyglądał zbyt dobrze jak na wojskowego, zbyt uwodzicielsko. Mundur, który miał na sobie, sprawiał wrażenie mało skutecznego w walce z wrogiem. Już w Warszawie dostrzegłam niebywałą dbałość o wygląd wśród niemieckich oficerów. Zakładałam, że hitlerowska ideologia wymagała, aby każdy Niemiec, na każdym kroku i w każdej dziedzinie życia udowadniał swoje nadczłowieczeństwo. Nawet w kwestii samego ubioru. Nacisk na doskonałą prezencję, podobnie jak każda inna niemiecka propaganda, był zapewne częścią wielkiego planu zmiany tożsamości Niemiec. Skoro mieli być rasą panów, musieli na takich wyglądać.

Komendant zauważył, że mu się przyglądam. Rzucił zapałkę na ziemię i ręką przywołał mnie do siebie. Z miejsca ruszyłam w jego stronę. Nim zdążyłam zrobić dwa kroki, stojący obok niego żandarmi wycelowali we mnie lufy karabinów. Nie miałam pojęcia, o co chodzi. Miałam iść, czy stać? Komendy były sprzeczne. Popatrzyłam na niego z niezrozumieniem.

– Napaść na niemieckiego funkcjonariusza karana jest śmiercią, pani doktor – powiedział donośnym głosem, po czym zmierzył mnie wzrokiem z góry do dołu, uśmiechnął się szeroko i ponownie powoli zaciągnął się papierosem.

Dopiero w tym momencie zorientowałam się, że nadal trzymam w ręku młotek. Odruchowo puściłam go i gdy upadł na ziemię, ruszyłam w jego stronę.

– Nie miałam takiego zamiaru, *Herr Kommandant*. Brak mi odwagi – dodałam po chwili.

Komendant zmrużył oczy i zacisnął mocniej usta. Wyglądał jeszcze bardziej złowrogo niż zwykle. Nie wiedziałam, dlaczego tak powiedziałam. Musiałam szybko załagodzić sytuację.

– W czym mogę pomóc, panie komendancie? Mam nadzieję, że wszyscy zdrowi.

Komendant milczał. Zaciągał się głęboko papierosem i powoli wypuszczał z ust biały dym. Staliśmy wszyscy w milczeniu. Czułam na sobie jego przenikający wzrok. Znowu lustrował mnie z góry na dół, jakby pierwszy raz w życiu zobaczył kobietę w męskich ubraniach.

– Jak tam epidemia tyfusu? Podobno już opanowana – powiedział z wyczuwalną nutą ironii.

Przełknęłam ślinę.

– Na szczęście to była zwykła grypa, panie komendancie. Cóż, nikt nie jest nieomylny, ale lepiej dmuchać na zimne.

– Czysto, *Herr Kommandant*! – krzyknął chłopak wychodzący z naszego domu.

Po tych słowach komendant rzucił niedopałek na ziemię i minął mnie bez słowa. Za nim ruszyli pozostali. Chwilę później ciężarówka jechała z powrotem w stronę posterunku.

– Mamo, wszystko dobrze?

Z odrętwienia wyrwały mnie słowa córki.

– Tak, Klarcu. Jak najbardziej. To co? Chyba bierzemy się teraz za płot? – Zmusiłam się do delikatnego uśmiechu.

– Mamy aż tyle gwoździ?

– Coś tam jeszcze widziałam w szopie. Idź, proszę, poszukaj, a ja na chwilę usiądę.

Ponownie przysiadłam na trawie i schowałam głowę między kolana. Czułam, że serce chce wyskoczyć z mojej piersi. Zaczęłam rytmicznie oddychać. To powinno mnie zaraz uspokoić.

Tej nocy obudziło mnie walenie do drzwi. Otworzyłam oczy i pomyślałam, że ci partyzanci chyba kompletnie oszaleli. Klara również zerwała się na równe nogi. Podbiegłam szybko do wejścia. Okazało się, że to tylko stara Michałowa.

– Co się stało?! Poród?

– Tak – potwierdziła moje przypuszczenia. – Coś jest inaczej niż zwykle. Pomoże pani?

– Już, tylko wezmę torbę.

Naciągnęłam sweter na koszulę nocną. Włożyłam pantofle i obie wyskoczyłyśmy jak oparzone z domu. Biegłyśmy co sił w nogach, z duszą na ramieniu, bo oficjalnie nie wolno nam było przebywać na zewnątrz po godzinie dwudziestej pierwszej. Najgorsze było to, że musiałyśmy przebiec obok posterunku. Żałowałam wtedy, że założyłam buty, które bardzo hałasowały na kamienistej drodze. Ściągnęłam je i obie biegłyśmy dalej boso.

Wpadłyśmy zdyszane do chaty. Zięc Michałowej wraz z dziećmi siedział przerażony przy łóżku rodzącej. Od razu wygoniłam ich do drugiego pokoju. Zostałyśmy tylko we trzy.

– Jak się czujesz? – zapytałam umordowaną dziewczynę.

– Nie mogę urodzić. Próbuję, ale... – Nim dokończyła, złapał ją kolejny skurcz, a z jej ust wydobył się głośny jęk.

– Teraz cię zbadam. Michałowa weźmie tę lampę naftową bliżej mnie.

Puls dziecka był wyraźnie wyczuwalny, więc miałyśmy jeszcze czas. Problem tkwił w jego ułożeniu. Palcami wyczuwałam pośladki.

– Poród pośladkowy – powiedziałam. – Żeby to było pierwsze dziecko, to może bym się martwiła, ale przy trzecim powinno nam się udać bez większych problemów.

Wyciągnęłam z torby skalpel.

– Michałowo, macie spirytus?

Kobieta bez słowa pobiegła do szafki i wyciągnęła szklaną butelkę pełną przezroczystego płynu. Odkaziłam nim ręce i ostrze.

– Przy następnym skurczu będę musiała cię naciąć. To ułatwi wyjście dziecku. Potem pozszywam.

Kwadrans później w izbie rozległ się niemowlęcy płacz. Wychodząc, poprosiłam Michałową o pozostały spirytus. Pomyślałam, że w takiej

sytuacji mi nie odmówi. Włożyłam butelkę do torby i po cichu opuściłam ich dom.

Na drodze było pusto i głucho. Wieś spała. Nigdzie nie paliło się żadne światło. Ponownie wzięłam pantofle do rąk i szybkim krokiem ruszyłam w stronę domu. Gdy zbliżyłam się do niemieckiego posterunku, przeszedł mnie dreszcz. Taki sam, jaki czułam na widok zimnych oczu komendanta. Kątem oka spojrzałam w jego okna. Zdawało mi się, że za szybą zobaczyłam żarzącego się papierosa. Czułam, jak podskoczyło mi ciśnienie. Dopiero po dłuższej chwili odważyłam się ponownie spojrzeć w tamtą stronę. Wyteżyłam wzrok, jednak w oknie nikogo nie było. Pomyślałam, że umysł ze strachu płata mi figle i sprawia, że zaczynam wszędzie go widzieć. Ciekawa byłam, jak zdiagnozowałby to psychiatra. Niestety, ostatni, którego znałam, został zastrzelony w czasie łapanki. Pamiętałam dobrze tamten dzień. Wyszliśmy ze szpitala i razem z Pawłem podążaliśmy w kierunku przystanku tramwajowego. Nagle nadjechały dwie wielkie ciężarówki, a ze środka wyskoczyli naziści. Od razu wiedzieliśmy, co się dzieje. Takie sceny były na porządku dziennym. Próbowaliśmy z Pawłem schować się w jednej z kamienic, ale dorwali nas na klatce schodowej. Staliśmy na chodniku z rękami uniesionymi do góry, w jednym rzędzie, czekając, aż pościągają ludzi z całej ulicy. To miał być odwet za zabicie jakiegoś ważnego oficera. Dowodzący akcją Niemiec przechadzał się wzdłuż nas, dokładnie przyglądając się każdemu. Gdy minął mnie, kichnął, a ja, automatycznie, powiedziałam *gesundheit*. Niemiec zrobił krok w tył. Dokładnie mnie zlustrował i kazał mi wyjść z szeregu. Nie wiedziałam, dlaczego to zrobił, ani co siedziało w jego głowie. Spojrzałam wtedy na Pawła bezradnym wzrokiem. Przerazonymi oczyma błagałam go, żeby mi wybaczył, że zostawiam go samego. Przepraszałam go za to, że chciałam żyć. Wydawało mi się, że mnie rozumiał. Delikatnie uniósł kąćki swoich ust, jakby się do mnie uśmiechał. Gdy odeszłam kilka metrów, usłyszałam serię wystrzałów. Nie miałam odwagi się obejrzeć. Uciekałam przed siebie, co sił w nogach. Byłam zbyt słaba. Stchórzyłam. Wiedziałam tylko, że ten dźwięk będzie prześladował mnie do końca życia.

Gdy doszłam do domu, tak jak stałam, rzuciłam się na łóżko i przytuliłam mocno do śpiącej obok Klary. Postanowiłam, że następnego

dnia pójdę sprawdzić stan matki i dziecka, a przy okazji zdejmę szwy z nogi Maxa.

– Dzień dobry – powiedziałam po niemiecku do stojących przy ciężarówce żołnierzy. – Czy mogę się zobaczyć z *Herr* Wernerem?

Po tych słowach z baraku wyszedł mój pacjent. Spojrzałam na jego nogę. Nie było znaku po niedawnych obrażeniach. Gdyby nie ja, chłopak już by nie żył. Ocaliłam go, chociaż mogłam przejść obojętnie.

– Dzień dobry, przyszedłam ściągnąć szwy – powiedziałam, gdy zbliżył się do mnie.

Chłopak nic nie mówił. Ruszył w stronę posterunku i ruchem ręki nakazał mi iść za sobą. Po kilku metrach zwolnił i pozwolił mi się dogonić.

– Komendant jest dziś w złym humorze. Proszę uważać.

– To coś nowego – odpowiedziałam.

Chłopak delikatnie się uśmiechnął. Otworzył drzwi i weszliśmy do środka. Młoda dziewczyna jak zwykle zajęta była przygotowywaniem posiłków.

– Dzień dobry – powiedziałam.

– Dobry – odrzekła, nie odwracając się do mnie.

Gdy wyjęłam ostatni szew, do pokoju weszła Ewa, informując, że komendant oczekuje mnie u siebie w gabinecie. Chwilę później znowu zmierzałam tymi samymi, drewnianymi schodami na górę. Skrzypiały niemiłosiernie. Jakby jęczały razem ze mną, że znowu muszę nimi wchodzić. Drzwi gabinetu były otwarte na oścież. Będąc już w progu, zastukałam delikatnie we framugę. Komendant na chwilę podniósł wzrok znad dokumentów i ręką wskazał na puste krzesło stojące naprzeciwko biurka. Grzecznie usiadłam i czekałam na rozwój wydarzeń, jednak komendant ani myślał ze mną rozmawiać. Siedział i wypełniał jakieś dokumenty, przewracał kartkę za kartką i zapełniał znajdujące się tam rubryki. Czas dłużył mi się niemiłosiernie. Pomyślałam, że to musi być jakaś specjalna wojskowa taktyka, zgodnie z którą, żeby mieć przewagę nad przeciwnikiem, należy odkładać starcie z nim do granic jego możliwości. Niecierpliwiłam się, a wiadomo, że w takich sytuacjach łatwo o pomyłkę. Mogłam zrobić coś, czego nie

powinnam, albo powiedzieć o kilka słów za dużo. Z tym ostatnim akurat często miałam problem. W końcu postanowiłam zacząć.

– Przyszłam zdjąć szwy z nogi *Herr* Wenera.

Komendant na chwilę przestał notować.

– Proszę się nie odzywać niepytana.

Siedzieliśmy w milczeniu jeszcze ponad kwadrans. W tym czasie przyglądałam mu się badawczo. Próbowałam znaleźć jakiś szczegół w jego mimice, zachowaniu, stroju czy ruchach, który zdradzi mi o nim coś więcej. Jednak komendant był niczym w pancerzu. Taki, jakim chciał, abym go widziała. Zauważyłam wtedy ramkę ze zdjęciem stojącą na komodzie. Czarno-białe zdjęcie przedstawiało dosyć ładną i zgrabną dziewczynę. Wyglądała na kilka lat młodszą ode mnie, chociaż nie miałam pewności. Była ubrana w długą wieczorową suknię. Gdy odwróciłam głowę z powrotem w stronę komendanta, zauważyłam, jak mi się przygląda. Potem też zerknął na zdjęcie i z powrotem na mnie, jednak nie skomentował tego w żaden sposób. Oparł się za to wygodnie w fotelu i odłożył pióro na blat biurka, nie odrywając ode mnie wzroku. Poczulałam, jak uderza mnie fala gorąca, chociaż wcale nie było tak ciepło. Miałam wrażenie, że przez wysoki kołnierz swojej błękitnej bluzki zaczynam się dusić. Rozpięłam najwyższy guzik i rozchyliłam kołnierz na boki. Komendant przyglądał mi się uważnie. Po chwili wstał zza biurka i podszedł bliżej. Stał dosłownie krok ode mnie.

– Proszę. – Wyciągnął w moją stronę jakiś dokument.

Wstałam, odsuwając jednocześnie krzesło, aby jak najbardziej oddalić się od niego.

– To nocna przepustka, tak na wszelki wypadek, jakby musiała pani przyjść do nas późniejszą porą.

Popatrzyłam na niego i na dokument. Czyżby zauważył mnie wczorajszej nocy? A może to przypadek? To musiał być zbieg okoliczności. Przecież, gdyby mnie rzeczywiście widział, to prędzej wsadziłby mnie do więzienia, niż nagradzał przepustką.

Chwyciłam za kartkę i lekko pociągnęłam, ale komendant nie wypuszczał jej z rąk.

– Co się mówi? – zapytał.

– Dziękuję – odpowiedziałam zmieszana.

– Dziękuję, *Herr Kommandant* Hizel – poprawił mnie.

– *Danke Schön, Herr Kommandant* Hizel. – Zacisnęłam zęby i powtórzyłam po nim, delikatnie dygając jak dama.

Komendant puścił dokument, a ja zauważyłam, jak jego kąciki ust nieznacznie unoszą się do góry. W końcu zobaczyłam w nim jakieś ludzkie odruchy. Co prawda były to tylko duma i pycha, ale lepsze to niż pozbawiona emocji twarz. Odwróciłam się i ruszyłam w stronę drzwi.

– Jeszcze jedno – rzucił, gdy byłam już w progu. – Czy wszystkie warszawianki lubią wkładać męskie spodnie?

– Nie lubią, a muszą, panie komendancie. Mężczyźni w końcu walczą za nasz kraj.

Komendant zacisnął szczękę mocniej.

– A co zmusiło panią do biegania nocą w samej koszuli i na bosaka?

Znieruchomiałam. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć na takie pytanie. Komendant zrobił krok w moją stronę, oczekując jakiejś odpowiedzi.

– Trudny poród – odpowiedziałam. – Nie chciałam niepotrzebnie budzić pana komendanta odgłosem obcasów.

– Jest pani nad wyraz troskliwa – powiedział drwiąco. – Jeszcze ktoś pomyśli, że nas pani lubi.

– Niestety, już tak myślą – odpowiedziałam bez zastanowienia.

– A pani nas przecież nienawidzi?

Komendant nie dawał za wygraną. Nie wiedziałam, o co mu chodzi. Najpierw wręcza mi przepustkę, a teraz draży niebezpieczny temat, jakby chciał mojego potknięcia. Na siłę szukał powodu, dla którego mógłby mnie skrzywdzić.

– To nieprawda – powiedziałam.

Momentalnie poczułam, jak moja powieka zaczyna drżeć. Próbowałam nad tym zapanować, ale nie byłam w stanie. Gdybym miała jakieś medykamenty... Jedna tabletką bromu na pewno by mnie uspokoiła, a tak byłam zdana na łaskę własnego ciała.

– Żegnam panią – rzucił oschle.

Gdyby wzrok komendanta mógł zadawać cierpienie, to właśnie zwijałabym się na podłodze z bólu. Pożegnałam się i szybko opuściłam pokój. Z posterunku praktycznie wybiegłam. Chciałam, jak najszybciej uciec daleko stąd.

Jeszcze tego samego dnia zawitała do nas stara Michałowa, niosąc szmaciany worek. W nim schowane miała cztery kury i koguta. W taki sposób, od tego dnia, na każde śniadanie raczyliśmy się z Klarą pyszną jajecznicą.

Przez kolejne tygodnie miałyśmy względny spokój zarówno od Niemców, jak i partyzantów. Jednym i drugim, na moje szczęście, dopisywało zdrowie. Jedynie okoliczni mieszkańcy co jakiś czas przychodzili po poradę. Odebrałam też dwa kolejne porody w sąsiednich wioskach. Chociaż nigdy nie oczekiwałam żadnej zapłaty, nie zdarzyło mi się wyjechać od gospodarza z pustymi rękoma. Również ci, co przychodzili, zawsze przynosili jakąś wałówkę. Patrząc na nich, od razu rozpoznawałam, u kogo jest większa bieda niż u nas. W takiej sytuacji zdecydowanie odmawiałam wzięcia czegokolwiek, a nieraz wypuszczałam pacjenta z naszym prowiantem. Mieszkańcy mieli do mnie coraz większe zaufanie jako lekarza, ale nie jako człowieka. Dla nich nadal byłam lekarką nazistów.

Pewnej nocy znowu poczułam czyjaś dłoń na twarzy. Otworzyłam z przerażeniem oczy i zobaczyłam stojącego nade mną Zająca, który dawał mi ręką znak, abym nie krzyczała. Gdy odsunął dłoń z moich ust, powoli wstałam i oboje cicho przeszliśmy do kuchni.

– Co się stało? – zapytałam, będąc pewna, że nie przychodzi z towarzyską wizytą.

– Potrzebujemy lekarza. Mamy rannego partyzanta.

Niewiele myśląc, wróciłam do sypialni, ubrałam się i już po chwili ze skórzaną torbą w ręku maszerowałam w stronę lasu. Zajac szedł pierwszy, oświetlając drogę karbidówką, ja druga, a za nami dwóch młodych chłopaków z automatami. Na jednej z leśnych dróg czekał na nas wóz z sianem. Zajęłam wolne miejsce na wąskiej ławce obok woźnicy, a chłopaki rzucili się na siano. Powożący smagnął konia batem i ruszyliśmy w nieznanym mi kierunku. Po kilku minutach wyjechaliśmy na główną drogę. Rozglądałam się wokół, wyszukując czającego się w ciemnościach niebezpieczeństwa. Nie musiałam długo czekać, gdy zobaczyłam w oddali niemiecki patrol.

– Chłopaki, przygotujcie się. Sto metrów. Dwóch żandarmów – powiedział woźnica, nie oglądając się za siebie.

– Nie! Schowajcie się! – powiedziałam pewnym głosem. – Ja to załatwię. Zając, daj mi szansę!

Byłam pewna, że jeżeli dojdzie do wymiany ognia, ktoś z nas tej nocy zginie. To nie mogłabym być ja. Nie chciałam osierocić Klary. Zając wyjrzał spod siana i przyglądał mi się przez chwilę. Widziałam, jak w głowie toczy walkę.

– Chować się pod siano – powiedział niemalże szeptem. – Czekać na mój znak.

– Halt! – krzyknął jeden z żołnierzy, celując do nas z broni.

– Jestem lekarzem – powiedziałam po niemiecku, co wyraźnie go zaintrygowało. – Jadę do rodzącej pacjentki. Cięża bliźniacza. Muszę jak najszybciej tam być.

– Kobieta lekarz? – dopytał.

– Tak. Mam nocną przepustkę.

– Kto wystawił?

– Komenda żandarmerii z polecenia *Herr Doktora Kaufmana*.

Żołnierz dał mi znać ręką, żebym mu ją podała. Otworzyłam torbę i wyjęłam dokumenty, zeskoczyłam z wozu, po czym podeszłam bliżej. Żandarm zaświecił mi baterijką po oczach, a potem skierował światło na zapisane kartki papieru. Gdy skończył czytać, oddał mi dokumenty i zezwolił na przejazd. Wsiadłam na wóz i wytarłam krople potu z czoła. Serce waliło mi jak oszalałe jeszcze przez długi czas. Zając nie odezwał się już do mnie do końca drogi.

Gdy dojechaliśmy do wsi, a wóz skręcił na podwórze, mężczyźni w sekundę wyskoczyli spod siana. Gospodarz zaprowadził nas do swojej chaty. Wszędzie panowała ciemność. Dopiero wchodząc do środka, zobaczyliśmy palące się gdzieś lampy naftowe. Okna były szczelnie zasłonięte kocami. Na stole leżał mężczyzna mający nie więcej niż czterdzieści kilka lat. Miał odsłonięte nogi. W prawej widniała wielka rana, z której sączyła się krew. Wyjęłam z torby spirytus i dokładnie umyłam nim ręce. Podeszłam bliżej i zaczęłam delikatnie sprawdzać stan zranionej kończyny. Wszystkie kości miał poharatane.

Każdy mój dotyk sprawiał mu ból. Popatrzyłam bezradnie na Zająca, a potem na leżącego mężczyznę.

– Proszę mówić prawdę. Nie wyjdę z tego? – zapytał nad wyraz spokojnym głosem, patrząc na okoliczności.

– Wyjdiesz, jak odetnę ci nogę – powiedziałam bez ogródek.

Czasem trzeba było powiedzieć prawdę, bez upiększania czy złudnych nadziei. Pacjent musiał wiedzieć, jakie ma możliwości i jakie konsekwencje niesie ze sobą wybór każdej z nich.

Mężczyzna zamilkł. Zagryzł mocniej usta. Zacisnął mocno pięści.

– Proszę ciąć.

– Muszę cię uśpić, a nie mam nawet kropli eteru – zaczęłam tłumaczyć.

– Nie potrzebuję. Proszę robić, co trzeba.

– Chyba nie wiesz, co mówisz! – odrzekłam. Nigdy nie widziałam, żeby ktokolwiek przeprowadzał taki zabieg bez znieczulenia, chociażby bez porządnej dawki nowokainy. – Zając? – Spojrzałam bezradnie na stojącego obok mnie porucznika.

– Słyszała pani. Proszę amputować. On da radę. To porządny żołnierz.

– Zdejmować wszyscy paski – zarządziłam. – Trzeba go przywiązać do tego stołu. Przyda się też jakiś sznur. On nie ma prawa nawet drgnąć.

Po minucie mężczyzna leżał unieruchomiony.

– Jak masz na imię? – zwróciłam się do mojego nowego pacjenta.

– Mówią na mnie Suchy.

– Posłuchaj mnie uważnie, zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby ci pomóc – tłumaczyłam spokojnym głosem, patrząc mu prosto w oczy. – Gotowy?

Potwierdził, a ja zabrałam się do roboty. Ogoliłam jego nogę w miejscu, w którym chciałam przeprowadzić cięcie. Potem porządnie odkaziłam, przyłożyłam ostrze skalpela do skóry i zrobiłam głębokie nacięcie. Suchy nawet nie jęknął, był niespotykanie dzielny.

Miałam trzydzieści sekund, żeby dostać się do kości, a potem trzy minuty na odcięcie nogi. Po tym czasie, ryzyko wystąpienia wstrząsu znacznie rosło. Gdy przecinałam mięśnie, Suchy wydał z siebie niemiłosierny skowyt. Spojrzałam na niego i gdy zobaczyłam jego cierpienie, ręce zaczęły mi drżeć z przerażenia. W tym momencie Zając

podszedł do leżącego kolegi i z całej siły walnął go kolbą karabinu w głowę. Suchy w jednej chwili stracił przytomność, a ja czym prędzej ciąłam dalej. Odsłoniłam kość, odłożyłam skalpel i wzięłam do ręki piłę. Delikatnym, acz zdecydowanym ruchem przeciągałam ją przez kość. Gospodarz na ten widok zrobił się cały blady i usiadł z przerażenia. Zając stał niewzruszony, zapewne na wojnie widział już niejedno. Po kilku minutach zakładałam na kikut sterylne bandaże.

– Jeżeli nie wda się zakażenie, to będzie cud – powiedziałam do porucznika, gdy odprowadzał mnie lasem pod mój dom. – Taka operacja w takich warunkach... On może umrzeć.

– Bez tego z całą pewnością by umarł, a tak dała mu pani chociaż szansę. Dziękuję – powiedział i wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie. – Suchy kiedyś uratował mi życie. Musiałem mu się odwdziaczyć. To porządny chłop. Jeszcze raz pani dziękuję.

– Nie ma za co. – Chwyciłam jego dłoń i mocno uścisnęłam. – Mam na imię Alicja.

Kiedy następnego dnia pod dom podjechała ciemnoszara ciężarówka, obawiałam się najgorszego. Ktoś mógł wiedzieć o naszej wczorajszej akcji i możliwe, że wydał nas Niemcom. Gdy żandarm powiedział, że nie muszę brać torby lekarskiej, byłam już tego niemalże pewna.

Pod posterunkiem kręciło się kilku Niemców. Nigdzie nie widziałam Maxa, który mógłby mnie ostrzec przed grożącym mi niebezpieczeństwem. Zaprowadzono mnie prosto do gabinetu. Zamknęłam za sobą drzwi i bez zaproszenia usiadłam na stojącym przy biurku krześle. Komendant stał odwrócony tyłem. Nie zareagował, gdy weszłam. Dalej przeglądał jakieś teczki w szafie. Potem zamknął jej drzwiczki na klucz i ruszył w moją stronę. Kątem oka zauważyłam, że miał starannie przystrzyżone włosy, jakby dopiero co wyszedł od fryzjera. Wyglądał nad wyraz dobrze. W końcu stanął za moimi plecami.

– Pan komendant chciał mnie widzieć? – zaczęłam, chociaż wiedziałam, że nie powinnam odzywać się bez pytania.

– Czy chce mi pani o czymś powiedzieć? – mówiąc to, położył dłoń na moim ramieniu.

Wzdrygnęłam się. Nie wiedziałam tylko, czy z powodu jego słów, czy samego dotyku. Komendant od razu cofnął rękę i pomaszerował za biurko. Usiadł na swoim krześle, oparł się wygodnie i złożył obie dłonie. Sprawiał wrażenie dumnego z siebie. Jakby rozwiązał właśnie zagadkę, której nikt przed nim nie potrafił rozgryźć.

– *Nein, Herr Kommandant* Hizel – odpowiedziałam.

– Bo widzi pani – oparł się rękami o blat biurka – dowiedziałem się wczoraj o pani czegoś bardzo interesującego.

Serce zaczęło mi mocniej walić. O czym, do cholery, się dowiedział?! Wie, że lecę partyzantów? A może... Nie! Na pewno nie to! Niby skąd mógłby wiedzieć?! Przełknęłam ślinę.

– Czy sądziła pani, że powierzę życie swoich ludzi osobie, której dokładnie nie zweryfikuję? Poszperałem trochę na pani temat i...

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść – rozkazał.

Do pokoju weszła Ewa, niosąc filiżankę zbożowej kawy. Podeszła do biurka i ostrożnie odłożyła gorący napój na blat. Spojrzała na kartkę leżącą przed komendantem i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. To była dosłownie chwila. Dziewczyna pośpiesznie wycofała się z pokoju. To, co zobaczyła, musiało ją zwalić z nóg. Od razu zrozumiałam, czym jest ten dokument. Skoro ona już wiedziała, za chwilę będą wiedzieć też partyzanci. Oznaczało to dla mnie tylko jedno... Wyrok śmierci.

– Dotarłem do bardzo istotnego dokumentu – ciągnął dalej komendant, jak tylko zostaliśmy sami. – Dlaczego nie powiedziała pani wcześniej, że podpisała pani volkslistę? Gdybyśmy wiedzieli, że jest pani obywatelką Trzeciej Rzeszy, inaczej byśmy panią traktowali. W końcu jest pani jedną z nas.

Nie uśmiechał się, ale jego oczy wręcz błyszczały z zadowolenia.

– Jestem Polką – odpowiedziałam butnie.

– Ten formularz świadczy o czymś zupełnie innym – mówiąc to, podsunął mi dokument prawie pod sam nos. – Chyba że go sfalszowano... – dodał. – Czy to pani podpis?

Nie patrząc, potwierdziłam. Pamiętałam dokładnie, jak tamtego dnia szybkim ruchem nakreśliłam na kartce papieru swoje imię i nazwisko.

– Grożono pani śmiercią, gdy go pani podpisywała? – ciągnął dalej dumny, że mnie w końcu rozszyfrował.

– Nie – zaprzeczyłam chłodno.

– A zatem podpisała go pani z własnej woli? – mówiąc to, wstał zza biurka i zaczął przechadzać się po pokoju z rękoma założonymi za plecami.

– Można tak powiedzieć.

Komendant, po raz pierwszy odkąd go poznałam, szeroko się uśmiechnął. Tym razem mnie miał. Rozpierała go nieopisana duma.

– A więc, pani Sambor, to taka z pani Polka? Zgrywała pani taką honorową i waleczną. Opowiadała nam pani swoją rzewną historyjkę, jacy to ci Niemcy są źli. Biła od pani wręcz nienawiść. A tymczasem, gdy wojna na dobre rozgorzała, ochoczo się pani do nas przyznała! Tutaj jest wszystko dokładnie opisane, jak to od urodzenia czuje się pani Niemką i jak hołduje naszym wartościom!

Sprawiało mu to ewidentną radość, a ja wrzałam od środka.

– Myli się pan, panie komendancie.

– Doprawdy? – zapytał drwiąco. – Jest jeszcze jeden ważny szczegół, o którym nie wspomniałem. Podpisała pani volkslistę zaledwie dzień przed śmiercią swojego męża. Przypadek?

Wbił we mnie wzrok. Poczułam, jak moje serce rozpada się na milion kawałków. Chciałam mu wykrzyczeć, jak bardzo się myli. Zamiast tego milczałam.

– Bardzo mnie to zaintrygowało, więc drażyłem dalej. Popytałem tu i ówdzie na temat pani męża. Okazało się, że profesor Sambor bardzo lubił wszystkie swoje studentki – mówiąc to, nienaturalnie zaakcentował słowo „wszystkie”. – Nie tylko panią zdołał uwieść.

Złapałam dłońmi krzesło tak mocno, aż zbiełały mi palce. Zacisnęłam zęby. Nie mogłam sobie pozwolić, żeby w takim momencie powiedzieć jakąś głupotę.

– To kłamstwo – odpowiedziałam, próbując zachować spokój.

Po chwili prawa powieka delikatnie zaczęła mi drżeć. Odwróciłam głowę w drugą stronę. Nie chciałam, żeby to zobaczył.

– Wie pani, co sobie myślę? – zapytał, podchodząc bliżej mnie. – Dowiedziała się pani o tych wszystkich zdradach i postanowiła

wykorzystać okazję, żeby pozbyć się niewiernego męża. Doniosła pani na niego Gestapo i jednocześnie podpisała volkslistę, zapewniając sobie tym samym bezpieczeństwo. Po takim podpisie jest pani dla Niemców niemalże nietykalna.

Nie wytrzymałam. Podniosłam się z krzesła i z całej siły spoliczkowałam stojącego przede mną komendanta. Nawet przez chwilę nie pożałowałam swojej decyzji. Stałam i patrzyłam prosto w jego zimne jak kamień oczy. Sekundę później zobaczyłam, jak wymierza w moją stronę cios. Ostatnie co pamiętam, to głuchy huk od uderzenia w blat biurka i pulsujący ból skroni.

Gdy otworzyłam oczy, zorientowałam się, że jestem w swoim łóżku. Obok mnie siedziała Klara, przykładając mi zimny okład do policzka. Odruchowo dotknęłam ręką twarzy. Poczułam szwy nad prawą brwią. Zrozumiałam, że upadając, musiałam uderzyć głową o kant biurka komendanta.

– Miałaś rozciętą skórę. Zaszylałam ci ją.

– Sama?

– Tak.

– Ale jak? Skąd wiedziałaś, co robić?

– Patrzyłam, jak zszywałaś tamtego Niemca. Spokojnie, najpierw wszystko porządnie odkaziłam. W końcu jestem córką lekarzy.

Zobaczyłam na jej twarzy wymuszony uśmiech.

– Klara... – Poczułam prawdziwe wzruszenie.

– Podasz mi lustro?

Po chwili córka wręczyła mi niewielkie, okrągłe lusterko. Przeraziłam się wyglądem swojego prawego oka. Było całe czerwone, a wokół niego utworzył się ogromny siniak. Powieka opuchnięta do granic możliwości. Kilka centymetrów niżej i straciłabym oko, a tak miałam tylko rozcięte czoło tuż nad brwią. Cztery szwy siedziały solidnie na swoim miejscu. Nic się nie rozeszło. Pomyślałam, że Klara ma lekarską smykałkę we krwi. Z kolei pod lewym okiem widniało zasinienie od uderzenia ręki. Na szczęście to wszystko było błahostką. Najważniejsze, że przeżyłam.

– Długo spałam?

– Kilka godzin.

– Klaro, muszę iść do miasteczka, ale zaraz wrócę.

– Teraz? W takim stanie?

– Tak. To bardzo ważne.

Powoli podniosłam się z łóżka. Rozpuściłam włosy, zasłaniając nimi jak najbardziej twarz.

– Posłuchaj – zaczęłam niepewnie – gdybym nie wróciła, gdyby coś mi się stało, weź wszystkie pieniądze, nasze rzeczy i schowaj się u starej Michałowej. To uczciwi ludzie. Będzie ci u nich dobrze.

– Mamo... – Klara przytuliła mnie z całych sił.

– Musisz być dzielna. I nigdy, przenigdy nie próbuj się mścić. To błędne koło. Zobaczysz, wojna się kiedyś skończy, a ty będziesz jeszcze szczęśliwa.

Odsunęłam delikatnie córkę i założyłam płaszcz. Musiałam się śpieszyć. Zbliżała się noc, zatem partyzanci za chwilę tu będą. Ewa zapewne już im wszystko wyśpiewała, tak samo jak to, że tamtego dnia uratowałam życie Maxa.

Pobiegłam co sił w nogach przed siebie. Mijałam posterunek, a serce waliło mi jak oszalałe. Nie miałam odwagi spojrzeć w tamtą stronę. Gdy weszłam na podwórko starej Michałowej, odetchnęłam z ulgą. Na mój widok domownicy zamarli, a potem się przeżegnali.

– Pani Sambor, co się stało? – zapytała Stefcia, podchodząc bliżej i łapiąc mnie za rękę.

– Stefcia, ja... ja... zrobiłam coś bardzo złego. – Rozpłakałam się jak małe dziecko.

Dziewczyna, nie mówiąc nic, przytuliła mnie z całych sił. Gdy się trochę uspokoiłam, obie weszłyśmy na ganek i usiadłyśmy na drewnianej ławce.

– No dobrze, to niech teraz pani mówi, co takiego pani zrobiła.

– Alicja. Proszę, mów mi Alicja.

– To co takiego zrobiłaś, Alicjo?

– Stefcia, ja podpisałam taki papier, że jestem Niemką, ale musiałam go podpisać, bo chciałam w ten sposób ratować męża, mojego Janka – mówiłam drżącym głosem, najprościej jak potrafiłam. – Niemcy już wiedzą, za chwilę dowiedzą się leśni. Chyba rozumiesz, że mogą mnie za to zabić?

– Jest pani folksdojczem?

Kiwnęłam głową.

– Kiedyś pewna mądra kobieta zapytała mnie: czy jeżeli lekarka odbierze wiejski poród, to stanie się przez to wiejską akuszerką?

Popatrzyłam na nią zdezorientowana.

– Nie rozumiem.

Stefcia się zaśmiała.

– A niby taka uczona! Chodzi mi o to, czy podpisanie jakiegoś papieru rzeczywiście robi z ciebie Niemkę? Żeby być zdrajczynią, to trzeba najpierw zdradzić, czyż nie, a może się mylę?

Znowu zalałam się łzami. Poczułam ulgę. Był ktoś, kto mnie rozumiał. Był ktoś, kto we mnie wierzył...

Wychodząc, poprosiłam ją, żeby zaopiekowała się moją córką, gdybym nagle zniknęła bez śladu. Przysięgła, że to zrobi, a ja wiedziałam, że słowa dotrzyma.

Wracając do domu, nie czułam już strachu. Najważniejsza była przecież Klara. Ona będzie bezpieczna. Dla Niemców była nieszkodliwa, a partyzanci nie mieli powodu, by się na niej mścić. Tylko ja byłam ich wrogiem. Tylko ja zdradziłam Polskę.

Tej nocy nie kładłam się spać. Poczekiałam, aż Klara zaśnie i poszłam do kuchni. Siedząc przy oknie, wpatrzona w gwiazdy, cierpliwie czekałam na nocnych gości. Zjawili się, tak jak przewidziałam. Szukałam wzrokiem wśród nich Zająca. Na próżno. Ta trójka była mi całkowicie obca. Posłusznie wykonywałam ich rozkazy. Gdy byliśmy już w lesie, zawiązali mi oczy. Pomyślałam, że to absurd, skoro i tak było ciemno, a ja – nawet gdybym chciała – nie zapamiętam tej drogi. Dla mnie każde drzewo wyglądało tak samo. Jeden z nich trzymał mnie pod ramię i ciągnął za sobą. Szliśmy tak długo, że powoli traciłam oddech.

– Proszę, już dalej nie mogę. Czy możemy chwilę odpocząć? – pytałam, dysząc ze zmęczenia.

– Już niedaleko – odpowiedział chłopak i dalej popychał mnie do przodu.

Rzeczywiście, za kilkaset metrów byliśmy na miejscu. Wokół siebie słyszałam kilka męskich głosów. Brzęczenie metalu. Szuranie butów.

Odgłosy pochrapywania. Stałam nieruchomo, próbując zrozumieć, gdzie jestem. W końcu ktoś mnie znowu popchnął i szłam dalej przed siebie. Miałam wrażenie, że wchodzę do jakiegoś pomieszczenia, bo wszystkie te odgłosy przycichły. Pod nogami czułam coś twardego. Po chwili posadzono mnie na krześle. Zdjęto opaskę z głowy i zobaczyłam mocny strumień światła, który skierowany był prosto w moje oczy. Próbowałam zasłonić się ręką, ale ktoś stojący za mną od razu związał mi dłonie za plecami. Nie miałam, jak bronić się przed oślepiającym mnie światłem.

– Imię i nazwisko?

Usłyszałam niski głos starszego mężczyzny.

– Pan powinien przedstawić się pierwszy.

Cisza.

– Major Wojska Polskiego, pseudonim – Borowy.

– Alicja Sambor. Lekarz chirurg.

Cisza.

– Czy wie pani, dlaczego się tutaj znalazła?

– Domyślałam się, że ktoś życzliwy już wam doniósł.

– W takim razie zaczniemy od początku. Jest pani lekarką nazistów.

Milczałam.

– Nic pani nie powie?

– Po co? Skoro pan nie pytał, tylko stwierdził.

Cisza.

– Panie majorze, ja leczę ludzi. Wszystkich bez wyjątku. Również partyzantów. Proszę zapytać porucznika Zająca.

Miałam nadzieję, że gdy powołam się na znajomego partyzanta, ten wstawi się za mną, powie, że jestem po ich stronie.

– Ale nazistów też pani leczy?

Westchnęłam.

– Leczyłam w Warszawie. Każdy z personelu to robił. To mój zawód. – Broniłam się, chociaż miałam wrażenie, że wszystkie moje tłumaczenia i tak pójdą na marne.

– Dlaczego dostała pani nocną przepustkę?

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Zatem było już jasne, że Zajac im o wszystkim doniósł i że w tej sytuacji nie powinnam liczyć na jego wsparcie.

– Bez niej wczoraj by nas wszystkich rozstrzelano – powiedziałam wymijająco. – O to macie pretensje?

– Niemców było dwóch, słabo uzbrojonych, a was pięcioro z dwoma automatami. Może specjalnie chciała pani oszczędzić tamtych nazistów?

– Nikogo w życiu nie zabiłam i wolałabym, żeby tak zostało. Przecież uratowałam tamtego człowieka! Naraziłam dla niego własne życie! To dla was mało?!

– Suchy nie żyje. Dziś rano Niemcy wpadli do wsi. Zabili jego i gospodarza. Ktoś ich wsypał.

Zamarłam. Poczułam, jak cała robię się blada. Zrobiło mi się niedobrze. Zamknęłam oczy i próbowałam głęboko oddychać.

– To nie byłam ja – odpowiedziałam po chwili. – Przecież nie po to go ratowałam! To nie ja! Musicie mi uwierzyć!

– Pani Sambor, ciężko jest pani wierzyć. Nie jest pani stąd. Mówi pani biegle po niemiecku. Ratuje pani nazistów. Dostaje ot tak nocną przepustkę. Nie mamy podstaw, żeby pani ufać.

– Ale nie macie też dowodów, że to ja.

– Problem w tym, że my nie potrzebujemy żadnych dowodów – powiedział spokojnym głosem. – Pani Sambor, podpisała pani volkslistę, a to jest wystarczający powód, aby w tym momencie skazać panią na śmierć. A okoliczności, jak sama pani widzi, świadczą tylko na pani niekorzyść.

Cisza. Wiedziałam, że to może się tak skończyć. Jednak nie potrafiłam pogodzić się z wizją śmierci z rąk swoich rodaków i to w dodatku za niewinność. Walcz. Walcz. Słyszałam w głowie głos mojego męża.

– Wie pan, panie majorze, co oznacza słowo Sambor?

– Nie.

– Oznacza tego, dla którego w życiu najważniejsza jest walka. I taki właśnie był mój mąż, niezwykle waleczny. Gdy wybuchła wojna, ja nie miałam w sobie takiej odwagi, jak on. Janek był ordynatorem Szpitala Wolskiego. Pracowaliśmy razem. Gdy Warszawę opanowali naziści, to oni w głównej mierze byli pacjentami naszego szpitala, Polacy stanowili niewielki odsetek. Pewnego razu odwiedził nas dowódca jednego z polskich batalionów, prosząc o leczenie rannych żołnierzy podziemia. Mąż zgodził się bez wahania. Mnie skierował do leczenia Niemców, a w

tym samym czasie zajmował się polskimi żołnierzami. Przynajmniej raz w tygodniu operował postrzelenia w brzuch. Wpisywaliśmy wtedy do kart, że pacjent miał przepuklinę, wyrostek albo skręt jelit. Rany kończyn zawsze były klute, nigdy postrzałowe. Rany głowy, zwykle bijatyki. Niemcy darzyli mojego męża dużym zaufaniem. Na tyle dużym, że mało kiedy nas kontrolowano. Dlatego też, w pewnym momencie, pomieszczenia naszego szpitala służyły jako miejsca spotkań i odpraw polskich żołnierzy. Na początku września mąż został aresztowany przez Gestapo. Może ktoś na niego doniósł, może po prostu wpadł. Tego nigdy się nie dowiedziałam. Wtedy mój świat się zawalił. Jednak wiedziałam, że Sambor nie może się po prostu poddać. Wiedziałam, że muszę walczyć o życie mojego męża. Znałam jedną osobę, która mogła mi w tym pomóc. Był nim *Obersturmführer* Heinrich Vogel. – Westchnęłam ciężko. Na myśl o nim zaczęły drżeć mi ręce. – Pana Vogla poznałam w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku w Wiedniu, gdy zaczęłam tam studia medyczne. Pochodzę z Galicji, więc niemiecki znałam doskonale, a poza tym tylko tamtejszy uniwersytet zgodził się mnie przyjąć na swój wydział. Ojciec opłacił mi stancję u państwa Voglów. Przez cztery lata mieszkaliśmy więc razem. Zaprzyjaźniliśmy się. To był inny człowiek. Był... moim przyjacielem. Po tym, jak wyszłam za mąż, nasz kontakt się urwał. Spotkałam go dopiero w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, przypadkiem, w Warszawie. Heinrich chciał odnowić naszą przyjaźń. Nie miał tu innych znajomych. Dyskretnie daliśmy mu do zrozumienia, że nie jest mile widziany w naszym domu. Jednak gdy dowiedziałam się, że Janka przechwyciło Gestapo, dla którego przecież Heinrich pracował, od razu do niego poszłam. Byłam pewna, że mi pomoże. Byłam tego pewna – powtórzyłam dobitnie. – Przecież był gościem na naszym ślubie! Heinrich obiecał mi, że go uratuje. Kamień spadł mi z serca. Podsunął mi wtedy volkslistę do podpisu. Odmówiłam. On nalegał. Twierdził, że to dla mojego bezpieczeństwa, że nie może pozwolić, żeby coś złego stało mi się z rąk Niemców, że oni i tak tę wojnę wygrają. Powiedziałam, że ja się nie boję, że mi chodzi tylko o Janka. Nie odpuszczał. Powiedział, że to jest jego warunek. Albo to zrobię, albo już nie zobaczę męża. W sekundę wzięłam pióro i podpisałam. Przecież czułam się Polką i tylko to się liczyło, a nie to, że według jakiejś listy jestem Niemką. To był tylko

kawałek papieru. Mój mąż za to był żywym człowiekiem, z krwi i kości. Więc proszę wybaczyć, panie majorze, ale podpisałabym ją nawet tysiąc razy, gdybym wiedziała, że właśnie to uratuje mu życie. Nic innego się nie liczyło! Zgodziłabym się nawet na pakt z samym diabłem! Podpisując ją, ratowałam życie męża! Przynajmniej tak wtedy myślałam... – Zamknęłam oczy. – Wierzyłam, że Heinrich, z którym włóczyłam się ulicami Wiednia, bawiłam się i śmiałam, Heinrich, który życzył młodej parze sto lat, pozostał człowiekiem... Następnego dnia o piątej trzydzieści rano mój mąż został rozstrzelany przez Gestapo. Kilka godzin później byłam już w drodze tutaj. Czy podpisałam volkslistę z własnej woli? Tak. Czy zrobiłabym to znowu? Tak. Oczywiście, że tak. Dostałam nadzieję, a ona była bezcenna.

Cisza.

– Niemcy zabili pani męża, a pani uratowała niemieckiego żandarma. Pani sumienie na to pozwala?

– Moje sumienie nie pozwoliło mi odwrócić wzroku od cierpiącego człowieka, majorze. Szczególnie gdy wiem, że potrafię mu pomóc. A to był jeszcze dzieciak.

– Te dzieciaki, jak pani mówi, zabijają tak samo celnie jak pozostali, pani Sambor. Ratując go, może skazała pani na śmierć dziesięciu Polaków.

– A może właśnie ich uratuję...

– Jest pani naiwna, pani Sambor. Rozumiem, że Niemca, który wystrzelił kulę w kierunku pani męża, też by pani ratowała?

– To absurdalne pytanie. Nie znam na nie odpowiedzi i zapewne nigdy nie poznam.

Cisza.

– Poruczniku Zajęc, co pan myśli? – odezwał się po chwili major.

A więc Zajęc był tu od samego początku, a mimo to nie wstawił się za mną, nic nie powiedział... Nie miałam już żadnych przyjaciół. Nikomu nie mogłam wierzyć.

– Pani Sambor jest pod naszą stałą obserwacją. Myślę, że powinniśmy się jej dalej bacznie przyglądać.

Major nic nie odpowiedział. Ponownie założono mi opaskę na oczy i wyprowadzono.

Gdy byliśmy już poza obozowiskiem, ktoś rozwiązał mi rękę. Zsunęłam opaskę. Przede mną stał Zając.

– Odprowadzę cię do domu.

Nic nie odpowiedziałam. Rzuciłam mu obojętne spojrzenie. Oboje szliśmy w milczeniu. On przodem, oświetlając drogę. Ja tuż za nim. Ledwo było cokolwiek widać. Las ciągnął się bez końca. W pewnym momencie nie zauważyłam wystającego z ziemi korzenia i runęłam jak długa. Zając ruszył mi z pomocą.

– Poradzę sobie – odbąknęłam, podnosząc się.

– Wiem, ale zawsze możesz trzymać mnie za rękę.

– Nie jest to konieczne.

– Rozumiem.

– Wiesz, jak mnie teraz nazywają? – zmienił temat i chwilę zaczekał, aż go dogonię.

Jednak ja nic nie odpowiedziałam.

– Szarak. – Zaśmiał się. – Wszystko przez ten twój sweter. Ciągle w nim chodzę. Praktycznie go nie ściągam.

– Tak ci się podoba?

– Nie o to chodzi. To dlatego, że jest od ciebie.

Szłam dalej w milczeniu. Zając co jakiś czas odwracał się, upewniając, że nic mi nie jest.

– Szkoda, że nie byłeś taki miły, gdy mnie przesłuchiowano – w końcu nie wytrzymałam i wyrzuciłam to z siebie.

– Powiedziałem to, co trzeba było powiedzieć. W końcu jeszcze żyjesz, prawda? Musisz zrozumieć, że to nie jest zabawa w wojsko. Rozkaz to rozkaz, a major jest moim przełożonym. Poza tym ja ci wierzę.

– Jakoś tego nie zauważyłam.

Byłam już bardzo zmęczona. Zatem do domu było niedaleko.

– Dobra, stąd już sama trafisz.

Zając zatrzymał się i poczekał, aż podejść bliżej niego. Staliśmy na skraju lasu przy leśnej dróżce prowadzącej do miasteczka. Księżyc wyłonił się zza chmur i delikatnie oświetlił nasze twarze.

– Dlaczego komendant ci to zrobił?

– Nic się przed wami nie ukryje, co?

– Nie odpowiedziałas.

– Nie twoja sprawa – odburknęłam.
– Posłuchaj, może potrzebujesz jakichś medykamentów? – zaproponował zniechęcony.

– Skąd? Jak? – powiedziałam nazbyt ochotczo.

Zającowi tylko o to chodziło, abym w końcu mu odpuściła.

– Mam dojście do jednego człowieka ze szpitala. Może coś wynieść, jeżeli chcesz.

Zawahałam się.

– Nie chcę nikomu sprawiać problemu – stwierdziłam wymijająco.

– Zobaczymy, co da się zrobić. To serwus, Alicjo.

– Zajac. – Zatrzymałam go, kładąc dłoń na szarym swetrze. – Możesz coś mi obiecać?

Popatrzył na mnie w taki sposób, w jaki nie powinien był. Cofnęłam rękę.

– Obiecuj mi – kontynuowałam. – Jeżeli wydadzą na mnie wyrok, to ty go wykonasz.

Zajac popatrzył na mnie błyszczącymi oczami.

– Obiecuję.

Po chwili już go nie było.

Kilka dni później, gdy o świcie weszłam do kuchni, zobaczyłam na stole niespodziankę. Stały tam epinefryna, nowokaina, morfina i sulfonamidy. Na ten widok ucieszyłam się jak małe dziecko.

Z nastaniem zimy niebo wyraźnie się uspokoiło. Nie przecinał go już tak często świst nadlatujących samolotów. Noce również wydawały się spokojniejsze. Coraz rzadziej słychać było serie z automatów czy jazgot artylerii. Nie oznaczało to, że pracy miałam coraz mniej. Wręcz przeciwnie. Wraz z nastaniem mrozów zaczęły się problemy z kaszlem, oddychaniem i temperaturą po obu stronach barykady. Poważniejsze przypadki komendant odsyłał do szpitala w Łomży, a mi zostawiał tylko zwykłe przeziębienia. Z kolei u partyzantów miałam aż nadto trudnych schorzeń. Głównym problemem Polaków było niedożywienie, co komplikowało sytuację. Okoliczni mieszkańcy robili, co mogli, aby polepszyć sytuację naszych żołnierzy. Oddawaliśmy jajka, piekliśmy chleby, zawoziliśmy im kanki z mlekiem, ale to wciąż było mało.

Nowogród, 1942

Nowy rok nadszedł niepostrzeżenie. Mrozy zelżały, mimo to niechętnie opuszczaliśmy dom. Tylko w nim czułam się bezpieczna. Cała moja nadzieja na spokojne życie w małym miasteczku z dala od ataków Niemców już dawno przepadła, jednak własne cztery ściany wciąż dawały odrobinę ukojenia. Czułam, że jedynymi życzliwymi nam osobami są mieszkające w nim duchy... Nie potrzebowałam żadnego innego towarzystwa. Każdy, kogo spotykałam na swojej drodze, ranił mnie dogłębnie lub zawodził moje zaufanie, jednak Klarze brakowało towarzystwa rówieśników. Robiła, co mogła, aby wyjść do ludzi, a ja nie miałam prawa jej tego odmówić. W końcu to były jej najlepsze lata, które powinny być niewinne i beztrudne, a które to, za sprawą jednego szalonego człowieka, były piekłem na ziemi. Nie było w tym żadnej jej winy, dlatego ostatecznie się próbowałam dać jej namiastkę szczęśliwego dzieciństwa.

Tego dnia po raz pierwszy w swoim życiu Klara miała jeździć na łyżwach. Inne dzieci już od kilku tygodni, dzień w dzień, spędzały długie godziny na stawie zamarznętym pośrodku miasteczka, jednak ja wciąż nie mogłam się przemóc, aby bez wyraźnej potrzeby opuścić nasz drewniany domek.

Z ciężkim sercem zamknęłam za sobą drzwi. Na drodze zamiast śniegu była jedna wielka czarna breja. Idąc do miasteczka, czułam, jak woda przedostaje mi się do butów. To nie był jeden z tych pięknych zimowych dni, o których marzy się w upalne lato, jednak Klarze to nie przeszkadzało. Szła drogą, dumnie niosąc w ręku ostre płozy i skacząc między kałużami.

– Tata też jeździł na tych łyżwach?

– Tak. Rozwalił przez nie kilka par butów. – Zaśmiałam się. – Jaka ja byłam na niego wściekła pewnego razu! Pamiętam, że tamtą parę miał dosłownie kilka razy na sobie. Bał się przyznać, że przewiercił podeszwę, jak przykręcał łyżwy i biedny chodził tak z dziurą w bucie przez kilka dni, aż w końcu sama się zorientowałam, że coś jest nie tak, bo ciągle miał mokre skarpety. Jak sobie przypominę te czasy, to... – zawiesiłam głos. Zdawało mi się, że to było tak niedawno, a jakby w innym życiu. W życiu, w którym byliśmy szczęśliwi.

– Mamo...

Klara złapała moją rękę. Spojrzałam na nią i mimowolnie się uśmiechnęłam.

– Już dobrze. – Potrząsnęłam głową. – Posłuchaj, ja muszę zejść na posterunek i osłuchać jednego żandarma.

Klara przewróciła oczami.

– Dobrze wiesz, że jeżeli nie pójdę, to oni przyjdą po mnie i wtedy nie będzie miło. Pamiętasz, jak było ostatnim razem? Moja odmowa może narazić nas obie. Wiesz, kim oni są – ściszyłam głos. – Poczekaj na mnie nad stawem, dobrze? Muszę mieć na ciebie oko. Zrozumiałaś? – zapytałam dla pewności.

– Tak, mam, ale proszę cię, pośpiesz się!

– Dobrze, to zajmie dosłownie chwilę.

Puściłam jej rękę i skręciłam na drogę prowadzącą do posterunku. Klara czym prędzej pobiegła w stronę czekających już na nią znajomych.

Z pokoju za kuchnią wyglądał już na mnie kaszlący żandarm. W korytarzu zobaczyłam jeszcze dwóch nowych, z tymi samymi objawami. „Akurat dziś...” – westchnęłam w myślach i zdjęłam z siebie kozuch. Roztarłam zimne ręce i wyjęłam z torby fonendoskop. Usiadłam na krześle i ruchem ręki pokazałam chłopakowi, żeby zajął miejsce naprzeciwko mnie.

– Świszczy i furczy – powiedziałam, wyjmując słuchawki z uszu. – I to przy każdym oddechu. Zapalenie opłucnej. Musisz koniecznie jechać do szpitala.

Wstałam i podeszłam do drzwi.

– Następny proszę – powiedziałam po niemiecku, wyglądając zza framugi.

Kolejny żandarm poderwał się na równe nogi i wolnym krokiem ruszył w moją stronę.

– Proszę zdjąć koszulę.

Ponownie usiadłam na krześle. Kątem oka zobaczyłam w drzwiach postać w bryczesach i nienagannie wypolerowanych butach sięgających kolan. Dobrze wiedziałam, kto to, dlatego odruchowo odwróciłam się w przeciwną stronę. Nie mogłam na niego patrzeć. Wciąż czułam na policzku siłę jego uderzenia. Włożyłam słuchawki do uszu i cierpliwie czekałam na kolejnego pacjenta.

– Proszę oddychać powoli i głęboko – instruowałam go. – I obrót proszę.

Przyłożyłam końcówkę fonendoskopu do jego pleców.

– Proszę nabierać więcej powietrza.

Wtedy zauważyłam jakiś podejrzany ruch w przedsionku. Miałam wrażenie, że coś jest nie tak. Nagle za nogami komendanta pojawiła się znajoma twarz. To był wnuczek starej Michałowej.

– Sylwus? – upewniłam się. – Coś się stało?

Chłopaczek stał wystraszony za komendantem, nie wiedząc, jak ma się zachować w obecności tylu Niemców.

– Pani doktor, Klara... Ona wpadła do wody... – w końcu wyjąkał, bawiąc się nerwowo palcami u rąk.

Miałam wrażenie, że przez sekundę cały świat się zatrzymał i nastąpiła nienaturalna cisza. Gdy oprzytomniałam, jednym ruchem wyciągnęłam słuchawki z uszu i tak jak stałam, rzuciłam się w stronę drzwi. Odepchnęłam ręką komendanta, który stał na samym środku przejścia. Już po chwili byłam na zewnątrz. Poczulałam zimne uderzenia powietrza. Uprzytomniłam sobie, że kozuch, w którym przyszłam, został na oparciu krzesła. Mimo to bez chwili zawahania, co sił w nogach biegłam przed siebie. Z daleka zobaczyłam grupę dzieciaków stojących nad brzegiem wody. Prawie cały staw pokryty był warstwą lodu, jedynie na środku ziała ogromna dziura, a w niej moja córka, ledwo widoczna znad tafli.

Rękami przytrzymała się krawędzi lodu. Sekundę później stawiałam już pierwszy krok na zamrożonym stawie.

– Trzymaj się, już po ciebie idę! – krzyknęłam do niej, po czym delikatnie przesunęłam nogę za nogą. Klara nic nie odpowiedziała. Zrozumiałam, że nie miała już sił, a to znaczyło, że za chwilę straci czucie w rękach i nogach. Musiałam się pośpieszyć, ale wiedziałam też, że każdy mój gwałtowny ruch może oznaczać kolejne tąpnięcie lodu.

Idąc, nie spuszczałam z niej wzroku, obserwowałam, jak walczy ostatkiem sił. Byłam już zaledwie trzy metry od niej, gdy nagle zsunęła się pod wodę. Nie próbowała już nawet pływać. Jej ciało zamarzało. Rzuciłam się do niej i w tym samym momencie lód pode mną załamał się. Wpadłam do wody. W pierwszym momencie nie poczułam niczego. Żadnego zimna. Dopiero gdy zanurkowałam i zaczęłam płynąć w kierunku opadającej na dno Klary, poczułam, jakby milion sztyletów wbijał się w moje ciało. Każdy ruch tylko potęgował ból. W końcu złapałam jej rękę i z całych sił podciągnęłam do góry. Udało mi się z nią wypłynąć i nabrałam powietrza, a moje płuca zapłonęły żywym ogniem. Klara dryfowała tuż obok mnie i kaszłała wodą. Złapałyśmy się krawędzi lodu. Wepchnęłam ją na jego powierzchnię.

– Klaro, musisz się czołgać do brzegu! – mówiłam, a moje płuca płonęły. – Słyszysz? Czołgaj się do brzegu!

– A ty? – szepnęła, a jej twarz drżała tak bardzo, że wręcz słyszałam, jak dzwoniła zębami.

– Ja muszę poczekać, aż ty odejdziesz. Lód nie wytrzyma naszego ciężaru. Pośpiesz się!

Klara powoli obróciła się w stronę brzegu, a następnie zaczęła poruszać rękami do przodu, podciągając przy tym do góry nogę za nogą. Na brzegu zaroilo się od przerażonych okolicznych mieszkańców i Niemców, najwyraźniej zaciekawionych całą sytuacją. Klara oddalała się ode mnie coraz bardziej, a ja czułam, jak powoli tracę czucie w nogach. Przejechałam wzrokiem po tafli lodu, szukając miejsca, za które mogłabym się lepiej przytrzymać palcami. Jak na złość, powierzchnia przede mną była gładka. Klara odczołgała się już daleko, mogłam więc zacząć wychodzić. Zamknęłam oczy i skupiłam się na podniesieniu jednej nogi. Oparłam się butem o krawędź lodu, a potem

przerzuciłam cały ciężar ciała na jego powierzchnię. Po chwili byłam już na zewnątrz. Leżałam nieruchomo, patrząc na błękitne niebo i oddychałam z ulgą. Nie wierzyłam, że udało mi się wyjść z tego cało. Uśmiechnęłam się do siebie i w tej samej sekundzie usłyszałam głośne pęknięcie. Lód pode mną puścił, a ja z impetem ponownie wpadłam pod wodę. Nie byłam już w stanie zrobić żadnego ruchu. Widziałam oddalające się światło. Wokół mnie robiło się coraz ciemniej. Swobodnie opadałam na dno. Czułam się całkowicie bezsilna. Byłam pewna, że to już koniec. Nie istniał już dla mnie ratunek. Usłyszałam wtedy jego głos, który przypominał mi, że nazywam się Sambor, a Sambor oznacza tego, który walczy. „Walcz! Walcz!” – powtarzałam sobie w myślach. Kilka razy odepchnęłam się rękoma, potem jeszcze raz, aż wynurzyłam głowę z powrotem na powierzchnię. Wzięłam pierwszy oddech. Był tak długi i głęboki, że miałam wrażenie, iż rozrywa mi płuca. Podpłynęłam do najbliższej krawędzi lodu i złapałam się jej oburącz. Spojrzałam na swoje ręce, były całe sine. Moje ciało dygotało. Organizm, wprawiając wszystkie mięśnie w ruch, próbował chronić się przed utratą resztek ciepła. Bolały mnie nogi i głowa, zaczynałam tracić świadomość. To były pierwsze objawy hipotermii. Wiedziałam, że jeżeli za chwilę się stąd nie wydostanę, to na ratunek będzie za późno. Próbowałam podnieść nogę, ale była jak z kamienia. Nie miałam siły nią poruszyć. Nie mogłam nic zrobić. Spojrzałam przed siebie. Klara siedziała na brzegu okryta kołdrą. Była bezpieczna, to najważniejsze. Krzyczała coś do mnie, ale nie słyszałam żadnego słowa. Miałam wrażenie, że w uszach nadal mam wodę. „Sambor...” – powiedziałam sobie w duchu. Ostatni raz! Zebrałam w sobie całą złość, nienawiść, szczęście i miłość. Z mojego gardła wydobył się przeraźliwy, wręcz dziki jęk, a moja prawa noga jakimś cudem była już na tafli lodu. *Jeszcze raz*, pomyślałam. Dasz radę! Po chwili ponownie leżałam na powierzchni. Nie czułam już zimna. Spojrzałam na bezchmurne niebo. Było tak piękne, nieskażone żadnym złem. Chciałam tu zostać i chwilę odpocząć, wiedziałam jednak, że jeżeli zasnę, już się nie wybudzę. Obróciłam się na brzuch i zaczęłam podciągać w kierunku brzegu. Gdy przeczołgałam się kilka pierwszych metrów, zastygłam bez ruchu. To tyle. Nic więcej nie zdołam zrobić. Byłam jak kostka lodu, cała zamarzłam. Nawet moje powieki zrobiły się

sztywne. Patrzyłam na swoje sine palce. Nagle zauważyłam zbliżające się do mnie wypastowane i idealnie wypolerowane, znajome buty. Zamknęłam oczy. Poczułam, że moje ciało unosi się. Gdy uniosłam powieki, zobaczyłam jego twarz. Biegł, trzymając mnie w ramionach. Znowu ciemność. Zapraagnęłam zasnąć, chwilę odpocząć. Nigdy wcześniej w swoim życiu nie czułam takiego zmęczenia. Byłam wycieńczona. Po chwili poczułam, że ktoś uderza mnie w policzek, a potem w drugi. Otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą drewniany sufit posterunku. Leżałam na stole w jadalni. Komendant wyglądał na przerażonego. Mówił coś do mnie, ale ja nadal byłam pod wodą. Ewa zdejmowała mi sukienkę. *To na nic*, pomyślałam. Za późno. Zamknęłam ponownie oczy. Gdyby był tu Janek... Diagnoza. Wychłodzenie organizmu. Zaburzenia rytmu serca. Zahamowanie ośrodka oddechowego. Zalecenia. Szpital. Medykamenty. Tak, niezbędne są medykamenty. Tak! Przebłysk! Ta myśl rozpałała na nowo moje nadzieje! Jest jedna szansa...

– Epinefryna... – powiedziałam, chociaż miałam wrażenie, że moje usta nawet nie drgnęły. – Epinefryna... – powtarzałam w kółko i w kółko. Otworzyłam oczy. Nikt nie zauważył, że mówię. – Epinefryna!

Próbowałam mówić głośniej. Komendant stał obok mnie i rozcierał moje ręce. Spojrzałam na niego. Głowę nadal miałam nieruchomą. W końcu zauważył mój wzrok i przysunął się bliżej mojej twarzy.

– Epinefryna. Strzykawka. Epinefryna... – mówiłam.

Komendant przystawił ucho bezpośrednio nad moje usta, tak blisko, że niemalże dotykałam je wargami. – Epinefryna. Strzykawka...

Odsunął głowę. Zobaczyłam, jak otwiera szeroko oczy, po czym wybiega z kuchni. „Usłyszał” – pomyślałam. Zamknęłam oczy. Musiałam zrobić coś jeszcze. Próbowałam skupić uwagę na swojej lewej ręce. Robiłam to tak długo, aż w końcu poczułam, że się unosi. Położyłam ją nad swoją pierś i zaczęłam liczyć. Jedno. Drugie. Trzecie. Czwarte. Piąte. Położyłam palec wskazujący na czwartym żebrze, a środkowy na piątym. Miałam nadzieję, że komendant domyśli się, co chcę mu pokazać, że to właśnie tu musi przeprowadzić wkłucie. Znowu otworzyłam oczy. Zobaczyłam, że się nade mną nachyla, trzymając w jednym ręku strzykawkę, a w drugim ampułkę z epinefryną. Słyszałam, jak krzyczy do mnie z oddali. Ile... Ile... Ile... Nie mogłam mu już nic odpowiedzieć.

Czułam, jak moje serce zwalnia, jak oddech staje się coraz płytszy. Ręka zsunęła mi się z powrotem na stół.

Chwilę później moje serce próbowało wyskoczyć z piersi. Niewidzialna siła chciała rozsadzić je od środka. Jakby ktoś nagle dorzucił do pustego pieca cały stos żarzącego się drewna. Epinefryna, pomyślałam... Hormon strachu, walki i ucieczki. Wstrzyknięta w serce w stanie zagrożenia życia potrafi zdziałać cuda. Otworzyłam szeroko oczy i ponownie nabrałam do płuc powietrza. Potem znowu nastąpiła ciemność.

Nie chciałam się jeszcze budzić. Było mi tak przyjemnie, tak wygodnie. Z wolna otworzyłam oczy. Leżałam zwrócona twarzą do drewnianej ściany. W oknie wisiała ciężka, zielona zasłona. Od razu poznałam to miejsce. Momentalnie usiadłam na łóżku. Na stoliku nocnym tliła się lampa naftowa, w pokoju panował półmrok. W fotelu po drugiej stronie pokoju siedział komendant. Trzymał w dłoni dymiącego papierosa. Podciągnęłam kołdrę pod szyję. Wzrokiem zaczęłam szukać swoich ubrań. Wisiały na oparciu krzesła, naprzeciwko biurka.

– Co z moją córką? – zapytałam ochrypłym głosem.

– Jest cała i zdrowa – powiedział, gasząc papierosa.

Odetchnęłam z ulgą.

– Czy mi się wydaje, czy pani ma skłonności samobójcze? Co pani strzeliło do głowy, żeby rzucać się do wody?

– Ma pan dzieci?

– Nie – odpowiedział chłodno. – Nie mogliśmy mieć z żoną dzieci.

Nic nie odpowiedziałam. Byłam zszokowana tak osobistym wyznaniem komendanta. Nie wiedziałam nawet, czy chciałam to wiedzieć.

– Dla Klary oddałabym życie. Moje bez niej jest nic niewarte.

Komendant podniósł się z fotela i zaczął iść w moim kierunku. Ścisnęłam mocniej kołdrę w dłoni. Idąc, wziął z krzesła moje ubrania i położył je w zasięgu mojej ręki. Potem wycofał się i stanął w oknie, wyglądając czegoś na zewnątrz. Korzystając z okazji, nie wychodząc spod kołdry, założyłam bieliznę. Komendant nadal stał bez ruchu, zwrócony twarzą do okna. Wstałam i zaczęłam zakładać pończochy. W tym momencie Niemiec odwrócił się i znowu zaczął iść w moją stronę. Zaciśnęłam zęby i udawałam, że nie czuję żadnego skrępowania. W końcu to było tylko ciało. Głowa, tułów i dwie pary kończyn. Nic

więcej. Wyprostowałam się i założyłam halkę. Potem sięgnęłam ręką po sukienkę. Komendant stał nieruchomo zaledwie metr ode mnie. Nie patrzyłam w jego stronę, ale czułam, że mi się przygląda.

– Czy mogę już iść do domu? – zapytałam, gdy skończyłam zapinać ostatni guzik sukienki.

– Tak.

Dopiero teraz się uspokoiłam. Zrobiłam krok w stronę drzwi.

– Dziękuję. – Odwróciłam się i popatrzyłam mu w oczy. – Uratował mi pan życie. Nie wiem tylko, czym sobie na to zasłużyłam.

Komendant zrobił kolejny krok w moją stronę. Stał zdecydowanie zbyt blisko. Napięłam całe ciało. Nie byłam w stanie się poruszyć. Zamarłam. Gdy zauważyłam, że wyciąga rękę w kierunku mojej twarzy, odruchowo zasłoniłam się, broniąc przed jego kolejnym atakiem. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Opuściłam dłonie i zobaczyłam zmieszanie na jego twarzy. Komendant cofnął się w głąb pokoju.

– Do widzenia, pani Sambor – powiedział oschle.

– *Gute Nacht, Herr Kommandant Hizel* – odpowiedziałam i ruszyłam do drzwi.

– Jeszcze jedno.

– Tak? – zapytałam, nie odwracając się.

– Jak poczuje się pani lepiej, to wrócimy do rozmowy, skąd w pani torbie znalazły się te wszystkie medykamenty.

Serce zaczęło mi szybciej bić. Nic więcej nie powiedziałam. Złapałam za klamkę i po chwili byłam już na schodach. Na szczęście, mimo upływu dni, do żadnej rozmowy nie doszło, a ja starałam się, jak mogłam, aby unikać kolejnego spotkania z komendantem.

Mróz ścisnął coraz mocniej. Zima hulała w najlepsze. Po ostatniej przygodzie rzadko opuszczaliśmy dom, pogoda zresztą nawet do tego nie zachęcała. Najgorsze w tym wszystkim były codzienne domowe obowiązki, a zwłaszcza rąbanie drewna, którego zapasy kurczyły się nam w zastraszającym tempie. Dla dwóch kobiet, a raczej dla jednej, takie zadanie było nie lada wyzwaniem. Na nic tu była moja chirurgiczna precyzja cięcia; potrzebna była tylko siła mięśni.

Męczyłam się od kilku dni z jednym powalonym drzewem, które przyciągnęliśmy z lasu, gdy nagle pod nasz dom podjechały sanie zaprzężone w konia.

– Pochwalony – powiedział woźnica, gdy tylko zszedł z wozu.

– Pochwalony – odpowiedziałam.

– Pani doktor?

– Zgadza się. Coś trzeba?

– Kobieta mi rodzi.

Popatrzyłam na stojącego naprzeciwko mnie mężczyznę. Miał około pięćdziesięciu lat. Od razu pomyślałam, że żona musiała być dużo młodsza od niego. Coś jednak nie pasowało mi w jego zachowaniu, tylko nie byłam pewna co.

– Bardzo panią proszę! Błagam, ratunku!

Chłop najwyraźniej zobaczył moje zawahanie.

– Dobrze. Zaraz wrócę. Muszę zabrać torbę.

Po chwili wyszłam z domu, niosąc skórzaną torbę sanitarną.

– Daleko jedziemy? – zapytałam, gdy tylko wyjechaliśmy z miasteczka.

– Do Śniadowa.

– Kawał drogi. Nie macie tam nikogo bliżej? – dopytałam.

Chłop zaprzeczył głową. Zobaczyłam krople potu spływające na jego czoło spod ogromnej czapki. Coś ewidentnie było nie tak. Jeżeli to zasadzka zorganizowana przez Niemców? Może nawet komendant maczał w tym palce? A może to nasi wydali na mnie wyrok? Ale przecież Zając obiecał... Całą drogę biłam się z myślami. Mogłabym przecież spróbować uciec. Jeżeli jednak jest jakaś rodząca kobieta, która na mnie czeka, co wtedy? Zostawić ją w potrzebie? W końcu dojechaliśmy do jego wsi. Śniadowo było dużo mniejsze od Nowogrodu, a mimo to również tutaj Niemcy mieli swój posterunek. Domyśliłam się, że to ze względu na stację kolejową, która była zapewne jakimś ważnym punktem przerzutowym. Gdy zajechaliśmy na niewielkie podwórze i weszliśmy do drewnianego domku stojącego nieopodal rynku, chłop oblały już siódme poty, a ja rozglądałam się nerwowo za jakąś wskazówką, która wyjaśniłaby mi, co się właściwie dzieje. Mężczyzna zaprowadził mnie do domu. Wszłam do środka z duszą na ramieniu. To, co tam zobaczyłam, w pierwszym momencie mnie przeraziło. Tak jak przypuszczałam, nie

było żadnej rodzącej. Na stole leżał młody chłopak. Krwawił z brzucha i pleców.

– To mój syn – powiedział chłop. – Ma dopiero siedemnaście lat. Uratuje go pani?

Podeszłam bliżej rannego. Szczupły blondyn wpatrywał się we mnie uważnie. Popatrzyłam na jego obrażenia.

– Partyzant? – zapytałam.

Chłopak kiwnął głową.

– Ja mu zabraniałem – tłumaczył ojciec – ale on się uparł. Niemcy mu matkę zabili. Powiedział, że im tego nie daruje. Już tylko jego mam. Niechże pani go uratuje! Ja wiem, że pani Niemka, ale on żadnego z was nie zabił. Prawda synu?

– Jestem Polką – powiedziałam, nie odrywając wzroku od krwawiącego ciała chłopaka. – Jak cię zwa?

– Ryba.

– Posłuchaj mnie, Ryba. Obejrzę teraz twój brzuch i plecy. Postaram się ci pomóc. Dobrze?

Chłopak kiwnął głową i zaczął powoli zdejmować koszulę. Jęczał przy tym niemiłosiernie. Ojciec doskoczył do niego i rozerwał mu ją, tak żeby nie musiał się więcej sam trudzić. Ja w tym czasie wyszorowałam ręce mydłem i polałam spirytusem. Zaczęłam od rany na brzuchu, która wciąż krwawiła.

– To tylko draśnięcie. Głębokie co prawda, ale niegroźne.

Zszyłam ranę i posypałam proszkiem sulfonamidowym. Z kolei w ranie na plecach nadal siedział pocisk. Szczęśliwie dla chłopaka, utknął w łopatce. Kość, mimo siły uderzenia, wciąż była cała. Kleszczami wyjęłam kulę i zaszyłam wlot.

– Miałeś farta – powiedziałam, odkładając narzędzia do torby. – Uciekałeś? – dopytałam.

– No co pani! Ja bym nigdy! – oburzył się wyraźnie.

– Chodzi mi o to, czy oberwałeś na stojąco, czy leżąc?

– Stałem.

– W takim razie, skoro pocisk nie dotknął ziemi, nie powinno dojść do zakażenia. Gdyby wystąpiły duszności lub opuchlizna, od razu wołajcie po mnie, bo to może być tęzec, rozumiano?

– Jak pani dziękować? – zapytał chłop.

– Proszę mnie odwieźć. Nic nie trzeba. Syna proszę podtuczyć, bo chudy jak szczapa.

– Pani doktor, a kiedy mogę wrócić do oddziału?

Ojciec popatrzył ze strachem na syna, a potem na mnie. Wiedziałam, że muszę łąć.

– Nie będę cię okłamywać, to poważne obrażenia. Szwy mogą puścić. Możesz dostać krwotoku wewnętrznego i w kilka godzin zejść z tego świata. Musisz odpoczywać. Dwa, trzy miesiące. Zrozumiałeś?

Chłopak przytaknął, a z ojca jakby zeszło powietrze. Ja z kolei odetchnęłam, dopiero gdy wysiadłam z wozu pod swoim domem.

Z niedowierzaniem patrzyłam, jak mąż Stefci rąbie moje drewno, a ona sama układa je w stos pod chlewkiem. Uśmiechnęłam się do nich jak do najserdeczniejszych przyjaciół. Razem ze Stefcią weszliśmy do domu. Na szczęście Klara podtrzymywała ogień w piecu, dzięki czemu w środku było przyjemnie ciepło.

– Herbaty? – zaproponowałam.

– A może coś mocniejszego? Tak dla zdrowotności? – zapytała, wyjmując z torby butelkę z czerwonym płynem. – Wiśniowa nalewka własnej roboty – powiedziała dumnie.

Na ten widok aż podskoczyłam radośnie. Wyjęłam dwa kubki, żadnych kieliszków nie miałam, a Stefcia nalała do każdego z nich.

– Mocna, trzeba pić po trochu, ale rozgrzewa jak trzeba!

Gdy wypiliśmy, Stefcia nagle zapytała mnie bez ogródek.

– A gdzie szanowny doktor?

– Janek nie żyje.

– Ludzie tak mówili, ale ja to nie lubię w plotki wierzyć – oznajmiła chłodno. – Przykro mi, Alicjo, naprawdę. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, co musiałaś przejść. Ja bez mojego Jędrka nie umiałabym już chyba żyć.

– Ja też tak kiedyś myślałam... Kochałam Janka nad życie. Musisz mi uwierzyć. Nigdy nie czułam takiego bólu jak tamtego dnia – tłumaczyłam jej, patrząc w tańczące płomienie ognia na ostatniej już

szczapie drewna. – Ale była Klara, ona dała mi siłę i chęć do walki. Gdyby nie ona...

– Wiesz, jak to mówią? Jesteś młoda i ładna, jeszcze znajdziesz kogoś.

– Nie chcę nikogo – rzuciłam bez zastanowienia. – Raz kochałam. Raz wyszłam za męża. Starczy jak na jedno życie.

– A nasz komendant? – zapytała, rozlewając ponownie nalewkę do kubków i ukradkiem na mnie zerkając. – Tylko szczerze, przecież ja swoja.

– Szczerze? – dopytałam.

Kiwnęła głową.

– Przed wojną, mijając go na ulicy, mogłabym mu rzucić powłóczyście spojrzenie... – Zaśmiałam się.

– A teraz?

– A teraz jest wojna, a on jest Niemcem... – powiedziałam, momentalnie przestając się, uśmiechać.

Zima w tym roku chciała chyba wszystkich wykończyć. Wielkie hałdy śniegu blokowały każdą drogę. Niemcy prawie wcale nie ruszali się z posterunku. Nie lepiej było z nami. Musiałam wydrążyć niemalże dwumetrowy tunel, aby móc przejść przez podwórze do kur. Tej nocy Klara zasnęła wycieńczona po kilkugodzinnym odśnieżaniu ścieżek wzdłuż domu, tymczasem ja, przy niewielkim płomieniu lampy naftowej, robiłam na drutach. Żałowałam, że nie umiałam zrobić nic bardziej skomplikowanego niż szalik. Włóczki miałam mało, więc gdy go kończyłam, rozpuszczałam sploty i dziergałam od początku. W pewnym momencie rozległo się ciche pukanie. Przez myśl przeszło mi, że to Zając, jednak gdy otworzyłam drzwi, przeraziłam się na widok mężczyzny w długim niemieckim płaszczu SS.

– To ja – powiedział półszepem.

– Boże! – złapałam się za serce. – Zając! Prawie umarłam ze strachu!

– Mogę?

– Wchodź – przepuściłam go w drzwiach. – Dawno cię nie było. Wszystko dobrze?

– Tak – powiedział niepewnie.

Popatrzyłam na niego. Wyglądał jak cień człowieka. Cały trząsał się z zimna. Był brudny i przemoczony.

– Usiądź przy piecu, ogrzejesz się.

Zdjęłam mu płaszcz i nakryłam go czystym kocem.

– Zjesz coś?

– Wszystko – odpowiedział bez wahania.

Zaczęłam szykować mu jajecznicę. Wstawiłam też zupę na ogień.

– Co słychać?

– Zima – odpowiedział wymijająco.

– Nawet nie mogę sobie wyobrazić, jak ciężko musi wam być tam w lesie.

– Jakoś damy sobie radę.

– Zostaniesz chwilę?

– Tylko chwilę. Nie mam obstawy, a Niemcy mogą się tu szwendać.

– Niemcy dziś na krok nie wyjdą z posterunku.

– Zasypało ich? – dopytał.

– To też. Wszyscy mają niezbyt żołądka. Byłam u nich rano. Ledwo żyją. Nawet komendant – powiedziałam uradowana, chociaż nie powinnam była.

– Chociaż raz jest im gorzej niż nam – stwierdził, uśmiechając się szeroko.

– Nastawię sagan z gorącą wodą. Wykąpiesz się – oznajmiłam.

– Nie trzeba – odpowiedział skrzępowany.

– Trzeba. Strasznie capisz. – Zaśmiałam się. – Nie wypuszczę cię takiego z powrotem do lasu, bo całą zwierzynę wystraszysz.

Zając naprawdę zjadł wszystko, co mu podstawiłam pod nos. Nie żałowałam mu niczego. W międzyczasie przygotowałam balię z gorącą wodą w sąsiednim pokoju.

– Proszę, tu masz mydło.

– Mydło? Widzę, że ci się powodzi – powiedział zaskoczony tym widokiem. – Rozumiem, że to od nich.

Wyczułam w jego głosie nutę rozzalenia.

– To zapłata za moją pracę. Chcesz czy nie? – odpowiedziałam, dotknięta jego uwagą.

Zając wziął ode mnie mydło. Po chwili zamknęłam za sobą drzwi, zostawiając go w pokoju samego. Poszłam do swojej sypialni, gdzie leżała śpiąca Klara. Zanurkowałam w szafie z ubraniami i po omacku wyszukałam męskie spodnie i koszulę. Gdy wyszłam z sypialni, odczekałam jakiś czas, po czym zastukałam w drzwi drugiego pokoju.

– Proszę. – Usłyszałam głos wydobywający się z za nich.

Delikatnie je uchyliłam.

– Przyniosłam czyste ubranie. Rzucę ci je tu na podłogę. Brudne mi zostaw, to je wypiorę i zaceruję. Weźmiesz następnym razem.

– Możesz wejść. Ciemno tu jak w lesie.

Ostrożnie weszłam do środka. Rzeczywiście było ciemno. Delikatne światło księżyca oświetlało jedynie skrawek podłogi pod oknem. Zostawiłam rzeczy na łóżku i wycofałam się do kuchni.

Kwadrans później do kuchni wszedł Zając. Wyglądał jak inny człowiek. Na jego widok szeroko się uśmiechnęłam.

– No, teraz to tak! – Zaśmiałam się. – Możesz spokojnie łamać damskie serca!

– Mów mi tak jeszcze, to się mnie nie pozbędziesz! Zostanę z tobą na zawsze.

Puściłam jego uwagę mimo uszu. Zrobiło mi się go żal. Pozwoliłabym mu zostać bez zastanowienia. Dałabym dach nad głową i jedzenie. Oboje jednak dobrze wiedzieliśmy, że musiał wracać.

– Usiądź na taborecie pod oknem, to zrobię porządek z twoją czarną czupryną.

– Gdybym wiedział, że będzie tu tak miło, to przyszedłbym wcześniej – zażartował.

Wyjęłam nożyczki i grzebyk z szuflady. Okryłam jego plecy kawałkiem starego prześcieradła i zaczęłam ciąć. Precyzyjnie włosy po włosku, jakbym przeprowadzała jedną ze swoich operacji. Gdy przycinałam mu grzywkę, nachyliłam się blisko jego twarzy. Dzielili nas zaledwie kilka centymetrów. Czułam, jak Zając uważnie przygląda mi się swoimi czarnymi oczami. Spojrzałam na niego i przez chwilę wpatrywali się w siebie. Mężczyzna delikatnie chwycił mnie za dłonie i zaczął przysuwać swoją twarz do mojej. Wiedziałam, co chciał zrobić i nie mogłam mu na to pozwolić.

– Skończyłam – powiedziałam, odskakując od niego i uwalniając swoje ręce.

Zając wstał bez słowa.

Minął mnie i ruszył w kierunku korytarza.

– Pójdę już. Dziękuję za wszystko.

Zobaczyłam, jak zakłada podarowany przeze mnie szary sweter, który suszył się przy piecu. Gdy stał w nim gotowy do dalszej drogi, myślami wróciłam do swojego męża. Tak bardzo mi go w nim przypominał. Byli podobnej postury i wzrostu. Nawet kolor włosów się zgadzał. W ciemnościach panujących w domu, mogłam nawet uwierzyć, że to on...

– Zostań jeszcze – wyszeptałam. – Proszę.

– Będzie lepiej dla nas obojga, jeżeli teraz odejdę. Po wizycie tutaj powrót do lasu i tak będzie ciężki. – Westchnął. – Dzisiejszą noc będę wspominał każdej kolejnej, aż do następnego spotkania, a jak będzie już naprawdę źle, to wyobrazę sobie, że nie odsunęłaś wtedy swoich ust od moich...

– Zając... – powiedziałam łamiącym się głosem. Nie chciałam, żeby odchodził, ale z całkiem innych powodów. Nie czułam do niego tego, na co ewidentnie liczył, ale gdy tu był, miałam wrażenie, że jest też mój Janek.

– Witek. Mam na imię Witek – przerwał mi, jakby odczytując moje myśli.

Podeszłam do niego, zanim zdążył chwycić klamkę. Wtuliłam się mocno w jego ciało, przylgnęłam do jego piersi. Poczułam na policzku przyjemną w dotyku wełnę. Zrobiłam głęboki oddech. Sweter nie pachniał już moim mężem. Czuć było od niego jedynie zapach igliwia. Dotarło wtedy do mnie, że straciłam Janka już na zawsze.

Zając stał niewzruszony. W końcu przytulił mnie z całych sił. Oboje tego potrzebowaliśmy. Wtedy ponownie zapytałam, czy zostanie. Zgodził się. Zrobiłam herbatę i przesiedzieliśmy kolejną godzinę przy stole. Rozmawialiśmy o innym życiu, o świecie, który nam zabrano. Snuliśmy plany na przyszłość. Opowiadaliśmy o swoich marzeniach. Przez ten krótki moment wydawało nam się, że nie ma żadnej wojny, nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Byliśmy dwojgiem przyjaciół, pijących gorącą herbatę przy blasku księżyca. Tej nocy Zając zasnął w czystej i ciepłej

pościeli, z kolei ja, po raz pierwszy od dawna, zasypiałam z uśmiechem na ustach. Nie spodziewałam się, że danie komuś odrobiny czułości i nadziei w tych okropnych czasach przyniesie mi tyle satysfakcji i choć na chwilę ukoji mój własny ból. Rano, gdy tylko pojawiły się pierwsze promienie słońca, cicho wymknęłam się ze swojego łóżka i weszłam do sąsiedniego pokoju. Jego posłanie stało już puste. Nienagannie pościelone. Na ten widok, nie wiedząc czemu, poczułam w sercu smutek.

Z utęsknieniem wyglądaliśmy pierwszych oznak wiosny. W końcu, gdy nadeszła, nie mogliśmy się nią nacieszyć. Wstąpiło w nas jakby nowe życie. Niestraszne nam były nawet samoloty lecące nisko nad naszymi głowami. Ostatnimi czasy zamiast ostrzeliwać na ślepo każdą wieś na swojej drodze, leciały obładowane bombami daleko na wschód. Jediną naszą obawą były salwy z niemieckich peemów. Na szczęście zawsze były to tylko dolatujące nas echa wystrzałów.

Idąc na posterunek, napawałam się widokiem zieleniejącej łąki. Pomyślałam, że jeszcze tydzień lub dwa i pojawią się pierwsze tulipany. Dziadkowie Janka mieli ich pełno w swoim ogrodzie. Byłam ciekawa, ile wyrosnie w tym roku. Tego dnia wokół panowała głucha cisza, zupełnie jakby wojny nie było. Postanowiłam sobie w duchu, że w najbliższą niedzielę urządzimy z Klarą piknik nad rzeką. Mieszkałyśmy zaledwie kilka metrów od niej, a na palcach jednej ręki mogłam policzyć, ile razy byliśmy tam obie ubiegłego lata.

– Dzień dobry! – przywitałam się z Ewą idącą w moją stronę. Niosła pusty koszyk. Zapewne wybierała się na targ. Ona jednak udała, że mnie nie widzi. Zastanawiałam się, dlaczego ta dziewczyna tak mnie nie lubi. Od początku donosiła na mnie partyzantom. Tylko ona wiedziała o uratowanym przeze mnie Niemcu, a już po kilku godzinach słyszeli o tym leśni.

– Mam się dziś stawić na posterunku. Nie wiesz, o co chodzi? – dodałam, licząc, że jednak się zatrzyma i powie mi coś więcej o sytuacji u Niemców.

– Komendant ma dziś urodziny i wybrał już sobie prezent. – Przystanęła i rzuciła mi pogardliwe spojrzenie.

Serce zaczęło mi mocniej bić. Czy mówiła prawdę? Może tylko ze mną pogrywała? Postanowiłam się z nią rozmówić.

– Ewo, wydaje mi się, że chyba źle zaczęłyśmy naszą znajomość. Alicja jestem. – Wyciągnęłam do niej swoją dłoń, jednak dziewczyna nawet na mnie nie spojrzała. Cofnęłam rękę. – Nie jestem wrogiem. Przecież wiesz.

– Jest pani lekarką nazistów. To mi wystarczy.

– A ty jesteś kucharką nazistów, czyż nie?

– Ja, gdybym mogła, zabiłabym ich wszystkich – powiedziała półszeptem. – Wzięłabym pistolet i po kolei wystrzelałabym każdego z nich.

– Zrobili ci jakąś krzywdę? – zapytałam przerażona.

– Nie – zaprzeczyła. – Tego jednego komendant zabronił tym swoim nazistom i to pod groźbą wyjazdu na front. Ale to niczego nie zmienia! Wszyscy są sobie warci! Zasługują na śmierć!

– To dlaczego jeszcze ich nie zabiłaś? – zapytałam z ironią.

– Bo mam inne zadanie. Dobrze pani o tym wie.

Uśmiechnęłam się do niej jak do dziecka, które nie wie, co mówi. Była głupią smarkulą, która tylko myślała, że mogłaby to zrobić. Nie miała pojęcia, jak trudno jest odebrać komuś życie. Gdy umarł mój pierwszy pacjent, byłam zdruzgotana. Uważałam, że to koniec mojej kariery. Chciałam się poddać. Nie chciałam brać odpowiedzialności za kolejne ludzkie życie. Nie pamiętałam, ilu pacjentów zdołałam w swoim życiu uratować, ale doskonale znałam liczbę tych, którzy przy mnie odeszli, bo nie potrafiłam im pomóc.

– Myślisz, że byłabyś w stanie zabić drugiego człowieka?!

– Niemcy to nie ludzie.

– To nie jest takie proste, jak myślisz. Wiem, co mówię.

– Doprawdy? Nie widać tego po nich. Strzelają do nas jak do kaczek.

– Ewo... – zaczęłam – nie chciałabyś żyć z takim ciężarem. Jesteś młoda. To kiedyś się skończy. Nie rób nic głupiego. Pomyśl o swoich rodzicach.

– Wolę myśleć o bracie, którego mi zabili – odpowiedziała i ruszyła przed siebie.

Na podwórku przed posterunkiem ustawiony był wielki stół suto zastawiony jedzeniem. Zobaczyłam też kilka butelek bimbrow. Zatem Ewa mówiła prawdę. Komendant musiał mieć dziś urodziny, skoro pozwolił swoim żołnierzom na taką swobodę. Oczywiście kilku z nich pełniło wartę, więc nie obawiali się żadnej zasadzki ze strony leśnych. Przez myśl przeszło mi, żeby zawrócić, uciec do domu, ale bałam się, że komendant wyśle po mnie jednego z tych pijanych żandarmów, a nie wiadomo, co takiemu strzeli do głowy. Klara miała co prawda dopiero trzynaście lat, ale dla nich to nie miało większego znaczenia. Nie było nic gorszego od pijanego Niemca z naładowaną bronią. Musiałam zagryźć zęby i iść na górę.

– Proszę. – Usłyszałam głos komendanta, gdy zapukałam do jego gabinetu.

Powoli otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Od razu zobaczyłam stolik znajdujący się niedaleko okna. Na białym obrusie ustawione były talerze i kieliszki do wina, a pośrodku paliły się dwie świece. Pomimo że było południe, w pokoju było dosyć ciemno. Prawie wszystkie zasłony zostały zaciągnięte i skutecznie blokowały promienie słońca. Przestraszyłam się tego widoku. Nie chciałam być tym prezentem, o którym mówiła Ewa...

– *Guten Tag, Herr Kommandant* Hizel – powiedziałam speszona.

– Dzień dobry – odpowiedział, wstając zza biurka. – Spóźniła się pani.

Komendant wyglądał jakoś inaczej. Uśmiechał się do mnie podejrzenie. Dopiero po chwili zorientowałam się, że nie ma na sobie marynarki, z którą do tej pory się nie rozstawał. Zielona koszula bez tych wszystkich swastyk, patek na kołnierzu i plecionych naramienników nie wyglądała już tak groźnie.

– Przepraszam, straciłam rachubę czasu.

– Nic się nie stało. Proszę, niech pani siada, zanim wszystko wystygnie – powiedział troskliwie.

Komendant podszedł do stolika i wysunął jedno krzesło, dając mi znak, że mam na nim usiąść.

– Nie bardzo rozumiem, panie komendancie. Skoro wszyscy zdrowi, co ja tu robię? – Udałam, że nie wiem co to za okazja.

– Chciałem zjeść dzisiejszy obiad w miłym towarzystwie – oznajmił niespodziewanie. – Proszę. – Ponownie wskazał na puste krzesło. – Nie chciałbym się znowu powtarzać.

Odłożyłam torbę pod drzwiami i zajęłam wyznaczone miejsce.

– Mam nadzieję, że jest pani głodna. Ewa przygotowała potrawkę z indyka – mówił zachęcająco, a ja oczami wędrowałam po stole.

– Właściwie jestem już po obiedzie – skłamałam.

Komendant od razu to zauważył. Widziałam, jak zaciska usta, ale nic nie powiedział. Odkrył półmisek i nałożył mi na talerz solidną porcję indyka.

– Smacznego – powiedział, gdy oboje mieliśmy już pełne talerze.

– Czy wolno mi zapytać, co to za okazja?

– Nic wielkiego. Moje czterdzieste urodziny.

– Jest pan tylko dwa lata ode mnie starszy... – wystrzeliłam bez zastanowienia.

– Rozumiem, że wyglądam na dużo starszego? – dopytał, zaciekawiony moją opinią.

– Nie, nie o to mi chodziło – powiedziałam i włożyłam sobie do ust pierwszy kawałek indyka z nadzieją, że chociaż na chwilę nie będziemy musieli ze sobą rozmawiać. Powoli przeżuwałam każdy kęs.

– Wina? – zapytał, wstając i biorąc do ręki znajdującą się na stoliku butelkę.

– Nie powinnam.

– Dziś ma pani moje specjalne pozwolenie. Chyba wypije pani zdrowie swojego komendanta?

Nie patrząc na niego, wzięłam kieliszek do ręki i upiłam łyk.

– Bardzo dobre – powiedziałam wymijająco. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio piłam tak dobre wino.

– Czyli na „sto lat” nie mam co liczyć? – Zaśmiał się.

– Panie komendancie, proszę mi wybaczyć, ale jeżeli mogę, to chciałabym już wracać do domu.

Komendant znowu zacisnął usta. Momentalnie spoważniał.

– Nie smakuje pani?

W jego głosie wyczułam irytację.

– Smakuje i to bardzo, ale, jak pan sam wie, stoimy po dwóch stronach barykady i żadne wino, nawet nie wiem jak dobre, tego nie zmieni.

– Dobrze. – Rzucił serwetkę na swoje kolana. – Proszę mi w takim razie powiedzieć, skąd miała pani epinefrynę.

Nagle zmienił swój wyraz twarzy i obniżył ton głosu. Jego oczy rozbłysły złowrogo. Poczułam, jak moje tętno przyśpiesza. Wzięłam duży łyk wina, a potem kolejny. Po chwili odstawiłam pusty kieliszek na stół. Wiedziałam, że alkohol przyhamuje mój tik nerwowy i będę mogła zamydlić mu oczy jakimś kłamstwem. Komendant dolał mi wina.

– Jak podobał się pani Wiedeń? – zapytał znenacka, czym zupełnie wytrącił mnie z równowagi.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie. Jego twarz znowu przybrała łagodny wygląd. Komendant nie odrywał ode mnie oczu. Ja również przyglądałam mu się dłużej, niż powinnam. W końcu wbiłam wzrok w trzymany w rękę kieliszek.

– Jestem w nim zakochana – odpowiedziałam szczerze. – Ta zieleń na każdym kroku, promenada nad pięknym Dunajem. Majestatyczna katedra Świętego Szczepana. Nigdy później nie jadałam tak dobrego sznycła i oddałabym wszystko za kawałek tortu Sachera, a najlepszą kawę serwują na rogu Favoritenstrasse i Kolschitzkygasse! – Rozmarzyłam się. – To były czasy...

Mimowolnie się uśmiechnęłam.

– W końcu zobaczyłem uśmiech na pani twarzy – powiedział z satysfakcją.

Spojrzałam na niego. Komendant kończył swoje wino, nie odrywając ode mnie oczu. Poczułam, że robi mi się gorąco. Nie wiedziałam tylko czy przez jego jasnoblękitne, świdrujące mnie spojrzenie, czy przez wypity trunek.

– Był pan kiedyś w Wiedniu? – Próbowałam wrócić do tematu.

– Zdarzyło mi się. Mam tam kilku znajomych.

– Więc wie pan, o czym mówię. Wiedeń zaskakiwał mnie na każdym kroku. Pamiętam, że kilka dni po moim przyjeździe do miasta wybraliśmy się na jakąś awangardową wystawę technik teatralnych znanego na całym świecie artysty i po raz pierwszy w życiu

zaniemówiłam. Dosłownie wszyscy podziwiali eksponaty w kompletnej ciszy. Nigdy wcześniej ani później nie przeżyłam czegoś podobnego.

Komendant popatrzył na mnie z zaciekawieniem. Zobaczyłam, jak się nad czymś zastanawia.

– Czy przypadkiem nie mówi pani o wystawie Frederica Kieslera z września tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku?

Teraz ja popatrzyłam na niego ze zdumieniem.

– Tak, skąd pan wie? – zapytałam, prostując się na krześle.

Komendant zaśmiał się w głos. To był prawdziwy, szczerzy śmiech.

– Byłem na niej razem z żoną. W podróży poślubnej po Europie zatrzymaliśmy się u znajomych w Wiedniu, a oni zabrali nas właśnie na tę wystawę. Podobno, w tamtym czasie, to było najważniejsze wydarzenie kulturalne Europy.

– Pan raczy żartować!

– W jednej części wystawy stała ogromna konstrukcja z okrągłą, ruchomą sceną, wokół której można było się przejść – powiedział zadowolony z siebie, udowadniając mi, że mówił prawdę.

– Rzeczywiście, było coś takiego – mówiłam zdziwiona. – To niewiarygodne, że byliśmy tam oboje!

Uśmiechnęliśmy się do siebie po raz pierwszy. Gdy sobie to uświadomiłam, wzięłam ponownie kieliszek do ręki i skupiłam na nim całą uwagę, nie patrząc w jego stronę.

– Była tam pani z mężem? – ciągnął dalej.

– Nie, z przyjacielem. Janka poznałam dużo później.

– Przyjacielem?

– Tak. Miałam kiedyś przyjaciela. Austriaka, który przeszedł ze mną Wiedeń wzdłuż i wszerz, i który nauczył mnie palić papierosy. – Znowu się uśmiechnęłam na wspomnienie tamtych czasów. – Oczywiście, gdy jego matka znalazła w moim pokoju ich paczkę papierosów, całą winę rzuciłam na Heinricha. On jak zawsze szlachetnie wziął ją na siebie, a ja w zamian musiałam postawić mu kolejkę piwa w naszym ulubionym barze i przetańczyć z nim całą noc. Miałam szczęście, że był dobrym tancerzem. – Zaśmiałam się.

Gdy dotarło do mnie, że się uśmiecham, zacisnęłam zęby i momentalnie spoważniałam. To, co było, nie miało już żadnego

znaczenia.

– Miała pani? Rozumiem, że Heinrich nie żyje?

– Gdy go ostatni raz widziałam, to jeszcze żył, ale minął już rok i kto go tam wie – powiedziałam obojętnie.

Wypiłam resztkę wina z mojego kieliszka. Posmutniałam na myśl o naszym ostatnim spotkaniu. Tyle obietnic. Tyle nadziei i wszystko na nic.

– Rozumiem, że Heinrich nosi taki sam mundur jak ja.

– Gorszy – odpowiedziałam. – Nosi mundur Gestapo.

– Nienawidzi go pani, bo Gestapo zabiło pani męża – stwierdził, odchylając się na krześle.

– Nienawiść to bardzo mocne słowo, panie komendancie. Heinrich obiecał, że uratuje Janka, ale złamał dane mi słowo. Nie wiem, czy go nienawidzę. Wiem tylko tyle, że nie mam już przyjaciół w Wiedniu.

– Chce pani wiedzieć, co myślę? – zapytał z poważną miną.

– Ostatnio jak powiedział mi pan, co myśli, to przez długi czas miałam pamiątkę na czole – rzuciłam butnie. Czułam, że alkohol zaczyna przeze mnie przemawiać.

– Już wcześniej chciałem panią za to przeprosić, ale tylko panią wystraszyłem. Powinienem był wtedy zapanować nad sobą. Nigdy przed wojną nie uderzyłem kobiety – powiedział, unikając mojego spojrzenia.

– Kim pan był wcześniej?

Nie wiem, dlaczego ciągnęłam tę rozmowę. Dlaczego chciałam dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Może po prostu wolałam porzucić temat Heinricha, aby po raz pierwszy od śmierci męża nie zalać się łzami. I to jeszcze w obecności tego Niemca.

– Nauczycielem matematyki.

Gdy dotarła do mnie jego odpowiedź, zaśmiałam się w głos. Popatrzyłam na komendanta, ale on wcale nie żartował.

– Naprawdę?

– Tak. Dlaczego to panią dziwi?

– Bo... – wyjąkałam – nie spodziewałam się, że był pan kimś tak... zwyczajnym.

– Zwyczajnym? Nie powiedziałbym tego o sobie – mówił to z uśmiechem na ustach. – Może mi pani nie wierzyć, ale byłem duszą

towarzystwa i wybornym tancerzem!

Znowu zaśmiałam się w głos. Nigdy wcześniej nie zrobiłam tego w obecności niemieckiego żołnierza. Nie byłam pewna, czy mogę sobie pozwolić na taką zuchwałość. Na szczęście on odwzajemnił mój uśmiech. Popatrzyliśmy na siebie jak dwoje nieznajomych, którzy nagle złapali wspólny język.

– Tak jest, pani doktor, nie znajdzie pani lepszego tancerza nawet w Wiedniu!

Wciąż nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Skoro pan tak twierdzi – powiedziałam z zamierzoną ironią.

– A pani, jaka jest naprawdę? – Zmienił temat.

– Trudne pytanie. – Zaczęłam się zastanawiać. – Nieustępliwa.

Teraz on się uśmiechnął.

– To akurat wiem. Proszę mi powiedzieć coś, czego nie wiem.

Wzięłam głęboki oddech.

– Kiedyś byłam odważna... Niestety, odkąd się zjawiliście, żyję w ciągłym strachu. Ale pan nie zrozumie...

– Jest pani tego pewna? – powiedział poważnym tonem, patrząc mi w oczy.

Przez chwilę milczeliśmy oboje.

– A więc była pani odważna, tak? – Ciągnął dalej temat, delikatnie unosząc kąciki ust.

– Może pan mi nie uwierzyć, ale kiedyś potrafiłam wprawić w zdumienie całą salę pełną mężczyzn – powiedziałam dumnie. – Były nas dwie na roku. Reszta sami mężczyźni. Spotykałyśmy się z nieprzyjemnymi docinkami z ich strony. Rozumie pan, dwie młodziutkie kobiety w świecie zdominowanym przez mężczyzn. Pewnego razu, gdy czekałyśmy na wykład na temat męskiej anatomii ciała, nasi koledzy znowu zaczęli nas nękać. Cała sala się z nas śmiała, że pewnie nawet nie widziałyśmy męskiego przyrodzenia. Byłam już wtedy tak zirytowana, że podeszłam do tablicy, wzięłam kredę do ręki, narysowałam gigantyczne męskie narządy i szczegółowo je opisałam. Na sali zapanowała grobowa cisza. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że pośród nas jest wykładowca, który ze zdumieniem mi się przyglądał. Byłam pewna, że za chwilę wyrzuci mnie z tej sali na zbity pysk. I wie

pan, co było potem? Wykładowca poprosił o nasze indeksy i obie z Frysią z miejsca dostałyśmy najwyższe oceny. Reszta towarzystwa miała egzamin poprawkowy, bo profesor zniszczył ich swoimi pytaniami.

– Profesor? – dopytał z zaciekawieniem, jakby chciał się tylko upewnić.

– To był właśnie mój mąż. Profesor Sambor – odpowiedziałam zadowolona. – Był jedyny w swoim rodzaju.

Łagodnie się uśmiechnęłam, po czym poczułam wszechogarniający mnie smutek. Komendant przez chwilę patrzył na mnie bez słowa.

– Podejrzewam, że pani przyjaciel Heinrich nie darzył pani jedynie przyjaźnią. On był w pani po prostu zakochany. Zresztą nie można mu się dziwić, jest pani piękną kobietą, w dodatku bardzo inteligentną. A od pani zielonych oczu nie można oderwać wzroku...

Poczułam, że się czerwienię. Komendant rozlał do naszych kieliszków resztkę wina, po czym mówił dalej.

– Dlatego nie uratował pani męża. W ten sposób nie musiał dzielić się panią z innym mężczyzną. Wiedział, że to jedyny sposób, żeby mieć panią tylko dla siebie. Każdy na jego miejscu zrobiłby to samo – stwierdził oschle. – On pani kazał podpisać volkslistę?

Kiwnęłam głową. Przechyliłam kieliszek i wypiłam całą jego zawartość. Zrobiło mi się nagle bardzo gorąco. Rozpięłam dwa górne guziki koszuli. Gdy spojrzałam na komendanta, zauważyłam, że jego wzrok zatrzymał się właśnie na moim ostatnim rozpiętym guziku.

– Na mnie już pora, panie komendancie. Dziękuję za poczęstunek – mówiąc to, zaczęłam podnosić się z krzesła.

Komendant wstał razem ze mną, na co odetchnęłam z ulgą. Obiad dobiegł końca, a ja nadal żyłam. Zrobiłam kilka kroków w stronę drzwi i poczułam, jak zaczyna wirować mi w głowie. Nie piłam wina od blisko trzech lat i tych kilka kieliszków, po takim czasie, zważyło mnie z nóg. Odruchowo oparłam się o blat biurka, próbując zachować równowagę. W tym samym momencie poczułam jego dłonie na swoim ciele. Przytrzymał mnie w pasie. Szczęśliwie stałam do niego tyłem i nie mógł zobaczyć rumieńców na moich policzkach. Złapałam równowagę i ruszyłam do przodu, wyślizgując się z jego uścisku.

Komendant wyprzedził mój kolejny ruch i zdjął mój płaszcz przewieszony przez oparcie krzesła. Stał, przytrzymując go w powietrzu,

gotowy służyć pomocą. Posłusznie stanęłam tyłem do niego i wsunęłam dłonie w rękawy. Zakładał go nienaturalnie długo albo tylko tak mi się wydawało. Gdy w końcu miałam na sobie okrycie, znowu objął mnie w pasie i przysunął się zdecydowanie za blisko. Przeszedł mnie dreszcz. W głowie nadal szumiało mi wypite wino. Poczułam, że zbliża twarz do mojej szyi, a po chwili jego usta delikatnie dotknęły skóry. Zamarłam. Poczułam kolejne muśnięcie, tym razem bardziej zdecydowane. Targały mną sprzeczne uczucia. Chciałam uciekać i jednocześnie zostać. Instynktownie odchyliłam głowę delikatnie w bok, a on całował mnie dalej. Jego ręce wędrowały po moim ciele. W końcu odwrócił mnie do siebie. Wzrok zatrzymał na moich lekko rozchyłonych ustach. W tej jednej sekundzie nie byłam w stanie mu się oprzeć. Nasze usta zaczęły niepewnie zbliżać się do siebie. Nagle rozbrzmiało głośne pukanie do drzwi. Momentalnie odskoczyłam spłoszona. Komendant całkowicie zmienił wyraz twarzy. Miałam wrażenie, że za chwilę wybuchnie.

– Wejść! – rozkazał tonem głosu, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszałam.

Nie chciałam być teraz w skórze tego, kto się tu zjawi.

– Panie komendancie, jakiś człowiek do pana przyszedł.

Zanim komendant zdążył odpowiedzieć, minęłam pośpiesznie żandarma i po chwili schodziłam w dół, trzymając się kurczowo poręczy. Mój świat dalej wirował. Poczułam, jak zaczyna mi się robić niedobrze. Nie mogłam uwierzyć, że chwilę temu pragnęłam tego człowieka. Czułam do siebie narastające obrzydzenie.

Wyskoczyłam na podwórze, zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Poczułam ulgę, która momentalnie zniknęła, gdy tylko ponownie spojrzałam przed siebie. To, co zobaczyłam, już na zawsze pozostało w mojej pamięci. Stałam jak wryta i przyglądałam się stojącemu naprzeciwko mnie Żydowi. Był związany drutem kolczastym, a obok niego stał Polak. Trzymał w ręku koniec tego drutu. Przepęłniała go duma. Jego zachowanie wydało mi się tak absurdalne. W pierwszym momencie nie mogłam zrozumieć, co właściwie się dzieje. Usłyszałam za sobą głos komendanta i zrobiłam unik w bok, chciałam zejść mu z drogi. Komendant miał już na sobie swój mundur. Wypytywał o coś Polaka. Patrzyłam na nich i czułam, że to, co widzę, nie może być prawdą.

Podeszłam do krwawiącego mężczyzny. Chciałam mu pomóc. Uwolnić go od bólu, który zadawał mu drut.

– Pani Sambor, pani już dziękujemy.

Puściłam słowa komendanta mimo uszu. Przyglądałam się drutowi, był tak bardzo splątany. Nie mogłam znaleźć punktu zaczepienia. Delikatnie dotykałam czarnego metalu, szukając sposobu na uwolnienie mężczyzny.

– Do widzenia, pani Sambor! – Grzmiał głos komendanta. – Odprowadzić panią Sambor do drogi! – Rozkazał.

W tym samym momencie poczułam lufę pistoletu na plecach.

– *Raus!* – Usłyszałam głos jednego z jego ludzi.

Wiedziałam, że nie mogę mu pomóc. Nie mogłam zrobić nic więcej. A może mogłam? Może powinnam była rzucić się na nich? Wyrwać pistolet? Zamiast tego, zrobiłam posłusznie krok w tył. Gdy mijałam stojącego obok Polaka, który zadowolony oczekiwał nagrody za wypełnienie swojego obowiązku, poczułam na jego widok wstręt. Niewiele myśląc, splunęłam mu pod nogi.

– Obyś zdechł! – wycedziłam przez zęby, a lufa pistoletu znowu wbiła mi się w plecy.

Zaczęłam iść w stronę drogi. Gdy byłam już za bramą, żandarm wycofał się, a ja zostałam sama. Poczułam, jak cały obiad, który przed chwilą zjadłam, podchodzi mi do gardła. Trzymając się ogrodzenia, szłam w kierunku domu. Gdy odeszłam kilka metrów, usłyszałam strzał. Zamknęłam oczy. Zakręciło mi się w głowie. Po chwili rozległ się drugi huk. Otworzyłam oczy. Niemiec spudłował? Niemożliwe! Odwróciłam się i patrzyłam na posterunek. Stałam tak długo, aż zrozumiałam, że Polak również nie wyjdzie już z ich podwórza. Zatem zabili ich obu. Pochyliłam się i zwróciłam całą zawartość żołądka. Droga do domu nigdy wcześniej nie była tak długa. Idąc, zastanawiałam się, skąd to wszystko się wzięło. Jak mogliśmy do tego dopuścić. Jedno było pewne – to nie zaczęło się z dnia na dzień.

Na początku lat trzydziestych w Niemczech zaczął wzmagać się antysemityzm, który z roku na rok dawało się również odczuć w Polsce, nawet w środowisku lekarskim. Rok przed wybuchem wojny pojawiały się podejrzane zrzeszenia lekarzy, którzy nazywali się chrześcijanami i do swojego wąskiego kręgu nie przyjmowali lekarzy pochodzenia

żydowskiego. Dziwnym zrządzeniem losu, zrzeszenia te były czysto „aryjskie”. Zaproponowano nam nawet członkostwo w jednym z nich, jednak grzecznie odmówiliśmy, zasłaniając się pełnioną przez Janka funkcją ordynatora szpitala, który to szpital był przecież miejscem pracy lekarzy o różnych wyznaniach. Podział, jaki nastąpił w środowisku lekarskim, był coraz bardziej wyczuwalny. Zarówno jedni, jak i drudzy starali się zachować pozory normalności. W końcu byli to inteligentni i dobrze wykształceni ludzie, więc zakładaliśmy, że będą potrafili pozostać lekarzami, okazując sobie wzajemny szacunek. Na szczęście nigdy nie zdarzyło się, żeby jakiś medyk z ruchu „aryjskiego” odmówił dyżuru z lekarzem „niearyjskim”, ale mimo to wyczuwalna była wzajemna, narastająca niechęć. Szczęśliwie przeciwników tego antysemitckiego ruchu w naszym szpitalu było zdecydowanie więcej, a w geście solidarności personel nie zapisywał chorym medykamentów pochodzenia niemieckiego. To był taki nasz mały protest. Jak pokazały wydarzenia kolejnych lat, zdecydowanie zbyt mały. Gdy wybuchła wojna, a nasi żydowscy koledzy lekarze i pielęgniarki stracili z dnia na dzień swoje stanowiska, próbowaliśmy z Jankiem znaleźć im inne zajęcia, aby tylko mogli zarabiać na utrzymanie swoich rodzin, gdyż Niemcy zablokowali ich konta w bankach i zagrabili majątek. I tak lekarz ginekolog i okulista zostali dozorcami, a wszystkie pielęgniarki salowymi. Gdy w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku wydano polecenie zwolnienia wszystkich pracowników pochodzenia żydowskiego, Janek nie zrobił tego, tylko przeniósł te osoby na nocną zmianę, aby usunąć ich z zasięgu wzroku Niemców odwiedzających szpital. Potem nakazano Żydom przeniesienie się do getta. Większość naszych przyjaciół zrobiła to, łudząc się, że tam w końcu będą bezpieczni. Tylko jeden lekarz i trzy pielęgniarki odmówili i wraz z rodzinami zamieszkali w podziemiach szpitala. Gdy po raz ostatni opuszczałam jego budynek, wciąż tam byli. Gdzie są teraz, Bóg jeden wie...

Przez kolejne tygodnie unikałam spotkania z komendantem. Budził we mnie odrazę. Byłam wściekła na siebie, że tak łatwo dałam się zwieść jego pięknym, jasnoblękitnym oczom. Uwiódł mnie romantyczną kolacją i tym swoim odmienionym wizerunkiem, tą normalnością. Pokazał mi

kogoś, kim nie był. Omamił. Nie potrafiłam zrozumieć, jak w jednym momencie mógł zmienić się z łagodnego mężczyzny w bezwzględnego kata. Przysięgłam sobie, że już nigdy nie pozwolę ponieść się emocjom, nie posłucham swojego ciała, które kierowało się przecież podstawowymi, zwierzęcymi instynktami. Nigdy więcej z jego powodu nie będę do siebie czuła obrzydzenia. Gdy zobaczyłam ciężarówkę podjeżdżającą pod dom, zrozumiałam, że będę musiała stawić mu ponownie czoła. Żołnierz nakazał mi zabrać torbę. Poczułam odrobinę ulgi. Zatem potrzebował lekarza, a nie mnie.

Podjeżdżając pod posterunek, wyczułam, że coś jest nie tak. Z daleka zobaczyłam czarny, błyszczący samochód. Widziałam ich wiele w Warszawie. Doskonale wiedziałam, do kogo należały. Na sam ten widok oblał mnie zimny pot. Wsiadłam z ciężarówki i z duszą na ramieniu ruszyłam w stronę posterunku. Kurczowo trzymałam torbę, jak gdyby była moją tarczą przed wrogiem. Gdy wyszłam z za rogu budynku, zobaczyłam cztery dziewczyny klęczące przed komendantem i ubranym na czarno gestapowcem. Wokół kręciło się kilkunastu Niemców, których wcześniej tutaj nie widziałam. Musieli przyjechać razem, bo na podwórzu stała też ciemnoszara ciężarówka, która nie należała do komendanta. Skoro przyjechali obcy żandarmi, to zapewne mieli wyznaczone zadanie, a znając życie, nie było to nic miłego. Zawsze do brudnej roboty przysyłano obcych, którzy nie mieli sentymentów dla zastanej ludności, bo przecież nie żyli wśród nich, nie mieszkali dom w dom. Zawsze łatwiej skrzywdzić kogoś obcego niż znajomą twarz.

Wszystkie dziewczyny miały uniesione w górę ręce. Były bardzo podobne do siebie. Młode, o czarnych, długich włosach. Dwie z nich miały na twarzy ślady pobicia, potargane ubrania i krew na spódnicach. Płakały wszystkie oprócz jednej... Ewy. Widać było na jej twarzy, że powoli traci siły. Z trudem utrzymywała ręce nad głową, jej łokcie coraz bardziej rozchodziły się na boki. Ona i dziewczyna obok niej wciąż walczyły. Wiedziałam dokładnie, co je czeka, gdy opuszczą ręce. Nie wiedziałam tylko dlaczego. Stałam i wpatrywałam się w nie, nie wiedząc jak im pomóc. Przejęta ich sytuacją, całkowicie zapomniałam o stojących przede mną dwóch Niemcach. Dopiero gdy usłyszałam chrząknięcie komendanta, oprzytomniałam i opuściłam wzrok.

– *Guten Morgen, Herr Kommandant Hizele* – powiedziałam z wymuszoną uprzejmością.

– To jest właśnie pani doktor Sambor – przedstawił mnie.

Zatem dziś miałam leczyć Gestapo. Ostatnia rzecz, której pragnęłam. Rzuciłam ukradkiem spojrzenie na Ewę. Widziałam, że ręce drżą jej ze zmęczenia. Długo tak nie wytrzyma.

– Wspaniale – odpowiedział gestapowiec.

Nie miałam pojęcia, jak wygląda. Po głosie wyczułam, że jest zdecydowanie młodszy od komendanta. Bałam się na niego spojrzeć. Każdy z ich formacji był jak chodząca śmierć. Potrafili zadawać ból i cierpienie w najokrutniejszy sposób. Nie mieli serca ani sumienia. Twierdzili, że „lepiej jest zabić o stu więcej niż o jednego za mało”. Gestapowiec ruszył w kierunku budynku. Wtedy podniosłam wzrok i spojrzałam na komendanta. Stał już zwrócony twarzą do dziewczyn. Głowę miał uniesioną wysoko. Wydawało mi się, że patrzył gdzieś w dal, w jakiś niewidoczny punkt. Kompletnie nie zwracał na mnie uwagi. Odszukałam wzrokiem Maxa. Stał oparty o studnię. Rzucił mi spojrzenie pełne cierpienia, a ja w odpowiedzi, bezgłośnie, ruchem swoich warg, powiedziałam do niego: „Ratuj ją...”.

Szybkim krokiem przebiegłam przez drzwi posterunku i ruszyłam po schodach na górę. Nie mogłam pozwolić, aby gestapowiec czekał na mnie chociaż minutę. Wpadłam zdyszana do gabinetu i postawiłam torbę na krześle. Zdjęłam z siebie płaszcz i zawiesiłam na wieszaku nieopodal okna. Korzystając z okazji, zerknęłam na zewnątrz. Max niósł na rękach omdlałą Ewę wprost do jednego z baraków.

– W czym mogę panu pomóc, panie – spojrzałam na jego patkę i naramiennik – *Untersturmführer*? – dokończyłam, widząc, że jest podporucznikiem. To był jeden z tych nielicznych stopni, które umiałam u nich odróżnić.

– Jest pani lekarzem, tak? – mówiąc to, chodził po pokoju z założonymi z tyłu rękoma.

– Tak, *Herr Untersturmführer*. Lekarzem chirurgiem z dziesięcioletnim doświadczeniem.

– Jakby to powiedzieć – zaczął – mam taką dość drażliwą męską przypadłość. Jeżeli wie pani, o czym mówię...

Doskonale wiedziałam. Tryper i kiła były zmorą niemieckich żołnierzy, każdy jednak robił wszystko, aby się do nich nie przyznać. Choroby weneryczne powodowały otępienie umysłowe, utratę zdolności koncentracji, osłabienie pamięci i nieumiejętność prawidłowej oceny sytuacji, dlatego też każda taka choroba musiała być raportowana przez niemieckiego lekarza i przesyłana dowódcom. Z biegiem czasu był to już problem tak nagminny, że armia niemiecka postanowiła każdy przypadek surowo karać poprzez wysyłkę delikwenta na front. Nic dziwnego, że gestapowiec nie szukał porady u doktora Kaufmana, tylko u wiejskiej lekarki. Nie wiedziałam tylko, od kogo mógł się o mnie dowiedzieć. Czyżby Gestapo miało moje akta? A może komendant doniósł na mnie do swoich zwierzchników?

– Rozumiem – odpowiedziałam po chwili. – Proszę ściągnąć spodnie. Zbadam pana.

Staralam się powiedzieć to jak najbardziej naturalnie. Takie sytuacje często były dla mężczyzn krępujące, a ja wolałabym, żeby ten gestapowiec, dla mojego własnego bezpieczeństwa, w tym momencie tego nie czuł. Gdy stał przede mną ze spuszczoneymi spodniami, szybko rzuciłam okiem na jego przyrodzenie.

– Tryper – odpowiedziałam pewnym głosem.

– Może mi pani pomóc? – zapytał, podsuwając spodnie do góry.

– Bez medykamentów niestety nie. Konieczna jest płukanka i maść, a ja nie mam ani jednego, ani drugiego.

Miałam nadzieję, że po tych słowach da mi już spokój, zostawi mnie i pojedzie szukać pomocy dalej. Nie miałam najmniejszej ochoty go leczyć, nie po tym, co zrobił tamtym dziewczynom. Zasługiwał na śmierć; jednak ja nie potrafiłam go zabić. Wiedziałam też, że jeżeli odmówię mu pomocy, będzie to mój koniec. On z kolei nie będzie miał z tym żadnych problemów.

– W takim razie pojedzie pani ze mną – stwierdził, zapinając klamrę paska.

Poczułam, jak moje serce zaczyna szybciej pompować krew. Nie wiedziałam, co oznaczają jego słowa, ale obawiałam się najgorszego. Nie chciałam tego robić. Podporucznik najwidoczniej zobaczył mój strach.

– Pojedziemy do szpitala po to, co jest konieczne do terapii – wyjaśnił oschle.

Wypuściłam powietrze z płuc.

– Oczywiście, *Herr Untersturmführer* – przytaknęłam i spuściłam wzrok.

Gdy zeszliśmy na dół, komendant odwrócił się w naszą stronę, jednak ja odruchowo skrzywiłam głowę w przeciwnym kierunku. Nie mogłam na niego patrzeć. Nie byłam w stanie znieść jego widoku. Ukradkiem spojrzałam na klęczące już tylko dwie dziewczyny. Wciąż płakały. Ewa i ta czwarta nadal były w baraku. Zacisnęłam mocniej dłonie na swojej torbie. Słyszałam ich krzyki. Potem trzaśnięcie butów komendanta, który salutował podporucznikowi, wykrzykując do niego *Heil Hitler!* Ciarki przeszły przez całe moje ciało. Nie mogłam uwierzyć, że ten nauczyciel matematyki był jednym z tych potworów. Nie mogłam zrozumieć, jakim cudem naziści byli przedstawicielami tego samego narodu co Johann Wolfgang von Goethe, który stworzył Wertera, bohatera tak wysoce wrażliwego i cierpiącego, który nie pragnął niczego innego w swoim życiu, jak tylko wielkiej miłości. W końcu spojrzałam na komendanta z nadzieją, że ujrzę cierpienie. Jednak na jego kamiennej twarzy nie zobaczyłam żadnych emocji. Stał wyprostowany jak struna. Miałam wrażenie, że jest wyższy o kilka centymetrów. Wsiadając do czarnego samochodu, na chwilę zamknęłam oczy. Liczyłam, że gdy je otworzę, to wszystko okaże się nieprawdą. Poczułam, jak moje ciało zetknęło się z zimną skórą fotela. Przeszedł mnie kolejny dreszcz. Uniosłam powieki. Podporucznik siedział już obok mnie. Automatycznie przesunęłam się bliżej swoich drzwi i spojrzałam przez szybę. Komendant stał kilka metrów od nas i, po raz pierwszy tego dnia, wpatrywał się we mnie. Ja w jego oczach zobaczyłam pustkę, on w moich zobaczył strach. Jedyne pocieszeniem był dla mnie fakt, że pozostali, obcy żandarmi również zapakowali się na swoją ciężarówkę i ruszyli tuż za nami.

Szpital Świętego Ducha w Łomży znajdował się u zbiegu ulic Wiejskiej i Nadnarwiańskiej. W środku znajdowało się pięć pomieszczeń dla chorych, jedna sala operacyjna, gabinet lekarski, apteka, kaplica

i mieszkanie dla pracujących w nim sióstr zakonnych. Przed wojną, gdy odwiedzaliśmy to miasto razem z Jankiem, często zachodziliśmy do ówczesnego ordynatora, doktora Marcinkowskiego. Doskonale wypełniał swoje obowiązki, dzięki czemu szpital działał na najwyższym poziomie. Teraz, gdy stałam przed tym budynkiem i patrzyłam na skalę zniszczeń od pocisków artyleryjskich, na myśl od razu przyszedł mi nasz Szpital Wolski. Jak on teraz wyglądał, kto w nim pozostał, co z moim oddziałem... Coś ścisnęło mi serce. Rozejrzałam się wokół. Szpital usytuowany był na wysokiej skarpie, z której doskonale widać było płynącą u podnóża Narew. Zobaczyłam niemieckie wojsko jadące od strony Piątnicy. Zrozumiałam, że wojna jest wszędzie i nie ma od niej żadnej uciezki.

Po wejściu do budynku przywitała nas drobna szarytka w przydużym, granatowym habicie z białym kołnierzem i ogromnym, białym kornecie na głowie. Po chwili za nią zobaczyłam znajomą twarz doktora Kaufmana. Nie wiem, czy bardziej był zaskoczony moim widokiem, czy odwiedzinami gestapowca.

– Dzień dobry, *Herr Untersturmführer* Bloch!

– *Heil Hitler!* – odpowiedział mu bez zbędnych poufałości.

– W czym mogę pomóc?

Doktor Kaufman unikał mojego wzroku. Nie dał nawet po sobie poznać, że mieliśmy już okazję się spotkać. Pomyślałam, że to nie przypadkowy ruch z jego strony, stałam więc cicho i udawałam, że się nie znamy.

– Proszę wskazać tej pani drogę do apteki, a mnie zaprowadzić do swojego gabinetu.

– Oczywiście! Siostro, proszę pokazać pani naszą szpitalną aptekę – zwrócił się do stojącej obok siebie szarytki. – Zapraszam, *Herr Untersturmführer* Bloch – mówiąc to, gestem ręki uprzejmie wskazał mu drogę.

Szłyśmy niewielkim korytarzem w całkowitym milczeniu. Próbowałam rozeznaczyć się w panującej tu sytuacji, ale każde drzwi były szczelnie zamknięte. Tylko raz minęła nas inna siostra, której twarzy spod wielkiego kornetu nawet nie zobaczyłam.

– Proszę, to tutaj – powiedziała po niemiecku, otwierając przede mną białe drzwi.

– Dziękuję, siostró – odpowiedziałam jej po polsku. – Dużo pracy? – zapytałam z grzeczności, wchodząc do wielkiego, jasnego pomieszczenia.

– Jak to na wojnie – stwierdziła wymijająco i zamknęła za mną drzwi.

Spojrzałam na poustawiane pod ścianą przeszklone szafki pełne leków i pomyślałam, że trafiłam do nieba. Z uwagą przyglądałam się tym wszystkim buteleczkom, ampułkom i proszkom. Gdybym mogła, zabrałabym wszystko. Żeby wyleczyć gestapowca, tak naprawdę potrzebowałam dwóch rzeczy, jednak on o tym nie wiedział i nie miał skąd się dowiedzieć, bo przecież nie zapytał w takiej sytuacji doktora Kaufmana, jak się leczy tryper. Doktor nie był głupi i od razu domyśliłby się, co jest grane. Postanowiłam wykorzystać okazję i zabrać to, co dla mnie najcenniejsze. Buteleczkę eteru, jałowe gazy, trochę morfiny, no i oczywiście medykamenty na tryper. Nie mogłam wziąć więcej, aby nie wzbudzić podejrzeń, gdyby podporucznik chciał przeszukać moją torbę. Zawsze mogłam skłamać i powiedzieć, że płukanie pęcherza może być bolesne i na wszelki wypadek wzięłam coś na uśmierzanie bólu, a nawet na uspienie niepokornego pacjenta. Po raz ostatni rzuciłam okiem na zawartość szpitalnej apteki i wyszłam na korytarz. Kiwnęłam głową do czekającej na mnie szarytki, dając jej znać, że mam już wszystko, co chciałam. Odprowadziła mnie bez słowa do głównego wyjścia i pozostawiła samą. Cierpliwie czekałam na mojego towarzysza. Gdy się w końcu zjawiał, odjechaliśmy w kierunku centrum miasta. Po drodze spojrzałam na budynek dawnego żydowskiego kina, nad którym smutno wisiał wyblakły już szyld z napisem *Mirage*.

Siedziba Gestapo znajdowała się przy ulicy Nowej. Dwupiętrowy budynek w kształcie prostokąta niczym nie wyróżniałby się wśród innych, podobnych mu domów, gdyby nie zawieszane, niemalże w każdym oknie, groźnie powiewające czerwone flagi z białym kołem i wpisaną w nie swastyką. Szłam za gestapowcem jak zahipnotyzowana. Cały czas wpatrywałam się w podłogę. Mijani żołnierze pozdrawiali się nawzajem. Zewsząd słyszałam tylko *Heil Hitler*. Czułam, że zbliżam się do siedliska zła. Weszliśmy na piętro i udaliśmy się prosto do gabinetu Niemca.

– Co teraz? – rzucił do mnie, zdejmując z rąk skórzane rękawiczki.

– Przygotuję płukanke. To zajmie dosłownie chwilę.

Postawiłam torbę na jego biurku i zaczęłam łączyć składniki.

– To samo trzeba będzie powtórzyć za cztery, osiem i dwanaście dni. W międzyczasie proszę raz dziennie stosować tę maść. I – zaczęłam nieśmiało – proszę w tym czasie unikać kobiet, panie podporuczniku. – To ostatnie zdanie powiedziałam bardziej dla swojego bezpieczeństwa. Nie chciałam, aby po tym wszystkim zaczął się do mnie dobierać.

– Ma pani wystarczającą ilość tych... – Wskazał na medykamenty, które pakowałam do torby, gdy było już po pierwszym zabiegu.

– Tak, *Herr Untersturmführer*, wystarczy do końca leczenia.

– Dobrze, za cztery dni poślę po panią samochód.

Kiwnęłam głową.

– Oczywiście nie muszę dodawać, że to wszystko ma pozostać między nami? – rzucił gniewnie w moją stronę, gdy zamykałam torbę.

– Proszę być spokojnym, obowiązuje mnie tajemnica lekarska. Poza tym zbyt cenię sobie swoje życie.

Niemiec ruchem ręki kazał mi wyjść. Idąc samotnie ciemnymi korytarzami, mijając bezwzględne twarze gestapowców, czując od nich śmierć, pomyślałam o komendancie. W porównaniu z nimi nie stanowił żadnego zagrożenia.

Po powrocie do Nowogrodu od razu udałam się do domów wszystkich dziewcząt. Opatrzyłam ich rany. Pomogłam im, jak tylko umiałam. Jednak nie byłam w stanie ukoić ich cierpienia. Na koniec postanowiłam odwiedzić Ewę. Jej dom stał po drugiej stronie miasteczka. Gospodarstwo wyglądało na zaniedbane. Rodzice dziewczyny po śmierci syna podupadli na zdrowiu, a ona sama nie umiała zająć się rolą. Pracowała u komendanta nie tylko dla pieniędzy, ale również dla cennych informacji, które przekazywała leśnym. Komendant zatrudnił ją, bo nie знаła niemieckiego, to był warunek konieczny. Jednak ona była o wiele sprytniejsza, niż wszyscy myśleli. Szybko zaczęła rozumieć ich mowę. Wynosiła cenne informacje, zapamiętywała nazwy, podkradała dokumenty, a nawet amunicję.

– Dzień dobry – powiedziałam, gdy otworzyła mi drzwi. Zobaczyłam siniaki na jej policzku i ustach.

- Dzień dobry – odpowiedziała zaskoczona. – Co pani tu robi?
- Chciałam zobaczyć, jak się trzymasz. Mogę cię zbadać?
- Wszystko dobrze. Nie ma takiej potrzeby.
- Ewo, możemy porozmawiać w środku?

Bez słowa przepuściła mnie w drzwiach. Weszliśmy do skromnej kuchni. Rozejrzałam się wokół. Jej rodziców nie było w domu.

– Jestem lekarzem, nie musisz się mnie wstydzić, muszę cię zbadać, rozumiesz?

– Oczywiście, że rozumiem, ale nie ma takiej potrzeby, przecież pani powiedziała – odrzekła zirytowana.

– Nie rozumiem.

Ewa westchnęła.

– Nic mi nie zrobił.

– Max? – dopytałam zaskoczona i jednocześnie uradowana.

– Tak. Podszedł do mnie i powiedział, że mnie nie skrzywdzi i żebym po prostu upadła w jego ramiona. Potem zaniósł mnie do baraku i kazał krzyczeć tak głośno, jak tylko potrafię. Nawet mnie nie dotknął.

– A to? – zapytałam, wskazując na sińce na twarzy.

– Nie mogłam odstawać od reszty pobitych dziewczyn. Pozwoliłam mu się uderzyć. Jak tylko odjechaliście, komendant zwolnił wszystkie dziewczyny.

– Ewo, nawet nie wiesz, jak się cieszę! – Odetchnęłam z ulgą. – Warto było uratować jego życie...

Czwartego i ósmego dnia, zgodnie ze słowami Niemca, pod mój dom podjechał czarny samochód Gestapo. W naszym miasteczku na pewno nie pozostał niezauważony. Wiedziałam, że z każdej jego wizyty będę musiała się wkrótce szczegółowo wytłumaczyć partyzantom. Nie leczyłam już tylko żandarmów, ale samo Gestapo. Czy tym razem uwierzą w moje słowa? Chociaż przyjechałam tu z nadzieją, że będziemy w końcu żyły spokojnie, z dala od jednych i drugich, bez zbędnego narazania się, to nadal, chcąc nie chcąc, rzucałam się w oczy walczącym po obu stronach barykady. Bałam się, że któraś kula w końcu dosięgnie i mnie...

Dwunastego dnia wsiadałam do samochodu pełna obaw. Miałam zakończyć leczenie podporucznika, co mogło oznaczać dla mnie rychłą śmierć. Gestapowiec dla własnego bezpieczeństwa mógł się mnie pozbyć, jedyne go świadka swojego występku. Moja śmierć w jego gabinecie nie wzbudziłaby niczyich podejrzeń. Nikomu nie musiał się tłumaczyć. Przecież to on był panem życia i śmierci.

Gdy podjechaliśmy na miejsce, zamarłam z przerażenia. Na ulicy, praktycznie pod samym budynkiem Gestapo, dwóch żandarmów trzymało na celowniku Zająca. Z daleka rozpoznałam jego twarz. Gorączkowo tłumaczył coś Niemcom, starając się przybrać przy tym naturalny wygląd. Szybko wyskoczyłam z czarnego samochodu i ruszyłam w ich stronę.

– Co się tu dzieje?! – zapytałam po niemiecku, udając wielkie oburzenie. – Jakim prawem do niego celujecie?!

Żandarmi spojrzeli na mnie bez słowa, dokładnie przyglądając się trzymanej przeze mnie torbie i czarnemu wozowi, z którego przed chwilą wysiadłam. Wiedziałam, że dzięki temu miałam nad nimi chwilową przewagę. Najważniejszy był element zaskoczenia.

– Kim pani jest? – zapytał w końcu jeden z nich.

– Jestem umówiona z *Herr Untersturmführer* Blochem! Właśnie zmierzam na spotkanie z nim! Po raz ostatni zapytam, dlaczego go zatrzymaliście?! – mówiłam tak pewnym siebie głosem, że sama uwierzyłam w to, co mówię.

– Brak dokumentów. Zatrzymujemy go do wyjaśnienia.

– Nie zabrałaś dokumentów? – rzuciłam oburzona w stronę Zająca. – Co ja mam z tym człowiekiem. – Westchnęłam do siebie. – Panowie, to mój mąż, Antoni Sambor, i to moja wina, że nie ma przy sobie dokumentów. Wczoraj zalałam je wodą i położyłam do wyschnięcia na parapecie. Jeżeli trzeba, zaraz po nie pojedę – ciągnęłam dalej. – Tylko obawiam się, że *Herr Untersturmführer* Bloch nie będzie zadowolony z mojego spóźnienia. Oczywiście, nie omieszkać mu powiedzieć, kto będzie temu winien – mówiąc to, rzuciłam im znaczące spojrzenie, że to właśnie o nich chodzi. – To jak? Mam jechać do domu, czy puścicie mojego męża, a ja zdążę na umówione spotkanie?

Mężczyźni spojrzeli na siebie wyraźnie zmieszani.

– Niech pani dopilnuje, żeby to był ostatni raz.

– Zapewniam panów, że tak będzie.

Wzięłam Zająca pod rękę i podprowadziłam go na przeciwną stronę ulicy.

– Kochany, wracaj do domu, mi trochę tu zejdzie – powiedziałam to na głos, po czym dodałam szeptem. – Co ty tu robisz?

– A ty? – popatrzył na mnie nieufnie.

– Kazali ci mnie śledzić?

Nic nie odpowiedział. Oczywiście, że tak. Uśmiechnęłam się do niego na siłę, widząc, że wciąż jesteśmy obserwowani.

– Leczę. Nic więcej. Musisz mi ufać. Chociaż ty. A teraz idź, bo narazasz nas oboje.

Zajac spojrział na mnie, a potem rzucił okiem na torbę, którą trzymałam w ręku. Nagle ujął mnie w pasie, przyciągnął do siebie z całych sił i pocałował mocno w usta. Poczułam, jak jego ręka powoli przesuwana się w dół i zatrzymuje na moich pośladkach. Trwało to zaledwie chwilę. Puścił mnie, a ja spojrzałam na niego pytająco.

– Niech uwierzą, że rzeczywiście jesteś moją żoną, Alicjo – mówiąc to, posłał mi serdeczny uśmiech i odwrócił się na pięcie. Szybko poprawiłam sukienkę i włosy. Jak gdyby nigdy nic, ruszyłam w stronę budynku Gestapo. Poczułam, jak po całym moim ciele rozchodzi się przyjemne ciepło.

Gdy kończyłam ostatni zabieg, ręce zaczęły mi się trząść. Nie mogłam nad tym zapanować. Spojrzałam na Niemca, który jak zwykle bacznie mi się przyglądał.

– Jest pani dziś jakaś podenerwowana, pani doktor – stwierdził beznamiętnie, gdy zapinał pasek od spodni.

– To wszystko, *Herr Untersturmführer*, kuracja zakończona, jest pan zdrowy – powiedziałam, pakując rzeczy do torby, chociaż kątem oka obserwowałam jego ruchy.

Podporucznik podszedł do biurka i otworzył szufladę. Ogarnęło mnie przerażenie. Serce zaczęło mi łomotać jak oszalałe. *To koniec*, pomyślałam. Zaraz wyciągnie broń i zakończy moje życie. Gdy wysuwał rękę z szuflady, odruchowo padłam przed nim na kolana.

– Proszę mnie nie zabijać, moja córka zostanie sierotą! Nikogo już nie ma poza mną! – Błagałam go o życie, chociaż wiedziałam, że nic go nie powstrzyma. Żadne łzy, żadne słowa do nich nie docierały. Przecież zabijali nawet niewinne dzieci, kobiety w ciąży i starców. Dlaczego miałby oszczędzić akurat mnie...

– To dla pani – powiedział oschle, stojąc nade mną.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że wyciąga w moim kierunku plik banknotów. Otworzyłam szeroko oczy. Podniosłam się z kolan.

– Nie trzeba, *Herr Untersturmführer*, naprawdę.

On stał niewzruszony. Widziałam, że jest zirytowany. Wzięłam od niego pieniądze i uprzejmie się pożegnałam. Gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi jego gabinetu, co sił w nogach ruszyłam w kierunku wyjścia. Musiałam, jak najszybciej opuścić to miejsce. Miałam wrażenie, że za chwilę uduszę się w tych ciasnych korytarzach. Nie chciałam tu nigdy wrócić. Całą drogę powrotną do Nowogrodu byłam myślami z Jankiem. Czy on czuł ten sam strach o własne życie, gdy prowadzili go takimi samymi korytarzami? Czy również błagał jakiegoś Niemca o życie? Nie... Nie on... Byłam tego pewna. Mój mąż był niebywale odważnym człowiekiem. Honorowym. On na pewno zachował się jak trzeba...

Nastała noc, Klara już spała, ja z kolei nie mogłam zmrużyć oka. Wydarzenia dzisiejszego dnia nie dawały mi spokoju. Byłam wrakiem człowieka, drżałam jeszcze przez dłuższy czas po powrocie do domu. Oddałabym wszystko za papierosa. Wiedziałam, co Janek myślał na temat mojego palenia. Zawsze kręcił z dezaprobatą głową, gdy byliśmy w gościach i ktoś w końcu skusił mnie jednym. Ale Janka już przecież nie było. Nikomu już nie zależało na moim zdrowiu. Nikogo nie obchodziło moje długie i szczęśliwe życie. Z drugiej strony, czy ja chciałam żyć długo i szczęśliwie bez niego? Poczułam, że robi mi się duszno. Pot spływał mi po plecach. Czerwiec był niesamowicie upalny, a noc nie przynosiła żadnego orzeźwienia. Wstałam z łóżka i w koszuli wyszłam przed dom. Spojrzałam w niebo, było pełne migoczących gwiazd. Mieszkając w Warszawie, nigdy nie widziałam tak rozgwieżdżonego nieba, a może nigdy tak mu się nie przyglądałam. Wyszłam przez tylną bramkę w ogrodzeniu i wąską ścieżką ruszyłam

w kierunku rzeki. Stałam boso na ciepłej plaży. Uwielbiałam to miejsce. Było naszą prywatną oazą. Nikt inny z miasteczka nie miał tu wstępu, bo z każdej strony rosły gęste krzaki. Zanurzyłam stopy głębiej w piasku. Przypomniało mi się, jak pewnej nocy zakradliśmy się tutaj z Jankiem. Tuż po naszym ślubie, byliśmy tacy szczęśliwi... Tacy spragnieni siebie. Bez wstydu zrzuciliśmy ubrania i wykąпалиśmy się nago w rzece. Potem kochaliśmy się na tej plaży, a piasek oblepiał nasze mokre ciała. Gdy zrozumiałam, że to już nie wróci, poczułam znajome ukłucie w sercu. Chciałam jeszcze raz usłyszeć jego głos. Zrobiłam kilka kroków w stronę rzeki i weszłam do wody. Dokładnie znałam to miejsce. Rzeka akurat tu zakręcała, więc nawet kilka metrów od brzegu wciąż było płytko. Szłam pewnie przed siebie. Gdy woda sięgnęła mi brzucha, wzięłam głęboki oddech i zanurzyłam się cała pod jej powierzchnią. Pozwoliłam, żeby moje ciało zaczęło swobodnie dryfować w ciepłej wodzie. Czułam, jak moje włosy unoszą się wokół mnie. Rękoma delikatnie starałam się zachować równowagę. Minuty mijały, a ja nadal byłam pod wodą. Cierpliwie czekałam, aż nadejdzie ten moment. Granica między życiem a śmiercią. Tak jak wtedy, pod lodem, gdy kazał mi walczyć. Chciałam, by znowu to zrobił. By wypowiedział moje imię, nasze nazwisko, by powiedział cokolwiek... Byłam na granicy wytrzymałości. Nagle otworzyłam szeroko oczy i instynktownie wynurzyłam się na powierzchnię. Znowu mogłam oddychać. Poczułam wściekłość. Nie umiałabym się nawet zabić...

Odwróciłam się i zobaczyłam postać stojącą na plaży. Mężczyzna trzymał w ręku żarzącego się papierosa. Wiedziałam, kim jest. Momentalnie schowałam się po szyję w wodzie. Czas mijał nieubłaganie, a ja nie wiedziałam, co robić. Postanowiłam poczekać, aż skończy. Miałam nadzieję, że wtedy odejdzie. Zamiast tego zobaczyłam, jak odpala kolejnego. Noc była ciemna, ale nie wystarczająco, a ja miałam na sobie tylko cienką koszulę. Powoli zaczęłam wychodzić na brzeg. Postanowiłam nie zakrywać się rękami. Nie chciałam dać mu tej satysfakcji. Na szczęście on nie widział wyrazu mojej twarzy ani ja nie widziałam jego.

– Przyszedł pan mnie zgwałcić jak tamte? – wystrzeliłam, nie zważając na konsekwencje.

Komendant milczał.

– Nikogo nie zgwałciłem – oznajmił oschle.

– To w takim razie po co pan przyszedł?

– Chciałem sprawdzić, czy jest pani cała i zdrowa – powiedział, wypuszczając dym.

– Jak widać, jestem. Mogę? – zapytałam, wskazując na paczkę papierosów, którą trzymał w ręku.

Komendant bez słowa mi ją wręczył. Wyjęłam jednego i włożyłam do ust. Cierpliwie czekałam, aż pomoże mi go odpalić. W końcu, gdy to zrobił, zaciągnęłam się głęboko. Myślałam, że momentalnie ogarnie mnie spokój, zamiast tego wciąż cała się trzęsłam. Założyłam ręce na piersi.

– Chcę, żeby pani wiedziała, że to nie był mój pomysł. W życiu nie pozwoliłbym swoim ludziom na coś takiego. Gestapo dostało cynk, że jakaś dziewczyna z miasteczka pomaga partyzantom. Nie wiedzieli tylko która, więc musiały ponieść karę wszystkie pasujące do opisu. Tak to działa. Sama pani dobrze o tym wie. Zresztą mogły skończyć o wiele gorzej.

– To nie ma żadnego znaczenia. Stał tam pan i się temu wszystkiemu spokojnie przyglądał – rzuciłam równie oschle.

– Myśli pani, że mogłem coś zrobić?! To było Gestapo! Oni są nade mną! Ja tylko wykonuję ich rozkazy.

– I to pana usprawiedliwia? Myśli pan, że skoro ktoś inny wydał rozkaz, to zwalnia to pana z odpowiedzialności? Otóż nie... Panie komendancie, jest pan współwinny wszystkiemu! Winny krzywdy tych dziewczyn! Jest pan potworem takim samym jak reszta!

Komendant złapał mnie za rękę tak mocno, że sprawiał mi ból. Jednak ja nawet nie pisnęłam.

– Mogę być twoim przyjacielem lub wrogiem – wycedził przez zęby.

Czułam, że był rozwścieczony.

– Daję ci po raz ostatni wybór i radzę ci, żebyś wybrała mądrze!

Komendant puścił moją rękę i bacznie mi się przyglądał. Słyszałam, jak ciężko oddycha. Był na granicy swojej wytrzymałości. Powinnam była przeprosić. Powinnam była milczeć. Ale miałam już tego wszystkiego dosyć. Nie chciałam po raz kolejny stchórzyć.

– Wybór jest prosty, *Herr Kommandant* Hizel – powiedziałam spokojnym głosem, zaciągnęłam się papierosem i wypuściłam dym prosto w jego twarz. – Brzydzę się panem...

Byłam pewna, że po tych słowach wybuchnie, uderzy mnie lub nawet zabije. Byłam na to przygotowana. Cierpliwie czekałam, aż wymierzy mi cios. On tymczasem odwrócił się na pięcie i po chwili zniknął w ciemnościach. Stałam na plaży sama. Poczułam, jak moje ciało zaczynają przeszywać spazmy. Drżałam tak bardzo, że nie byłam w stanie dokończyć papierosa. Upadłam na ziemię i zanurzyłam twarz w piasku. Miałam ochotę schować się przed całym światem. Nie pamiętałam, jak wróciłam do łóżka. Gdy się obudziłam, nadal czułam piasek na całym ciele.

Po południu pod nasz dom podjechała znajoma ciemnoszara ciężarówka. Wskoczyło z niej kilku uzbrojonych Niemców i po chwili wkroczyli do mieszkania. Kazali mi wyjść na zewnątrz, a sami zaczęli przeszukiwanie. W duchu dziękowałam sobie, że pozwoliłam Klarze pójść po obiedzie do koleżanki.

Stałam z rękami w górze przy domu i przyglądałam się im z daleka. W końcu pojawił się też on. Komendant we własnej osobie. Jak zawsze wyglądał nieskazitelnie. Próbowałam skupić myśli na tym, jak bardzo go nienawidzę, zamiast tego, jaki jest pociągający. On tymczasem przechadzał się po podwórku z rękoma założonymi za plecami. Kompletnie nie zwracał na mnie uwagi, nawet nie patrzył w moją stronę. Za to ja bacznie go obserwowałam. Przeczynałam, że coś jest nie tak. Przeszukanie trwało dłużej niż zwykle. Zaczęły cierpnąć mi ręce. Opuszczałam je coraz niżej. Wtedy mężczyzna zatrzymał się i po raz pierwszy spojrzał na mnie beznamiętnym wyrazem twarzy, dając mi dłonią znać, że mam podnieść ręce zdecydowanie wyżej. Zacisnęłam mocniej zęby i uniosłam wysoko ramiona.

– Panie komendancie! – Usłyszałam głos dochodzący z wnętrza domu.

Wzywany zerwał się z miejsca i z impetem wskoczył do środka. Nie było go dosłownie chwilę. Gdy wyszedł, wyglądał na zadowolonego. Szedł w moim kierunku pewnym krokiem. Stał naprzeciwko mnie.

Zobaczyłam zwycięstwo w jego jasnoblękitnych oczach. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i odpalił jednego.

– Pani Sambor, zostaje pani zatrzymana. Musimy wyjaśnić sobie kilka rzeczy. Na przykład skąd w pani domu znalazły się dolary i te wszystkie medykamenty ukryte pod podłogą.

Gdy skończył, zaciągnął się papierosem i wypuścił dym prosto w moją twarz, uśmiechając się przy tym szyderczo. Teraz czułam do niego wyłącznie nienawiść.

– A mogliśmy zostać przyjaciółmi... – mówiąc to, przesunął czule dłonią po mojej twarzy.

W tym momencie splunęłam na jego mundur. Komendant zbladł, a po chwili zrobił się purpurowy. Zacisnął dłonie tak mocno, aż zbieleły. Ze spokojem wytarł ubranie i rozkazał swoim ludziom wsadzić mnie na pakę ciężarówki.

Zaprowadzono mnie do jednego z baraków i posadzono na krześle. Przez niewielkie okno ledwo co przedostawały się promienie słońca. Rozejrzałam się wokół, ale przez panujący półmrok niewiele widziałam. Za mną do środka wszedł jeden z żołnierzy i komendant. Przywiązali moje ręce do oparcia krzesła.

– Pani Sambor – zaczął. – Pani pobyt w tym miejscu może być albo bardzo krótki i przyjemny, albo wyjątkowo długi i kłopotliwy dla wszystkich. Proszę mi wierzyć, że osobiście wolałbym panią szybko stąd wypuścić. Jednak decyzja należy do pani. Możemy zaczynać?

– Pyta pan mnie o zgodę? – rzuciłam ironicznie.

Komendant stał za mną i milczał.

– W jaki sposób weszła pani w posiadanie dolarów i medykamentów?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Nastała cisza. Żołnierz spojrzał na komendanta. Po chwili odwrócił się do ściany i coś z niej zdjął. Zobaczyłam w jego ręku długi, cienki kij. Zanim zdążyłam zastanowić się, po co jest mu potrzebny, otrzymałam pierwsze uderzenie. Nogi zapiekły mnie niesamowicie, ale nie wydałam z siebie żadnego jęku.

– Jeszcze raz, pani Sambor. Skąd ma pani dolary i medykamenty?

– Nie wiem, o czym pan mówi – odpowiedziałam butnie.

Żołnierz zamachnął się, a ja dostałam kolejny cios, w to samo miejsce. Bolało zdecydowanie bardziej niż za pierwszym razem.

– Wie pani, że będziemy robić to tak długo, aż nam pani wszystko grzecznie powie? Po co się tak męczyć? Po co mamy zadawać pani ból? I tak w końcu wszystkiego się dowiemy. Czy nie lepiej będzie, jak się pani do wszystkiego przyzna w tym momencie, gdy jeszcze nie zrobiliśmy pani krzywdy, a nie za kilka dni, jak już nogi odmówią pani posłuszeństwa?

Kilka dni, pomyślałam. Tak długo będą mnie tu więzić? Może tylko specjalnie chciał mnie postraszyć.

– To jak, pani Sambor? Powie mi pani, skąd wzięły się u pani te rzeczy?

– Gdybym wiedziała, to przecież powiedziałabym panu komendantowi, skoro tak panu na tym zależy, ale niestety, nic nie wiem. To dom mojego kochanego męża. Mogły być tam schowane na długo przed waszą bandycką napaścią na nasz kraj.

– Mocniej – powiedział do żołnierza, a ja dostałam kolejny raz.

Teraz aż podskoczyłam z bólu, jednak nadal tylko zaciskałam zęby, nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

– Zapytam ostatni raz, a potem zostawię was samych. Zapewniam panią, że ten żołnierz jest bardzo cierpliwy i nigdzie mu się nie śpieszy. To jak, pani Sambor? Dowiem się prawdy?

– Ja już panu wczoraj powiedziałam całą prawdę. Zdania nie zmieniałam – rzuciłam pogardliwie.

Komendant zrobił krok w moją stronę. Czułam, że mi się przygląda, jednak ja nie patrzyłam na niego. Po chwili wyszedł, zostawiając nas samych. Przez kolejne minuty dostawałam ciosy w nogi raz za razem. Non stop padało to samo pytanie. Początkowo zdawkowo odpowiadałam, ale z biegiem czasu zamilkłam. Wydawało mi się, że będę w stanie wytrzymać, że nie okażę słabości, jednak w końcu się poddałam. Poczułam, jak po policzku płyną mi łzy. Byłam wściekła na siebie za to, że nie byłam wystarczająco twarda. Równie wściekła, co na Niemca wymierzającego mi kolejne ciosy. Przesłuchanie skończyło się dopiero po godzinie. Komendant nie pojawił się więcej w baraku. Żołnierz wychodząc, rozwiązał mi ręce, ale zostałam zamknięta na klucz.

Próbowałam podnieść się z krzesła, lecz nie mogłam poruszać nogami. Zdawały się sparaliżowane, a ja byłam wykończona. Musiałam się położyć. Celowo przechyliłam się w prawą stronę i spadłam z krzesła. Rękami osłoniłam twarz przed upadkiem. Cicho jęknęłam. Po chwili zasnęłam, czując bijące od posadzki zimno.

Obudziłam się, gdy już świtało. Wciąż leżałam w tym samym miejscu. Dotknęłam ręką swoich nóg. Przejechałam palcami wzdłuż obolałych kości. Były całe. Żadna nie została złamana. Musiałam jeszcze sprawdzić, czy mam w nich czucie, jednak bałam się wszechogarniającego mnie bólu, który przedzierał moje ciało już na samą myśl o tym. W końcu zmusiłam się i poruszyłam palcami u stóp. Gdy to robiłam, jęknęłam z bólu i jednocześnie odetchnęłam z ulgą. *Ból jest dobry*, pomyślałam. Skoro go czuję i mogę poruszać palcami, to znaczy, że będę chodzić.

Leżąc, nasłuchiwałam odgłosów z zewnątrz. Wyczekiwałam przyjścia komendanta lub któregoś z jego ludzi. Byłam pewna, że tak łatwo mi nie odpuszczą. Czas ciągnął się w nieskończoność. Co chwila przysypiałam. Wciąż czułam się wymęczona wczorajszym przesłuchaniem. Od leżenia na twardej posadzce bolało mnie już całe ciało. Ostatkiem sił przekręciłam się na drugi bok. Nie pamiętam nawet, kiedy znowu zasnęłam.

Obudził mnie dźwięk otwieranych drzwi. Promienie zachodzącego słońca momentalnie wpadły do środka. Musiałam zasłonić oczy ręką, bo blask był wręcz oślepiający.

– Mamo... – Usłyszałam cichy głos mojej córki.

– Klara?! – krzyknęłam wystraszona jej obecnością.

– Mamo!

Klara przyklęknęła obok mnie. Strasznie płakała. Delikatnie dotknęła mojego ciała.

– Wszystko w porządku, córciu. Nic mi nie jest – skłamałam.

– Mamo, możemy stąd iść. Dasz radę?

– Puszczają mnie?

Kiwnęła głową.

– Klaro, nie dam rady zrobić nawet kroku – wyznałam jej przykrą prawdę.

– To co ja mam zrobić? – Łkała.

– Biegnij do pani Michałowej i poproś jej zięcia o pomoc. Przyrowadź go. On mnie zanieś do domu.

– Dobrze. Wytrzymasz jeszcze trochę?

– Oczywiście. Nic się nie bój. – Wysiłałam się na uśmiech.

Klara wybiegła z baraku, pozostawiając otwarte drzwi. Powoli uniosłam głowę i spojrzałam na swoje nogi. Były niemalże całe fioletowe. Położyłam się na posadzce i nasłuchiwałam nadchodzącej pomocy.

Po kilku minutach w drzwiach ponownie pojawiła się moja córka, a za nią wszedł Jędrrek, mąż Stefci. To był kawał chłopca, więc jednym ruchem i praktycznie bez większego wysiłku podniósł mnie z ziemi. Klara okryła mnie szczelnie kocem, żeby nikt nie zobaczył moich nóg. Pomyślałam wtedy w duchu, że to bardzo rezolutna, młoda dziewczyna. Sama wpadła na taki pomysł. Po chwili byliśmy już na zewnątrz. Schowałam twarz w ramię mężczyzny. Nie chciałam widzieć nikogo. Żadnego Niemca. Wokół panowała cisza. Czyżby żandarmów nie było? A może stali i po prostu milczeli? Tego nie wiedziałam i nie chciałam wiedzieć. Objęłam mocniej szyję trzymającego mnie mężczyzny i pozwoliłam mu się zanieść prosto do własnego łóżka.

W domu czekała na nas Ewa. Zdziwiłam się jej widokiem. Nigdy za mną nie przepadała, więc jej wizyta była tak samo zaskakująca, jak to, że komendant tak po prostu pozwolił mi opuścić barak.

– Muszę zwrócić pani honor – powiedziała, gdy Jędrrek zamknął za sobą drzwi i zostałyśmy tylko we trzy. – Napluć Niemcowi na mundur i to komendantowi! To było szaleństwo! Jak opowiedziałam o tym naszym chłopakom, to o mało z taboretów nie pospadali! – mówiła rozbawiona.

– Ewo, mnie wcale nie jest do śmiechu – odpowiedziałam, leżąc bez ruchu na pościeli.

– Wiem, ale to tylko tak źle wygląda. Za to, co pani zrobiła, już powinna pani nie żyć. A komendant, jak widać, chciał tylko panią porządnie nastraszyć. Zresztą, czego się pani spodziewała? Upokorzyła go pani na oczach jego ludzi. To akurat było nierozsądne. I to bardzo. Nie pozostawiła mu pani żadnego wyboru.

– A ty skąd o tym wszystkim wiesz?

Ewa spojrzała na mnie niepewnie.

– Jak tam panią bili, przyszedł do kuchni Max i powiedział, co się stało. Wysłałam więc następnego dnia pani córkę do komendanta, żeby błagała o litość nad panią.

– Co?! Jak mogłaś tak ją narazić?! – krzyknęłam oburzona.

– Spokojnie, wiedziałam, co robię. Widziałam twarz komendanta, gdy wrócił od pani z baraku. Wyglądał tak samo żałośnie jak pani teraz. Przez cały wieczór palił papierosy, jednego za drugim, a pali zazwyczaj, gdy się denerwuje. Na mężczyznach to ja już się trochę znam. – Znowu się zaśmiała. – On wcale nie chciał zrobić pani krzywdy, więc i pani córki by nie skrzywdził.

– Nie rozumiem.

– Myśli pani, że tak wyglądają tortury nazistów? Jeżeli tak, to mało pani widziała na tej wojnie. Oni ledwo panią popieścili. Niby dlaczego ma pani całą czaszkę i ręce? Dlaczego nie bili po brzuchu? Odpowiedź jest tylko jedna. Nie chcieli pani zabić.

Patrzyłam na nią i zastanawiałam się, czy to, co mówi, ma sens. Czy rzeczywiście tak było? Ból, który czułam, był przecież prawdziwy.

– Ale na wszelki wypadek, unikałabym kontaktu z komendantem – dodała po chwili.

– Dziękuję – odpowiedziałam w końcu. – Jestem zmęczona. Mogę zostać sama?

Ewa i Klara, nic nie mówiąc, wyszły do kuchni, zamykając za sobą drzwi. Odwróciłam twarz w kierunku okna. Po chwili zasnęłam.

Za radą Ewy i słuchając własnego głosu rozsądku, przez całe wakacje unikałam spotkania z komendantem. Razem z Klarą postanowiłyśmy spędzić ten czas w taki sposób, jak przystało na prawdziwe wakacje. Chodziłyśmy na pobliskie łąki, włóczyłyśmy się po lesie. Próbowaliśmy zaczarować brutalną rzeczywistość, która nas otaczała. Nauczyłyśmy się nawet łowić ryby. Każdą wolną chwilę spędzałyśmy nad rzeką. Korzystałyśmy z tych upalnych dni, dopóki mogłyśmy. Miałam dziwne przeczucie, że powinnam bardziej cieszyć się życiem, kiedy jeszcze mogę. Wydarzenia ostatnich lat pokazały mi, że śmierć czyha na każdym kroku. Jeżeli mogłam zginąć w każdej chwili, nie chciałam niczego żałować.

Klara z kolei coraz aktywniej pomagała mi w leczeniu okolicznych pacjentów. Umiała już nawet zrobić proste zabiegi, a opatrywanie ran szło jej bardzo profesjonalnie. Nikt nie mógł się skarżyć. Nie dlatego, że była moją córką, ale dlatego, że miała wrodzony talent po swoim ojcu. Z każdym dniem coraz bardziej mi go przypominała.

Dopiero z nastaniem jesieni musiałyśmy porzucić nasze codzienne, małe przyjemności i ze zdwojoną siłą skupić się na leczeniu, gdyż u partyzantów zaczął się sezon wszystkich możliwych chorób. Wybuchła nawet epidemia czerwonki, którą, dzięki wsparciu szarytek z łomżyńskiego szpitala, cudem udało się powstrzymać.

W końcu, gdy nadeszła zima, ponownie spotkałam komendanta. Tego dnia wybrałam się w odwiedziny do chorego dziecka. Gdy znalazłam się na podwórzu, zorientowałam się, że w gospodarstwie trwa przeszukanie. Na zawrócenie było już za późno, stanęłam więc pod ogrodzeniem i cierpliwie czekałam, aż skończą. Mimo że nie szukałam go wzrokiem, od razu dostrzegłam jego postać wyróżniającą się spośród innych żołnierzy. Miałam wrażenie, że na mój widok wyprostował się jak cięciwa. Dzielilo nas kilkadziesiąt metrów, a ja doskonale wiedziałam, że patrząc na mnie, zaciskał mocniej szczękę. Do końca przeszukania zachował kamienną twarz. Ja zresztą też. Stałam wyprostowana i dumna. Nie pochyliłam głowy i nie spuściłam wzroku. Zacisnęłam zęby i czekałam. Nie chciałam dać mu tej satysfakcji i pokazać, że pozostał we mnie chociaż ślad po tym, co mi zrobił. Dopiero gdy zamknęli za sobą drzwi ciężarówki, delikatnie drgnęłam, a gdy wyjechali, wypuściłam powietrze z płuc i ruszyłam się z miejsca.

Potem zdarzyło się, że kilka razy wezwano mnie na posterunek do chorych żołnierzy, ale nigdy do niego. Komendant leczył się już tylko u doktora Kaufmana. Ani razu też nie wyszedł ze swojego gabinetu, gdy przyjmowałam na dole jego ludzi. Nigdy nie wezwał mnie do siebie. Wyczuwałam niesprzyjającą atmosferę, która panowała na posterunku za każdym razem po moim przyjściu. Staralam się, jak mogłam, by nie wchodzić mu w drogę. Trzymałam się na uboczu. Tak było lepiej. Dla mnie i dla niego.

Nowogród, 1943

Obudziło mnie ciche pukanie do drzwi. Szybko zerwałam się z miejsca. Zanim założyłam coś na siebie i wyszłam, w kuchni Zając już kręcił się nerwowo.

- Coś się stało? – zapytałam, poprawiając włosy.
- Major został ranny. Pomożesz? – odpowiedział zdenerwowany.
- Daj mi chwilę. Muszę się ubrać.

Kilka minut później szliśmy już leśną ścieżką, na końcu której miał czekać na nas wóz. Zając opowiedział mi, że dziś przeprowadzili akcję odbicia swoich z łomżyńskiego więzienia. Wśród nich było trzech oficerów Armii Krajowej, którzy całkiem przypadkowo zostali aresztowani. Musieli działać szybko, żeby Niemcy nie zorientowali się, kogo przetrzymują. Z tego powodu akcja nie była dopięta na ostatni guzik, ale nie mieli innego wyjścia. Poza tym strata trzech oficerów paraliżowała działanie kilkudziesięciu żołnierzy pozostawionych bez swoich dowódców. Jeden z ukraińskich strażników więziennych był ich człowiekiem, to on ułatwił im wejście do środka. Z kolei dziewczyna, która organizowała dostawę żywności do więzienia, przemyciła im tego dnia broń, amunicję i materiały wybuchowe. W sumie uwolnili dziesięciu ludzi, ale w trakcie wycofywania oberwał major, który kierował całą akcją. Rannego umieścili u rodziców jednego z partyzantów, na terenie Łomży.

Gdy weszliśmy do mieszkania, zobaczyłam kilkunastu uzbrojonych po zęby mężczyzn, stłamszonych w jednym pokoju.

- Dlaczego was tu tyle? – zapytałam po wejściu do środka.
- Nikt nie chciał zostawić majora – odezwał się Zając.

– Zostaliśmy na wszelki wypadek, jakby trzeba było go bronić – odpowiedział młody chłopak z automatem w ręku.

– A gdzie major? – dopytałam.

Zaprowadzono mnie do drugiego pokoju, gdzie na stole leżał ranny mężczyzna. Stojąca nad nim kobieta w średnim wieku przykładała mu opatrunek do brzucha. Szybko podeszłam bliżej.

– Proszę to odsunąć – powiedziałam do niej. Chciałam, jak najszybciej zobaczyć ranę i postawić diagnozę. – Dobry wieczór, majorze – zreflektowałam się.

– Chyba nie całkiem dobry. Jak wygląda sytuacja?

– Rana postrzałowa brzucha. Mocno krwawi – stwierdziłam. – Za chwilę wrócę i dokładnie się temu przyjrę.

Chwilę później przystąpiłam do badania. Wiedziałam, że sytuacja jest beznadziejna.

– Panie majorze, nie będę pana okłamywać – zaczęłam, chociaż takie momenty zawsze były dla mnie trudne. – Potrzebuje pan operacji i to w trybie pilnym. Nie mam żadnych medykamentów. Żadnego znieczulenia.

– Wytrzymam – przerwał mi.

– Wierzę, że dałby pan radę, ale nie o to chodzi. Otwarcie brzucha w tym miejscu, w takich warunkach, jest niemożliwe. Umrze pan albo od tej kuli, albo od zakażenia.

Major nic nie odpowiedział.

– Na pewno da się coś zrobić! – Usłyszałam za sobą głos Zająca.

Był zdesperowany.

– Chyba nie muszę ci tłumaczyć, kim dla nas jest major?! Alicjo, to najważniejszy człowiek w promieniu dwustu kilometrów!

– Zając, nie trzeba – odpowiedział major spokojnym głosem. – Zaszczycem będzie umrzeć, zdając sobie sprawę z tego, że uratowaliśmy Bzurę, Lipca i Maja oraz siedmiu innych.

– Majorze, służyć panu to dla mnie zaszczyt!

Usłyszałam wzruszenie w głosie Zająca. W powietrzu czuć było ciężar całej sytuacji. Chciałam pomóc im za wszelką cenę, tylko jak... Spojrzałam raz jeszcze na majora, a potem odwróciłam głowę

w kierunku sąsiedniego pokoju, skąd dochodziły ciche rozmowy kilkunastu gotowych ruszyć do walki mężczyzn.

– Zajac – zaczęłam pewnym siebie głosem. – Zapytaj swoich ludzi, kto jest gotów zaryzykować życie i osłaniać szpital.

– Szpital? – powtórzył.

Dopiero po chwili dotarło do niego, co właśnie mu zaproponowałam. Popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, po czym wybiegł z pokoju. Wrócił z uśmiechem na ustach.

– Wszyscy – odpowiedział przepełniony dumą.

– Potrzebujemy kilku. Nie możemy rzucać się w oczy. Szpital nie ma swoich żandarmów, a w nocy personel powinien być w okrojonym składzie – skwitowałam. – Majorze, proszę się trzymać, zabieramy pana do szpitala. Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby postawić pana na nogi.

Pod osłoną nocy przedzieraliśmy się bocznymi ulicami miasta. Gdy byliśmy już na ulicy Nadnarwiańskiej, zobaczyliśmy w oddali nasz cel. W środku gdzieś tliło się światło. Ludzie Zajaca obstawili teren wokół szpitala, a do budynku weszła nasza siódemka. Dwóch trzymało nosze, Zajac szedł jako pierwszy, za nim ja, a na końcu jeszcze dwóch z automatami. Tak jak mówiłam, wejście nie było w żaden sposób pilnowane. Szybkim krokiem mknęłam ciemnym korytarzem, a za mną podążało dwóch partyzantów z noszami. Doskonale pamiętałam, w którym miejscu znajduje się sala operacyjna. Po chwili major leżał na stole, a ja zaczęłam przygotowywać się do zabiegu. W tym czasie Zajac i pozostała dwójka rozbiegli się po budynku, zgarniając personel do jednej sali. Na szczęście było tylko dwóch pacjentów i to ze złamaniami, więc unieruchomieni grzecznie leżeli w swoich łóżkach. Doktora Kaufmana ani żadnego innego lekarza nie było tej nocy na dyżurze. Przychodzili tylko na konkretne wezwanie mieszkających tu sióstr.

– Zajac, sama nie dam rady – powiedziałam, gdy porucznik przyszedł zameldować mi, że sytuacja jest pod kontrolą. – Przyrowadź tu dwie siostry zakonne. Tylko udawaj groźnego. Wystrasż je porządnie. Powiedz, że albo pomogą, albo zginą na miejscu. Niech myślą, że nie mają wyboru. Nie chciałabym niepotrzebnie narażać ich życia, jeżeli

zgodzą się nam pomagać. Nie wiadomo, czy ktoś z personelu nie jest folksdojczem i nie doniesie o tym Niemcom.

Zając kiwnął głową i w okamgnieniu opuścił salę, a ja zdjęłam opatrunek z rany majora. Wszędzie było pełno krwi. Zaczęłam odkażać brzuch, musiałam przygotować miejsce do cięcia.

Gdy na salę weszły dwie przerażone siostry, od razu rozpoznałam twarz jednej z nich. To była szarytka, która oprowadzała mnie tamtego dnia po szpitalu. Ona również mnie rozpoznała, widziałam to w jej oczach. Żadna z nas jednak nic nie powiedziała.

– Siostry – zaczęłam – jestem zmuszona prosić was o asystowanie przy operacji. Nikt wam nie zrobi krzywdy. Potrzebuję tylko kilku dodatkowych par rąk. Bez waszej pomocy ten mężczyzna umrze – tłumaczyłam spokojnie. – To porządny człowiek. Musi żyć. Rozumiecie?

Kobiety spojrzały po sobie, a chwilę później szorowały ręce, przygotowując się do zabiegu. Jedna z nich przyłożyła do ust majora maseczkę skropioną kilkoma kroplami eteru. Gdy zasnął, mogłam zaczynać. Wzięłam skalpel do rąk i rozejrzałam się wokół. Nie mogłam uwierzyć, że znowu stoję w tym miejscu. Nawet nie marzyłam o powrocie na salę operacyjną. Ogarnął mnie spokój, byłam w swoim żywiole. Znowu czułam się pewnie, to był mój świat. Teraz ja rządziłam. Nie Niemiec. Nie partyzant. Przyłożyłam ostrze do skóry i zdecydowanym ruchem przejechałam nim wzdłuż rany. Przecięłam warstwę mięśni brzucha, po czym oddałam siostrze skalpel.

– Haki – powiedziałam pewnym siebie głosem. Gdy mi je podano, założyłam je na skórę, aby dostać się do środka. Niestety, nie mogłam namierzyć kuli. Ukryła się między organami tak sprytnie, że nie byłam pewna, w którym miejscu mam jej szukać. Włożyłam dłoń delikatnie do środka. Kątem oka zobaczyłam, że Zając odwrócił się tyłem. Niby żołnierz, niby widział już tyle... Jednak taka reakcja była normalna, zważywszy na łączącą ich silną więź. Dlatego też lekarze nie operują swoich rodzin. W takiej sytuacji łatwo o błąd. Zaczęłam przesuwac palcami między jelitem a żołądkiem, aż w końcu ją wyczułam. Siedziała w lewej nerce.

– Kocher proszę – mówiąc to, automatycznie wyciągnęłam rękę w kierunku stojącej obok mnie siostry. Ostrożnie chwyciłam kulę

szczypcami i delikatnie usunęłam z narządu. Gdy to zrobiłam, zrozumiałam, że nerka jest nie do uratowania. Musiałam przeprowadzić nefrektomię. Na koniec podwiązałam wszystkie krwawiące naczynia, zszyłam przecięte mięśnie i skórę.

– Dziękuję, siostry. – Uśmiechnęłam się do kobiet, gdy już zdjęłam maseczkę. – Przepraszam, że was tak narażamy, ale musieliśmy uratować tego człowieka.

– Myśli pani, że to pierwszy partyzant, którego tu operowałyśmy?

Siostry uśmiechnęły się do siebie. Poczułam ulgę. Zatem była szansa, że nie wydadzą mnie ani doktorowi Kaufmanowi, ani innym nazistom. Aczkolwiek tego nigdy nie można być pewnym.

– Zając, zabieramy go – rzuciłam do pobladłego porucznika. Zanim wyszliśmy, zajrzałam jeszcze do szpitalnej apteki i zabrałam kilka cennych medykamentów.

Gdy wróciłam do domu cała i zdrowa, nie wierzyłam, że udało nam się to zrobić i że nikt przy tym nie stracił życia. Serce waliło mi jeszcze przez długi czas. Rozpierała mnie radość. Zasnęłam dopiero z pierwszymi promieniami słońca.

Niepostrzeżenie nadeszła kolejna wojenna wiosna. Kiedyś, gdy świat budził się do życia, topniejący śnieg odsłaniał to, na co tak czekaliśmy z utęsknieniem, ukazywał nam swoje piękno. Teraz, wraz z nastaniem roztopów, widać było tylko skalę zniszczeń. Porozwalane domy i stodoły już nie ukrywały swojej brzydoty pod pięknym białym puchem. Ciała leżące na polach i w lasach przypominały o grożącym nam wciąż niebezpieczeństwie. Wiosna uświadamiała nam dobitnie, że walka wciąż trwa.

Tego dnia wiał ciepły wiatr, a słońce przedzierało się zza chmur. Do lata było jeszcze daleko, a mimo to czuć było, że wakacje zbliżają się wielkimi krokami. Rozpięłam guziki płaszcza. Bałam się, że przez tempo narzucone mi przez żandarma, za chwilę się spocę, a przy takiej aurze o przeziębienie nie trudno. Nie wiedziałam, dlaczego nie przyjechał ciężarówką, skoro tak mu się teraz śpieszyło. Prawie biegiem wpadliśmy na podwórze przed posterunkiem. Z daleka zobaczyłam dwóch leżących

na trawie żołnierzy. Czułam, że stało się coś naprawdę złego. Im bardziej się do nich zbliżałam, tym wyraźniej się o tym przekonywałam. Jeden z nich leżał już bez oznak życia. Podeszłam i położyłam palce na jego szyi. Nie wyczułam pulsu. Wstałam i zaczęłam iść w stronę drugiego rannego Niemca. Wtedy zobaczyłam, jak rozległe ma obrażenia. Jego ciało było wręcz zmasakrowane. Po nogach zostały tylko dwa niewielkie kikuty, kończące się na wysokości połowy uda. Obwiązane były paskami do spodni, tak samo, jak kiedyś ja obwiązałam nogę Maxa. Skóry na brzuchu praktycznie nie było, wnętrzności wylewały się ze środka. Po raz pierwszy w życiu zrobiło mi się niedobrze na widok rannego człowieka. Zamiast podejść do niego bliżej, doszłam do ogrodzenia i przytrzymałam się ręką sztachety. Obejrzałam się za siebie. Pozostali żołnierze stali tak daleko, że nie byłam w stanie zobaczyć wyrazu ich twarzy. Żaden nie podszedł do rannego kolegi, nie próbował mu pomóc, pocieszyć. Patrzyli w każdym możliwym kierunku, tylko nie tu. Komendant również stał dalej, niż powinien, chociaż zdecydowanie bliżej niż inni. Był jak zwykle niewzruszony. Wzięłam głęboki oddech. Odłożyłam torbę sanitarną na ziemię. Zdjęłam płaszcz i przewiesiłam go przez płot. Czułam, że krople potu spływają mi po plecach. Było mi gorąco, mimo że miałam na sobie tylko lekką sukienkę. Wzięłam wojskową kurtkę, która suszyła się nieopodal na sznurku i w końcu podeszłam do rannego Niemca. Uklękłam przy nim.

– Wiesz, kim jestem? – zapytałam.

– Pani doktor – odpowiedział drżącym głosem.

– Ty jesteś Wilhelm, dobrze pamiętam, kolega Maxa?

Chłopak kiwnął głową.

– Posłuchaj mnie, Wilhelm, przykryję cię tą kurtką, żeby było ci cieplej, dobrze?

Nie protestował. Nie powiedziałam mu wszystkiego, co zamierzałam zrobić. Najpierw delikatnie odpięłam pasek uciskający lewą nogę, a potem zrobiłam to samo z drugim. Momentalnie z tętnic trysnęła krew. Poczułam ciepłą ciecz na twarzy. Zerknęłam na siebie. Sukienkę pokrywały czerwone plamy. Delikatnie wytarłam się ręką. Nic więcej nie byłam w stanie dla niego zrobić. On umierał. Opaski, którymi próbowali mu pomóc, przedłużały tylko jego agonię. Jedyne, co mogłam zrobić, to

pozwolić mu godnie odejść z tego świata. Położyłam kurtkę na jego ciele tak, aby zakryć brzuch i wystające kikuty. Nie chciałam, żeby w ostatnich chwilach myślał o tym, co na jego widok czują pozostali. Miałam nadzieję, że komendant domyślił się prawdy, bo nie wystarczyło mi odwagi, by na niego spojrzeć.

– Umieram, prawda? – zapytał.

– Nie myśl teraz o tym – odpowiedziałam wymijająco. – Skąd pochodzisz, Wilhelm? – próbowałam odwrócić jego uwagę.

Chłopak nadal cały się trząsał. Wziął głęboki oddech.

– Z Bawarii – powiedział, delikatnie się uśmiechając, po czym dodał: – Może coś pani dla mnie zrobić?

– Słucham?

– Może mnie pani potrzymać za rękę?

Nie zdziwiła mnie jego prośba. Każdy, kto umierał, niezależnie od tego, czy był młody, czy stary, pragnął odejść w otoczeniu bliskiej osoby. Czuć, że komuś na nim zależy, że komuś będzie go brakować.

– Oczywiście – przytaknęłam bez wahania. Pochyliłam się nad nim bardziej i ujęłam jego dłonie w swoje, czerwone od krwi.

– Lepiej? – dopytałam.

– Tak, dziękuję – odpowiedział.

– A czy ty też zrobisz coś dla mnie?

Chłopak delikatnie uśmiechnął się na zgodę.

– Zamknij, proszę, oczy – zaczęłam. – Wyobraź sobie Bawarię, swój dom, i opowiedz mi, jak ona wygląda, bo nigdy tam nie byłam.

– Nigdy? Przecież to najpiękniejsze miejsce na ziemi...

Gdy to powiedział, posłusznie zamknął oczy. W tym momencie spojrzałam na komendanta. Stał na baczność, jakby trochę z przymusu, bo właśnie tak wypadało. Nie widać było po nim strachu czy przerażenia. Patrzył na mnie. Pokręciłam lekko głową, dając mu znak, że to koniec, że nic więcej nie mogę zrobić. Widziałam, jak zaciska mocniej szczękę. Spojrzałam ponownie na leżącego chłopaka.

– Mój dom stoi nad niewielkim strumykiem – zaczął nerwowo. – Żeby się do niego dostać, trzeba przejść przez drewnianą kładkę. Zaraz za ogrodzeniem zaczynają się wzgórza, a za nimi rozpościerają się masywne góry. Stojąc przed domem, można ujrzeć przepiękne, ośnieżone

szczyty owinięte chmurami. Wszędzie pełno jest drzew i to tak intensywnie zielonych, nie to co tutaj. Całe wzgórze są nimi porośnięte.

– Brzmi naprawdę pięknie. A kto jest w domu?

– Moja mama – dodał już o wiele spokojniejszym głosem. – Jak zwykle przygotowuje ziemniaki z cebulką i jabłkami. Dawno już ich nie jadłem...

Czułam, jak powoli rozluźnia uścisk dłoni. Mówił coraz wolniej i ciszej.

– Po wojnie, pojedę do domu i...

Już nic więcej nie powiedział. Odszedł do swojej Bawarii. Odłożyłam jego dłonie na kurtkę. Powoli podniosłam się z kolan. Wiatr zsuwał mi włosy na oczy, a ja nie mogłam ich odgarnąć. Wciąż miałam na rękach jego krew. Może tak było lepiej, nie musiałam nikogo więcej oglądać. Podeszłam do płotu. Wytarłam dłonie o sukienkę, która i tak już była cała we krwi. Podniosłam z ziemi torbę i zgarnęłam płaszcz. Ruszyłam powoli w stronę wyjścia. Był ciepły, wiosenny dzień. Jeden z wielu. Niczym nieróżniący się od tych, co już były, i tych, co nadejdą. Będąc na drodze, wysunęłam twarz w stronę słońca. Przez chwilę stałam bez ruchu, zastanawiając się, jak o tej porze wygląda Bawaria.

Jak się później okazało, tamci Niemcy zginęli od pocisku wystrzelonego przez partyzantów z moździerza w ich ciężarówkę. Komendant został chwilowo bez samochodu i nie ruszał się na krok z posterunku, jednak śmierć tych dwóch nie mogła pozostać bez konsekwencji. Wiedziałam o tym bardzo dobrze. W Warszawie zdarzało się, że za jednego zabitego nazistę rozstrzeliwano stu ludzi. Dlatego też od kilkunastu godzin Klara siedziała zamknięta na strychu. Nie chciałam dopuścić, aby została zabrana. Sama nie mogłam się ukryć, bo wtedy na pewno przeszukano by dom i znaleziono nas obie. Tak jak podejrzewałam, nie musieliśmy długo czekać na odwet Niemców. Następnego dnia, skoro świt, wywleczono z domów i zebrano wszystkich mieszkańców Nowogrodu na placu przy stawie. Na drodze stała ciemnoszara ciężarówka z pustą paką, przyjechała prosto z Łomży. Miała zabrać nas prosto na egzekucję do jakiegoś lasu albo łaskawie do więzienia. Krzykiem kazano ustawić się w jednym szeregu. Stałam obok Stefci i złapałam ją za rękę. Nie widziałam jej dzieci, więc zapewne też zdążyła je ukryć. Za nią stała jej

matka i mąż. Oprócz komendanta i jego żołnierzy było kilku przyjezdnych, w tym dowódca łomżyńskiej żandarmerii *Kreisführer* Helmut Werner. Niestety z Maxem Wernerem nie miał nic wspólnego, wręcz był jego przeciwieństwem. Dowódca żandarmerii był człowiekiem po pięćdziesiątce, niskim i pulchnym. Maszerował dumnie wśród nas w jedną i drugą stronę, przeciągając do granic możliwości śmiertelną wyliczankę. Komendant stał z boku. Jak zwykle wyprostowany niczym struna. W nieskazitelnie wyprasowanym mundurze i błyszczących butach prezentował się o wiele lepiej od swojego przełożonego. Na jego widok spuściłam niżej głowę, tak by nie widzieć ani jego wzroku, ani spacerującego Niemca. W końcu gdzieś na początku szeregu wybuchł płacz i już wiedziałam, że się zaczęło. *Kreisführer* szedł z wyciągniętym pistoletem. Każdy, kogo nim wskazał, miał wystąpić dwa kroki przed szereg. Kątem oka widziałam, że kilka osób będących po mojej lewej stronie nadal stoi nieruchomo w szeregu. Gdy stanął przede mną, poczułam lufę pistoletu na swoim brzuchu. Na krótki moment zamknęłam oczy. Wypuściłam dłoń Stefci. Odmierzyłam dwa kroki i stanęłam wyprostowana z uniesioną głową.

– *Herr Kreisführer*, za pozwoleniem, to nasza lekarka, doktor Alicja Sambor.

Usłyszałam głos komendanta, który szedł w moją stronę. *Kreisführer* zatrzymał się, odwrócił i zmierzył mnie wzrokiem. Następnie znowu stanął naprzeciwko mnie. Miałam ochotę rzucić się na niego, wyrwać pistolet z jego ręki i przycisnąć mu lufę do brzucha, żeby poczuł to samo, co ja przed chwilą. Zamiast tego pokornie spuściłam wzrok. Znowu poczułam czubek jego pistoletu, który z całej siły napierał na moje ciało. Posłusznie zrobiłam dwa kroki do tyłu. Stałam z powrotem w szeregu. Wtedy zauważyłam, że ta sama lufa była teraz na brzuchu Stefci. Odruchowo spojrzałam na komendanta. Wpatrywałam się w jego zimne oczy. Bez słów błagałam go, żeby coś zrobił. Przez ułamek sekundy popatrzył na mnie i skierował wzrok z powrotem na swojego dowódcę.

– *Herr Kreisführer* wybiera najładniejsze dziewczyny, a potem żołnierze narzekają na brak rozrywek. – Komendant zaśmiał się delikatnie, chociaż wiedziałam, że jego głos nie brzmi naturalnie.

– Radziłbym bardziej szukać rozrywek u partyzantów niż u wiejskich dziewczek, *Herr Kommandant* Hizel – odrzekł niewzruszonym głosem. – Może wtedy nie musiałbym się tu fatygować.

Widziałam, jak komendant zaciska mocniej dłonie. To była dla niego zniewaga. W szczególności, że to, co powiedział, było kłamstwem. Komendant trzymał swoich żołnierzy krótko. Jednak jego słowa zadziałały. *Kreisführer* cofnął Stefcie do szeregu i kazał wyjść następnej – jej matce... Wiedziałam, że komendant nie zrobi już nic więcej. Złapałam z całej siły dłoń Stefci. Prosiłam ją w duchu, aby nie płakała, bo każdy wybuch płaczu tylko ich prowokował. Kto wie, czy Niemiec nie zmieniłby wtedy zdania i nie kazałby jej dołączyć do matki. Kwadrans później ciężarówka odjechała w stronę Łomży. Ci, którym udało się przeżyć, rozeszli się do swoich domów bez słowa, bez krzyków. Jakby wiedzieli, że taki już jest ich los.

Parę dni później wezwano mnie do chorej kobiety, która z nieznanых przyczyn zaniemogła. Mieszkała w sąsiedniej wiosce – w Morgownikach. Przyjechał po mnie osiemnastoletni chłopak i prosił o pomoc dla swojej matki. Widziałam w jego oczach strach. Gdy zajechaliśmy na podwórze, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Na trawie przed domem bawiło się piętnaścioro dzieci w wieku od dwóch do szesnastu lat. W chałupie było jeszcze dwoje najmłodszych, a przy nich starsza, zgarbiona kobieta.

– Pochwalony – powiedziałam, po czym zaczęłam rozpinać płaszcz. – A gdzie matka? – Zwróciłam się do chłopaka stojącego tuż obok mnie.

– To ja – odpowiedziała cichym głosem kobieta. Była ode mnie młodsza, a wyglądała, jakby była już po pięćdziesiątce. Jak się okazało, pierwsze dziecko urodziła, jak miała osiemnaście lat, a potem rodziła rok po roku.

Chłopak, który po mnie przyjechał, był jej najstarszym dzieckiem. Robił, co mógł, aby ulżyć matce, ale przy tylu dzieciach i gospodarstwie, to nadal było zbyt mało. Kobieta na szczęście nie była w kolejnej ciąży, ale jej organizm był już bardzo wyczerpany. Niewiele mogłam jej pomóc z medycznego punktu widzenia, bo nie miałam nawet kroplówki z glukozą. Kazałam jej dużo odpoczywać i jeść więcej warzyw. Wy tłumaczyłam, skąd biorą się dzieci, bo mimo że miała ich tyle, to nie miała o tym zielonego pojęcia. Nikt nigdy jej nie uświadomił. Ani matka,

ani siostra, ani żadna inna kobieta z wioski. Potem grzecznie się pożegnałam i wyszłam z domu. Chłopak szedł za mną. W tym samym czasie z pola wrócił jego ojciec, na mój widok wystraszył się i zdjął czapkę.

– Pochwalony – powiedział, zbliżając się.

Nic mu nie odpowiedziałam. Patrzyłam na niego surowym wzrokiem. Chciałam jakoś pomóc tej rodzinie, ale wiedziałam, że żadne moje tłumaczenia, żadne prośby czy błagania tu nie pomogą.

– *Guten Morgen!* – odpowiedziałam po niemiecku. Chłop otworzył szeroko usta z przerażenia. – To pana dzieci?

Chłop przytaknął i przełknął ślinę.

– Po co panu tyle dzieci?! *Zu viele Kinder!* Może buduje pan własną armię przeciwko Hitlerowi? *Herr Kommandant* Hizel o tym wie?! – grzmiałam, rzucając co jakiś czas niemieckie słowa.

– Ja prosty chłop! Ja nic nie buduję, jaśnie pani! Na Boga, ja prosty chłop!

Podeszłam do niego bliżej i zmrużyłam groźnie oczy.

– Żadnych więcej dzieci! Przez rok trzymać się z daleka od żony! Nie spać razem jak mąż z żoną! Rozumie?! *Alles klar?!* Będę was obserwować! *Auf Wiedersehen!*

Pożegnałam się i wsiadłam na wóz. Jego syn śmiał się przez całą drogę do Nowogrodu. Powiedział, że nigdy ojca tak wystraszonego nie widział i że bardzo dobrze zrobiłam. Nie da się ukryć, ja również czułam lekką satysfakcję...

Tymczasem komendant przeprowadzał swój własny odwet na partyzantach. Całymi dniami przeczesywał lasy, wzmógł kontrolę na drogach, przeszukał wszystkie domy. W końcu znalazł to, co chciał...

W środku nocy obudziła mnie czyjaś ręka na ustach, tym razem kobieca. To była Ewa. W kuchni czekał na mnie jeszcze partyzant. Zdziwiłam się, że nie był to mój znajomy porucznik.

– Co się dzieje? – zapytałam szeptem.

– Złapali Zająca i Strugę – odpowiedziała.

– O Boże! – Zasłoniłam ręką usta. – Kiedy? Kto?

– Wczorajem. Pani komendancik – rzuciła z ironią.

Na te słowa poczułam złość, jednak nie skomentowałam w żaden sposób jej przytyku.

– Struga jest ranny, nie wołali pani do niego? – dopytała.

– Nie. A Zajac?

– Był cały, ale teraz to nie wiadomo. Kto wie, co im tam robią.

Przed oczami miałam ciemne wnętrze baraku. Poczułam nagłą boleść w nogach. Na samą myśl o tym, co przechodzi Zajac, coś ścisnęło mnie w żołądku.

– Jak możemy mu pomóc? – powiedziałam podniesionym głosem.

– Cieszę się, że tak to pani ujęła. – Partyzant zaczął mówić wyraźnie podekscytowany. – Bo właśnie pani może nam pomóc.

– Zrobię wszystko, co trzeba! Proszę tylko mówić co!

– Z tego, co usłyszałam przy kolacji, będą ich tu trzymać jeszcze dzień lub dwa, bo nadal czekają na nową ciężarówkę, a Łomża nie ma kogo teraz przysłać. Potem zabiorą ich do więzienia, a stamtąd już ich nie wyrwiemy. Po ostatniej akcji wzmocnili strażę – tłumaczyła Ewa.

– Jedyna szansa, to odbić ich w drodze. Przygotujemy zasadzkę w lesie, a gdy będą nadjeżdżać, zagrodzimy im drogę i odbijemy naszych – dodał partyzant.

– A co ja mam w takim razie robić? – zapytałam, bo nie rozumiałam, jaką miałabym odegrać rolę, skoro już tak dobrze wszystko zaplanowali.

– Problem jest taki, że nie wiemy, którędy będą jechać. Są trzy możliwe trasy. Główną drogą, przez las lub wzdłuż rzeki. Wszystkich nie obstawimy, nie damy rady. Mamy za mało ludzi i sprzętu. Część naszych jest teraz w Czerwonym Borze pod Zambrowem i nie zdołamy ściągnąć ich tu na czas. A nie chcemy strzelać na oślep, kierowca może stracić panowanie i doprowadzić do wypadku, albo, co gorsze, zanim dobierzemy im się do tyłków, mogą w zemście zastrzelić naszych. To zbyt ryzykowne. Musimy skutecznie zablokować drogę, tak żeby sami zatrzymali wóz i z niego wyszli. Wtedy sami nam się podłożą. – Uśmiechnął się zawadiacko.

– Tylko musimy wiedzieć, którą drogę...

– Właśnie pani musi się tego dowiedzieć – oznajmiła twardo Ewa.

– Ja? A niby jak mam to zrobić? Przecież nie pójdę i nie zapytam o to komendanta – powiedziałam, zdziwiona ich propozycją. – Myślałam, że

mam odwrócić ich uwagę albo zbadać teren. Nikt nie zdradzi mi szczegółów. To niedorzeczne.

– Nikt pani tego nie powie, bo oni jeszcze sami nie wiedzą, którądy i kiedy będą jechać. Rozkaz ma przyjść jutro z dowództwa. Zawsze między szesnastą a osiemnastą przychodzi telegram z wytycznymi co do każdej akcji. Niemcy skrupulatnie planują każde swoje działania. Jutro będzie tak samo. Wystarczy, że będzie pani obecna w gabinecie komendanta, gdy żandarm przyjdzie z telegramem. To tyle. – Ewa mówiła pewnym siebie głosem, jakby o nic wielkiego mnie nie prosiła.

– To aż dwie godziny! Co będę tam robić tak długo? Poza tym komendant ostatnimi czasy w ogóle mnie do siebie nie wzywa. Sama przecież wiesz.

– Pani Sambor, jest pani mądrą i piękną kobietą, na pewno pani coś wymyśli – odezwał się partyzant.

Na te słowa cała poczerwieniałam. Dobrze, że było ciemno i nie mogli tego zobaczyć. Serce zaczęło mi mocniej bić. Miałam ochotę strzelić mu w policzek, ale tylko zacisnęłam pięści.

– Pan raczy sobie żartować w tym momencie! Pańska sugestia jest oburzająca!

– Jest szansa, że telegram przyjdzie po szesnastej i do niczego nie dojdzie – wtrąciła Ewa, widząc moje zażenowanie.

– Oczywiście, że do niczego nie dojdzie, bo na to nie pozwolę! Musi być inne wyjście. Nie wierzę, że nic więcej nie uda wam się wymyślić!

– Jest jeszcze jedno – zaczął niepewnie chłopak. – Jutro skoro świt przeprowadzimy atak na posterunek. Uderzymy ze wszystkich stron.

– To jest ten plan?! Przecież oni są uzbrojeni po zęby, wystawiają warty, a na podwórzu stoją dwa ciężkie karabiny maszynowe! To będzie rzeź, a nie odbicie naszych! Zajac i Struga zginą, zanim się do nich w ogóle zbliżycie!

– Trzeciego wyjścia nie ma – oznajmił gniewnie partyzant. – Jaka jest pani decyzja?!

– Mam panu teraz odpowiedzieć, czy zdołam uwieść komendanta, czy jednak nie dam rady tego zrobić?

– W rzeczy samej. Jeżeli będę musiał wcielić w życie drugi wariant i tym samym uderzyć na nich za pięć godzin garstką swojego oddziału,

muszę to wiedzieć w tym momencie.

– Proszę nie zakładać najgorszego, przecież równie dobrze możecie zwyczajnie rozmawiać, na pewno znajdziecie wspólne tematy. – Ewa próbowała ratować sytuację.

Czułam, jak drżą mi usta. Żałowałam, że nie mam choć jednego papierosa. W mojej głowie zapanowała gonitwa myśli. Życie Zająca, Strugi i kilkunastu partyzantów zależało od mojej decyzji. Co będzie, jeżeli się zgodzę, ale nie będę w stanie tego zrobić? Co, jeśli wycofam się na widok komendanta? Czy zdołam wytrzymać dotyk jego rąk na swoim ciele?

– Zgadzam się. Zrobię to – odpowiedziałam krótko, chociaż rozum kazał odmówić.

– Jest pani pewna, pani Sambor? – upewnił się.

– Oczywiście, że nie jestem pewna! – rzuciłam. – Ale nie mogę tak zostawić Zająca...

– Jak tylko pozna pani szczegóły trasy, proszę przekazać te informacje Ewie, a ona przekaze je nam.

Kiwnęłam głową. Po chwili już ich nie było. Zostałam sama ze swoimi myślami. Odruchowo poprawiłam obrączkę na palcu. Nie wiedząc czemu, w planie pójścia do łóżka z komendantem bardziej przeszkadzało mi to, że w ten sposób zdradzę swojego męża niż kraj. Chociaż byłam wolną kobietą, a żałoba już dawno się skończyła, nadal czułam się żoną. To Jankowi przysięgałam miłość i wierność, i chociaż jego śmierć zwolniła mnie z tej przysięgi, wciąż nie potrafiłam i nie chciałam dopuścić do siebie nikogo innego. Zwłaszcza komendanta Hizela...

Przez cały dzień nie byłam w stanie się na niczym skupić. Za każdym razem, gdy spoglądałam na zegarek, coś ścisnęło mnie w żołądku. Każda kolejna godzina zbliżała mnie do spotkania z Niemcem. Każda godzina wydłużała tortury Zająca. Za piętnaście szesnasta zamykałam za sobą drewniane drzwi domu. Pogoda była paskudna, z nieba siąpił deszcz. Zapięłam guziki płaszcza aż pod samą szyję, a na głowę założyłam chustę. Nie chciałam wyglądać jak przemoczona kura, tego dnia musiałam wypaść atrakcyjnie. Na tyle, żeby komendant przetrzymał mnie u siebie w gabinecie przez co najmniej dwie godziny. Pomalowałam

nawet usta pomadką. Nie byłam pewna, czy nie przesadziłam. Nie mogłam przecież pozwolić, aby Niemiec domyślił się czegokolwiek.

Wchodząc na posterunek, wytarłam dokładnie usta. Została na nich jedynie delikatna poświata, pozostawiona przez czerwoną szminkę. Jak gdyby nigdy nic, przywitałam się uprzejmie z Ewą. W międzyczasie odwiesiłam na wieszak płaszcz, z którego wciąż skapywała woda, i poprawiłam włosy. Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam schodami na górę.

– Wejść. – Usłyszałam głos komendanta. Ostrożnie wślizgnęłam się do środka. Zamykając za sobą drzwi, czułam, że zamykam swoją klatkę.

Komendant siedział za biurkiem nad stosem dokumentów. Nie zauważył mnie. Dopiero stukot moich obcasów na drewnianej podłodze sprawił, że momentalnie wyprostował się na swoim krześle.

– Pani Sambor! – powiedział, zaskoczony wstając zza biurka. – Co pani tu robi?

Popatrzyłam na zegarek. Wybiła punkt szesnasta. Zatem przedstawienie czas zacząć.

– Chciałam z panem porozmawiać, *Herr Kommandant* Hizel. Mogę usiąść? – zapytałam, wskazując na stojące obok mnie krzesło.

– Oczywiście.

Usiedliśmy oboje. Komendant był wyraźnie spięty.

– Słucham, pani Sambor.

– Chciałam panu podziękować – zaczęłam. – Uratował mi pan życie po raz drugi. Nie wiem, jak zdołam się kiedykolwiek panu odwdzięczyć.

– Wystarczy, że w końcu zacznie mi pani okazywać szacunek – odpowiedział wymijająco wyraźnie zaskoczony moimi słowami.

– *À propos* tamtego incydentu. – Spuściłam wzrok, udając speszoną. – Nie wiem, co we mnie wtedy wstąpiło. Moje zachowanie było niedopuszczalne. Mam nadzieję, że będzie pan w stanie mi to wybaczyć?

Komendant milczał. Podniosłam nieśmiało wzrok. Bacznie mi się przyglądał. Jakby nie wierzył w moją skruchę. Może jednak obrałam złą taktykę?

– Już pani odpokutowała swój błąd – stwierdził oschle, nie odwracając ode mnie swojego spojrzenia.

Na te słowa zacisnęłam mocniej pięści. Na szczęście on tego nie widział.

– Tak. Tej lekcji nie zapomnę do końca życia – odpowiedziałam zbyt pochopnie.

Teraz zobaczyłam, jak on zaciska dłonie. Zagryzłam mocniej zęby, żeby nie palnąć kolejnej głupoty. Spojrzałam na zegarek. Miałam wrażenie, że czas stoi w miejscu.

– Ale widzę, że jest pani cała i zdrowa – mówiąc to, sięgnął po paczkę papierosów leżącą na blacie biurka.

– Tak, jak najbardziej. Rany na ciele bardzo szybko się goją.

Zatrzymał na chwilę wzrok na mnie, po czym wsadził papierosa do ust i odpalił.

– Coś jeszcze, pani Sambor? – zapytał, wydmuchując dym. – Nie ukrywam, że jestem dziś wyjątkowo zajęty.

Rozmowa szła w zdecydowanie złym kierunku. To moja wina. Nie spodziewałam się, że wrócę myślami do dnia, gdy byłam zamknięta w baraku i pozostawiona na pastwę jego człowieka. Tym wspomnieniem wytrącił mnie z równowagi. Niepotrzebnie dałam się ponieść emocjom. Musiałam działać szybko. Pewnym siebie ruchem wstałam z krzesła i podeszłam do boku biurka. Oparłam się pośladkiem o blat i wzięłam do ręki paczkę papierosów rzuconą tam przed chwilą przez komendanta. Bez pozwolenia wyjęłam z niej jednego. Trzymałam go ostentacyjnie w ręku, jakbym czekała, aż łaskawie mi go podpali. Komendant patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Miałam wrażenie, że za chwilę jego papieros wypadnie mu z ust.

– Mogę? – Upewniłam się.

Nic nie odpowiedział. Zamiast tego wziął do ręki zapalniczkę. Nachyliłam się lekko w jego stronę. Gdy podpalał mojego papierosa, patrzyłam prosto w jego jasnoblękitne, wpadające w szarość oczy. Pomyślałam wtedy, że są wyjątkowe i gdyby nie należały do komendanta, byłyby wręcz hipnotyzujące. Zaciągnęłam się mocno. Potrzebowałam tego tak bardzo. Uniosłam głowę do góry i wypuściłam dym. Wstałam z blatu i ruszyłam wprost do okna wychodzącego na drogę. Stałam niczym on wypatrujący kolejnego niewłaściwego zachowania u tutejszych mieszkańców. Usłyszałam za sobą jego ciężkie kroki. Stał za moimi

plecami. Był bardzo blisko. Niemal czułam jego oddech na swoim karku. Moje ciało przeszedł dreszcz, a serce zaczęło szybciej bić. Żadne z nas nie zrobiło kolejnego ruchu. Spokojnie paliłam papierosa. Po chwili usłyszałam pukanie do drzwi. W jednej sekundzie zeszło ze mnie całe powietrze. Poczułam niesamowitą ulgę. Ze szczęścia zamknęłam oczy i przysłuchiwałam się temu, co się dzieje za moimi plecami.

– Wejść! – rozkazał komendant.

Usłyszałam takie same ciężkie kroki wydawane przez podkute buty.

– Panie komendancie, czekamy na pana – oznajmił żandarm.

– Za moment przyjdę – odpowiedział zdawkowo.

– Czy mamy czekać na pana komendanta z dalszym przesłuchaniem?

Otworzyłam oczy z przerażenia. Na słowo „przesłuchanie” serce zaczęło mi walić jeszcze szybciej.

– Tak, macie na mnie czekać – powiedział dobitnie.

Zacisnęłam mocniej zęby. Wiedziałam, że tym bardziej muszę zrobić wszystko, żeby go tu zatrzymać. Jeszcze przed chwilą byłam pewna, że to koniec mojej roli. Byłam pewna, że żandarm przyniósł telegram i będę mogła uciec stąd jak najdalej. Gdy tylko drzwi trzasnęły, odwróciłam się i spojrzałam mu prosto w oczy. Musiałam grać dalej.

– Przepraszam, muszę już iść – powiedziałam rozedrganym głosem.

Ceremonialnie minęłam komendanta. Podeszłam do biurka i zgasiałam wypalonego papierosa w szklanej popielniczce. Robiłam to zdecydowanie zbyt długo. Kątem oka zerknęłam na zegarek. Nie minęło nawet piętnaście minut. Komendant podszedł bliżej i jednym ruchem ręki odwrócił mnie do siebie. Dzieliło nas kilka centymetrów. Odruchowo cofnęłam się w stronę biurka, aż poczułam na udach drewniany blat. Patrzył mi prosto w oczy, jakby szukał pozwolenia. Jego natomiast błyszczały jak nigdy wcześniej. Spojrzałam na jego usta. Były delikatnie rozchylone. Poczułam, jak się czerwienię. Nie powinnam była nawet o nim myśleć w ten sposób, a jednak nie mogłam oderwać od niego wzroku. Z drugiej strony, skoro miałam być za chwilę jego, pozwoliłam sobie myśleć o tym, jak bardzo jest kuszący. Musiałam przecież dać mu się uwieść. Przysunęłam powoli swoje usta do jego ust. Położyłam dłonie na jego ramionach i po raz pierwszy skosztowałam, jak smakuje. Dotknęłam jego warg zaledwie na chwilę, gdyż z całej siły odepchnął

mnie i posadził na blacie biurka. W jego oczach zobaczyłam pragnienie i gniew. Czułam, że coś podejrzewa.

– Dlaczego tu dziś przyszłaś?! – wykrzyczał mi prosto w twarz, ściskając mnie mocniej w pasie.

Patrzyłam na zmianę w jego oczy i na usta. Oddychałam coraz szybciej. W końcu spuściłam wzrok. Nie wiedziałam, co mam mu odpowiedzieć. Nie mogłam ani powiedzieć prawdy, ani skłamać.

– Po co przyszłaś? – mówił delikatniejszym głosem, przesuwając dłonie po moich udach. Nachylił się nade mną. Jego usta były na wysokości moich. Dzieliło nas zaledwie kilka centymetrów.

Z trudem łapałam każdy oddech. Zaczęłam go pragnąć i nie mogłam w żaden sposób powstrzymać swojego ciała. Każdy fragment mnie reagował na jego dotyk, zbliżanie. To było coś tak naturalnego i jednocześnie zabronionego.

W końcu postanowiłam poddać się bez walki, musiałam tylko wykrzesać jeszcze z siebie prawdziwe uczucia. Byłam pewna, że komendant wyczuje każdy fałsz moich pocałunków czy dotyku. Zamknęłam oczy i przypomniałam sobie swoją utraconą miłość. Każdy nasz pocałunek, który był nią przepełniony. Uniosłam powieki, przysunęłam swoją twarz do jego twarzy i pocałowałam go żarliwie. Z całych sił próbowałam oddać mu to samo uczucie.

Nie wiedziałam, czy to zadziało i czy mi uwierzył, ale chwilę później wylądowaliśmy w jego łóżku. Potem już żadne z nas nie było delikatne. Żadne z nas nie było onieśmiałe. Wręcz przeciwnie. Jedno próbowało zapanować nad drugim. Każdy ruch był gwałtowny. Nie jakbyśmy się kochali, a walczyli ze sobą. Jak gdyby zwycięzca mógł być tylko jeden.

Po wszystkim leżeliśmy bez ruchu, łapczywie nabierając powietrza do płuc. Dopiero wtedy ponownie oprzytomniałam. Poczułam skrępowanie. Naciągnęłam kołdrę na swoje nagie ciało, żeby uwolnić się od tego uczucia, jednak on mnie powstrzymał. Zsunął ją ze mnie i bezwstydnie mi się przyglądał. Nie wiedziałam, gdzie podziąć wzrok. Obróciłam się na bok i próbowałam zasłonić się ręką. Poczułam, jak przesuwa opuszką palca po moim ciele. Starłam się o tym nie myśleć. Zamiast tego zastanawiałam się, która może być teraz godzina.

Wtedy ponownie rozległo się pukanie do drzwi. Komendant zerwał się na równe nogi i pośpiesznie wciągnął spodnie. Ja w tym czasie nasunęłam kołdrę na siebie, aż po samą szyję.

– Wejść.

– Panie komendancie, telegram – powiedział ten sam żandarm, który był tu wcześniej.

– Możesz wyjść.

Odwróciłam się w jego stronę. Stał przy biurku w samych spodniach. Jego nagi tors był cały spocony. Gdy skończył czytać, rzucił telegram na blat biurka i ruszył w moją stronę. Usiadł na brzegu łóżka i zaczął mi się przyglądać. Dotknął ręką mojej twarzy i odgarnął mi włosy za ucho.

– Pójdę już – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy.

– Nigdzie cię nie puszcę – odpowiedział z uśmiechem na ustach. – Jesteś już moja.

Zsunął ze mnie kołdrę i zaczął całować moje nogi. Gdy skończył, ponownie położył się obok i popatrzył mi w oczy.

– Przepraszam – powiedział wyraźnie skruszony.

Nie wiedziałam, co miały oznaczać te przeprosiny.

– Nie pozostawiłaś mi wtedy wyboru. Tam byli moi ludzie. Ja... nie mogłem inaczej. Rozumiesz?

Nadal nie rozumiałam. Patrzyłam na niego, oczekując dalszych wyjaśnień.

– Gdy było po wszystkim, nie mogłem sobie tego wybaczyć... Byłem w tym baraku, gdy spałaś... Nie czułaś nawet mojego dotyku... A ja miałem do siebie tylko wstręt... Myślałem, że po tym naprawdę mnie znienawidzisz. Nas wszystkich. A ty przyszłaś i pocieszałaś Wilhelma... – mówił nieskładnie, jakby nie mógł znaleźć właściwych słów.

– Wybaczyłam ci... – skłamałam.

– Wiem, że nie – powiedział, widząc moją drgającą powiekę. – Nawet tego nie oczekuję. Sam sobie nie mogę wybaczyć.

Patrzyłam na niego i wydawał mi się innym człowiekiem. Wrażliwym i kruchym. Jednak wiedziałam, że to tylko chwila przeblysku jego człowieczeństwa. Wiedziałam, kim był wcześniej i kim będzie, jak tylko stąd wyjdzie. Nie dałam się nabrać na żadne z jego czułych słów, jednak nie mógł tego po mnie poznać. Dalej grałam swoją rolę. W końcu

telegram wciąż czekał na blacie biurka. Komendant ujął moją twarz w dłonie. Delikatnie pocałował moje usta. Oddałam pocałunek. Tym razem kochaliśmy się z czułością. Subtelnie. Jakby jedno nie chciało wystraszyć drugiego.

– Teraz to już naprawdę powinnam pójść – powiedziałam, wysuwając się z jego objęć.

– Zostań na noc.

– To rozkaz? – zapytałam z ironią, zmuszając się do delikatnego uśmiechu.

Wiedziałam, że nie mogę nagle zmienić swojego zachowania. Jeszcze nie... Komendant był przebiegły. Mimo że tak pięknie przed chwilą mówił, w każdej chwili mógł być znowu tym samym, bezdusznym nazistą. Nie mogłam pozwolić, żeby mnie rozszyfrował. Nie mogłam dać się złapać. Musiałam szybko coś zrobić, bo Ewa za chwilę skończy przygotowywać kolację i wróci do domu. Musiałam czym prędzej przekazać jej informację.

– Serdeczna prośba – powiedział, śmiejąc się do mnie.

– Dobrze, ale chyba mogę wyjść do łazienki? Czy od tej pory jestem już twoim więźniem? – Odwzajemniłam uśmiech.

Nic nie odpowiedział. Wstałam z łóżka i zgarnęłam z podłogi swoją porozrzucaną bieliznę. Pośpiesznie założyłam majtki i stanik, potem wsunęłam na siebie sukienkę. Z daleka przyglądałam się telegramowi. Zastanawiałam się, jak go przeczytać, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. W końcu pewnym krokiem podeszłam do biurka, stanęłam tyłem do komendanta i wyciągnęłam rękę po paczkę papierosów. Wyjęłam jednego ze środka. Znowu sięgnęłam nad blat i złapałam zapałki. Wtedy zobaczyłam tę wąską, pożółkłą kartkę z bliska. Dwa zdania, które przeczytałam, sprawiły, że ogarnęło mnie nieopisane szczęście. Nie mogłam dać tego po sobie poznać. Włożyłam papierosa do ust i odpaliłam. Mocno się zaciągnęłam. Odwracając się do komendanta, wypuściłam dym z płuc.

– Tego mi było trzeba – powiedziałam z uśmiechem. Próbowałam nie okazywać radości, ale to było silniejsze ode mnie.

Jednak komendant już się nie uśmiechał. Siedział na łóżku z wyraźnie zaciśniętą szczęką. Zobaczyłam w jego oczach złość. Udawałam, że tego nie widzę i że wcale nie czuję przerażenia.

– Za chwilę wracam. Nie odchodź nigdzie – powiedziałam zalotnie, chociaż czułam, że to na nic.

Wolnym krokiem ruszyłam w stronę drzwi. Schodząc ze schodów, powtarzałam sobie tylko jedno: Wyjazd: 9.00. Trasa: Nowogród – Miastkowo – Łomża.

Na dole rzuciłam pojedyncze spojrzenie Ewie i pokazałam jej papierosa, którego trzymałam w ręku. Miałam nadzieję, że zrozumie, że za chwilę do niej wrócę. Szybkim krokiem wyszłam na zewnątrz, zatrzymałam się na środku podwórka i spokojnie paliłam dalej. Kątem oka widziałam, jak komendant przypatruje mi się z okna. Jeżeli myślał, że korzystając z okazji, wskoczę do zamkniętych w baraku partyzantów, to się mylił. Aż tak głupia nie byłam, by wykazywać jakiegokolwiek zainteresowanie tamtym miejscem i nimi. Wyrzuciłam spalonego papierosa na ziemię, przydeptałam go butem i ruszyłam w stronę łazienki.

Gdy ponownie weszłam na posterunek, skierowałam się do kuchni. Ewa właśnie nakrywała stół do kolacji. Minęłam ją bez słowa. Wzięłam do ręki gliniany dzbanek i nalałam kompotu do szklanki. Jednym haustem wypiałam zawartość, jednocześnie bacznie obserwowałam schody, czy przypadkiem nie zobaczę na nich znajomych butów. Odstawiając szklankę obok dłoni Ewy, szepnęłam jej na ucho godzinę i trasę przejazdu. Sekundę później wchodziłam na piętro po drewnianych schodach.

Komendant nadal stał w oknie, tyłem do mnie. Odruchowo spojrzałam na blat biurka. Telegram zniknął. Podeszłam do niego i przytuliłam się do jego pleców, obejmując go i kładąc dłonie na jego piersiach. Nadal miał przyśpieszone tętno. Nie wiedziałam tylko, czy z powodu tego, co między nami zaszło, czy ze złości. Byłam pewna, że zaczną drążyć temat, że zaczną mnie wypytywać. Jednakże tak się nie stało. Zjedliśmy razem kolację w jego gabinecie. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, ale nie o wydarzeniach, które miały przed chwilą miejsce. Potem

ponownie wylądowaliśmy w jego łóżku. Dziwnie było zasypiać w objęciach mężczyzny, tym bardziej, że były to jego objęcia. Gdy tylko upewniłam się, że śpi, ostrożnie wysunęłam się z jego ramion i odsunęłam na drugą krawędź łóżka. Tej nocy długo nie mogłam zmrużyć oka. Nasłuchiwałam odgłosów dochodzących z podwórza w nadziei, że usłyszę głos Zająca...

Obudził mnie odgłos kroków, wydawanych przez podbite buty. Otworzyłam szeroko oczy. Wciąż było ciemno. Ktoś wchodził po schodach. Coś podpowiadało mi, żeby uważnie przysłuchać się odgłosom, zanim zrobię jakikolwiek ruch. Leżałam naga na łóżku, twarzą zwróconą do ściany. Jedną rękę miałam spuszczoną na podłogę. Musiałam zagryźć wargi, aby przełamać wstyd i nie chwycić kołdry w celu okrycia się nią. Skrzypnęły drzwi. Ktoś wszedł do środka.

– Panie komendancie, jeden z partyzantów zmarł w nocy. – Usłyszałam głos żandarma.

Wstrzymałam oddech. Błagałam go w myślach, żeby dał mi jakąś wskazówkę który.

– Niech to szlag – stwierdził nerwowo komendant.

Zapadła cisza.

– Zmiana planów – dodał chłodno. – Wyruszamy za pół godziny.

– Trasa ta sama?

– Nie. Macie jechać tą, co ostatnio.

– Tak jest! – Zasalutował i stuknął podbitymi butami.

Doskonale wiedziałam, dlaczego zmienił plany. Podejrzewał, że przeczytałam telegram. Może nawet miał taką pewność. Komendant był zbyt cwany, żebym mogła go tak łatwo wykiwać. Dostał to, co chciał. Dostał mnie całą, a teraz mógł spokojnie zmienić trasę. Triumfował, a ja leżałam przerażona, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę Zająca...

Zostało trzydzieści minut. Ewy o tej porze jeszcze nie było. Zresztą w ciągu pół godziny nie dość, że nie zdążyłaby ostrzec partyzantów, to oni nie daliby rady zmienić miejsca zasadzki. Wszystko stracone. Całe moje poświęcenie poszło na marne. Ścisnęłam mocniej opuszczoną rękę. Byłam wściekła i zdruzgotana. Miałam ochotę rozplakać się

z bezsilności. Nie mogłam spędzić tu ani minuty dłużej. Musiałam uciec. Wzięłam głęboki oddech. Wyciszyłam umysł.

– Która godzina? – zapytałam zasnętym głosem, siadając na brzegu łóżka i naciągając na siebie kołdrę.

– Piąta trzydzieści – Usłyszałam za sobą jego głos.

Odwróciłam się w stronę mężczyzny i posłałam mu delikatny uśmiech, który kosztował mnie bardzo wiele.

– Dzień dobry – powiedziałam na jego widok. Owinięta kołdrą podeszłam do krzesła, na którym leżały moje ubrania. Szybko nałożyłam je na siebie.

– Wychodzisz? – zapytał.

– Najwyższa pora. – Zaśmiałam się. – Poza tym Klara będzie się martwić. Zazwyczaj nie nocuję poza domem – powiedziałam z wyczuwalną ironią w głosie. Spojrzałam na niego uważnie. Stał przy lusterku. Mocował się z ostatnim guzikiem koszuli.

– Mogę? – zapytałam, podchodząc bliżej.

Komendant odwrócił się do mnie i opuścił ręce, dając mi znak, że mogę spróbować zmierzyć się z tym trudnym zadaniem. Kołnierzyk był tak ciasny, że z trudem złapałam go swoimi palcami.

– Jak w tym można oddychać? – zapytałam, gdy w końcu udało mi się wsunąć guzik na miejsce. Próbowалам brzmieć naturalnie. Chciałam, żeby moje zachowanie nie wzbudziło w nim żadnych kolejnych podejrzeń.

Komendant uśmiechnął się nieznacznie. Odwzajemniłam uśmiech i zrobiłam kilka kroków wstecz.

– Do widzenia – powiedziałam, po czym nie czekając na odpowiedź, wyszłam.

Gdy zamknęłam za sobą drzwi, zacisnęłam mocniej zęby. W głowie miałam tysiąc myśli. Wiedziałam, że muszę coś szybko zrobić. Tylko nie wiedziałam co. Schodząc po schodach, czułam, jak z każdym krokiem moje serce coraz bardziej przyśpiesza. Na posterunku nie było żywej duszy. W kuchni wciąż panował mrok. Zdjęłam płaszcz z wieszaka. Gdy go zakładałam, spojrzałam na stojący pod schodami pistolet maszynowy MP 40, zwany peemem. Nie wiem, co sobie myślałam, ani jaki miałam plan, ale odruchowo schowałam go pod płaszcz. Gdyby mnie z nim złapali, to byłby mój koniec. Jednak kto będzie miał czelność zatrzymać

kochankę komendanta... Zapięłam płaszcz i przytrzymując go rękami, wyszłam na zewnątrz. Powietrze było rześkie, więc mój wygląd nikogo nie mógł zdziwić. Ot, było zimno i otulałam się mocniej płaszczem. W myślach powtarzałam sobie: „Boże, co ja najlepszego robię...”. Wychodząc na drogę, skręciłam, jakbym szła do siebie. Nie miałam odwagi spojrzeć w jego okna. Dopiero gdy odeszłam na tyle daleko, że miałam pewność, iż nikt nie może mnie już zobaczyć, ruszyłam pędem przed siebie. Wiedziałam, że trasa przez Miastowo właśnie odpadła. Zostały dwie. Przez las albo wzdłuż Narwi. Jaką trasą jechali ostatnio?! Nadal było ciemno. Niemcy nigdy nie zapuszczali się nocą do lasu. Czy ryzykowałiby jazdę przez las ze schwytanym partyzantem? Przez las pełny jego kolegów, gotowych ruszyć mu na pomoc? Coś mówiło mi, że wybiorą trzecią opcję. Dotarłam w końcu na skraj lasu, wyjęłam pistolet spod płaszcza i biegłam między drzewami w kierunku rzeki. Na myśl przyszło mi tylko jedno miejsce, z którego mogłabym próbować zatrzymać ciężarówkę. Na tyle daleko od posterunku, że zanim przybędą posiłki, ja już ucieknę i na tyle blisko, że zdążę tam w ogóle dobiec. Czas mijał nieubłaganie, a ja miałam do pokonania dwa kilometry. Gdy w końcu znalazłam się na wysokiej skarpie nieopodal ruin dawnych bunkrów (które zostały niemalże zrównane z ziemią we wrześniu trzydziestego dziewiątego w wielkiej bitwie pod Nowogrodem), odetchnęłam z ulgą. Zdążyłam. Zaczęło świtać. Usiadłam na ziemi i przyglądałam się broni. Miałam nadzieję, że jest naładowana, bo z tego wszystkiego nawet przez myśl nie przeszło mi, żeby to wcześniej sprawdzić. Próbowałam przypomnieć sobie, co po kolei powinnam zrobić. Widziałam to tyle razy. Z takiej broni korzystali zarówno nasi, jak i Niemcy. Tyle razy przy mnie ją przeładowywali, czyścili, składali i rozkładali. Musiałam tylko się skupić. Nacisnęłam dźwignię zrzutu magazynka i po chwili trzymałam go w ręku. Na szczęście był pełen. Włożyłam wszystko z powrotem na miejsce i dobiłam. Odbezpieczyłam broń. Przesunęłam dźwignię zamka do siebie. Usłyszałam charakterystyczny dźwięk przeładowywanej broni. To była najprostsza część mojego planu. Położyłam się na ziemi i wysunęłam broń przed siebie. Spojrzałam przez muszkę. Idealnie widziałam drogę. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że będę do kogokolwiek strzelać. Miałam nadzieję,

że dziś również do tego nie dojdzie. Byłam tam z zamiarem, by celować jedynie w koła. Co prawda wiedziałam, że jeżeli je przebiję, kierowca na pewno straci panowanie nad wozem i doprowadzę do wypadku. Znałam ryzyko. Mogłam zabić ich wszystkich. Musiałam jednak to zrobić. W tej sytuacji to było jedyne możliwe wyjście. Partyzant mógł zginąć tu, na tej drodze lub za murami tamtego więzienia. Skrycie liczyłam na łut szczęścia, że ciężarówka nie stoczy się wprost do rzeki, że przeżyją. Minuty mijały, a droga wciąż była pusta. Oblał mnie zimny pot. Może jednak się pomyliłam? Może jechali lasem? Jeżeli to prawda, wszystko stracone. Nigdy nie zdołamy odbić naszego człowieka, jeżeli znajdzie się za murami więzienia. W końcu usłyszałam znajomy warkot silnika. Serce zaczęło mi mocniej bić. Wbiłam wzrok w muszkę i czekałam. Miałam tylko kilka sekund. Od tych paru chwil zależało czyjeś życie. Miałam nadzieję, że Zająca...

Nawet nie wiem, kiedy wcisnęłam spust pistoletu. Momentalnie z jego środka wystrzeliła seria pocisków. Usłyszałam głuchy huk przebitej opony i pisk kół. Potem dźwięk miażdżonej blachy. Odłożyłam broń i spojrzałam na drogę. Ciężarówka stała wbita w rosnące na poboczu drzewo. Dwóch żandarmów leżało bezwładnie w kabinie. Ogarnął mnie strach, że ich zabiłam. A jeżeli tam był Max... Po chwili powietrze przeciął dźwięk wystrzelonej broni, a za chwilę kolejny. Dźwięki dochodziły z paki. *O Boże!* – pomyślałam – *zabili go...* Z przerażenia zasłoniłam usta ręką. Co ja najlepszego zrobiłam... Nagle z tyłów auta wyskoczył na drogę nie kto inny jak... Zając! Miał związane z tyłu ręce, stracił równowagę i przewrócił się na ziemię. W sekundę podniósł się i zaczął uciekać w kierunku lasu. Za nim wyskoczył żandarm trzymający w ręku pistolet. Był ranny w nogę. Stanął w rozkroku, przygotowując się do oddania strzału w kierunku zbiega. Odruchowo chwyciłam broń i nacisnęłam spust. Celowałam w niebo, jednak żandarm nie miał o tym zielonego pojęcia. Zrobił unik i schował się za ciężarówką, od strony rzeki. Usłyszałam świst kuli. Tym razem celował w moim kierunku. Leżąc na ziemi, znowu wypuściłam serię w niebo. Nie czekając na jego odpowiedź, podniosłam się z ziemi i zaczęłam uciekać co sił w nogach w głąb lasu. Kulejący żandarm na pewno mnie nie dogoni, ale za moment będą tu inni. Byłam pewna, że echo naszych kul doskonale

słyszeć było w miasteczku. Trzymając pistolet, uciekałam przed siebie. Nie mogłam zostawić go w lesie, musiałam odnieść na miejsce. Brak broni zostanie szybko zauważony. Jedyne osoby, które mogły ją ukraść, byliśmy ja albo Ewa. Nie chciałam, aby którakolwiek z nas zapłaciła za to życiem. Biegłam tą samą trasą. Rozglądałam się na boki, szukając wzrokiem Zająca. Nigdzie go nie widziałam. Nie bez kozery nazwali go Zajacem. Nie znałam nikogo, kto biegał szybciej od niego. Porucznik na pewno był już kilka kilometrów przede mną. Docierając na skraj lasu, ponownie schowałam broń pod płaszcz. Poczułam jej ciepło. Szłam w kierunku posterunku ze spuszczoną głową. Z daleka przyjrzałam się podwórzu. Nie widziałam żadnego żandarma. W oknach było ciemno. Z duszą na ramieniu weszłam do środka. Było nienaturalnie cicho. Odłożyłam broń w to samo miejsce pod schodami i pośpiesznie wyszłam. Kilka razy oglądałam się za siebie, upewniając się, że nikt mnie nie widział. Droga była pusta. Szybkim krokiem zmierzałam w kierunku domu, prosząc Boga, żeby żaden z tamtych Niemców nie zginął. Inaczej będę miała na sumieniu zarówno ich, jak i niewinnych Polaków, którzy będą musieli zapłacić za moje grzechy.

Następnego dnia wezwano mnie do rannych żandarmów. Wszyscy żyli. Komendanta, ku mojemu zadowoleniu, nie było. Ewa powiedziała, że wezwano go do dowództwa głównego żandarmerii w Łomży celem wytłumaczenia się z samowolnej zmiany planów, utraty więźniów i zniszczenia kolejnej ciężarówki.

Pod wieczór pod nasz dom przyszedł partyzant. Zażądał, żebym z nim poszła. Chociaż nie miał broni, nie zdecydowałam się odmówić. Byłam tylko zdziwiona, że się pojawił, gdyż wciąż było jasno. To było do nich niepodobne. Musiało wydarzyć się coś ważnego. Kompletnie wmurowało mnie w ziemię, gdy stwierdził, że nie muszę zasłaniać oczu. Ogarnęło mnie przerażenie. Wiedziałam, że pokazując mi trasę albo zyskali do mnie bezgraniczne zaufanie, albo mnie za chwilę zabiją i moja wiedza będzie bez znaczenia. Obawiałam się, że chodzi o tę drugą możliwość. Już wcześniej nad tym myślałam. Przecież to ja podałam Ewie informacje na temat godziny i trasy, które się nie sprawdziły. To ja ich zmyliłam. I tylko ja wiedziałam, jaka była prawda – że ostatecznie

ocaliłam Zająca. Miałam nadzieję, że zdążę im to wszystko wyjaśnić, zanim usłyszę swój wyrok.

Po raz pierwszy zobaczyłam obóz za dnia. Mężczyźni siedzieli grupkami. Nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi. Kilku spało pod drzewem z czapkami narzuconymi na twarze. Nieopodal stało kilka namiotów zrobionych ze spadochronów. Przy ognisku znajdował się duży drewniany stół. To była niewielka polana z trzema olbrzymimi dębami rosnącymi pień w pień.

Żołnierz zaprowadził mnie do największego namiotu, do tego samego miejsca, w którym wcześniej mnie przesłuchiowano. Poznałam je po dźwiękach podłogi. Na końcu namiotu stał niewielki stolik, a za nim trzech mężczyzn. Jednym z nich był Zając.

– Zając! – rzuciłam na jego widok i mimowolnie posłałam mu szeroki uśmiech.

Jednak on nic nie odpowiedział. Wyprostował się na krześle i położył ręce przed sobą na stole. Poczułam ukłucie w sercu.

– Proszę usiąść, pani Sambor – rozkazał siedzący pośrodku mężczyzna.

– Cóż za ciepłe powitanie – powiedziałam z sarkazmem. – A gdzie się podziały karbidówki? Brakuje mi tego oślepiającego światła.

Nikt nie odpowiedział. Usiadłam na krześle.

– Pani Sambor, wie pani, dlaczego tu panią zaprosiliśmy? – kontynuował.

– Zaprosiliście? – Zaśmiałam się. – Domyślam się, że chcecie mi podziękować?

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem. Bynajmniej nie był to serdeczny gest.

– Pani Sambor, proszę nam powiedzieć, dlaczego podała pani błędną godzinę i trasę przejazdu Niemców?

– Podałam prawidłową – odpowiedziałam krótko.

– Doprawdy? Bo wie pani, że my tam czekaliśmy, kilkunastu chłopów, zwarców i gotowców. I co? Nikt nie przejeżdżał o tej godzinie. A tym bardziej Niemcy z naszymi, więc proszę nie mówić, że to była prawidłowa godzina i trasa. Pytanie tylko, dlaczego pani skłamała? Może specjalnie? Może jednak sympatyzuje pani z wrogiem?

Czułam, jak rośnie we mnie złość. Miałam ochotę walnąć go w twarz i wyjść.

– To jak to było, pani Sambor?

– Zrobiłam wszystko tak, jak powiedział tamten człowiek, który był u mnie z Ewą – zaczęłam mówić, zaciskając jednocześnie pięści. – Punkt szesnasta byłam w gabinecie komendanta. Czekałam, aż nadejdzie telegram. Przyszedł po siedemnastej. Przeczytałam go. Zesłam na dół. Przekazałam wiadomość Ewie. – Wzięłam oddech. – Wydaje mi się, że komendant widział, jak czytałam telegram. Poza tym on nie jest głupi, bez trudu mógł się domyślić prawdziwego celu mojej jakże niespodziewanej wizyty.

– Komendant domyślił się, że współpracuje pani z partyzantami, że próbuje wydobyć od niego cenne informacje, jednak nic pani nie zrobił, nie zabił pani? – zapytał z sarkazmem.

– Powiedziałam „wydaje mi się”! Pewności nie mam. Ale moim zdaniem tak właśnie było. Dlatego zmienił i godzinę, i trasę.

– Mało to przekonujące, pani Sambor. W szczególności, że Ewa opowiedziała nam ze szczegółami, co słyszała wtedy na posterunku – mówiąc to, zaakcentował słowo „słyszała”.

Poczułam, jak się czerwienię. Miałam ochotę coś mu odpowiedzieć, jednak nie zamierzałam ciągnąć tematu mojego życia intymnego w obecności trzech obcych mężczyzn.

– To mi bardziej wygląda na kolaborację... Zwłaszcza że podpisała pani volkslistę... – ciągnął dalej.

– Nie interesuje mnie pana zdanie! Gdyby nie ja, Zająca... to znaczy, pana porucznika by tu nie było! To ja go uratowałam! – wykrzyczałam mu prosto w twarz.

Mężczyzna zaśmiał się głośno.

– Doprawdy?! – Dalej się śmiał. – No, tego tu jeszcze nie grali, panowie! Posłuchajmy tej opowieści! Pani Sambor, proszę kontynuować.

Miałam ochotę milczeć. Na złość jemu, nic więcej już nie powiedzieć. Wiedziałam jednak, że jeżeli nie zacznę się bronić, Zająca wypełni dziś złożoną obietnicę.

– O piątej trzydziści komendant podjął decyzję o zmianie trasy.

Po tych słowach ukradkiem spojrzałam na Zająca. Siedział ze spuszczoną głową. Nie chciałam, żeby tego słuchał. Wiedziałam, że go zranię, że on tego nie zrozumie.

– Skąd pani o tym wie? – dopytał mężczyzna.

– Po prostu wiem – odpowiedziałam zdawkowo. Błagałam go w myślach, żeby nie ciągnął tego tematu. I tak już czułam się wystarczająco upokorzona tym, co naopowiadała im Ewa. Zupełnie nie wiedziałam, dlaczego to zrobiła. Przecież była w moim domu i sama dobrze słyszała, co kazano mi zrobić.

– Mamy wierzyć pani na słowo?

Wzięłam głęboki oddech.

– Wiem, bo tam byłam i słyszałam to na własne uszy. Komendant zarządził wyjazd z więźniem punkt szósta rano. Powiedział, że stara trasa jest odwołana i mają jechać inną. Ze względu na moją obecność w pokoju, nie powiedział którą.

– Można wiedzieć, co robiła pani o piątej trzydzieści u komendanta?

– Proszę się domyślić, wygląda pan na względnie inteligentnego! – rzuciłam oburzona. Poczułam, jak na twarz wylewają mi się rumieńce. Gdybym tylko mogła nad tym zapanować...

– Rozumiem, że pieprzyła się pani z komendantem? – powiedział z nieukrywaną satysfakcją.

Żadne słowa nigdy mnie tak nie dotknęły. Zawsze dbałam o własną reputację. Nigdy nie byłam z innym mężczyzną, tylko z mężem. Nawet na żadnego nie spojrzałam. Gdyby Janek tu był... Nie miałam jednak nikogo, kto stanąłby w obronie mojego honoru. Moje wzburzenie sięgnęło zenitu, wstałam z krzesła.

– Jeden z was przychodzi do mojego domu i prosi mnie o pomoc! Każe mi przejąć telegram w gabinecie komendanta, żeby ratować dwóch waszych ludzi, sugerując wprost, co powinnam zrobić, a teraz jest pan na tyle bezczelny, żeby tak mówić?! – rzuciłam mu z całą pogardą w głosie. – Myśli pan, że czekając na informacje, miałam grać z komendantem w karty albo recytować wiersze?! Uważa pan, że nie wolałabym, żeby telegram przyszedł o szesnastej, a nie dopiero po półtorej godziny?! A co potem? – warknęłam. – Miałam tak po prostu odczytać telegram, wstać i wyjść, jak gdyby nigdy nic? Momentalnie być

znowu dla niego chłodną i niedostępną? On nie jest idiotą, panowie, a ja mam córkę na wychowaniu! I odpowiadając na pana pytanie: tak spędziłam noc z komendantem – wycedziłam przez zęby.

Nic nie odpowiedział. Usiadłam z powrotem.

– Gdy tylko dowiedziałam się o zmianie planów – kontynuowałam już spokojniejszym głosem – opuściłam szybko posterunek, zabierając ze sobą MP 40 pod płaszczem. Miałam do wyboru dwie trasy. Las i rzekę. Obstawiłam w ciemno rzekę. Pobiełam na skarpe, ukryłam się przy dawnych bunkrach i czekałam. Gdy zjawiła się ciężarówka, wycelowałam w opony i udało się.

– Chce mi pani powiedzieć, że umie pani posługiwać się pistoletem maszynowym?

– Myśli pan, że ja, jako kobieta, mogę w czymś panu ustępować? – zapytałam z wyrzutem. – Brzydzę się bronią, ale to nie znaczy, że nie wiem, jak ona działa. Mam dobrą pamięć wzrokową. Widziałam wielokrotnie, jak jej używano.

– I co było dalej?

– Usłyszałam dwa strzały, dochodzące ze środka ciężarówki. Chwilę później z paki wyskoczył pan porucznik Zajac ze związanymi z tyłu rękami. Gonił go Niemiec ranny w nogę. Celował w niego, więc oddałam kolejną serię w niebo, żeby go wystraszyć. Potem jeszcze jedną, żeby zapewnić sobie chwilę na ucieczkę. I to wszystko, co mam do powiedzenia.

Nastała chwila milczenia.

– Panie poruczniku, czy potwierdza pan słowa pani Sambor?

– Tak.

Zajac patrzył na mnie pustym wzrokiem. Wiedziałam, że nigdy już nie odzyskam przyjaciela.

– Skoro na podziękowania nie mam co liczyć, to za pozwoleniem, wracam do domu! Do widzenia!

Nie czekając na ich reakcję, wstałam z krzesła i ruszyłam w stronę wyjścia. Oślepiło mnie wiosenne słońce. Żołnierz, który mnie pilnował, nie nadążył za mną biec.

– Alicjo! – Usłyszałam za sobą wołanie Zajaca. – Zaczekaj!

Ani myślałam czekać na niego. Szłam dalej żwawym krokiem.

- Nie musiałaś... – powiedział, gdy w końcu zagroził mi drogę.
- Co nie musiałam? Ratować ci życia, czy pieprzyć się z komendantem?!
- Nigdy bym cię o to nie prosił! Tamten nie miał prawa tego od ciebie oczekiwać!
- Miałam pozwolić, żebyś zginął!? Twoje życie jest więcej warte niż to, co poświęciłam!
- Nie wiedziałem, że tak ci na mnie zależy... – powiedział z wyczuwalną w głosie ironią. – Może jednak aż tak się nie poświęciłaś? Z tego, co mówiła Ewa...

Zanim dokończył zdanie, z całej siły uderzyłam go w twarz.

- Zejdź mi z drogi! Nie chcę cię widzieć! Nigdy, przenigdy nie przychodź do mojego domu!

Nie czekając na odpowiedź, minęłam go i ruszyłam przed siebie. Na skraj lasu odprowadził mnie ktoś inny. Powstrzymywałam swoją rozpacz tak długo, jak słyszałam za sobą jego kroki. Gdy tylko zostałam sama, runęłam na ziemię i wyłam. Byłam wściekła na Zająca, że tak powiedział, ale też na siebie, bo mógł mieć rację...

Dni mijały, a ja za wszelką cenę unikałam spotkania z komendantem. Nie wiedziałam, jak się zachowa, gdy znowu mnie zobaczy. Dla swojego dobra wychodziłam do miasteczka tylko, gdy miałam pilną wizytę u pacjenta, który nie mógł wybrać się do mnie. Tego dnia wezwano mnie do gorączkującego dziecka. Wzięłam więc swoją skórzaną torbę i ruszyłam w kierunku jego domu. Im bardziej zbliżałam się do posterunku, tym szybsze było moje tętno. Odruchowo spojrzałam w okna komendanta. Nie miałam pojęcia, jak to robił, że za każdym razem mnie zauważał – w tym właśnie momencie stał za szybą i się przyglądał. Szybko spuściłam wzrok i zagryzłam zęby. Szłam dalej pewnym krokiem.

Gdy zbadałam swojego pacjenta, z ulgą oświadczyłam rodzicom, że to nic groźnego. Na szczęście oprócz gorączki nie było innych objawów. Typowa choroba dziecka w tym wieku. Wychodząc z ich domu, zauważyłam żandarma czekającego na mnie na drodze. Oznajmił, iż komendant mnie oczekuje i że ma mnie do niego odprowadzić.

Posłusznie szłam przed nim w kierunku posterunku. Z daleka zobaczyłam Ewę, piorącą niemieckie mundury przy studni. Na mój widok odwróciła wzrok. Ja zrobiłam to samo.

Wchodząc po drewnianych schodach, w głowie miałam gonitwę myśli. Wiedziałam, dlaczego mnie wezwał. Przecież dał mi wyraźnie do zrozumienia, że jestem już tylko jego. Nie mogłam uciec. Nie mogłam powiedzieć „nie”. Wtedy miałby niezbity dowód, że tamtego dnia przyszłam wyłącznie po telegram. Wzięłam głęboki oddech i zapukałam do drzwi.

– Wejść – rozkazał. – Pani Sambor, jak miło, że nas pani odwiedziła. – Udał zaskoczonego.

Siedział w swoim fotelu nieopodal okna i trzymał odpalonego papierosa. Uważnie mi się przyglądał. Czułam jego przenikający wzrok.

– Przecież pan tak ładnie mnie poprosił o przyjęcie – rzuciłam zalotnie, delikatnie się uśmiechając.

Komendant wstał, zgasił papierosa w szklanej popielniczce i podszedł bliżej. Stał naprzeciwko mnie i znowu mi się przyglądał. Spojrzałam w jego jasnoblękitne oczy, próbując wyczytać z nich myśli mężczyzny. Przez moment zerknęłam na jego usta. Zaczerwieniłam się na wspomnienie pocałunków. Spuściłam wzrok.

– Pani Sambor, czy mi się wydaje, czy mnie pani unika? Zaledwie kilka dni temu sama pani do mnie przyszła. O ile dobrze pamiętam, podobał się pani pobyt u mnie – mówił dalej, a ja coraz bardziej się czerwieniłam. – A potem przychodzi pani na posterunek do chorego żandarma i nawet nie zagląda do mnie. Teraz, idąc drogą, odwraca pani głowę. Jak mam rozumieć tę nagłą zmianę w pani zachowaniu?

Spojrzałam na niego ponownie. Próbowałam znaleźć odpowiedź, która go zadowoli.

– Panie komendancie, ta jedna noc z panem wiele mnie kosztowała – zaczęłam, udając cnotliwą. – Przez to, że było mi wtedy tak dobrze, potem tym bardziej gryzły mnie wyrzuty sumienia. Rozumie pan? – mówiąc to, patrzyłam mu w oczy. Chciałam, żeby zobaczył, że mówię prawdę. Specjalnie tak dobierałam słowa, żeby nie musieć kłamać. – Pan i ja stoimy po dwóch stronach barykady. Nie powinnam do pana czuć nic więcej poza nienawiścią. Dlatego unikałam spotkania z panem...

Komendant zbliżył do mnie twarz i ujął mnie za podbródek. Poczułam, jak zalewa mnie fala gorąca. Moje policzki znowu zapłonęły żywym ogniem. Odruchowo zamknęłam oczy i wyciągnęłam twarz w jego kierunku. Czekałam, aż znowu poczuję siłę jego pocałunku. Zamiast tego przysunął twarz do mojego ucha.

– Mam na imię Franz – wyszeptał, a po moim ciele przeszedł dreszcz.

Momentalnie otworzyłam oczy. Zobaczyłam, jak się prostuje i uśmiecha zwycięsko.

– To wszystko, pani Sambor. Może pani wracać do swoich obowiązków.

Popatrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami. Nie wiedziałam, co mam o tym wszystkim myśleć. Byłam pewna, że wezwał mnie tu w jednym celu. Byłam pewna, że chciał mnie przed chwilą pocałować. A teraz kazał mi tak po prostu odejść... W końcu oprzytomniałam, odwróciłam się i ruszyłam w kierunku drzwi.

– Jeszcze jedno, pani Sambor – wtrącił.

Stałam i odwróciłam w jego kierunku głowę, czekając na ciąg dalszy.

– Z pani twarzy można czytać jak z otwartej książki, wie pani o tym?

Poczerwieniałam jeszcze bardziej i wyszłam.

Wraz z nastaniem lata zaczęłam czuć dziwny niepokój. Wszystko zdawało mi się nagle przeszkadzać. Irytowały mnie nawet błahostki. To, co szło nie po mojej myśli, powodowało chęć płaczu. Łapałam się na tym, że coraz częściej krzyczałam na Klarę. Próbowałam zapanować nad nerwami, ale nie zawsze byłam w stanie. Stefcia dała mi suszone zioła na uspokojenie, ale niewiele pomogły. Tego dnia postanowiłam, że ze wszystkich sił wynagrodzę Klarze moje ostatnie wybuchy złości. Wstałam skoro świt, chociaż gdybym mogła, spałabym do południa. Przeszłam się po ogródku. Nasłuchiwałam śpiewu ptaków, mających gniazda na naszych owocowych drzewkach przed domem. Czułam się odrobinę spokojniejsza. Zerwałam rzodkiewki i szczypiorek. Chciałam przygotować śniadanie, zanim wstanie córka. Mieszając jajka na patelni, po raz pierwszy od wielu dni poczułam się szczęśliwa. Poranne promienie słońca przebijały się przez szyby i oświetlały wnętrze domu. Chociaż w Warszawie opływaliliśmy w luksusy, dopiero tutaj poczułam ciepło domowego ogniska. Miałam wrażenie, że jesteśmy na rodzinnych

wakacjach. Zaraz zawołam wszystkich na śniadanie i usiądziemy całą rodziną przy stole. Uśmiechnęłam się do siebie. Nagle poczułam nieprzyjemny zapach. Pochyliłam głowę niżej. Powąchałam jajka z obawy, że są nieświeże, chociaż wiedziałam, że to niemożliwe. Momentalnie zrobiło mi się niedobrze. Wczorajsza kolacja podeszła mi do gardła. Zsunęłam patelnię z ognia i wybiegłam z domu. Zwróciłam zawartość żołądka na trawę. Wtedy dopiero poczułam ulgę. Usiadłam na drewnianych schodach, w głowie mając gonitwę myśli... Mój oddech nagle przyspieszył. Serce załomotało. Nie mogłam myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że... próbowałam przypomnieć sobie, kiedy miałam ostatnie krwawienie, ale nie byłam w stanie. Nagle świat zawirował mi przed oczami. Opuściłam głowę w dół między kolana i zaczęłam głęboko oddychać. Jak mogłam do tego dopuścić... A przecież nie tak dawno uczyłam wiejską chłopkę o świadomym macierzyństwie...

– Mamo, co ci jest?

Usłyszałam za sobą głos córki.

– Trochę źle się poczułam, ale to nic takiego. Nie masz się czym martwić. Chodź, siadaj obok mnie.

Klara usiadła i położyła mi głowę na ramieniu.

– Pięknie tu, prawda? – zapytałam. – Moglibyśmy być tu szczęśliwi, kiedyś, gdy to wszystko się skończy...

– Chcesz tu zostać po wojnie? A co z pracą w szpitalu?

– Nie wiem, czy będę potrafiła wrócić do Warszawy. Zawsze możemy zamieszkać w Łomży, tam też jest szpital. A tobie się tu nie podoba?

– Podoba, tylko...

– Tylko co?

– Chciałabym odszukać grób taty... Położyć na nim kwiaty... Żeby wiedział, że o nim pamiętam.

– Klaro... – Przytuliłam ją mocniej do piersi. – Nie wiem, czy kiedykolwiek nam się to uda. – Zacisnęłam mocniej zęby, żeby nie wybuchnąć płaczem. – Coś ci powiem – zaczęłam – będąc w ciąży, pracowałam w szpitalu do ostatniego dnia. Wiedziałam, że później czeka mnie długa przerwa, więc nie chciałam tracić czasu na siedzenie w domu, gdy miałam sprawne nogi i ręce. Szłam szpitalnym korytarzem, gdy odeszły mi wody. Odszukałam wtedy twojego tatę i spokojnie mu to

oznajmiłam. On biedny tak się tym przejął, że nie wiedział, co ze sobą zrobić. To ja jego zaprowadziłam na oddział położniczy. – Zaśmiałam się. – Okazało się, że tego dnia było wyjątkowo dużo porodów. Wszystkie położne były zajęte. Spojrzeliśmy wtedy na siebie i od razu wiedzieliśmy, co robić. Tata odebrał poród. Był pierwszą osobą, którą zobaczyłaś na tym świecie. To on jako pierwszy wziął cię w ramiona. Rozkochałaś go w sobie od pierwszej chwili. Przez kolejne dwanaście lat twój tata nie widział świata poza tobą. Byłaś dla niego wszystkim. Jego śmierć tego nie zmieniła. Gdziekolwiek teraz jest, jestem pewna, że myśli tylko o tym, jak bardzo cię kochał. I nieważne, czy odnajdziemy jego grób, czy nie. Nieważne, czy położymy tam kwiaty, czy nie. Najważniejsze jest to, że o nim pamiętamy, że wciąż go kochamy. Liczy się to, co nosimy w sercu.

Klara płakała.

– Mam pomysł – stwierdziłam, zmuszając się do uśmiechu. – Zjemy śniadanie i zetniemy wszystkie kwiaty z naszego podwórka. Potem pójdziemy nad rzekę i rzucimy je do wody. Dla niego. Dla twojego taty. On uwielbiał tę rzekę. Będąc w Wiedniu, zawsze opowiadał wszystkim wokół, że Dunaj nie umywa się do jego Narwi. To będzie tak samo ważne, jakbyśmy położyły je na jego grobie. Co myślisz?

Klara kiwnęła głową. Siedziałyśmy objęte jeszcze przez dłuższą chwilę. Ukradkiem wytarłam z oczu łzy.

Przez kolejne dni męczyły mnie poranne młodości. Miałam już wtedy pewność. Byłam w ciąży... Miałam wszystkie możliwe objawy, jednak ta ciąża była inna. Nie towarzyszyła jej radość i ekscytacja. Nie pragnęłam jej tak, jak poprzedniej. Nie umiałam cieszyć się z faktu, że ponownie zostanę matką. Chociaż wiedziałam, że to dziecko nie jest niczemu winne, że nie wybierało swoich rodziców ani czasu, w którym miało przyjść na świat, to przerażała mnie myśl, że każdy będzie wiedział, czyje ono jest. Byłam pewna, że gdy ciąża stanie się widoczna, nie będzie tu dla nas życia. Ludzie dostaną dowód, na który tak długo czekali. Już nikogo nie przekonam, że nie jestem folksdojczką. A najgorsze było to, że przez to ucierpi też Klara...

– Pani doktor, komendant panią wzywa. – Usłyszałam głos niemieckiego żandarma. Nawet nie zauważyłam, gdy wszedł na nasze podwórko. Zdjęłam brudne od ziemi rękawiczki i podniosłam się z kolan. Poszłam do domu zdjąć roboczy fartuch i wziąć swoją torbę. Idąc na posterunek, czułam, jak znowu zaczyna mi się robić słabo. Niepotrzebnie zabrałam się dziś za porządki w ogródku.

Gdy tylko weszłam na ich podwórze, zobaczyłam leżące na ziemi ciało. Odruchowo przystanąłam w miejscu. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że martwy mężczyzna miał na sobie szary sweter mojego męża... Zamarłam. Żołnierz wyprzedził mnie i czekał, aż do niego podejść. Zamiast tego, ruszyłam w kierunku leżącego mężczyzny. Był odwrócony twarzą w drugą stronę. Z trudem stawiałam każdy krok, serce waliło mi jak oszalałe. Musiałam go zobaczyć. Musiałam mieć pewność. Pochyliłam się nad nim i odwróciłam bezwładne ciało w swoją stronę. Gdy zobaczyłam jego twarz, zamknęłam oczy. To nie był Zając, tylko młody chłopak. Poczułam ulgę, a potem wstręt do siebie, że taka była moja reakcja. Mężczyzna miał niewiele ponad dwadzieścia lat. W okolicy jego serca była wielka czerwona plama. Wstałam, a świat znowu zaczął wirować. Wolnym krokiem ruszyłam w stronę posterunku. W środku nie było Ewy. Od razu poszłam na górę.

Weszłam do gabinetu komendanta bez pukania. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Nagle było mi wszystko jedno. Nawet się nie przywitałam. Komendant stał oparty o blat biurka. Nie miał na sobie marynarki, tylko zieloną koszulę z prawej strony całą podziurawioną. Odstawiłam torbę na krzesło. Zacisnęłam mocniej zęby. Napięłam wszystkie mięśnie. Nie chciałam dać się ponieść emocjom, które aż we mnie wrzały.

– Proszę zdjąć koszulę, *Herr Kommandant* Hizel – powiedziałam oschłym tonem.

Komendant wyprostował się i lewą ręką zaczął rozpinąć guziki. Prawą trzymał swobodnie opuszczoną. Staralam się na niego nie patrzeć. Zająłam się przygotowaniem narzędzi i ligniny. Rozłożyłam wszystko na stole. Potem zeszłam na dół wyszorować ręce. Gdy wróciłam do gabinetu, zauważyłam, że szarpie się z górnymi guzikami kołnierza. Udałam, że tego nie widzę. Zaczęłam odkazać narzędzia. Gdy skończyłam, odwróciłam się i cierpliwie czekałam, aż będzie gotowy. Chwilę zajęło

mu, zanim w końcu zdjął koszulę. Nerwowo rzucił ją w kąt. Widziałam, jak powstrzymuje wybuch. Podeszłam bliżej i przyjrzałam się uważnie małym rankom z prawej strony jego ciała. W każdej siedziała granulka śrutu. Wzięłam pęsetę do ręki i po kolei próbowałam chwycić każdy kawałek zalegający w ranie. Nie byłam przy tym ani delikatna, ani ostrożna. Widziałam, jak pręży ciało za każdym razem, gdy mocniej wkładałam pęsetę. Jako lekarz czułam wyrzuty sumienia. Jako człowiek – nieukrywaną satysfakcję. To, co zrobił, było niewybaczone. Nie mogłam pozbyć się widoku twarzy tego chłopaka. Poczułam, jak zimny pot oblewa moje plecy. Nagle zrobiło mi się duszno. Nie mogłam złapać tchu. Rzuciłam pęsetę na stół i pobiegłam do okna. Otworzyłam je na oścież i wzięłam głęboki oddech. Chwilę zajęło mi, zanim oprzytomniałam. Zamknęłam okno, odwróciłam się i spojrzałam na komendanta. Wyglądał na dezorientowanego, ale w żaden sposób tego nie skomentował. Ponownie odkaziłam pęsetę i oczyszczałam kolejne rany.

– Wszystko w porządku, pani Sambor? – Usłyszałam nad sobą jego głos.

– Jak najbardziej – odpowiedziałam zdawkowo, nie odrywając się od pracy. – To pan zabił tego chłopca? – wyrzuciłam z siebie, chociaż znałam odpowiedź. Wciąż jednak łudziłam się, że zaprzeczy.

Komendant milczał. Ponownie zaczęło brakować mi powietrza. Podsunęłam krzesło bliżej biurka i przysiadłam. Na szczęście pozostały mi już tylko rany w dolnej części brzucha. Ponownie mocniej włożyłam pęsetę. Lekko wygiął ciało, ale nie wydał z siebie żadnego jęku. Znowu robiłam to samo, a on drgnął.

– Robi to pani specjalnie?

– Oczywiście, że nie, po prostu ranki są małe i muszę jakoś chwycić śrut. – Skłamałam, ale on nie mógł tego zobaczyć.

– Pani nic nie rozumie, pani Sambor. – Przerwał, gdy znowu wsadziłam pęsetę głębiej. – On strzelił do mnie pierwszy. Potem chciał oddać drugi strzał. Gdybym nie zaczął się bronić, to ja bym tam leżał, a nie on.

– Śrut wyjęty – powiedziałam, jak gdyby nigdy nic. W żaden sposób nie odpowiedziałam na jego tłumaczenia. – Jedna rana jest dosyć duża.

Proponuję założyć na nią dwa szwy. Wytrzyma pan taki ból? Czy mam pana komendanta znieczulić? – zapytałam z pogardą.

Komendant zacisnął ręce na blacie biurka. Nic nie odpowiedział. Wstałam z krzesła i podeszłam do torby. Wyjęłam niezbędne narzędzia. Gdy przekładałam igłę przez jego skórę, nawet nie drgnął. Czułam, że robi wszystko, żeby nie pokazać przede mną słabości. Nie wiedzieć dlaczego, to mi zaczęło robić się niedobrze. Przełożyłam ją drugi raz przez jego skórę. Gdy robiłam supel, już wiedziałam, że dłużej nie wytrzymam. Rzuciłam igłę na stół i wybiegłam z gabinetu. Praktycznie leciałam ponad schodami. Ręką zasłaniałam usta. Udało mi się wybiec na zewnątrz i tam zwróciłam całe śniadanie. Poczułam kropelki potu na czole. Z oczu popłynęły mi łzy. Od razu poczułam się lepiej, podeszłam do studni i obmyłam twarz zimną wodą. Gdy wróciłam na górę, komendant bacznie mi się przyglądał. Widziałam, że nad czymś mocno się zastanawiał, miał zmrużone oczy. Wzięłam gazik namoczony spirytusem i ponownie odkaziłam wszystkie rany.

– To wszystko z mojej strony, panie komendancie – powiedziałam, zapinając torbę.

Mężczyzna nie spuszczał ze mnie wzroku. Nic nie mówił, ja również. Chwyciłam swoje rzeczy i ruszyłam w stronę wyjścia. Zagroził mi drogę.

– Czy to jest to, co myślę? – zapytał, patrząc mi prosto w oczy.

– Przykro mi, ale nie znam myśli pana komendanta.

Złapał mnie mocno za rękę. Oczekiwał innej odpowiedzi.

– Tak, jestem w ciąży, jak pan widzi.

Nagle słowa wypowiedziane stały się prawdą. Wypuścił moją dłoń.

– To moje dziecko? – zapytał, ciężko oddychając.

– Oczywiście – odpowiedziałam, patrząc mu prosto w oczy, żeby miał pewność, że nie kłamię.

– Ale przecież, ja nie mogę...

Wyglądał na skołowanego. Zobaczyłam na jego twarzy prawdziwe emocje. Jego oblicze w końcu nabrało wyrazu. Ujrzałam w nim człowieka.

– Widocznie to pańska żona nie mogła mieć dzieci, a nie pan...

Mówiąc to, minęłam go i ruszyłam w stronę wyjścia. Komendant stał bez ruchu w miejscu, w którym go zostawiłam.

Wychodząc na podwórze, zauważyłam pochyloną nad martwym chłopcem Ewę. Trzymała go w ramionach. Rzuciłam torbę i podbiegłam do niej.

– Co robisz, Ewo? – powiedziałam ściszym głosem. – Zostaw go, proszę, jak oni zobaczą...

– Nic mnie to nie interesuje! – krzyczała. – Zapłacą mi za to! Zabiję ich wszystkich!

Nerwowo obejrzałam się wokół siebie. Szczęśliwie nikt tego nie słyszał.

– Ewka! Na litość boską, opanuj się! Zabiją cię za to!

– On był kolegą mojego brata! Jego też zabili, dranie!

Zobaczyłam w jej oczach obłęd. Minęła mnie i wbiegła do budynku. Bałam się, że zrobi coś głupiego, że faktycznie będzie próbowała kogoś zabić. Wiedziałam, że zastrzeli ją, zanim zdąży cokolwiek zrobić. Nerwowo otworzyłam torbę, wzięłam butelkę z eterem i wylałam kilka kropel na gazę. Ruszyłam za nią.

Ewa stała w kuchni z nożem w ręku i próbowała mnie minąć.

– Uspokój się – mówiłam półszepem, wiedząc, że komendant jest na górze. – Zabiją cię, zanim kogokolwiek zdołasz zranić.

– Przynajmniej spróbuję! Wolę umrzeć niż przyglądać się beczynnie, jak pani!

Ewa krzyczała zbyt głośno. Musiałam działać bardzo szybko.

– Uważaj, za tobą! – krzyknęłam do niej.

Gdy tylko odwróciła głowę, rzuciłam się na nią i przyłożyłam gazik do jej nosa. Poczułam piekący ból w ręku. Ewa w sekundę opadła w moje ramiona. Zaciągnęłam ją do pokoju, w którym badałam Niemców, a potem położyłam na podłodze. Już chciałam zamykać za sobą drzwi, gdy zauważyłam stojącego przede mną komendanta. Patrzył raz na mnie, raz na nią. Potem skierował wzrok na leżący na podłodze nóż. Schowałam krwawiącą rękę za plecy.

– Co się tu dzieje? – zapytał swoim wyuczonym, beznamiętnym głosem.

– Ewa źle się poczuła na widok martwego chłopaka.

– Znała go?

– Tu każdy każdego zna – odpowiedziałam wymijająco.

Chciał wejść do pokoju, w którym leżała, ale zagroziłam mu ręką drogę. Patrzałam mu prosto w oczy. Miałam nadzieję, że to zadziała. Komendant spojrzał na mnie. Po chwili położył mi dłoń na brzuchu. Poczułam rozchodzące się po moim ciele ciepło. Położyłam swoją rękę na jego. Zrobiłam to specjalnie, aby zmiękczyć jego serce. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie.

– Zabierz ją stąd. Od dziś już tu nie pracuje – rzucił oschle, cofając dłoń. – I zrób coś ze swoją ręką.

Kiwnęłam głową. Po chwili już go nie było. Pobiegłam po ojca Ewy i razem zanieśliśmy ją do domu. Obiecali, że przypilnują córki, żeby nie zrobiła kolejnej głupoty.

Następnego dnia komendant wezwał mnie do siebie. Ja jednak nie poszłam. Zostałam w domu. Pierwszy raz odesłałam żandarma, twierdząc, że źle się czuję. Nie chciałam go widzieć za to, kim był. A przede wszystkim – bałam się spotkania z nim. Teraz, gdy już dotarła do niego wiadomość o mojej ciąży, nie byłam pewna, jak zareaguje. Czy ucieszył się z dziecka? A może będzie kazał mi je usunąć? Nie chciałam i nie potrafiłabym tego zrobić. Ale przecież mógł mnie do tego zmusić...

Odczekałam kilka kolejnych dni. Dłużej nie dałam rady wytrzymać ciągłego strachu i niepewności. Idąc na posterunek, miałam nadzieję, że mimo że był mordercą, to własnego dziecka nie będzie w stanie zabić. Przecież musiał mieć jakieś podstawowe instynkty. Każde stworzenie kocha swoje potomstwo, przynajmniej w teorii. Postanowiłam, że za wszelką cenę ochronię rosnące we mnie nowe życie. Powiem wszystko, co będzie chciał usłyszeć... Zrobię, co tylko będzie chciał... Nic więcej się już nie liczyło, jak tylko bijące we mnie maleńkie serce...

Gdy weszłam na podwórze, zobaczyłam, jak żandarmi pakują się do ciężarówki. Komendant na mój widok wyskoczył z kabiny i szybkim krokiem zaczął iść w moją stronę.

– Pani Sambor, proszę zaczekać na mnie w moim gabinecie.

– To ja może przyjdę jutro? – zaproponowałam nieśmiało.

– Nie. Proszę na mnie zaczekać. Zrozumiała pani?

Był nieugięty. Na twarzy nie ujrzałam żadnych emocji. Kiwnęłam mu na zgodę głową i weszłam do środka. Dziwnie było być tu samej. Z okna gabinetu zobaczyłam oddalającą się drogą ciężarówkę. Przez chwilę przechadzałam się po pokoju. Przyjrzałam się zdjęciu jego żony. Z ciekawości próbowałam otworzyć szafę, ale była zamknięta na klucz, tak samo jak szuflada biurka. Po kwadransie czekania byłam już tak znudzona, jakby minęło kilka godzin. Siedziałam na krześle i czułam, jak oczy zaczynają mi się zamykać. W końcu niewiele myśląc, zdjęłam buty i położyłam się na jego łóżku. Zasnęłam momentalnie.

Obudził mnie dotyk jego ręki na moim brzuchu. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że jest już ciemno. Chciałam się podnieść, jednak mnie powstrzymał. Siedział na brzegu łóżka. Podwinął moją bluzkę do góry i odsłonił brzuch. Po chwili zaczął mnie po nim całować. Byłam już pewna, że chciał tego dziecka i że nie robi mi żadnej krzywdy. Odetchnęłam z ulgą. Czułam wdzięczność wobec losu. Znowu było bezpiecznie.

Franz położył się obok mnie. Przysunął twarz bliżej i patrzył mi w oczy. Wysunął dłoń w kierunku mojej twarzy, jednak nie pozwoliłam mu się dotknąć. Nie mogłam. Jeszcze nie. Wciąż powtarzałam sobie w myślach, że jest mordercą, a po chwili uświadamiałam sobie, że jest też ojcem kolejnego życia, które we mnie rośnie. Musiałam bronić swojego dziecka. Przerażała mnie myśl, że będę sama z dwójką dzieci, z noworodkiem, pośrodku wojny... Z lekarki nazisty stałam się kochanką nazisty i będę matką jego dziecka... Polacy mnie znienawidzą i zapragną naszej śmierci... Wiedziałam, że tylko komendant zapewni nam bezpieczeństwo...

W końcu wtuliłam się delikatnie w jego ramiona i, ku własnemu zaskoczeniu, przez chwilę poczułam się szczęśliwa. Stanowiło to tak odległe uczucie, że zapomniałam, jak smakuje. Najgorsze wydawało się to, że wcale nie było mi z tym źle. Wiedziałam, że nie powinnam tego czuć, że należało trzymać się od niego z daleka, bo był złym człowiekiem, ale nie mogłam. Miałam dosyć ciągłej walki, lawirowania między Niemcami a partyzantami. Nie chciałam już być częścią tej wojny. Pragnęłam normalnie żyć. Cieszyć się każdym dniem. Cieszyć się tą ciążą. Spokojnie oczekiwać kolejnego dziecka. Małego cudu, który

przyszedł tak nieoczekiwanie. Marzyłam, żeby ktoś w końcu zaopiekował się mną i moimi dziećmi. Żeby w końcu przestała się bać... Ale jak miałam zapomnieć, kim był...

– Franz. – Po raz pierwszy zwróciłam się do niego po imieniu.

Zobaczyłam, jak się uśmiecha.

– Tak, Alicjo?

– Mogę cię o coś zapytać?

Mruknął.

– Powiedz mi, dlaczego walczysz? Skąd się tu wzięłeś? Moją historię już znasz. Chcę poznać twoją.

– Jeżeli chcesz usłyszeć, że wcielono mnie siłą do armii, to muszę cię zmartwić. Jestem tu z własnej woli. Nikt mi nie groził ani utratą życia, ani konfiskatą majątku.

– Więc naprawdę wierzysz w to wszystko? Że Niemcy są panami Europy? – mówiąc to, podniosłam się tak, że jego twarz, oświetloną poświatą księżyca, miałam pod sobą. Chciałam patrzeć mu w oczy, gdy będzie odpowiadał. Miałam nadzieję, że tak jak w moich, w jego również zobaczę kłamstwo.

– Mój ojciec był wojskowym. Mój dziadek też. Obaj walczyli na Wielkiej Wojnie. Mieliśmy w rodzinie mocno zakorzenione tradycje wojskowe. Mundur był największą świętością. Ja i Marcus, mój brat, wiedzieliśmy, że jeden z nas musi iść tą samą drogą. Gdy zaczęto wcielać do wojska, Marcusowi urodziło się drugie dziecko. On został. Ja poszedłem. Cała historia.

– A twoja żona? Puściła cię?

– Martha oddała mi obrączkę w dniu, w którym przyszedłem do domu w mundurze. Ona nie wierzyła w to, co głosi nasza partia.

– A ty w to wierzysz? – Nie dawałam za wygraną.

– Alicjo, naprawdę myślisz, że odpowiem ci na to pytanie? – mówiąc to, obrócił mnie na plecy i podniósł się nade mną, tak samo jak ja przed chwilą. Teraz to moja twarz oświetlało światło księżyca.

– Teraz ja ciebie zapytam – powiedział, gładząc moje włosy.

– Słucham?

– Wolisz chłopczyka czy dziewczynkę?

Zaśmiałam się szczerze, po raz pierwszy od dawna.

– Bez znaczenia. Ważne, żeby miało tradycyjne polskie imię, Szczepan lub Bronisława.

Franz otworzył szeroko oczy. Wiedziałam, że nawet nie jest w stanie wymówić tych imion.

– Drocę się z tobą. – Uspokoiliam go.

– Może Helga albo Adolf? – zaproponował.

Uśmiech momentalnie zszedł mi z twarzy. Miałam nadzieję, że żartował. Zobaczył mój strach i zaczął się głośno śmiać.

– Hannah dla dziewczynki, po polsku Hania, prawda?

Kiwnęłam głową.

– A dla chłopczyka... – Zaczął się zastanawiać.

– Franek – przerwałam mu. – Po niemiecku Franz.

Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu.

– Dobrze, że chociaż w jednym się zgadzamy – powiedział zadowolony.

Nie chciałam, żeby kiedykolwiek wzeszło słońce. Wolałam go takiego. Nie chciałam, żeby znowu włożył swój mundur, żeby znowu był komendantem. Pragnęłam, by był tylko Franzem... Ojcem mojego dziecka...

Kolejne tygodnie sprawiły, że coraz częściej widziałam w nim Franza niż nazistę. A on zachowywał się jak wzorowy przysły ojciec. Praktycznie każdego dnia przynosił nam jedzenie. Na każdym kroku dopytywał, czy czegoś nie potrzebujemy. Zabronił swoim ludziom zbliżania się do naszego domu. Robił wszystko, żebym zapomniała o toczącym się wokół nas szaleństwie. Każdą noc spędzaliśmy razem. Był czuły i delikatny, jakby bał się, że za chwilę rozpadnę się na kawałki i straci mnie na zawsze. Nieustannie dotykał mojego brzucha. Nie mógł doczekać się, aż w końcu poczuje pierwsze ruchy swojego dziecka. Wiedziałam, że pragnął go najbardziej na świecie.

Czułam, że Franz jest mi coraz bliższy. Z każdym kolejnym dniem odkrywałam w nim coś nowego. Miałam nieodparte wrażenie, że łączy nas tak wiele i że gdyby nie był Niemcem, a ja Polką, byłibyśmy dla siebie stworzeni. Franz opowiadał mi o swoim rodzinnym domu. On również pochodził z Bawarii. Twierdził, że jest piękniejsza od Austrii, ale nie chciałam mu wierzyć. Irytowało go to, ale nie dawał tego po sobie

poznać. A ja, trochę jemu na złość, bezustannie zachwalałam Wiedeń. Lubiłam dogryzać mu na każdym kroku i wiedziałam, że jemu wcale to nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie, lubił to we mnie. A przy tym wcale się go nie bałam. Cały strach, jaki przed nim czułam, nagle zniknął.

Dowiedziałam się, że zanim wybuchła wojna, zdążył zrobić doktorat z matematyki. Miał zamiar wykładać na uczelni, ale plany się skomplikowały. Lubiłam słuchać jego niskiego, chrypiącego głosu. Opowiadał z pasją. Nie mogłam się nadziwić, ile miał w sobie emocji. Zastanawiałam się, jak udawało mu się przybierać kamienną twarz w każdej sytuacji, która tego wymagała. Ze mną było całkowicie odwrotnie, uzewnętrzniałam wszystko, co czułam i co leżało mi na sercu.

Miałam wrażenie, że Franz z każdym kolejnym dniem zmienia się coraz bardziej, łagodnieje. Nagle przestał przeczesywać lasy. Nie przeszukiwał już tak zawzięcie okolicznych gospodarstw. Ludzie czuli tę zmianę, czuli ulgę, tylko nikt nie wiedział dlaczego...

– Jesteś sama? – zapytał, gdy tylko otworzyłam mu drzwi.

– Tak, Klara poszła do Stefci pomóc przy dzieciach.

Franz wszedł zadowolony do mojego domu. Był tu już niejednokrotnie, ale za każdym razem odnosiłam wrażenie, że czuje się nieswojo – dokładnie tak samo jak ja, będąc w jego gabinecie.

– Pomyślałem, że może masz ochotę przejść się na spacer nad rzekę? – zapytał nieoczekiwanie.

– Wiesz, co myślę o afiszowaniu się z naszym... – Ugryzłam się w język.

– Związkiem?

– Związkiem – potwierdziłam.

– Tak bardzo chciałbym spędzić z tobą czas poza czterema ścianami. Widujemy się tylko tutaj albo na posterunku.

Mówiąc to, podszedł i czule mnie objął. Potem jak zawsze pogładził mnie po brzuchu i przywitał się z naszym dzieckiem.

– To może pójdziemy na plażę za domkiem? – zaproponowałam.

Nim odpowiedział, usłyszałam pukanie. Franz momentalnie odsunął się pod ścianę. Ostrożnie uchyliłam drzwi. Za nimi stał starszy mężczyzna, który był woźnicą na posługach u partyzantów.

– Pani doktor, jest sprawa. Ranny chłopak. Niemcy go postrzelili w rękę.

Przełknęłam nerwowo ślinę.

– Już idę – odpowiedziałam jak zawsze i jednocześnie przytrzymałam ręką Franza, który pojawił się obok mnie, nadal niewidoczny dla stojącego na schodach mężczyzny.

– Pani doktor, przywiozę go wieczorem, będzie leżał u mnie w stodole. Przyjdzie pani jak tylko się ściemni.

– Dobrze, przyjdę – odpowiedziałam i zamknęłam drzwi.

Spojrzałam na Franza. Stał, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Widziałam, jak bije się z myślami. Co rusz zaciskał i rozluźniał szczękę. Podeszłam i popatrzyłam łagodnym wzrokiem prosto w jego oczy, jednocześnie kładąc dłonie na jego piersiach.

– Zanim pójdziemy nad rzekę, najpierw coś zjemy – powiedziałam, jakby to, co się przed chwilą wydarzyło, było nieistotne. – Franz, jesteś głodny?

– Alicjo... – zaczął mówić niepewnym głosem.

– Tak, najdroższy? – Uśmiechnęłam się, po czym delikatnie musnęłam ustami jego usta.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo... – odpowiedział po dłuższej chwili, po czym wziął mnie na rękę i zaniósł wprost do sypialni.

Gdy w końcu zjedliśmy obiad, ukradkiem wymknęliśmy się na tyły domku i poszliśmy, trzymając się za rękę, prosto na naszą prywatną plażę. Wieczorem odwiedziłam rannego chłopaka. Opatrując go, nie czułam już żadnego strachu. Nigdzie się nie śpieszyłam. Byłam pewna, że dzięki mojemu Franzowi ani dziś, ani przez kilka kolejnych dni, dopóki chłopak nie wydobrzeje, nie spotkam na tym podwórzu żadnego niemieckiego żołnierza. Na tę myśl uśmiechnęłam się sama do siebie. Mój Franz... Kto by pomyślał?

Franz nigdy nie wrócił do tamtej sytuacji i nie zapytał mnie wprost, czy wyleczyłam rannego chłopaka. Pewne tematy zostawialiśmy niedopowiedziane, niektórych rzeczy nie komentowaliśmy. Tylko w ten sposób mogliśmy być razem, nie raniąc siebie nawzajem. Zapominając

o tym, co wciąż nas dzieli, wykradaliśmy z życia te krótkie chwile wspólnego szczęścia.

– Zamknij oczy – powiedziałam, gdy znowu wylądowaliśmy na plaży za domkiem.

– Dlaczego? – zapytał, bawiąc się źdźbłem trawy, którym co chwila łaskotał mnie po twarzy.

– No, zamknij.

– Zamknąłem, co dalej?

– Gdzie chciałbyś teraz być? Jeśli powiesz, że w Bawarii, to przysięgam, nie wytrzymam – zagroziłam, śmiejąc się w głos.

– Mogę wybrać czas? – Spojrzał na mnie, otwierając na chwilę jedno oko.

– Możesz.

– W takim razie Polska, tysiąc dziewięćset dwudziesty trzeci rok.

– Dlaczego tak? – zapytałam zdziwiona.

– Odnalazłbym cię, zanim wyjechałabyś do Wiednia i zanim pobrałem się z Marthą.

– I co byś zrobił? – pytałam zaciekawiona.

– Ożeniłbym się z tobą.

– Miałam wtedy osiemnaście lat i wielkie plany, w których nie było żadnego zamążpójścia.

– Mnie byś nie odmówiła – powiedział pewny siebie, śmiejąc się w głos.

– Poza tym nie zabroniłbym ci studiować, wręcz przeciwnie, wspierałbym cię na każdym kroku, bo miałbym już tę pewność, że jesteś moja i tylko moja.

Zaśmiałam się i położyłam obok niego na ciepłym piasku. Złapałam jego dłoń i mocno ścisnęłam. Franz przysunął swoją głowę bliżej mojej. W tym krótkim momencie zniknęło całe otaczające nas zło. Przez chwilę oboje zapomnieliśmy o trwającej wciąż wojnie.

– Chciałbym, żeby to wszystko się w końcu skończyło... nieważne jak...
– powiedział cicho.

Nic nie odpowiedziałam.

– Nie myślałem, że tak to będzie wyglądać. Ojciec opowiadał o wielkich bitwach, walkach z wrogiem, o zwycięskich i przegranych potyczkach. Ja też tak chciałem. Bić się z nieprzyjacielem z bronią w ręku. Polec lub

zwyciężyć na polu chwały. Nikt nie mówił, że będziemy walczyć z cywilami, zabijać kobiety, dzieci, starców... Nikt nam tego nie powiedział...

– Wciąż możemy stąd uciec, Franz – wyszeptałam nieśmiało.

Westchnął.

– Uciec? Dokąd? Przecież Niemcy są wszędzie. Bez wyraźnego polecenia nie mogę się stąd ruszyć nawet na krok. Uznaliby mnie za dezertera i zabili nas oboje.

Znowu zapadła cisza. Czułam, że Franz potrzebuje tej rozmowy, że chce, żebym o pewnych rzeczach po prostu wiedziała.

– Alicjo, nie daję już rady... – Franz odwrócił twarz i popatrzył wprost na niebo, jakby specjalnie unikał mojego wzroku. – To wszystko – mówiąc to, wskazał wolną ręką na swój mundur – to robi ze mnie kogoś, kim nie jestem. Czasem wydaje mi się, że jest nas dwóch. Zrzucam na niego całe zło, tłumacząc sobie, że wciąż jestem tym samym Franzem z Laufen w Bawarii, oddanym przyjacielem, kochającym synem i dobrym nauczycielem. Ale wiem, że to głupota. Powiedziałaś kiedyś, że jestem potworem, i coraz częściej myślę, że miałaś rację...

Nic nie odpowiedziałam, tylko przytuliłam go mocno i ukradkiem wytarłam spływające po jego policzku łzy.

Kolejne dni mijały, a my staraliśmy się spędzać ze sobą jak najwięcej wolnego czasu. Z jednej strony byłam szczęśliwa i nawet tego nie ukrywałam. Z drugiej, gdzieś na dnie serca, wciąż czułam pewien niepokój. Wiedziałam, że szczęście w czasie wojny jest tak kruche jak rosnący na polu mak. Wystarczy go zaledwie trącić, a wnet traci wszystkie płatki...

– Musisz coś zobaczyć! – krzyknął, uradowany na mój widok, gdy pojawiłam się w jego gabinecie.

– Dzień dobry, Franz – powiedziałam do niego czule. – Co tym razem? Chyba nie kolejne łakocie? Zapewniam cię, że za kilka miesięcy będę tak gruba, że nie zdołasz mnie unieść! – Zaśmiałam się.

– Kochanie, nie mogę się tego doczekać! – Zobaczyłam nieukrywaną radość w jego oczach.

– Poczekamy, zobaczymy – powiedziałam, całując go na powitanie w usta. – To co chcesz mi pokazać?

– Zamknij oczy – poprosił, a uśmiech nie schodził z jego ust.

Posłusznie to zrobiłam.

– Już!

Gdy ponownie je otworzyłam, zobaczyłam biały, niemowlęcy kaftanik, leżący na blacie jego biurka.

– Franz, jest piękny! – Z zachwytu zasłoniłam dłonią usta. Poczułam, jak zaczynają mi się szklić oczy. To była pierwsza rzecz dla naszego dziecka. Nie pomyślałabym, że on mógłby zawracać sobie takimi sprawami głowę, a tymczasem ostrożnie dotykałam opuszkami palców przyjemnego materiału, ozdobionego delikatną koronką. Rzuciłam mu się w ramiona. Franz niespodziewanie wziął mnie na rękę, unosząc, jakby sprawdzał, ile ważę.

– Faktycznie, robisz się coraz cięższa... – zażartował, po czym roześmiał się w głos.

Uderzyłam go dłonią w ramię, uśmiechając się równie szeroko jak on.

Gdy znowu zostałam wezwana do komendanta, szłam z uśmiechem na ustach. Czułam, jak ogrzewają mnie ciepłe promienie słońca. Podziwiałam, jak pną się w górę słoneczniki wzdłuż ogrodzenia Stefci. Pomachałam jej dzieciom, na co wszystkie chórem przywitały się ze mną. Popatrzyłam na ich wesołe twarze i w myślach zaczęłam się zastanawiać, jak będzie wyglądało nasze dziecko. Czy odziedziczy po ojcu jasnobłękitne, wpadające w szarość oczy, czy może moje zielone... Za pięć miesięcy miałam się tego dowiedzieć. Na ułamek sekundy złapałam się za brzuch. Jeszcze nikt oprócz nas nie wiedział, że spodziewam się dziecka. Nawet Klara. Miałam jednak świadomość, że za parę tygodni będzie już widać okazały brzuszek. Póki co wyglądałam, jakbym po prostu dobrze się najadła.

Wchodząc na podwórze przed posterunkiem, zawahałam się. Zobaczyłam, stojący obok domu, czarny samochód. Na jego widok, jak zawsze, chciałam uciekać. Wiedziałam, że nie mogę się wycofać, przecież specjalnie po mnie posłano. Poza tym byłam pewna, że Franz nie pozwoli nikomu mnie skrzywdzić, zwłaszcza teraz. Podeszłam bliżej. Przed

wejściem na posterunek stał ktoś z Gestapo. Czarny kolor ich mundurów zawsze kojarzył mi się ze śmiercią. Obok gestapowca stał komendant. Rozmawiali ze sobą jak starzy znajomi, chociaż widziałam, że Franz miał napięte całe ciało. Był wyprostowany jak cięciwa, jakby to, że był niższy stopniem, wymagał od niego bezwzględnego posłuszeństwa.

– Dzień dobry, *Herr Kommandant* Hizel, wzywał mnie pan – przerwałam im rozmowę.

– To jest właśnie pani doktor. – Wskazał na mnie ręką, całkowicie ignorując moją wypowiedź.

Gestapowiec zbliżył się do mnie. Pochyliłam głowę i spuściłam wzrok. Ogarnął mnie lęk. Nie chciałam z nim nigdzie jechać. Miałam nadzieję, że zbadam go na miejscu i zostawi mnie w spokoju.

– Brawo! – powiedział podekscytowany. – Jedziemy!

Spojrzałam na Franza. On patrzył na mnie chłodnym wzrokiem.

– Pojedzie pani do pacjenta i wróci – rzucił do mnie od niechcienia, ale ja wiedziałam, że chciał mnie tym uspokoić. Musiał widzieć moje zdenerwowanie. Kiwnęłam mu głową, trochę mi ulżyło. Rozmawiał z tym gestapowcem, znał go, więc na pewno wiedział, co mówi. Posłusznie wsiadłam do czarnego wozu. Franz zamknął za mną drzwi. Po raz ostatni spojrzałam na niego przez szybę, żeby upewnić się, że nie zobaczę strachu w jego oczach. Patrzył na mnie spokojnym wzrokiem. Odetchnęłam z ulgą.

Wóz zatrzymał się dopiero przy Alei Legionów, na obrzeżach Łomży, tuż przed wysokim, ceglany murem i żelazną bramą. Wiedziałam, że przyjechaliśmy do niemieckiego więzienia. Gdy wjechaliśmy do środka, poczułam, jak przez moje ciało przeszedł dreszcz. Zobaczyłam ogromny kompleks budynków z czerwonej cegły, który spokojnie mógł pomieścić nawet dwa tysiące więźniów. W każdym rogu stała wieża z uzbrojonym w automat strażnikiem. Na placu przed głównym budynkiem stała szubienica. Odruchowo odwróciłam od niej wzrok. Zaczęło ogarniać mnie przerażenie. Dlaczego Franz pozwolił mi tu przyjechać... Zaprowadzono mnie do środka dwupiętrowego budynku. Gdy weszliśmy, zaczęłam bać się jeszcze bardziej. Podążaliśmy długim korytarzem. Z prawej i lewej strony co chwilę mijaliśmy ciężkie, drewniane drzwi obite szczelnie

blachą. Były w nich niewielkie otwory judaszy i kwadratowe dziury poniżej, przez które zapewne podawano posiłki. Dostrzegłam czerwony ślad na podłodze, ciągnął się przez całą długość korytarza i kończył przed jednymi z takich drzwi. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to krew pozostawiona przez wleczonego po ziemi człowieka. Wzdrygnęłam się. Schodziliśmy do piwnicy. Z każdym kolejnym stopniem wyraźniej docierały do mnie przerażające dźwięki. Były to krzyki ludzi, potworne wycie torturowanych tu osób. Nigdy wcześniej nie słyszałam czegoś podobnego. Ręce zaczęły mi drżeć. Z całych sił ścisnęłam mocniej swoją skórzaną torbę. Próbowałam myśleć o czymś innym, ale te odgłosy rozdzierały mi głowę. W końcu zatrzymaliśmy się przed metalowymi drzwiami. Gestapowiec wpuścił mnie do środka, a sam został na zewnątrz. Była to duża sala bez żadnych mebli i okien. Na kamiennej podłodze leżał więzień. Nad nim stał kolejny Niemiec w czarnym mundurze. Panował półmrok, z sufitu zwisała okopcona żarówka. Poczulałam dobrze mi znany zapach. Spojrzałam pod swoje stopy. Wszędzie były kałuże krwi. Na ugiętych nogach zrobiłam kilka kolejnych kroków do przodu.

– Pani doktor, jak mniemam? – zapytał gestapowiec.

– Tak, Alicja Sambor, jestem lekarzem – odpowiedziałam wystraszona.

– Proszę podejść bliżej, to pani pacjent – mówiąc to, wskazał ręką na człowieka leżącego na ziemi.

Zrobiłam kilka kolejnych kroków i uklękłam tuż obok chłopaka, a może dorosłego mężczyzny... Tego nie byłam w stanie stwierdzić. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego. Bałam się, że za chwilę zacznę krzyczeć z przerażenia. Całe jego ciało to była jedna wielka krwawiąca rana. Nie zauważyłam ani skrawka skóry bez zasinienia i opuchlizny. Na pierwszy rzut oka stwierdziłam złamanie nosa oraz szczęki, połamane ręce i nogi. Chciałam stąd uciec jak najszybciej i jak najdalej. W końcu zacisnęłam mocniej zęby i delikatnie zaczęłam go badać. Przejechałam dłonią po jego ciele. Cicho zajęczał. Dotarło wtedy do mnie, że złamaną miał niemal każdą kość. Nie wiedziałam, że to w ogóle było możliwe. Czulałam, jak zaczynają szklić mi się oczy. Cofnęłam rękę i skupiłam myśli na swojej torbie. Otworzyłam ją i wyjęłam z niej

fonendoskop, chociaż nie miałam pojęcia w jakim celu. Mężczyzna ledwo oddychał. Wymagał specjalistycznej opieki, a nie osłuchania.

– Jak masz na imię? – zapytałam, jak każdego innego mojego pacjenta.

– Kuja. – Usłyszałam cichy głos. Był młody. Bardzo młody. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia kilka lat.

– Ma pani go leczyć, a nie z nim rozmawiać!

Usłyszałam rozkazujący ton gestapowca.

– Ten człowiek powinien zostać przewieziony do szpitala. Wymaga natychmiastowej interwencji chirurgicznej. Musi się nim zająć specjalista – powiedziałam spokojnym głosem.

– Ja się nim zajmę. – Zaśmiał się. – A pani ma go tylko utrzymać przy życiu!

Chłopak był w stanie agonalnym, a ja miałam go na siłę utrzymać przy życiu, żeby tamten mógł go dalej katować. Zacisnęłam znowu zęby. Choćbym chciała, nie byłam w stanie mu pomóc. Obrażenia były tak liczne... Każde mogło być śmiertelne. Ponownie spojrzałam do wnętrza torby. Wyjęłam z niej strzykawkę i ampułkę z morfiną. Jedyne, co mogłam zrobić, to uśmierzyć jego ból.

– Nikogo nie sypnąłem. Henryk mnie wydał – odezwał się chłopak.

Spojrzałam na niego. Byłam przekonana, że powiedział prawdę. Nie wydał swoich. Chociaż patrząc na niego, z trudem mogłam sobie to wyobrazić. W tej samej sekundzie zobaczyłam, jak zbliża się do niego gestapowiec i wymierza mu kolejny cios w twarz swoim ciężkim, podkutym butem. Chłopak wydał z siebie przeraźliwy jęk, a z jego ust popłynęła strużka krwi. Przestał się ruszać. Gdybym właśnie nie klęczała, to z pewnością osunęłabym się na ziemię. Odłożyłam strzykawkę z powrotem do torby i wzięłam do ręki jego dłoń. Chciałam sprawdzić, czy nadal żyje. Przyłożyłam palce do jego nadgarstka, sprawdzając tętno. Wtedy poczułam, jak chłopak rysuje opuszką palca na wnętrzu mojej dłoni litery. Zamknęłam oczy i skupiłam się na jego ruchach. Odczytałam pięć liter. Otworzyłam z przerażenia oczy. Zaczęłam głośniejsze oddychać. Na mojej dłoni napisał: ZABIJ. Odruchowo wypuściłam jego rękę, która opadła bezwładnie na posadzkę. W głowie powtarzałam sobie ciągle to jedno, napisane przez niego słowo. Ale jak miałam to zrobić?! Jak mogłam pozbawić go celowo życia?! Patrzyłam na

niego, zastanawiając się, co musi teraz czuć, żeby prosić mnie o śmierć... Jaką granicę musiał przekroczyć, żeby tego właśnie chcieć... Drżącymi rękami wyjęłam ponownie z torby strzykawkę. Wbiłam igłę w ampułkę z morfiną. Nabierając do środka jej zawartość, nie odrywałam wzroku od chłopaka. Wiedziałam, że jego widok doda mi sił. Potem wyjęłam drugą ampułkę i zrobiłam to samo. Strzykawka była pełna. Chwyciłam jego rękę. Nigdy wcześniej tak się nie bałam. Musiałam jednak to zrobić. Byłam mu to winna jako lekarz i jako Polka.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałam, wbijając igłę w jego ramię, chociaż całe moje ciało dygotało. Nacisnęłam powoli tłok strzykawki. Patrzyłam, jak przezroczysta substancja wnika w jego ciało. Spojrzałam na twarz chłopaka. Przez opuchliznę nawet nie wiedziałam, jak naprawdę wyglądał. Skąd pochodził. Czy kogoś zostawił... Dalej naciskałam tłok... Zastanawiałam się, czy powinnam, czy mam takie prawo i jak będę mogła z tym żyć... Wiedziałam jednak, że jeżeli tego nie zrobię, nie wybaczę sobie. W końcu poczułam opór. Strzykawka była pusta. Ilość morfiny, którą właśnie mu podałam, zabiłaby dwóch silnych mężczyzn, a nie jednego, skatowanego chłopca. Po chwili usłyszałam, jak wydaje z siebie ostatnie tchnienie. Szybko odłożyłam strzykawkę i wzięłam ponownie fonendoskop. Przyłożyłam końcówkę do jego serca. Usłyszałam jedynie głuchą ciszę.

Podniosłam się z kolan i ze spuszczonym wzrokiem zwróciłam się do gestapowca.

– Przykro mi, panie oficerze, ale chłopak zmarł.

– Ty polska dziwko! – wrzasnął na mnie z całej siły.

Po chwili poczułam jego pięść na swojej twarzy. Przewróciłam się na kamienną posadzkę i uderzyłam głową o wystający kamień. Poczułam, jak z nosa cieknie mi strużka krwi. Odruchowo skuliłam się i zasłoniłam rękami brzuch. Gestapowiec podszedł do mnie i wymierzył mi kolejny cios, tym razem butem. Potem kolejny i kolejny. Celował w brzuch, ale wciąż zasłaniałam go rękami. Kolejny kopniak złamał mi rękę. Poczułam przeszywający ból, ale mimo to, szczelnie chroniłam dziecko. Następny raz wymierzył w moją głowę. Wtedy straciłam przytomność.

Gdy się obudziłam, nie byłam w stanie otworzyć oczu. Odruchowo dotknęłam swojej twarzy. Była cała spuchnięta. Powieki miałam jak wielkie grudy. Czułam smak krwi w ustach. Przejechałam dłonią po złamanej ręce. Wyczułam pękniętą kość promieniową, może też łokciową. Nie byłam pewna. Zsunęłam dłoń niżej. Robiłam to powoli. Bałam się odkryć prawdę. Chociaż czułam lepką maź między nogami, wciąż miałam nadzieję, że to tylko delikatne krwawienie, nic więcej. Drżącymi palcami dotknęłam swojej spódnicy. Była cała mokra. Pod moim ciałem również wyczułam kałużę. Wiedziałam, co oznacza utrata takiej ilości krwi. Medycyny nie da się oszukać. Naszego dziecka już nie było. Wydałam z siebie przeraźliwy jęk, jeden z takich, jakie słyszałam po drodze tutaj. Niemiłosierny ból przeszył całe moje ciało. Pomyślałam wtedy o Franzu... Jak mógł oddać mnie w ich łapska... Jak mógł wybrać wierność Hitlerowi nad życie naszego dziecka...

Leżałam z zamkniętymi oczami na metalowej pryczy. Nie byłam w stanie się poruszyć. Wydawało mi się, że jestem w celi sama, ale nie byłam pewna. Nie wiedziałam nawet, gdzie tak naprawdę się znajduję. Gdy przesunęła się metalowa zasuwka w drzwiach, usłyszałam ponownie czyjeś szybkie kroki. Po chwili poczułam uderzenie lodowatą wodą po całym ciele. Momentalnie oprzytomniałam. Do celi wszedł kolejny żołnierz z podkutymi butami. Kroczył wolno. Nigdzie się nie śpieszył.

– Więc to jest nasza pani doktor... – powiedział uradowany. – Była nawet niebrzydka. Szkoda takiej ładnej buzi.

Spięłam całe ciało, przygotowując się do kolejnego ciosu. Zamiast tego, mężczyzna zrzucił mnie z pryczy wprost na betonową posadzkę. Upadłam na złamaną rękę. Jęknęłam z bólu.

– Pani doktor, pora się trochę zabawić... – powiedział, wyraźnie zadowolony.

Byłam przerażona. Wiedziałam, co może kryć się za tymi słowami. Po chwili poczułam, jak odgarnia moją spódnicę do góry. Nie byłam w stanie się bronić...

Nie wiedziałam, jak długo już tutaj byłam. Nie rozróżniałam dni i nocy. Opuchlizna oczu z każdym przesłuchaniem była coraz większa. Nie pamiętałam, ile uderzeń już dostałam, ile razy leżałam na betonowej

posadzce. Za każdym razem zaczynało się tak samo, od dźwięku przesuwanej zasuwki w metalowych drzwiach. Potem ktoś polewał mnie wiadrem lodowatej wody. Przychodził ten sam, lubiący się zabawić gestapowiec. Na koniec inny bił mnie do nieprzytomności.

Byłam u granic wytrzymałości. Nie mogłam się nawet poruszyć. Nie byłam w stanie wejść z powrotem na pryczę. Leżałam ciągle w tym samym miejscu, na betonowej posadzce. Z trudem łapałam oddech. Wiedziałam, że mam połamane żebra. Gdyby któreś przebiło płuco, umarłabym szybko. To wszystko by się w końcu skończyło. Opuszką palca rysowałam na ziemi tych samych pięć liter. Gdyby tylko ktoś mógł je odczytać i spełnić moją prośbę. Już wiedziałam, co trzeba czuć, aby prosić kogoś o szybką śmierć.

Znowu usłyszałam, jak metalowa zasuwka przesuwa się w drzwiach. Nawet nie drgnęłam. Leżałam bez ruchu. Usłyszałam kroki podkutych butów, zatrzymały się obok mnie. Ktoś chwycił mnie za rękę.

– Pani Sambor?

Usłyszałam znajomy głos. Nie wiedziałam tylko, do kogo należał. Nie miałam nawet siły o tym myśleć.

– Słyszysz mnie pani?

Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Bolała mnie szczęka. Usta miałam spuchnięte. Delikatnie ścisnęłam jego dłoń.

– Zabiorę stąd panią.

Poczułam, jak wkłada ręce pod moje plecy i kolana. Jęknęłam z bólu. Mężczyzna odłożył mnie z powrotem.

– Zrobię pani zastrzyk przeciwbólowy.

Zastrzyk, powtórzyłam w myślach. Lekarz... To był doktor Kaufman. Igła wbiła się w moje ramię – błogość. Nareszcie przestałam czuć ból. Po chwili zasnęłam.

Gdy się obudziłam, usłyszałam wokół siebie kroki kilku osób. Leżałam na czymś miękkim. Czułam ciepło bijące od zawieszzonego nade mną światła. Doskonale wiedziałam, gdzie jestem. Leżałam na sali operacyjnej.

– Panie doktorze, pacjentka się przebudza – powiedział młody, kobiecy głos.

– Eter, siostró.

Poczułam na swoich ustach maseczkę. I znowu zasnęłam.

– Pani Sambor, słyszy mnie pani? – To był ten sam kobiecy głos.

– Tak – jęknęłam cicho.

– W końcu się pani obudziła. Jak się pani czuje?

– Jakbym umarła.

– Poproszę zaraz doktora o więcej morfiny.

– Gdzie jestem?

– W szpitalu Świętego Ducha w Łomży. Doktor Kaufman operował panią. Miała pani złamane cztery żebra i kość promieniową. Założyliśmy też szwy za uchem i na głowie.

Odruchowo dotknęłam lewej ręki. Była w gipsie. Dotknęłam twarzy – wciąż opuchnięta.

– Wszystko się zagoi, pani doktor. Proszę się nie martwić.

Położyłam dłoń na brzuchu, a z oczu popłynęły mi łzy.

– Maleństwo jest już u aniołków. Bardzo nam przykro.

– Dziękuję, siostró – wyszeptałam. – Mogę prosić o morfinę? Chciałabym zasnąć.

I przestać cokolwiek czuć. Zatrzymać cierpienia mojej duszy, które były nie do zniesienia. Ale tego już jej nie powiedziałam.

Po paru dniach byłam już w stanie delikatnie otworzyć oczy. Widziałam nad sobą biały sufit, zatem nie straciłam wzroku. Było to jakieś pocieszenie, chociaż nadal bolało mnie dosłownie wszystko. Siostry dwoiły się i troiły, żeby mi pomóc. Delikatnie obmyły moje ciało, czesały włosy, dały swoje ubrania. Byłam im wdzięczna, chociaż nie potrafiłam tego jeszcze okazać. Przez cały czas leżałam nieruchomo na łóżku. Do nikogo się nie odzywałam i nic mnie nie interesowało. Mimo że żyłam, to jakbym w środku umarła.

– Dzień dobry, pani Sambor. – Usłyszałam głos doktora Kaufmana. – Wygląda dziś pani trochę lepiej. A jak się pani czuje?

Powoli odchyliłam głowę w jego stronę. Spojrzałam na niego, ale nie odpowiedziałam.

– Chciałam panu podziękować, doktorze. Uratował mi pan życie.

– To nie moja zasługa, pani Sambor. Ja byłem tylko posłańcem. To komendant Hizel dokonał niemożliwego, wyciągając panią stamtąd. To jemu powinna pani podziękować.

– Komendant? – powtórzyłam zdziwiona.

– Tak, podobno był u samego Erica Kocha, szefa okręgu białostockiego – powiedział głosem pełnym podziwu, jakby spotkanie z tym człowiekiem było niezwykłym wydarzeniem. – Komendant przychodził do szpitala codziennie. Teraz zresztą też jest – mówił niepewnie. – Czeka na korytarzu, chciałby z panią rozmawiać.

– Nie chcę nikogo widzieć! – powiedziałam zdenerwowana. – Nie chcę żadnych gości! Chyba, jako pacjent, mam do tego prawo?!

Nie chodziło mi o wszystkich, tylko o niego. Nie chciałam na niego patrzeć. Nie chciałam, by on widział mnie. Doktor milczał, a za moment wyszedł. Po chwili znowu usłyszałam otwierające się drzwi i kroki dwóch par ciężkich, podkutych butów.

– Pani Sambor, przykro mi, ale komendant nalegał...

Odruchowo odwróciłam się w przeciwną stronę. Obrót sprawił mi niewyobrażalny ból. Poczułam wszystkie złamane żebra. Musiałam zacisnąć zęby na ramieniu, żeby nie wydać z siebie jęku. Naciągnęłam ręką koldrę pod samą szyję.

– Alicjo...

Usłyszałam jego głos. Był jak kolejne tortury. Zacisnęłam zęby jeszcze mocniej na swojej skórze. Byłam pewna, że za chwilę znowu poczuję smak krwi w ustach. Komendant zrobił kilka kroków ku mnie.

– Alicjo, wszystko wiem... Wiem o dziecku, tak mi przykro – mówiąc to, położył dłoń na moim ramieniu.

W tym momencie całe moje ciało przeszył nieopisany ból. Wzdrygnęłam się i wydałam z siebie jęk, taki sam, jaki można usłyszeć tylko w piwnicach tamtego więzienia. Byłam pewna, że cały szpital go słyszał. Komendant cofnął rękę, a po chwili poczułam w tym miejscu ukłucie igłą. Znowu nastąpiła błogość.

Stałam na środku białego pokoju. Wygladzałam ręką szarą sukienkę, podarowaną od siostry zakonnej. Na sobie miałam ubranie, które dostałam, i swoje buty. Reszta moich rzeczy została spalona. Wzięłam do

ręki skórzaną torbę. Cieszyłam się, że doktor nie zapomniał o zabraniu jej z tamtego straszego miejsca. Ona była dla mnie wszystkim. Doktor Kaufman był na tyle uprzejmy, że uzupełnił mi ją o nowe zapasy leków, nie patrząc na konsekwencje.

– Siostry, nie wiem, jak wam dziękować – powiedziałam do stojących naprzeciwko mnie kobiet. – Jesteście nieocenione.

Uśmiechałam się do nich życzliwie. Odwzajemniły uśmiech i ostrożnie przytuliły mnie na pożegnanie, aby nie przycisnąć za mocno moich żeber.

– Za dwa tygodnie może pani zdjąć gips.

– Tak zrobię.

– Pani doktor, bo widzi pani – zaczęła mówić jedna z szarytek, nie wiedząc, gdzie podziąć wzrok – bo tamten komendant, który tu panią odwiedzał, on wie, że pani dziś wychodzi ze szpitala i... on czeka na panią przed wyjściem.

– Ja... ja... – zaczęłam mówić drżącym głosem. Czułam, jak brakuje mi słów. – Ja nie chcę go widzieć. Nie mogę... Siostry, czy jest tu tylne wyjście?

– Nie ma, pani doktor, ale może pani skorzystać z naszego, prywatnego.

– Będę dozołgonnie wdzięczna!

Po chwili siostry przeprowadziły mnie przez własne mieszkanie i wypuściły drzwiami prowadzącymi wprost na ulicę. Ruszyłam co sił w nogach przed siebie. Opuszczałam głowę, idąc wśród mijanych ludzi. Wiedziałam, że mój widok przyciąga ciekawskie spojrzenia. Ja sama nie byłam w stanie jeszcze spojrzeć w lusterko, ale zdawałam sobie sprawę, jak wygląda moja twarz. Wystarczyło, że popatrzyłam na swoje ręce i nogi.

Przemierzałam ulicę Ostrołęcką, gdy usłyszałam za sobą warkot silnika. Tą drogą, w tym momencie, mógł jechać tylko jeden wóz. Szybko wskoczyłam za bramę mijanej kamienicy. Mój oddech przyśpieszył. Przez szparę w deskach zobaczyłam, że to rzeczywiście był on. Dla pewności odczekałam jeszcze kilka minut i ponownie ruszyłam w dół ulicą w kierunku Nowogrodu.

Gdy przeszłam już kilka kilometrów i byłam daleko poza obrębem miasta, dogoniła mnie furmanka. Woźnica zlitował się na mój widok

i zatrzymał wóz. Usiadłam na jego tyle. Patrzyłam, jak Łomża coraz bardziej się ode mnie oddala.

– Wysiadam! – krzyknęłam w stronę chłopca, gdy przejechaliśmy kolejnych kilkanaście kilometrów.

– Do Nowogrodu jeszcze daleko! Tu są same lasy!

– To nic! Wysiadam!

Chłop zatrzymał konia. Zeskoczyłam z wozu i zaczęłam iść w głąb lasu. Zanim wrócę do domu, musiałam załatwić jeszcze jedną sprawę. Szłam w kierunku polany z trzema dębami. Po drodze spotkałam jednego z partyzantów.

– Hasło! – rzucił w moim kierunku.

– Pisa – podałam ostatnie, które znałam.

– Błędne.

– Nie znam nowego. Jestem lekarzem. Muszę widzieć się z porucznikiem Zającem albo majorem Borowym.

Chłopak przeszukał moją torbę, zawiązał mi oczy i zaprowadził mnie do koszar. Gdy byliśmy na miejscu, zdjął mi opaskę i wskazał ręką namiot, do którego mam wejść. W środku stał Zajac z dwoma oficerami i majorem.

– Dzień dobry – powiedziałam, zbliżając się do nich.

– Pani Sambor, na Boga, co się pani stało?! – zapytał major.

– Przewróciłam się – odpowiedziałam zdawkowo. Kątem oka spojrzałam na Zajacę. Wyglądał na spanikowanego.

– Mam dla pana dwie wiadomości, majorze. Dwa tygodnie temu byłam w więzieniu na Legionów i spotkałam tam jednego z pańskich żołnierzy. Pseudonim Kuja. Zanim umarł, powiedział mi, że nikogo nie sypnął i że wydał go Henryk.

Mężczyźni patrzyli na mnie z niedowierzaniem.

– Jest pani pewna?

– Cytuję jego słowa: „nikogo nie sypnąłem, Henryk mnie wydał”.

– Dziękuję, pani Sambor, to bardzo cenna informacja. – Major uściśnął mi dłoń.

– Panie majorze, muszę coś jeszcze panu powiedzieć... – zaczęłam niepewnie – to ja go zabiłam! Nie Niemcy, tylko ja! On mnie o to prosił...

– Poczułam, jak zalewam się łzami. Musiałam się przyznać. Musiałam to

z siebie wyrzucić. – Wstrzyknęłam mu za dużo morfiny... Już nie cierpiał...

– Postąpiła pani słusznie, pani Sambor. Kuja zasługiwał na dobrą śmierć. Jeszcze raz pani dziękuję.

Nic więcej nie powiedziałam. Zasłoniłam rękami twarz i wyszłam z namiotu. Szłam przed siebie, nie patrząc nawet, dokąd idę. Mijałam kolejne drzewa. Szłam tak długo, aż wypłakałam wszystkie łzy. Stałam na leśnej polanie, pełnej różowych czyściców lekarskich. Zaczęłam zrywać je wszystkie. Nie zostawiłam ani jednego. Szłam dalej, przytrzymując wielkie naręcze kwiatów chorą ręką. W końcu usłyszałam to, czego szukałam. Narew. Odstawiłam torbę na brzegu rzeki, zdjęłam buty i powoli weszłam do wody. Położyłam wszystkie zebrane kwiaty na tafli. Unosiły się, kołysane wiatrem. „Żegnaj, dziecino... Kochaliśmy cię bardzo mocno...” – szeptałam. Odepchnęłam kwiaty w głąb rzeki. Ze łzami w oczach przyglądałam się, jak odpływają niesione prądem...

Przez wiele tygodni dochodziłam do siebie. Komendant przychodził dzień w dzień i noc w noc pod moje ogrodzenie, jednak nigdy nie wszedł za bramkę. Stał w bezpiecznej dla niego i dla mnie odległości. Początkowo wyprowadzało mnie to z równowagi. Potem irytowało. Teraz przestałam zupełnie zwracać na to uwagę.

– Mamo, znowu czeka... – powiedziała Klara, odchodząc od stołu.

– Nie przejmuj się, w końcu da sobie spokój. Zanieś talerze do zmycia i idź już, kładź się spać.

Gdy Klara zamknęła za sobą drzwi sypialni, zgasiałam lampę naftową. W domu nastąpiła kompletna ciemność. Podeszłam do otwartego okna i wyjrzałam na zewnątrz. Zobaczyłam w oddali żarzącego się papierosa. Patrząc na niego, już nie czułam gniewu ani złości, tylko pustkę, której nic nie mogło wypełnić. Zamknęłam okiennice, a potem okno. Położyłam się do łóżka Klary i mocno ją przytuliłam.

Po dwóch miesiącach komendant dał sobie spokój z odwiedzinami. Dotarło do niego, że nie jest mile widziany i nic tego nie zmieni. Na szczęście miał odrobinę honoru i nie zmuszał mnie siłą do wizyt u siebie.

Przez całą jesień próbowałam wrócić do normalności. Zapomnieć o wszystkich szczęśliwych chwilach z Franzem, wymazać z pamięci

pobyt w więzieniu.

Gdy nastawała zima, uwierzyłam, że udało mi się to zrobić.

Nowogród, 1944

– Pochwalony! – powiedział chłop stojący w moich drzwiach. Był roztrzęsiony.

– Pochwalony – odpowiedziałam. – Coś się stało?

– Potrzebuję pomocy. Zapłacę – mówiąc to, ścisnął czapkę w rękę.

– Ale co się stało?

– Tu nie mogę powiedzieć. Musi pani ze mną jechać. Ktoś potrzebuje lekarza.

Zrozumiałam. Kolejny ranny partyzant. Szybko naciągnęłam na siebie kozuch. Wzięłam torbę i ruszyłam za chłopem, przedzierając się przez usypane na podwórzu zasy.

Jechaliśmy saniami, aż do Balik. Jego dom stał pośrodku lasu, z dala od innych zabudowań. Weszliśmy do środka. W kuchni siedziało trzech roślących mężczyzn.

– Kto to? – zapytałam chłopą, widząc, że na pewno nie są to Polacy.

– Sowiesi, pani doktor. Spadochroniarze. Znalazłem ich w lesie. Ledwo odratowałem, bo już zamarzali. Żal było ich tam zostawiać. Przecież to też ludzie... Walczą ze Szwabami jak my.

Podeszłam pełna obaw do jednego z nich, który wyraźnie cierpiał. Trzymał się za bark.

– Zna pan ruski? – Zwróciłam się do chłopą.

– Dogadam się.

– To tłumaczy pan.

Jeden z nich uważnie mi się przyglądał. Wyglądał na wyższego stopniem, bo pozostała dwójka ciągle patrzyła na jego reakcje, jakby czekała na kolejny rozkaz. Mężczyzna był niewiele starszy ode mnie,

choć czarne włosy i zarost dodawały mu lat. Wyglądem bardziej przypominał mi Gruzina.

– Niech pan mu powie, żeby zdjął koszulę.

Sowiecki żołnierz z wielkim bólem się rozebrał. Popatrzyłam na jego bark.

– Wybity – powiedziałam. – Muszę nastawić.

Chłop przetłumaczył. Potem kazałam mu włożyć gumową rurkę do buzi, żeby nie przyciął sobie z bólu języka.

– Policzę do pięciu i pociągnę twoją rękę z całej siły. Będzie bolało, ale nie ma innego wyjścia, dobrze?

Kiwnął głową.

– Raz, dwa, trzy... – Po ostatnim słowie, zanim skończyłam liczyć, pociągnęłam jego prawą rękę z całej siły, ale jednocześnie z wyczuciem, tak, aby wskoczyła na swoje miejsce.

Mężczyzna opadł na podłogę z bólu. Gdy w końcu dotarło do niego, że nieprzyjemne uczucie ustąpiło, podniósł się na nogi.

– Potrzebuję kawałka materiału, żeby unieruchomić jego rękę – powiedziałam do chłopca. Ten przyniósł mi z sąsiedniej izby podarte prześcieradło, z którego zrobiłam sztywny opatrunek.

– Trzy tygodnie musisz tak chodzić.

Chłop przetłumaczył.

– To tyle z mojej strony. Może pan mnie już odwieźć?

– Pani doktor, jest jeszcze jedna sprawa. – Chłop mówił rozgorączkowany.

– Co jeszcze?

– Oni nie mogą tu zostać. Rozumie pani, ja mam małe dzieci. Kobieta z dziećmi, póki co, siedzi u rodziny, ale ile można.

– To co z nimi będzie?

– Może pani doktor by ich zabrała do siebie? Oni chcą się dostać do partyzantów. Ja nie wiem nawet, gdzie ich szukać.

Popatrzyłam na stojących naprzeciwko mnie mężczyzn. Ich dowódca bacznie nam się przysłuchiwał, jakby obawiał się, że spiskujemy przeciwko nim.

– Mam wpuścić do domu trzech rośliwych chłopów? Pan chyba nie wie, o czym pan mówi! Przecież ja mieszkam tylko z córką! A to są... –

ponownie zerknęłam na mężczyzn – Sowieci, pan chyba wie, co robili z kobietami na podbitych przez siebie ziemiach! Przykro mi, ja im pomóc nie mogę.

– Proszę się nie martwić. Nikt z nas nie zrobi pani krzywdy – odezwał się łamaną polszczyzną ich dowódca.

– Nagle mówi pan po polsku? – zapytałam z irytacją.

– Musimy być ostrożni. Sama pani rozumie, nie jesteśmy przez was lubiani. Lepiej mieć oczy i uszy otwarte. Z mojego oddziału zostało nas już tylko trzech. Chcemy przedostać się za linię frontu, do naszych. Z tego, co wiem, wasi partyzanci mają kontakt z naszymi i mogą nam pomóc. Daję pani słowo honoru, że krzywda się pani nie stanie!

– Za przeproszeniem, pana słowo honoru nic dla mnie nie znaczy – odpowiedziałam butnie. – Za dużo już w życiu widziałam.

Mężczyzna wyglądał na zbitego z tropu.

– Daję słowo pułkownika wojsk powietrznodesantowych Armii Czerwonej!

Patrzyłam na niego i jego ludzi. W końcu postanowiłam mu zaufać. Pomyślałam, że chyba nic gorszego, niż to co przeszłam, już mnie nie spotka.

– Jeżeli choć włos spadnie mnie albo mojej córce z głowy, to nigdy nie zobaczycie żadnego partyzanta. Zaraz świta. Musimy się pośpieszyć.

Całą czwórką przeprawiliśmy się przez zamarzną rzekę i lasem doszliśmy do mojego domu. Klara jeszcze spała. Weszłam do jej sypialni i poleciłam, żeby nie wychodziła z pokoju bez potrzeby. Sama poszłam do kurnika nabierać jajek. Wiedziałam, że czeka na mnie trzech wygłodniałych Sowiec.

Na śniadanie podałam im jajecznicę. Potem jeszcze zrobiłam zupę na mleku. Na koniec dojedli dwa bochenki chleba ze smalcem. Ciągłe rozmawiali po rosyjsku. Strasznie denerwowało mnie, że nic nie rozumiałam. Co jakiś czas bacznie się przyglądałam ich dowódcy, jednak ten zachowywał spokój. Na wszelki wypadek do fartucha włożyłam skalpel. Na czas obiadu dołączyła do nas Klara. Nie pytała, kim są ci mężczyźni, a ja nic jej nie tłumaczyłam.

– Mamo... – Usłyszałam głos córki. Odwróciłam się od stołu i zobaczyłam, że wygląda przez kuchenne okno. – To komendant –

szepnęła.

Na te słowa dowódca Sowietów chwycił za pistolet i rzucił coś do swoich. Pozostała dwójka sięgnęła po broń i zajęła pozycje przy drzwiach.

– Proszę nic nie robić! – Zagroziłam drogę pułkownicy. – Proszę mi zaufać! On przyszedł do mnie. Nie wie, że tu jesteście! Dajcie mi dziesięć minut i się go pozbędę! Jak zaczniecie strzelać, zlecą się tu wszyscy żandarmi – tłumaczyłam, przerażona wizją wymiany ognia.

– Dziesięć minut! I niczego nie kombinuj, pamiętaj, że twoja córka zostaje z nami!

Na te słowa zagryzłam mocniej zęby. Szybkim ruchem włożyłam na siebie kozuch i wyszłam przed dom. Komendant stał na podwórku na wąskiej, odśnieżonej ścieżce. Miał na sobie gruby, ciepły, szarozielony płaszcz, sięgający aż do łydek i czarne skórzane rękawiczki. Mimo że prezentował się nienagannie, jego twarz była naznaczona bólem. Na ten widok poczułam ukłucie w sercu. Nie chciałam do niego podchodzić. Nie chciałam wymówić nawet jednego słowa. Wiedziałam jednak, że od tego, co teraz zrobię, zależy kilka ludzkich żyć, w tym mojej córki.

– Franz, co tu robisz? – zapytałam, podchodząc bliżej niego. Na dźwięk tego imienia zaszklily mi się oczy.

– W końcu wyszłaś do mnie – powiedział czułym głosem.

Znowu doznałam ukłucia w sercu.

– Nie mogę przestać o tobie myśleć... Musiałem znowu spróbować...

– Och, Franz...

Popatrzyłam mu prosto w oczy. Tak dawno ich nie widziałam. Cierpiały.

– Alicjo, wybacz mi, proszę... – mówiąc to, delikatnie chwycił mnie za podbródek.

Przytuliłam się do niego z całych sił. Nie chciałam, żeby widział moją twarz.

– Czy możemy porozmawiać jutro? Przyjdę do ciebie rano, obiecuję. Klara się dziś źle czuje, muszę do niej wracać.

Przycisnął mnie z całych sił do siebie. Po chwili uwolnił mnie z objęć i delikatnie, z uczuciem, pocałował prosto w usta. Speszona odwzajemniłam pocałunek.

– Muszę wracać, Franz. Przyjdę jutro rano.

Odsunęłam się delikatnie i ruszyłam w stronę domu. Kątem oka widziałam, jak odchodzi. Kamień spadł mi z serca. Ostrożnie weszłam do środka. Sowieci ciągle stali przygotowani do ataku, Klara siedziała przerażona na krześle przy stole.

– Załatwione – rzuciłam w stronę pułkownika. – Klaro, idź do swojego pokoju.

Próbowałam zająć się ponownie sprzątaniami po obiedzie, jednak w głowie miałam gonitwę myśli. Sowieci widzieli, jak całuję się z komendantem. Mogą podejrzewać mnie o zdradę. Może zastanawiają się, czy przypadkiem ich nie wydałam i czy za chwilę nie zjawi się tu cały oddział Niemców. Słyszałam ich nerwowe rozmowy, jednak nic nie rozumiałam. Odwróciłam się do nich i uważnie się im przyglądałam. Ich pułkownik nie odrywał ode mnie wzroku, coś gorączkowo tłumaczył, jakby wydawał instrukcje na wypadek zasadzki.

– Proszę się nie obawiać – powiedziałam, podchodząc do niego. – Nie wydałam was. Nie po to ratowałam pańskiego człowieka. Poza tym, nie naraziłabym życia córki.

– Jest pani bardzo blisko związana z komendantem – stwierdził.

– Nie wszystko jest takie, jakie się wydaje, panie pułkowniku. Jest wojna, proszę nie zapominać, że walczyć można na różne sposoby.

Widać było po jego minie, że uspokoiły go moje słowa. Po chwili wyczuwalne do tej pory napięcie uleciało. Żeby zająć czymś myśli, dziergałam na drutach kolejny szalik. Mimo wszystko nie spuszczałam ich z oczu. Sowieci z godziny na godzinę czuli się w moim domu coraz pewniej. Zaczęli żartować. Co jakiś czas spoglądali na mnie i uśmiechali się do siebie porozumiewawczo. Nietrudno było poznać, o czym rozmawiali.

– Panie pułkowniku, czy mógłby pan zwrócić uwagę swoim ludziom? – rzuciłam oburzona w jego stronę.

– Coś się stało?

– To, że nie znam rosyjskiego, nie znaczy, że nie wiem, o czym rozmawiają. Dał mi pan słowo honoru, więc proszę go dotrzymać!

Mężczyzna zacisnął zęby i rzucił coś gniewnym głosem w swoim ojczystym języku. Pozostała dwójka momentalnie ucichła. Spojrzałam na

zegarek. Do zachodu słońca zostały dwie godziny. Za godzinę mieliśmy powoli ruszać do lasu.

Szliśmy już blisko pół godziny. Leśne ścieżki pokrywała gruba warstwa śniegu. Z trudem przedzieraliśmy się przez zasy, w końcu jednak dotarliśmy do celu. Przed nami był obóz. Sowieci od razu zostali rozbrojeni przez wartownika i doprowadzeni do dowództwa. Korzystając z okazji, zbadałam kilku partyzantów. Gdy kończyłam osłuchiwać ostatniego, zobaczyłam, jak Zając rozmawia z pułkownikiem. Spoglądali na mnie. Doskonale wiedziałam, czego dotyczyła ta rozmowa. Schowałam fonendoskop do torby i podeszłam bliżej. Chciałam pożegnać się z Sowietem przed powrotem do domu.

– Panie pułkowniku, życzę powodzenia – powiedziałam, wyciągając do niego dłoń.

– Dziękuję, pani doktor, pani pomoc była nieoceniona. Mam nadzieję, że będę mógł się kiedyś odwdziaczyć.

Mężczyzna uściśnął moją dłoń i uśmiechnął się serdecznie. Teraz, gdy dotarł już do partyzantów i zeszło z niego całe napięcie, stwierdziłam, że ma dość niespotykany i interesujący typ urody.

– Alicjo, poczekaj. Odprowadzę cię, już ciemno.

– Poradzę sobie, po tylu latach już znam drogę.

Zając jednak mnie nie posłuchał. Szedł za mną. Gdy wyszliśmy z obozu, odezwał się.

– Ten ich dowódca powiedział, żebyśmy na ciebie uważali. Sugerował, że możesz być niemieckim szpiegiem.

– To coś nowego – powiedziałam z ironią. – Słuchaj, Zając, naprawdę wolę zostać sama.

– Wiesz, co im odpowiedziałem? – ciągnął dalej, jakby nie słyszał moich słów. – Że jesteś jedną z nas i że tylko wykonujesz nasze rozkazy.

– Przecież to nieprawda, sam wiesz.

– Wiem, ale nie chciałem, żeby ktokolwiek źle o tobie myślał.

– Powiedz to lepiej swoim ludziom.

– Alicjo, przepraszam cię... Wszyscy ci ufają. Wiemy, że jesteś z nami.

– Nie obchodzą mnie wszyscy, tylko ty... To ty zraniłeś mnie najbardziej... Dalej pójdę już sama...

Nie czekając na jego odpowiedź, ruszyłam po pozostawionych wcześniej śladach w kierunku domu, oświetlając drogę karbidówką.

Następnego dnia, zgodnie ze złożoną obietnicą, wchodziłam drewnianymi schodami prosto do gabinetu komendanta. Miałam wrażenie, że choćbym nie wiem, jak bardzo starała się trzymać z daleka od niego, los specjalnie pchał mnie w jego ramiona, jakbym była na niego skazana od samego początku, kiedy spotkaliśmy się na tamtej leśnej drodze.

Cicho zapukałam do środka i otworzyłam drzwi.

– Alicjo!

Na mój widok zerwał się na równe nogi i wyszedł zza biurka. Wolnym krokiem podążył w moją stronę.

– Witaj, Franz... – powiedziałam niepewnie.

Po chwili trzymał mnie w swoich ramionach i mocno przyciskał do siebie. Odruchowo przyłożyłam głowę do jego piersi. Gdy tylko poczułam bicie jego serca, nagle zaczęłam płakać. Nie mogłam powstrzymać łez, było ich coraz więcej. W końcu płacz przeszedł w szloch. Cała się trzęsłam. On przycisnął mnie jeszcze mocniej. Nic nie mówiliśmy. Byłam na granicy swoich sił. Franz złapał mnie i zaniósł do łóżka. Wtuliłam się w jego ciało. Okrył mnie swoim ramieniem i płakałam w jego mundur tak długo, aż zasnęłam.

Gdy otworzyłam oczy, było już ciemno, on nadal leżał obok mnie. Delikatnie się od niego odsunęłam. Wpatrywał się we mnie.

– Długo spałam? – zapytałam zaspanym głosem.

– Wystarczająco długo, żebym usłyszał, jak chrapiesz. – Zaśmiał się delikatnie.

Również się uśmiechnęłam. Wiedziałam, że to nieprawda. Kłamał, żeby poprawić mi nastrój.

– Alicjo... Gdybym wtedy wiedział, gdzie jedziesz... Nigdy bym cię z nim nie puścił... – mówił, zastanawiając się nad każdym słowem. – Musisz mi uwierzyć... Gdy tylko zorientowałem się, że nie wróciłaś do domu, od razu do nich pojechałem. Chciałem widzieć się z tamtym gestapowcem, ale nawet mnie do niego nie dopuszczono. Byłem

bezradny. W końcu udało mi się zorganizować spotkanie z Erichem Kochem, on rządzi całym naszym obwodem, nad nim już jest tylko Hitler. Pojechałem do Białegostoku i przekonałem go, że zaszła wielka pomyłka. Koch osobiście zadzwonił do łomżyńskiego Gestapo i nakazał natychmiastowe zwolnienie ciebie. Poprosiłem doktora Kaufmana, żeby mi pomógł, bo bałem się, że gdy tam wejść, to nie wytrzymam i zrobię coś bardzo głupiego, że ich wszystkich pozabijam. Gdy zobaczyłem, jak wynosi cię na rękach z tamtego budynku... Myślałem, że sam się zabiję... Całą drogę wtulałem się w twoje ciało, a gdy niosłem cię do szpitala, nie mogłem powstrzymać dłużej łez...

– Franz... – Przerwałam mu trzęsącym się głosem.

– Tak?

– Czy możemy już nigdy więcej o tym nie rozmawiać? – Czułam, jak cała drzę.

– Przepraszam. – Przytulił mnie mocniej. – Przepraszam, Alicjo...

– Możemy porozmawiać o czymś zwyczajnym? Czymś innym niż ta przeklęta wojna? Franz, opowiedz mi o Bawarii... Tak pięknie o niej mówisz...

– Alicjo...

Spojrzałam w jego błyszczące oczy. Zobaczyłam, że płacze.

– Alicjo – powtórzył. – Kocham cię... I kochałem nasze dziecko...

Zamarłam. Nie wiedziałam, jak mam się zachować, ani co mu odpowiedzieć. Pocałowałam go delikatnie w usta i ponownie wtuliłam się w jego ramiona.

– Pewnego dnia wsiądziemy do pociągu i pojedziemy razem do Bawarii. Zobaczysz na własne oczy nasze góry i jeziora. Gdy ujrzysz Monachium, to zapomnisz o tym swoim Wiedniu. – Zaśmiał się przez łzy. – Zjemy tłustą golonkę i wypijemy kufel mocnego bocka.

– Brzmi kusząco. – Roześmiałam się nieśmiało.

– Zabiorę cię do zamku Neuschwanstein, należącego niegdyś do Bajkowego Króla. Potem wpadniemy na kolejne piwo, zjemy bratwursty.

– Rozumiem, że w Bawarii najważniejsze jest jedzenie. – Cicho się zaśmiałam. – To jakim cudem jesteś taki szczupły?

– Nie byłem w domu pięć długich lat, to dlatego.

– Mów dalej... – szepnęłam.

Wtuliłam się mocniej w mundur. Wsłuchiwałam się w niski, przyjemny głos. W jego ramionach znowu poczułam się bezpieczna.

Obudziły mnie czyjeś kroki. Otworzyłam oczy. Zorientowałam się, że nadal jestem w gabinecie komendanta. Byłam sama. Po chwili w drzwiach pojawił się Franz. Trzymał w ręku tacę ze śniadaniem i dwiema szklankami herbaty.

– Dzień dobry – powiedział z uśmiechem na mój widok. – Zapraszam na śniadanie.

– Dzień dobry, Franz.

Wstałam i poprawiłam włosy. Wygładziłam sukienkę i podeszłam do nakrytego już stolika. Usiadłam na krześle. Przede mną stał talerz, a na nim leżała biała kiełbaska, precel i musztarda.

– To typowe bawarskie śniadanie – powiedział dumnie.

– Domyśliłam się po twoich wczorajszych opowieściach. – Posłałam mu nieśmiały uśmiech.

– Wyglądasz pięknie – mówiąc to, położył swoją dłoń na mojej.

Poczułam, jak delikatnie się czerwienię.

– A z tymi rumieńcami jesteś jeszcze piękniejsza.

Uśmiechnęłam się i spuściłam wzrok. Wzięłam do rąk sztucce i zaczęłam jeść.

– Alicjo, obiecałem, że nie będziemy już rozmawiać o tym, co się stało, ale jest jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć.

Spojrzał na mnie badawczym wzrokiem, jakby sprawdzał, czy będę w stanie udźwignąć to, co chciał mi oznajmić.

– Musiałem powiedzieć Kochowi, że jesteś wzorową Niemką, że ratujesz niemieckich żołnierzy, bo wierzysz w nasze zwycięstwo. Dopiero jak usłyszał, że podpisałaś volkslistę, ustąpił. Twój przyjaciel miał rację, ona uratowała ci życie.

Na wspomnienie Heinricha poczułam, jak serce zaczyna mi szybciej bić. Zacisnęłam mocniej dłonie na sztuccach.

– On, Erich Koch, chce cię poznać.

Popatrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami. Odłożyłam sztucce na talerz i wyprostowałam się.

– Wypytywał mnie o ciebie już kilka razy. Ciągłe znajdowałem jakąś wymówkę. Tłumaczyłem mu, że nie jesteś jeszcze na siłach. Ale nie mogę odmawiać w nieskończoność. Jeżeli... – przerwał na chwilę – jeżeli się z nim nie spotkamy, on domyśli się, że go okłamałem i wyśle mnie za karę na front.

– Franz...

– Nigdy się już wtedy nie zobaczymy, Alicjo. Decyzja należy do ciebie. Nie będę cię do niczego zmuszał.

Milczałam. Co mogłam mu odpowiedzieć w takiej sytuacji... Uratował mi trzy razy życie. Wiedziałam też, że z frontu nikt nie wraca.

– Kilka dni temu dostałem zaproszenie na bankiet od samego łomżyńskiego dowódcy SS. Będzie tam też Koch. Myślę, że to doskonała okazja do spotkania. Przedstawię cię, wymienimy parę kurtuazyjnych zdań i Koch zajmie się pozostałymi gośćmi. Jeśli pojedziemy do niego tylko we dwoje, to nie będzie to towarzyskie spotkanie, a przesłuchanie. Co myślisz, Alicjo?

– Nie wiem, co mam myśleć... Przecież pytasz mnie, czy pójdę na przyjęcie, na którym będą dosłownie wszyscy zwyrodnialcy z okolicy... SS, Wehrmacht, Gestapo i żandarmeria... – Wyliczałam. – A ja mam tańczyć i się uśmiechać? Zabawiać Kocha? I to po tym wszystkim, co mnie spotkało?!

Franz ścisnął mocniej swoje dłonie. Jego oczy przygasły.

– Kiedy ten bankiet?

– W przyszłą sobotę – odpowiedział, nie patrząc na mnie.

– Daj mi kilka dni na zastanowienie, dobrze?

Franz kiwnął głową. Dokończyliśmy śniadanie w milczeniu.

W nocy przyszedł Zając. Chciał wyjaśnić niesnaski, które narosły między nami. Przy okazji powiedział mi, że Niemcy słabną, a od porażki pod Kurskiem ich zwycięstwo nie jest już takie pewne, jak próbują nam wmówić. Nie mogłam w to uwierzyć, przecież nie organizowaliby przyjęcia w takich czasach! Gdy powiedziałam Zającowi o zaproszeniu komendanta, aż podskoczył na krześle. Zobaczyłam w jego oczach błysk. Rzucił, że bankiet to część ich propagandy i po chwili już pędził w kierunku lasu. Kompletnie nie wiedziałam, co go tak zaskoczyło,

jednak długo nie pozostawałam w tej niepewności. Kolejnej nocy miałam wizytę trzech partyzantów.

– Alicjo, to plan doskonały! – przekonywał mnie Zając.

Kręciłam z dezaprobatą głową.

– Chcecie, żebym poszła na to przyjęcie i wskazała waszemu człowiekowi majora Wehrmachtu Gutzaita, który przyjedzie tam z delegacją warszawskich nazistów.

– Tak, właśnie tak. Tylko tyle, nic więcej.

– I co potem? Przecież nie zabijecie go na oczach wszystkich gości?

Zając się zaśmiał.

– Nikt nikogo nie będzie zabijał. Chcemy go żywego.

– Dlaczego?

– Otóż major Gutzait to pupilek samego Hitlera. Za jego życie będziemy negocjować uwolnienie trzystu naszych z łomżyńskiego więzienia.

– Chcecie go porwać?

– W rzeczy samej.

– Przecież tam będzie setka Niemców! Na pewno każdy ważniejszy przyjedzie z własną obstawą! To szaleństwo!

– Jak już pani wskaże naszemu człowiekowi majora Gutzaita, on wręczy mu specjalnie przygotowany kieliszek szampana. W środku będzie coś, co sprawi, że pan Gutzait zapragnie szybko opuścić przyjęcie. A my będziemy na niego czekać z zasadzką. Tak jak pani powiedziała, wszystkie siły niemieckie zbiorą się na tym przyjęciu, nikt nie będzie patrolował dróg.

– Ty nic nie musisz robić. – Uspokajał mnie Zając. – Masz tylko dowiedzieć się, jak wygląda major i wskazać go naszemu człowiekowi, który będzie tam kelnerem.

– Jak rozpoznam waszego człowieka?

Zającowi zaświeciły się oczy. Już wiedział, że to zrobię.

– Zapytasz, czy mają szampana bez bąbelków. A on odpowie, że szampana sprowadzono aż ze Stuttgartu. To będzie wasze hasło.

Wzięłam głęboki oddech.

– Jesteś pewien, że się uda?

– Alicjo, musimy spróbować, pomyśl, możesz uratować trzystu ludzi! Wyrwać ich z tamtego miejsca! Sama wiesz, jak tam jest...

Zacisnęłam mocniej zęby. Wiedziałam aż nazbyt dobrze.

– Zrobię to – odpowiedziałam chłodno.

Uściskali mnie we trzech. Zjedli jeszcze pozostawione po kolacji naleśniki i zniknęli w czeluściach nocy.

W momencie, w którym powiedziałam Franzowi, że pójdę z nim na przyjęcie, cieszył się tak samo bardzo, jak partyzanci parę godzin wcześniej. Kilka dni później dostałam od niego dwie paczki. W jednej była chabrowa suknia z przyjemnej w dotyku satyny, na cienkich ramiączkach, które krzyżowały się na plecach i kończyły zdecydowanie zbyt nisko. Suknia była niezwykle dopasowana i gdyby nie głębokie rozcięcie z przodu, nie byłabym w stanie w niej chodzić. W drugiej paczce były czarne czółenka na obcasie.

Gdy nadeszła sobota, nie mogłam ukryć zdenerwowania. Wiedziałam, że wskazując majora, niczego nie będę ryzykować. To do nich należała brudna robota. Jednak bałam się spotkania z nieznanymi Niemcami, a zwłaszcza z Kochem. Musiałam bacznie się pilnować, aby nie powiedzieć, ani nie zrobić niczego głupiego. Jedno niewłaściwe słowo w moich ustach, jeden fałszywy ruch i oboje będziemy straceni. Ułożyłam włosy w delikatne fale i nałożyłam czerwoną pomadkę na usta. Gdy zobaczyłam ciemny wóz, pośpiesznie założyłam futro znalezione na strychu (należące niegdyś do matki Janka), które po kilkudniowym pobycie na mrozie wyglądało zadowolająco, po czym ruszyłam przez śnieg w kierunku samochodu.

Wchodząc po drewnianych schodach, przytrzymałam rękami dół sukni, aby przypadkiem nie nadeptać na jej materiał. Cicho zapukałam do drzwi i weszłam do środka, jeszcze zanim usłyszałam głos Franza.

Ścisnęłam mocniej futro i lekko zawstydzona zrobiłam kilka kolejnych kroków w głąb gabinetu. Komendant czekał na mnie. Miał na sobie inny mundur, bardziej galowy. Nawet nie wiedziałam, że taki istnieje. Wyglądał zachwycająco. Był jeszcze przystojniejszy niż zwykle. Gdyby tylko odpiął te wszystkie nazistowskie emblematy, gdyby nie był to

mundur wroga, mogłabym się w nim w tym momencie zakochać... Czulałam, że się rumienię. Zauważył to i posłał mi czuły uśmiech.

– Wyglądasz przepięknie – powiedział, podchodząc do mnie. Wziął moje futro i zawiesił je na oparciu krzesła. Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Widziałam, jak jego wzrok zatrzymuje się na każdym skrawku mojego ciała. Jeszcze bardziej poczerwieniałam.

– Dziękuję – odpowiedziałam speszona.

Franz stanął przede mną i ujął mnie za podbródek. Mimo że miałam na sobie wysokie obcasy, nadal był dużo wyższy ode mnie. Popatrzyłam w jego oczy. Czulałam, jak się w nich zatracam. Nagle rzuciliśmy się na siebie. Franz łąpczywie skradał kolejne pocałunki, a ja oddawałam mu je po stokroć. Położyłam dłonie na jego ramionach. Moje policzki płonęły. W pewnym momencie poczułam, jak sunie dłońmi w dół. Odruchowo wzdrygnęłam się i odskoczyłam. Odwróciłam się do ściany i zaczęłam głośno oddychać.

– Franz, nie mogę...

Podszedł do mnie i przytulił się do moich pleców.

– Przepraszam. Nie powinienem był – wyszeptał mi do ucha. – Jedźmy już, jeżeli nie chcemy być ostatni.

Całą drogę do Łomży trzymał moją dłoń w swojej. Od czasu do czasu spoglądałam na niego, a on za każdym razem się uśmiechał. Poczułam ciepło na sercu. Wiedziałam, że mnie kocha.

Zajechaliśmy pod wielki, biały dworek. Przed nami stał sznur samochodów, z których co chwilę wychodzili umundurowani Niemcy w towarzystwie kobiet w mieniących się od świateł sukniach. Rozejrzałam się wokół. Cały teren obstawiony był uzbrojonymi w automaty żandarmami. Z daleka widziałam kolejne nadciągające ciężarówki wypełnione po brzegi Niemcami.

Franz wysiadł pierwszy, a ja tuż za nim. Wyciągnął w moją stronę dłoń i pomógł mi przemierzać kolejne stopnie schodów prowadzących do środka dworku. Idąc, przytrzymałam materiał sukni, który zdecydowanie za bardzo odsłaniał moją nogę. Gdy otworzyły się przed nami drzwi, dobiegły mnie dźwięki orkiestry grającej spokojną melodię, idealną na zapoznawcze rozmowy.

Za kolejnymi, przeszklonymi drzwiami, roiło się od niemieckich mundurów i kolorowych tkanin wieczorowych sukni. Między gośćmi lawirowali kelnerzy z kieliszkami szampana. Z sufitów zwisały kryształowe żyrandole. Zastanawiałam się, do kogo przed wojną należał ten dworek i co stało się z jego właścicielami.

– Alicjo, mogę?

Spojrzałam na Franza. Zanim zdążyłam zareagować, już zdejmował ze mnie futro, żeby oddać je czekającej służbie. Wziął mnie pod rękę. Otwarto przed nami drzwi i pewnym krokiem ruszyliśmy przed siebie. W środku było ponad sto osób. Każdy możliwy rodzaj munduru i stopni wojskowych. Wszystkich wojskowych łączył jeden element, był nim pas z sentencją „Moim honorem jest wierność”, co miało nieustannie przypominać im o bezwzględnej lojalności wobec *Führera*.

Nie wiedziałam, jak powinnam się zachować. Byłam na niejednym balu, ale nigdy w czasie wojny, nigdy z wrogiem. Zdałam się całkowicie na Franza. On sprawiał wrażenie opanowanego. Zatrzymaliśmy się przed dwiema rozmawiającymi ze sobą parami. Byli to komendanci ze Śniadowa i Miastkowa. Franz przedstawił mnie. Uścisnęłam dłoń każdemu z nich i grzecznie przysłuchiwałam się rozmowie. Kątem oka obserwowałam pozostałe towarzystwo, zastanawiając się, który z mężczyzn jest moim majorem.

Następnie podeszliśmy do drobnego człowieka o małych oczach i krótkim wąsie. Na kołnierzach marynarki miał generalskie patki, na piersi przypiętą złotą odznakę partii, order Krzyża Gdańskiego i dwa inne krzyże, których nazw nie znałam. W myślach zobaczyłam Heinricha, który miał takie same dwa odznaczenia.

– *Obergruppenführer* Erich Koch. – Usłyszałam głos Franza, który przerwał moje rozmyślenia. – Alicja Sambor.

Franz nas przedstawił. Zobaczyłam wyciągniętą dłoń największego nazisty północno-wschodniej Polski. Chwyciłam ją delikatnie. Chciałam szybko cofnąć rękę, ale poczułam uścisk mężczyzny. Uśmiechnęłam się do niego szeroko, odsłaniając śnieżnobiały uśmiech.

– Nareszcie się spotykamy, pani doktor! – mówił z uśmiechem, który przyprawił mnie o dreszcze. – Już rozumiem, dlaczego komendant Hibel walczył o panią jak lew!

Oblałam się delikatnym rumieńcem.

– Dziękuję za łaskawe słowa, *Obergruppenführer*. – Posłałam mu kolejny wymuszony uśmiech. Dopiero wtedy wypuścił moją dłoń.

– Mam nadzieję, że pobyt w więzieniu nie był dla pani zbyt męczący.

Zagryzłam zęby, ale nawet na moment nie przestałam się uśmiechać.

– Całe szczęście, że z pana pomocą udało się szybko wyjaśnić zaistniałą pomyłkę – odpowiedziałam wymijająco.

– Jest pani folksdojczką, prawda?

Mężczyzna nawet przez chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku, jakby tylko czekał, aż zdradzą mnie moje oczy, gdy nerwowo zacznę uciekać spojrzeniem. Jednak ja wpatrywałam się w niego tak samo, jak on we mnie.

– Tak, *Obergruppenführer*, od czterech lat.

– Mogę wiedzieć, dlaczego?

– Nie rozumiem pytania, *Obergruppenführer*. – Spojrzałam na niego, udając zdziwienie. – Urodziłam się na ziemiach dawnej Galicji, która przecież była kiedyś częścią Austrii. W moim domu posługiwano się językiem niemieckim. To był dla mnie oczywisty wybór, *Herr Obergruppenführer*.

– Czyli dostrzega pani wyższość Niemców nad innymi narodami? – dopytywał.

– Z całą stanowczością, *Herr Obergruppenführer*.

– A pani mąż?

Odruchowo zasłoniłam dłonią obrączkę.

– Mój mąż nie zdążył podpisać volkslisty. Zmarł.

– Mam nadzieję, że nie w walce?

– Nie, *Obergruppenführer*, chorował. – Zacisnęłam zęby, a moja powieka delikatnie zadrżała. – Czasem nawet lekarz nie jest w stanie sam sobie pomóc.

– Proszę przyjąć moje kondolencje, pani Sambor.

Mężczyzna posłał mi zdawkowy uśmiech, po czym pożegnał się i podszedł do kolejnej grupy osób. Czułam, jak schodzi ze mnie całe powietrze. Nogi miałam jak z waty.

– Franz, muszę się napić – szepnęłam mu do ucha.

– To było genialne, Alicjo. Nie mogę uwierzyć, z jaką łatwością kłamałaś mu w żywe oczy.

– Zrobiłam to dla ciebie, Franz – odpowiedziałam niewzruszona.

Stał i patrzył na mnie z dziwnym wyrazem, jakby się nad czymś zastanawiał, jak gdyby myślał, czy jego też mogłabym z taką łatwością okłamać. Nic więcej jednak już nie powiedział. Wzięliśmy po lampce szampana i usiedliśmy przy stole.

Gdy zjedliśmy pierwsze danie, orkiestra zaprosiła wszystkich na parkiet i po chwili rozległy się pierwsze takty walca wiedeńskiego. Franz wstał od stołu i wyciągnął w moim kierunku dłoń. Zrobiłam to samo. Zaprowadził mnie na parkiet, gdzie było zaledwie kilka par. Reszta towarzystwa wciąż była zajęta jedzeniem. Stanęliśmy twarzą w twarz. Franz przysunął mnie bliżej swoich bioder. Wyprostował się i unióś głowę, lekko zwracając ją w lewą stronę. Umieścił prawą dłoń na mojej łopacie. Rękę, w której trzymał moją dłoń, unióś na wysokość mojej głowy. Po chwili zaczęliśmy płynąć przez parkiet. Jego ruchy były jednocześnie delikatne, jak i stanowcze. Wirowaliśmy po całej sali wśród pozostałych par, lekko wznosząc się i opadając. Czułam, jak materiał mojej sukni luźno powiewa w tańcu, odsłaniając całą prawą nogę.

– Miałaś rację, Franz, jesteś doskonałym tancerzem – szepnęłam mu do ucha.

– Nie doskonałym, a wybornym – odpowiedział, delikatnie się uśmiechając.

Zaśmiałam się. Rzuciłam przelotne spojrzenie na pozostałych, siedzących przy stołach gości.

– Franz, mam wrażenie, że wszyscy na nas patrzą – powiedziałam speszona.

– Patrzą tylko i wyłącznie na ciebie, Alicjo – wyszeptał mi do ucha, a moje ciało delikatnie zadrżało. – Każdy mężczyzna na tej sali w tym momencie mi zazdrości.

– Czy mi się wydaje, czy sprawia to panu wyraźną radość, *Herr Kommandant* Hizel?

– Radość? Nie, to raczej satysfakcja, że wybrałaś właśnie mnie, zwykłego szaraczka – powiedział, śmiejąc się z własnego żartu.

Gdy muzyka ucichła, delikatnie mi się uklonił. W tym samym momencie usłyszałam za swoimi plecami znajomy głos.

– Alicja?!

Spojrzałam na Franza z przerażeniem w oczach. Czułam, jak krew odpływa z mojej twarzy. Nogi się pode mną ugięły tak, że miałam wrażenie, iż za chwilę stracę równowagę. Franz od razu to zauważył, złapał mnie pod rękę i zmierzył wzrokiem mężczyznę stojącego za moimi plecami.

– Alicja Sambor, nie wierzę własnym oczom!

Na moment przymknęłam powieki. Wzięłam głęboki oddech i odwróciłam się.

– Witaj, Heinrich... – powiedziałam najspokojniej, jak potrafiłam, po czym zacisnęłam zęby i z całej siły wbiłam paznokcie w rękę Franza.

Heinrich przysunął się bliżej, chcąc ucałować mnie w policzek. Na jego widok byłam niczym w amoku. Przerażenie opanowało moje ciało i ruchy. Nie protestowałam, wypuściłam dłoń Franza i wysunęłam głowę w kierunku byłego przyjaciela. Heinrich przywitał się ze mną czule, a ja miałam wrażenie, że to wszystko jest tylko snem. Patrzyłam na niego, próbując wybudzić się z tego koszmaru. Heinrich uśmiechał się od ucha do ucha. Wyglądał, jakby szczerze cieszyło go nasze spotkanie. Nie odwzajemniłam jego uśmiechu. Nie mogłam się do tego zmusić, nie potrafiłam. Zauważyłam, że zapadła niezręczna cisza. Odruchowo machnęłam głową.

– Przepraszam bardzo, pozwól, że przedstawię ci mojego przyjaciela – mówiąc to, wyciągnęłam rękę w kierunku Franza. – *Kommandant* Franz Hizeł, *Obersturmführer* Heinrich Vogel.

Spojrzałam na Franza. Miałam nadzieję, że domyśli się, kim jest stojący przed nim gestapowiec. Mężczyźni wymienili mocne uściski, jakby żaden z nich nie chciał okazać słabości.

– Alicjo, co za spotkanie! – Heinrich kontynuował rozmowę. – Szukałem ciebie w całej Warszawie, a ty schowałaś się w Łomży!

Patrzyłam na niego pustym wzrokiem. Ledwo słyszałam, co do mnie mówił. W głowie ciągle miałam obraz mojego przerażonego męża stojącego pod ścianą w oczekiwaniu na egzekucję. Czułam, że serce wali mi jak oszalałe, jakby za moment chciało wyskoczyć z mojej piersi.

– Całkiem zapomniałem, rodzina Janka pochodziła z tych stron, prawda?

Spojrzałam na niego i gdyby mój wzrok mógł zabić, Heinrich już by nie żył. Miał jeszcze czelność wymówić jego imię! Jak gdyby nic strasznego nie miało miejsca, jakby nie podpisał na niego wyroku śmierci. Nagle zrobiło mi się duszno.

– Alicjo? – Wciąż słyszałam głos Heinricha. – Wszystko w porządku?

– Przepraszam panów najmocniej – powiedziała ostatkiem sił, uniosłam materiał sukni i szybkim krokiem wybiegłam z sali. Gdy minęłam szklane drzwi, poczułam, jak łzy zaczynają spływać po moich policzkach. Minęłam służbę i biegłam prosto długim korytarzem. Na końcu zauważyłam toaletę. Wpadłam do niej i zamknęłam się za kolejnymi drzwiami. Nie mogłam powstrzymać łez. Zasłoniłam dłonią usta, aby nie wydać z siebie żadnego jęku. Siedziałam i wciąż płakałam. W pewnym momencie usłyszałam stukot obcasów. Ktoś wszedł. Nie miałam wyboru. Dokładnie wytarłam papierem oczy i nos. Wychodząc, starałam się patrzeć w podłogę. Kobieta w czerwonej sukni minęła mnie i zajęła moje miejsce. Podeszłam do wielkiego lustra zawieszzonego na ścianie. Miałam przekrwione oczy. Przemyłam je wodą. Dokładnie wytarłam pomadkę, którą, płacząc, roztarłam wokół ust. Po chwili kobieta w czerwonej sukni stanęła obok mnie, przyglądając mi się przez chwilę.

– Proszę – powiedziała po polsku, wręczając mi swoją pomadkę.

– Dziękuję – odpowiedziałam, biorąc ją do ręki.

– Czasem najlepszym wyjściem jest zaciśnięcie zębów i przyklejenie uśmiechu do twarzy – powiedziała swobodnie, jakby dokładnie wiedziała, co przeżywam. – Nie mamy innego wyjścia, skarbie. Lepsze to niż zginąć.

Dokładnie obrysowałam usta pomadką.

– Proszę. – Oddałam ją.

– Od razu lepiej. Pamiętaj, musisz wyglądać nieskazitelnie. Oni zwracają uwagę na każdy, najmniejszy szczegół.

– Wiem – przytaknęłam nieśmiało.

– Twój Niemiec czeka pod drzwiami. Nie wiem dlaczego, ale wygląda tak samo nieszczęśliwie jak ty.

Po chwili już jej nie było. Po raz ostatni spojrzałam w lusterko i wyszłam. Na korytarzu stał Franz. Rzuciłam się w jego ramiona. Przytulił mnie z całych sił. Staliśmy tak długo, aż nie przeszkodziła nam kolejna osoba zmierzająca w stronę toalety.

– Alicjo, nie miałem pojęcia, że on tu będzie. Zresztą nigdy nie powiedziałaś mi, że twój austriacki przyjaciel to sam *Obersturmführer* Heinrich Vogel. Posłuchaj... Zrobiliśmy to, co musieliśmy, Erich Koch cię poznał, możemy stąd pójść.

Nie chciałam niczego innego. Pragnęłam uciec stąd jak najdalej i nie oglądać się za siebie. Jednak wiedziałam, że nie dokończyłam swojego zadania. Zając na mnie liczył. I trzystu niewinnych ludzi...

– Franz, zostańmy jeszcze. To będzie wyglądało podejrzanie, gdy teraz wyjdziemy. Dam radę. Teraz, gdy już wiem, że on tu jest, postaram się bardziej i zapanuję nad emocjami. Po prostu mnie zaskoczył i nie wiedziałam, co mam zrobić.

– Jesteś pewna?

– Tak – powiedziałam i delikatnie go pocałowałam. Potem musiałam wycierać z jego ust czerwoną pomadkę.

Franz wziął mnie pod rękę i wróciliśmy na salę. Na szczęście nigdzie nie widziałam Heinricha.

– Franz, czy możesz powiedzieć mi, kto jest kim, tak żeby nikt więcej już mnie dziś nie zaskoczył?

Stanęliśmy pod ścianą. Kelner podał nam po lampce szampana. Rzuciłam młodemu chłopakowi ukradkowe spojrzenie, zastanawiając się, czy to mój człowiek. Franz przysunął się blisko mnie i osłonił mi dłonią ucho. Opowiadał o każdym Niemcu, który był w zasięgu naszego wzroku, jednak żaden z nich nie był tym, na którego liczyłam. Obawiałam się, że Franz może go nie znać, przecież tamten był majorem i do tego przyjezdnym.

– Franz, a jakie naszywki ma major? Jest tutaj ktoś taki? – zapytałam, udając zwykle zaciekawienie.

– Major? – dopytał, upewniając się, czy dobrze usłyszał.

Kiwnęłam głową. Franz rozejrzał się po sali.

– Ostatni stolik. Obok twojego byłego przyjaciela, po jego prawej stronie siedzi major.

- Znasz go?
- Nie. Pierwszy raz go widzę.
- A jest jeszcze jakiś inny?

Ugryzłam się w język. To było niewłaściwe pytanie. Franz spojrział na mnie podejrzliwie.

- Jest tylko jeden... – powiedział niepewnie. – Dlaczego pytasz?
- Nieważne. – Uśmiechnęłam się do niego. – Jestem głodna. Może zjemy jakiś deser? – zaproponowałam.

Gdy kończyłam jeść kawałek ciasta, zauważyłam, że do naszego stolika od mojej strony podszedł mężczyzna. Uniosłam wzrok i zobaczyłam Heinricha.

– Alicjo, czy mogę prosić cię do tańca? – powiedział, wyciągając do mnie dłoń.

Zobaczyłam, że wszystkie osoby siedzące przy stoliku nagle na mnie spojrzały. Jedno było pewne, musiałam szybko coś odpowiedzieć, a *Obersturmführerowi* się nie odmawia, szczególnie, że byłam jedynie osobą towarzyszącą komendanta.

– Oczywiście – powiedziałam chłodno. – Za pozwoleniem *Herr Kommandanta* Hizela.

Tymi słowami delikatnie wbiłam mu szpilę. W tym samym momencie położyłam swoją dłoń na dłoni Franza, dając mu znać, żeby milczał. Na szczęście zrozumiał. Ostrożnie chwyciłam rękę Heinricha. Z zaciśniętymi zębami podążałam za nim na parkiet. Orkiestra wygrywała znaną niemiecką melodię. Heinrich przysunął mnie stanowczym ruchem do siebie. Położył swoją dłoń na moich odsłoniętych plecach. Moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Wydawało mi się, że to zauważył. Popatrzył mi prosto w oczy i zaczął powoli poruszać się w rytm muzyki. Z każdym kolejnym krokiem przyspieszał, aż w końcu wirowaliśmy z całym impetem. Musiałam mocniej przytrzymać się jego ramion, żeby nie upaść. Nasz taniec był zdecydowanie zbyt zmysłowy. Heinrich trzymał mnie stanowczo za blisko siebie, za mocno. Czułam jego napierające na mnie ciało, jednak nie mogłam się tak po prostu uwolnić. Nie mogłam go odepchnąć. Musiałam wytrzymać do końca piosenki. W końcu zwolnił

tempo i tylko rytmicznie poruszaliśmy się w takt muzyki. Odsunął wtedy swoją twarz od mojej i posłał mi uśmiech.

– Przestań, proszę – wycedziłam przez zęby.

– To tylko taniec. Jesteśmy przecież przyjaciółmi, czyż nie?

– Byliśmy, Heinrich. Nie pamiętasz, że zabiłeś mojego męża?

Nic nie odpowiedział.

– Twój komendant wygląda tak, jakby chciał mi się rzucić do gardła – wyszeptał mi powoli do ucha.

Wiedziałam, że robi to specjalnie. Chciał swoim zachowaniem sprowokować Franza. Zaczęłam się o niego bać. Heinrich był przecież nieobliczalny.

– Zostaw go w spokoju – rzuciłam mu gniewnie.

– Tak ci na nim zależy?

– Zawdzięczam mu życie, Heinrich. Nic więcej. Ale ty nie wiesz, co oznacza zawdzięczać komuś życie!

Heinrich wpatrywał się we mnie, nic nie mówiąc. Patrzyłam w jego oczy i przypominałam sobie przyjaciela, którego w nim miałam. Kiedyś byłam go pewna. Dałabym sobie za niego uciąć rękę. W końcu nie wytrzymałam.

– Dlaczego, Heinrich? – mówiąc to, poczułam, jak znowu szklą mi się oczy. – Ufałam ci. Kochałam cię jak brata. Byłeś moim najlepszym przyjacielem. Powiedz mi, dlaczego?! Co ja ci takiego zrobiłam?

– Alicjo, naprawdę myślisz, że mógłbym cię kiedykolwiek zranić? Że mógłbym cię zdradzić? Myślałem, że lepiej mnie znasz... – powiedział tajemniczo.

– Nie rozumiem. Przecież właśnie to zrobiłeś.

Heinrich popatrzył na mnie, odgarnął mi włosy za ucho i przysunął usta do mojego ucha.

– On żyje... – wyszeptał. – Janek żyje...

Moje serce przestało bić. Zobaczyłam przed oczami ciemność. Osunęłam się w dół. Czułam, jak Heinrich bierze mnie w ramiona, tłumacząc coś wszystkim wokół.

Po chwili byliśmy już w ogrodzie zimowym, na tyłach dworku. Posadził mnie na metalowym, białym krześle, a sam kucnął przede mną,

trzymając moje dłonie w swoich.

– Heinrich, powiedz mi, czy to prawda? – mówiłam rozedrgana. Czułam, jak cała się trzęsę i nie było to spowodowane panującym zimnem.

– Dlaczego miałbym kłamać?

– Ale przecież to ktoś od was twierdził, że mój mąż nie żyje! To był zaufany człowiek! Mówił, że na własne oczy widział, jak na niego wydają wyrok śmierci! I że ty go podpisałaś! Że była egzekucja!

Moje ciało dygotało. Nie wiedziałam, czy powinnam wierzyć jego słowom. Chociaż tak bardzo chciałam.

– Oficjalnie twój mąż dostał wyrok śmierci. Nieoficjalnie – trafił do niemieckiego więzienia w Rzeszowie. Jest tam nadal. Miesiąc temu wciąż żył. Musisz mi uwierzyć! Nic więcej nie mogłem w jego sprawie zrobić. Rozumiesz? Ja też mam swoich przełożonych, którzy czekają na moje potknięcie. Alicjo, chciałem ci o tym powiedzieć. Od razu, gdy odwołano wyrok, poszedłem do waszego domu, ale nikogo nie zastałem. Rozpytałem sąsiadów, ale albo nikt nic nie wiedział, albo nie chciał mi powiedzieć. Przeszukałem za tobą całe miasto!

Zasłoniłam twarz dłońmi. Nie mogłam w to uwierzyć.

– Idzie twój komendancik – powiedział drwiąco. – Ufasz mu?

– Nie ufam żadnemu Niemcowi.

– Tym lepiej dla ciebie. Nic mu nie mów. Gołym okiem widać, że jest w tobie zakochany po uszy. Myślisz, że tak łatwo odda cię mężowi? Może tylko pogorszyć sprawę, a wtedy już wam nie pomogę.

– Co się tu dzieje? – Usłyszałam podniesiony głos Franza. – Alicjo, czy ten człowiek zrobił ci coś złego?

– Pan się chyba zapomina, komendancie Hizel! – Heinrich brzmiał, jakby zaraz miał rzucić się na niego. Wiedziałam, że byłby do tego zdolny. Dobrze pamiętałam jego bijatyki w wiedeńskich pubach, gdy odciągałam go od zaczepiających nas pijaków.

Momentalnie zerwałam się na równe nogi i stanęłam między mężczyznami.

– Heinrich! Proszę! – powiedziałam donośnym, ale łagodnym głosem, kładąc mu dłoń na piersi. Widziałam, jak schodzi z niego całe powietrze.

– Później dokończymy naszą rozmowę. Franz, czy możemy wejść do

środka? Zamarzam tu. – Zwróciłam się w jego stronę. Wciąż dygotałam. Bez słowa wziął mnie pod rękę i ruszyliśmy w kierunku drzwi.

– Co się stało? – zapytał, gdy weszliśmy z powrotem na salę.

– Tylko rozmawialiśmy. Musieliśmy wyjaśnić sobie pewne rzeczy. Przepraszam, nie powinnam była z nim wchodzić w dyskusję, ale jak zwykle poniosły mnie emocje.

– Tylko tyle? – dopytywał.

– Tak – skłamałam, a on to widział, jednak nie ciągnął tematu. – Zatańczmy, Franz...

Ujął moją dłoń i po chwili poruszaliśmy się wolno w rytm muzyki. Nic nie mówiliśmy. W głowie wciąż słyszałam słowa Heinricha: „On żyje...”. Muzyka dobiegła końca, a ja wiedziałam, że mam zadanie do wykonania. Musiałam na chwilę przestać myśleć o sobie. Odprowadziłam Franza do stolika i powiedziałam mu, że idę po lampkę szampana. Rozejrzałam się po twarzach kelnerów. Było ich pięciu, musiałam zacząć typować. Podeszłam do pierwszego z nich.

– Czy mają w kuchni szampana bez bąbelków? – zapytałam z uśmiechem na ustach.

Chłopak popatrzył na mnie zmieszany.

– Pójdę sprawdzić.

– Nie trzeba. Dziękuję bardzo.

Udałam, że idę przyjrzeć się suto zastawionym stolom pod ścianą, tymczasem chciałam bez podejrzeń podejść do kolejnego chłopaka z tacą w ręku.

– Czy mają w kuchni szampana bez bąbelków?

– Szampana sprowadzono aż ze Stuttgartu – powiedział, patrząc przed siebie.

Przyjrzałam mu się bliżej. Stał niewzruszony.

– Przynieś mi tego szampana. Usiądę na miejscu majora, będziesz wiedział, który to. Od razu też podmienię mu kieliszki.

Kelner momentalnie wycofał się do kuchni, a ja podeszłam do kosza z owocami i zajadałam się zielonymi winogronami.

– Proszę, szampan dla pani.

Odwróciłam się. Zobaczyłam swojego kelnera. Trzymał całą tacę kieliszków. Jeden z nich był wysunięty w moją stronę.

– Dziękuję – odpowiedziałam i chwyciłam cienką nóżkę kieliszka.

Pewnym siebie krokiem ruszyłam w stronę okrągłego stolika, przy którym siedział Heinrich. Oprócz niego nie było tam nikogo. Usiadłam na miejscu majora i odszukałam wzrokiem kelnera. Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia. Już wiedział, kogo ma szukać.

– Alicjo – powiedział Heinrich z uśmiechem na ustach, kładąc mi dłoń na udzie.

– Heinrich, czy możesz go stamtąd wyciągnąć?

– Przykro mi, ale nawet ja nie mam takiej mocy.

– Musi być jakiś sposób! Przecież on tam siedzi już czwarty rok! Heinrich! Wymyśl coś!

Poczułam, jak mocniej zaciska dłoń na moim udzie. Odstawiłam kieliszek specjalnego szampana obok kieliszka majora.

– Pomógłbym ci, przecież wiesz, gdybym tylko był w stanie to zrobić.

Spojrzałam mu w oczy. Mówił prawdę. Widać było, że wstydzi się swojego braku władzy. Ponownie wzięłam do ręki kieliszek z szampanem, tylko tym razem był to ten, który już wcześniej stał na stole. Ukradkiem spojrzałam na kelnera. Nie spuszczał ze mnie wzroku, jakby upewniał się, czy rzeczywiście to zrobię.

– Przykro mi – dodał. – Ale spróbuję przekazać mu list od ciebie, dobrze?

– Dziękuję, Heinrich. – Położyłam swoją dłoń na jego.

Odwróciłam głowę w drugą stronę. Zobaczyłam w oddali twarz Franza. Patrzył na mnie zimnym wzrokiem. Poczułam ukłucie w sercu. Wiedziałam, że rozmową z Heinrichem sprawiam mu ból. Lecz teraz, gdy wiedziałam, że mój mąż żyje, gdy wciąż byłam jego żoną, musiałam zagłuszyć wszystko, co czułam do tego Niemca. Raz na zawsze zapomnieć o jego jasnoblękitnych, wpadających w szarość oczach. Już nie byłam jego i nigdy nie mogłam być...

– Cóż za wieczór! – Usłyszałam za sobą męski głos. Obejrzałam się. Do stolika dosiadł się wysoki oficer z kryształową szklanką w ręku. – Świetna whisky, dobre jedzenie i piękne kobiety!

Miałam nieodparte wrażenie, że znam ten głos, jednak jego twarz kompletnie nic mi nie mówiła. Próbowałam przypomnieć sobie, gdzie

możliśmy się spotkać, lecz nie byłam w stanie.

– Ma pan zupełną rację. – Przyklasnął mu Heinrich.

– Przepraszam bardzo, czy my się znamy? – zapytałam z uśmiechem na ustach siedzącego naprzeciwko mnie mężczyznę.

– Wątpię – odpowiedział bez zastanowienia. – Z całą pewnością zapamiętałbym tak piękną kobietę. – Uśmiechnął się i spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem. Przeszedł mnie dreszcz. Jego głos wciąż dźwięczał mi w głowie. Brzmiał złowrogo. Instynkt kazał mi uciekać.

– Alicjo, pozwól... – Heinrich wskazał na siedzącego mężczyznę. – *Untersturmführer* Wolfgang Bruger. Alicja Sambor. Doktor Alicja Sambor – dodał po chwili.

Mężczyzna po tych słowach wyraźnie się zmieszał, ale to był dosłownie ułamek sekundy. Potem znowu przybrał kamienną twarz, wstał i uścisnął mi dłoń.

– *Herr Untersturmführer* kieruje łomżyńskim więzieniem, więc rzeczywiście mało prawdopodobne żebyś, Alicjo, znała pana Brugera. – Heinrich mówił to z rozbawieniem.

Ale ja już wiedziałam. Odruchowo ścisnęłam zęby. Poczułam, jak mój oddech przyśpiesza. Złapałam mocniej kieliszek od szampana. Byłam pewna, że za chwilę kruche szkło pęknie pod wpływem nacisku. To jego głos słyszałam każdego dnia. To on był tym, który tak lubił się ze mną zabawiać... Patrzyłam na leżący przede mną nóż. Miałam ochotę wbić mu go w szyję. Pierwszy raz w życiu ogarnęły mnie tak czarne myśli.

– Mylisz się, Heinrich. Niestety, znamy się z *Herr Untersturmführerem* Wolfgangiem Brugerelem bardzo dobrze. Prawda? – Spojrzałam mu prosto w oczy. Już się nie bałam, nie miał możliwości mi nic zrobić, za to ja mogłam wszystko. I on o tym dobrze wiedział, dlatego zawzięcie milczał.

Mężczyzna nie odpowiedział. Wypił całą zawartość swojej szklanki i odstawił ją z hukiem na stół.

– Heinrich, kochany, zatańczymy? – Zaproponowałam z nienacką, wstając od stołu i kładąc na jego ramieniu dłoń. Zrobiłam to celowo. Chciałam, żeby tamten zaczął się bać. Pragnęłam pokazać mu, jak blisko jestem z jego przełożonym. Widziałam, że z jego twarzy odpyływa krew. Poczułam nieukrywaną satysfakcję. Poza tym nie chciałam siedzieć obok tego bydlaka nawet sekundy dłużej. Jednak wiele mnie to kosztowało.

Idąc na parkiet, czułam, jak cała drzę. Znowu słyszałam jego głos i okrutny śmiech. Nagle wróciły wszystkie wspomnienia, które tak długo wypierałam z pamięci. Odstawiłam kieliszek z szampanem na tacę mojego kelnera, który wyrósł przede mną jak spod ziemi. Gdy zaczęła grać muzyka, Heinrich położył rękę na moim biodrze, a w drugiej delikatnie trzymał moją trzęsącą się dłoń.

– Alicjo, skąd znasz tego człowieka?

– Mówiłam ci, że Franz uratował mi życie... To właśnie z jego rąk mnie wyrwał... W ostatniej chwili... Już myślałam, że tam umrę, Heinrich...

– W więzieniu? Dlaczego tam byłaś?

– A czy to ważne?! – Zadygotałam.

Heinrich mocniej przycisnął mnie do siebie.

– Zrobił ci krzywdę?

Kiwnęłam głową.

– W najgorszy możliwy sposób... Przychodził do mojej celi codziennie... – szepnęłam ze łzami w oczach.

Więcej nie byłam w stanie mu powiedzieć. Ta rozmowa i tak wystarczająco mnie upokorzyła. Czułam, że znowu rozpadam się na kawałki.

– Alicjo, obiecuję ci, że jutro *Untersturmführer* Wolfgang Bruger dostanie rozkaz wyjazdu na front – powiedział pewnym siebie głosem. – Tyle jestem w stanie dla ciebie zrobić.

Przytuliłam go z całej siły.

– Dziękuję i przepraszam, że kiedykolwiek w ciebie zwątpiłam.

Muzyka dobiegła końca. Heinrich, nie wypuszczając mojej dłoni, odprowadził mnie do stolika.

– Panie komendancie Hizel, przekazuję panią Sambor w pana ręce. Proszę się o nią należycie zatroszczyć.

Franz nic nie odpowiedział. Usiadłam na krześle obok niego. Nie byłam w stanie ani na niego spojrzeć, ani go dotknąć. Nie mogłam mu powiedzieć, dlaczego pozwalałam Heinrichowi ze mną tańczyć, przytulać mnie i z jakiego powodu sama do niego poszłam. Wiedziałam, co sobie pomyślał. Przecież sam sugerował mi, że Heinrich nie uratował mojego męża dlatego, że skrycie się we mnie kochał. Teraz mógł to zobaczyć na własne oczy, gdy tańczyliśmy objęci niczym kochankowie. Nie ufałam

Franzowi na tyle, żeby powiedzieć mu prawdę. Przecież sam niedawno wyznał mi miłość. Gdyby dowiedział się, że Janek żyje, mógłby zrobić wszystko, abym nigdy nie odzyskała męża. Przemogłam się i położyłam rękę na jego dłoni. Cofnął ją momentalnie. Siedzieliśmy dalej w milczeniu.

Po kilkudziesięciu minutach zobaczyłam majora, pośpiesznie wychodzącego z sali. Kątem oka widziałam, jak zakłada płaszcz. Opuszczał przyjęcie. Zatem plan zadziałał. Teraz wszystko w rękach Zająca i jego ludzi.

Mogłam już spokojnie wracać do domu. Wiedziałam, gdzie szukać Heinricha. Postanowiłam, że w przyszłym tygodniu wybiorę się do niego do Warszawy i przekażę mu osobiście list dla Janka. Niecierpliwie czekałam, aż Franz zaproponuje powrót. W międzyczasie obserwowałam bawiących się wokół ludzi, a w myślach układałam słowa, które chciałam napisać. Zobaczyłam kobietę w czerwonej sukience, tańczącą z grubszym oficerem. Wyglądała na szczęśliwą. Śmiała się i szeptała mu coś do ucha. Dobrze wiedziałam, że to wszystko było jednym wielkim kłamstwem. Czy ten Niemiec rzeczywiście nie wiedział, że ona nigdy by na niego nie spojrzała, gdyby nie wojna? Że ich miłość była farsą? Zastanawiałam się, czy ja wyglądałam tak samo z Franzem...

Nagle usłyszałam głuchy łomot dochodzący z końca sali. Obejrzałam się za siebie. Wokół stolika Heinricha wybuchło straszne zamieszanie. Ludzie przyglądali się czemuś z przerażeniem. Ktoś krzychał. Dochodziły nas podniesione głosy.

– Alicjo! – Usłyszałam głos Heinricha.

Zobaczyłam, jak wybiega z tłumu i przyzywa mnie do siebie ręką. W sekundę podniosłam się z krzesła i, trzymając w ręku suknię, biegłam w jego stronę. Przebiłam się przez tłum i zobaczyłam starszego mężczyznę leżącego na ziemi. Dusił się.

– Co się stało? – zapytałam Heinricha.

Przyklękłam nad mężczyzną, patrząc uważnie na jego szyję.

– Jadł i zaczął się krztusić. Chyba czymś się zadławił – mówił zdenerwowany.

– To nie zadławienie. To uczulenie – stwierdziłam stanowczo.

Momentalnie podniosłam się z kolan i pobiegłam w stronę kuchni, nie mówiąc nic więcej. Mijałam po drodze zdziwione twarze kelnerów. Wpadłam do wielkiego pomieszczenia i poczułam uderzenie gorąca na twarzy. Rozejrzałam się wokół. Zobaczyłam kuchenne noże, przejechałam opuszką palca po każdym z nich. Pod naporem jednego poczułam piekący ból. Ten był wystarczająco ostry. Potrzebowałam jeszcze jednej rzeczy. Szybko przebiegłam wśród kuchennych szafek. Wtedy zobaczyłam stojący w rogu kuchni blaszany baniak, z którego odchodziła gumowa rurka. Odciąłam potrzebny mi kawałek i pędziłam z powrotem w kierunku sali.

Nie było mnie zaledwie dwie minuty. Mężczyzna miał już ciemnopurpurową twarz, powoli robił się siny. Wiedziałam, że zostało mu niewiele czasu, zanim nastąpi niedotlenienie mózgu. Wzięłam ze stołu karafkę i lałam alkoholem po jego szyi, swoich dłoniach oraz nożu przyniesionym z kuchni.

– Musicie go przytrzymać.

Heinrich skinął na stojącego obok mężczyznę i obaj złapali leżącego rękami.

Delikatnie objęłam jego szyję i przyłożyłam do niej ostrze noża.

– Wiesz, co robisz? – zapytał z przerażeniem Heinrich.

– Jeżeli tego nie zrobię, za trzydzieści sekund on się udusi.

Przycisnęłam mocniej nóż, tak że jego końcówka wbiła się delikatnie w skórę leżącego mężczyzny, a następnie przecięłam mięśnie powierzchowne i podgnykowe. Cała szyja była we krwi. Usłyszałam przerażone krzyki kobiet stojących za mną. Kilka z nich zemdlało w ramionach swoich partnerów. Otworzyłam przednią ścianę tchawicy. Odłożyłam nóż i wzięłam gumową rurkę. Przełałam ją alkoholem. Potem ostrożnie, z wyczuciem, zaczęłam wkładać ją do rozciętego otworu w szyi. Po chwili zobaczyłam, jak leżący mężczyzna zaczyna oddychać. Jego klatka piersiowa gwałtownie unosiła się i opadała. Udało się. Odetchnęłam z ulgą.

– Proszę się nie ruszać. Chwilowo nie będzie pan mógł mówić. Także proszę nawet nie próbować. Jestem lekarzem. Zaraz zabierzemy pana do szpitala – tłumaczyłam, patrząc w oczy leżącego mężczyzny. Dałam znać Heinrichowi, że może już zabrać ręce.

– Heinrich, to jest prowizoryczne rozwiązanie. On musi trafić na stół operacyjny.

– Zawieziemy was do szpitala – odpowiedział.

Za moment przyniesiono zdjęte z framugi drzwi i ułożono na nich mężczyznę. Cały czas trzymałam palcami wystającą z jego szyi rurkę tak, aby się przypadkiem nie wysunęła. Drugi raz mogło mi się już nie udać włożyć jej w to samo miejsce.

Wychodząc z sali, szukałam wzrokiem Franza, ale nigdzie nie mogłam go znaleźć. Heinrich pomógł mi nałożyć futro i wyszedł z nami na zewnątrz. Czekaliśmy, aż postawią nam ciężarówkę. Heinrich przysunął usta do mojego ucha.

– Alicjo, on musi przeżyć, to bardzo ważny człowiek. Odpowiadam za niego głową. Rozumiesz?

Przytaknęłam. Po chwili podjechał wóz. Żandarmi ostrożnie wsunęli drzwi z leżącym mężczyzną na podłogę ciężarówki, a w tym samym czasie Heinrich uniósł mnie i postawił na pace. Jechaliśmy wolno w stronę miasta.

Momentalnie postawiliśmy cały szpital na nogi. Jedna z sióstr pojechała z kierowcą po doktora Kaufmana. Postanowiłam działać pomimo nieobecności niemieckiego lekarza.

– Proszę się o nic nie bać. Jest pan w dobrych rękach. – Wzięłam go za dłoń. – Nazywam się Alicja Sambor. Jestem polskim lekarzem chirurgiem z wieloletnim doświadczeniem. Mogę za chwilę przeprowadzić zabieg i podać panu medykamenty, ale muszę mieć pana zgodę. Czy zgadza się pan, żebym to ja kontynuowała pana leczenie? Proszę ścisnąć moją dłoń raz na tak, dwa na nie.

Poczułam jedno, mocne ściśnięcie. Natychmiast zarządziłam przygotowanie sali operacyjnej i uspienie pacjenta. Sama poszłam szykować się do zabiegu. Nie było to nic skomplikowanego, musiałam tylko założyć właściwą rurkę i zabezpieczyć otwór, z którego wychodziła. Zanim zaczęłam, podałam mu dożylnie leki przeciwczuleniowe. Doktor Kaufman pojawił się w szpitalu, gdy pacjent spał już spokojnie na sali pooperacyjnej.

– Dzień dobry panu – powiedziałam, gdy otworzył oczy. – Poznaje mnie pan? Proszę ścisnąć moją dłoń raz na tak, dwa na nie.

Mężczyzna uścisnął moją dłoń.

– Przepraszam bardzo, ale nie wiem, jak powinnam się do pana zwracać. Nie za bardzo też znam się na niemieckich stopniach wojskowych, rozpoznaję ich raptem kilka. Tak więc proszę mi wybaczyć moją zbytnią poufałość – wyjaśniłam nieśmiało. – Oczywiście zabieg przebiegł pomyślnie. Nie było żadnych komplikacji. Uczulenie ustąpiło bardzo szybko. Niedługo pozbędzie się pan tej rurki i będzie mógł znowu mówić. Pozostanie tylko niewielki ślad w miejscu, w którym nacięłam pana szyję.

Patrzyłam w oczy Niemca leżącego na łóżku. Widać było, że badawczym wzrokiem spogląda na wszystko, co się wokół niego dzieje.

– Za chwilę przyjdzie do pana doktor Kaufman. Będę się powoli z panem żegnać. Jeżeli czegoś pan potrzebuje, to proszę śmiało mówić. Służę pomocą. – Posłałam mu swój najserdeczniejszy uśmiech.

Mężczyzna popatrzył na mnie i zaczął kreślić ręką jakieś znaki. Zrozumiałam, że chciał coś napisać. Wyszłam z sali i pobiegłam do pokoju sióstr. Wzięłam z biurka notes i ołówek. Po chwili wróciłam do mojego pacjenta.

– Proszę – powiedziałam, wręczając mu je.

Mężczyzna szybkim ruchem nakreślił dwa słowa. Odwrócił notes w moją stronę.

– *Danke schön.* – Odczytałam na głos. – Nie ma za co. Jestem lekarzem, to mój obowiązek.

Uścisnęłam mu rękę i zaczęłam wycofywać się w stronę wyjścia. Zanim chwyciłam za klamkę, postanowiłam postawić wszystko na jedną kartę.

– Jeżeli można – zaczęłam niepewnie – mój mąż też jest lekarzem, wspaniałym. Gdy wybuchła wojna, był ordynatorem Szpitala Wolskiego w Warszawie. Leczył Niemców, tak jak ja teraz pana. Bo jego obowiązkiem, tak jak i moim, jest ratować ludzi.

Mężczyzna patrzył na mnie wyraźnie zdziwiony tą nagłą opowieścią.

– Cztery lata temu został aresztowany przez Gestapo za to, że leczył niewłaściwe osoby. Od czterech lat jest zamknięty w Niemieckim

Zakładzie Karnym w Rzeszowie. Gdyby nie to, do tej pory uratowałyby setki osób, wielu waszych żołnierzy.

Patrzyłam na niego z nadzieją, że zrozumie znaczenie moich słów, jednak on spoglądał na mnie wciąż z tym samym wyrazem twarzy. Miał tak samo kamienne oblicze jak każdy Niemiec, który miał chociaż odrobinę władzy.

Spuściłam głowę i odwróciłam się. Z bolącym sercem chwyciłam za kłamkę. Wtedy usłyszałam stuknięcie czegoś twardego o metal. Odruchowo spojrzałam w stronę leżącego mężczyzny. Uderzał ołówkiem o ramę łóżka. Teraz ja patrzyłam na niego z niezrozumieniem. Mężczyzna wyciągnął w moim kierunku notes. Podeszłam i spojrzałam na napisane tam słowa *Name und Nachname*. Wzięłam od niego ołówek i dopisałam pod spodem „Jan Sambor”. Zerknęłam na niego badawczo. Nadal widziałam pustkę w jego oczach. Oddałam mu ołówek i wyszłam.

Dzięki uprzejmości doktora Kaufmana do domu odwiózł mnie pracownik szpitala. Gdy weszłam na swoje podwórze, usiadłam na zaśnieżonych schodach i na przemian śmiałam się i płakałam. Raz miałam nadzieję, że ten Niemiec nam pomoże i odzyskam swojego Janka, a za chwilę zastanawiałam się, czy właśnie nie skazałam go na śmierć.

Komendant nawet nie przyszedł sprawdzić, czy cała i bezpieczna wróciłam z przyjęcia. Nie wysłał też nikogo do mnie. Czułam, że muszę się z nim spotkać. Spróbować mu wyjaśnić to, co tam zaszło, chociaż nie za bardzo wiedziałam, jak miałabym to zrobić, nie ujawniając prawdy. Po kilku dniach udałam się na posterunek.

– Wejść. – Usłyszałam dochodzący z gabinetu głos.

Ostrożnie weszłam do środka, niepewna jego reakcji na mój widok. Komendant na chwilę podniósł wzrok znad dokumentów, po czym wrócił do pisania.

– Pani Sambor, czemu zawdzięczam tę wizytę? – zapytał oschłym głosem.

Poczułam dziwne ukłucie w sercu. Po cichu liczyłam na cieplejsze powitanie.

– Franz... – wymówiłam jego imię z niepokojem.

Zobaczyłam, jak mocniej zaciska palce na trzymanym piórze.

– Jak widać, jestem zajęty, pani Sambor.

– Franz, proszę, porozmawiajmy.

Rzucił pióro na blat biurka, robiąc przy tym wielką plamę z atramentu, po czym wstał, szurając o podłogę swoim krzesłem. Zrobił w moją stronę kilka kroków i zatrzymał się naprzeciwko mnie. Nie miałam odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Franz, ja wiem, co sobie myślisz, ale to nie tak. Musisz mi uwierzyć. Z Heinrichem nic mnie nie łączy. Jest tylko moim przyjacielem, to wszystko.

– Jest? – zapytał z zaciekawieniem. – Do niedawna mówiłaś o nim w czasie przeszłym.

– Nie łap mnie za słówka – odpowiedziałam ściszym głosem.

Podniosłam w końcu głowę i spojrzałam w błękit jego oczu.

– Nie kocham go. Nigdy go nie kochałam. Nic mnie z nim nie łączy, Franz. Po prostu musiałam z nim wyjaśnić kilka kwestii. Sam wiesz, że nie mogłam odmówić mu tańca.

– To dlaczego potem sama do niego poszłaś?!

– Franz, czy widziałeś, kto z nim siedział przy stoliku?

– Nie.

– Ten gestapowiec, który mnie skrzywdził. Rozpoznałam go. Powiedziałam o tym Heinrichowi. Wiedziałałam, że chociaż nie uwolnił mojego męża, to jednak moja krzywda go obejdzie. I tak właśnie było. Obiecał, że wyśle tamtego bydlaka na front.

Franz patrzył na mnie z niedowierzaniem. Wiedział, że mówiłam prawdę, jednak nadal wyczuwałam jego dystans, nadal mi nie ufał. W końcu podszedł bliżej i objął mnie.

– Pocałuj mnie – powiedział, patrząc mi w oczy. – Pocałuj mnie tak samo mocno jak wtedy, gdy byliśmy tu ostatni raz.

– Franz... – Spuściłam wzrok. Zrobiłam krok w tył. Poczułam, jak jego ręce wypuszczają mnie z objęć. – Nie mogę...

Odwróciłam się i wybiegłam z gabinetu. Wiedziałałam, że to koniec. Jego honor nie pozwoli mu dalej próbować, mój nie pozwoli mi tu więcej przyjść.

Pod koniec wiosny coraz częściej dochodziły nas słuchy o licznych bombardowaniach Niemiec przez wojska alianckie. Od partyzantów dowiedzieliśmy się, że Armia Czerwona zmierza ku Polsce, odbijając z rąk Niemców kolejne kraje. Wiedzieliśmy już o wyzwoleniu wschodnich terenów Ukrainy i wkroczeniu Sowietów na część Białorusi. Czuć było w powietrzu, że zbliża się decydujące starcie. Ośmielaliśmy się marzyć o wolności. Nastroje niemieckich żołnierzy również uległy zmianie. Byli coraz bardziej nerwowi i spięci, jakby wiedzieli, że ich sytuacja nie jest tak pewna, jak próbował im wmówić ich ukochany *Führer*.

Komendanta w tym czasie widziałam raptem kilka razy, zawsze przypadkiem. Nigdy nie reagował na mój widok. Natomiast mnie, raz po raz, ścisnęło coś od środka. Chciałam podejść, przywitać się, jednak wiedziałam, że nie ułatwi to życia żadnemu z nas.

Z kolei Heinrich napisał do mnie krótki list, że moja wiadomość do męża została dostarczona. Mimo upływu kolejnych tygodni, nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Miałam nadzieję, że mówił prawdę, i że mój Janek wciąż żyje. Bez przerwy o nim myślałam, tak samo jak o człowieku, który miał zapisane na kartce jego imię i nazwisko.

W połowie czerwca pod moim domem zatrzymał się ciemnoszary wóz. Zostałam poproszona o stawienie się na posterunku. Zabrałam swoją skórzaną torbę i posłusznie wsiadłam do środka. Zastanawiałam się, czy jestem potrzebna komendantowi, czy któremuś z jego ludzi. Może w końcu Franz za mną zatęsknił i mimo mojego wyraźnego oporu, będzie próbował mnie znowu odzyskać? Czy zdołam mu odmówić, nie wyjawiając, że nadal mam męża?

Gdy wysiadałam z wozu, od razu zauważyłam Franza. Stał lekko pochylony przed posterunkiem i palił papierosa. Wyglądał bardziej swobodnie niż zwykle. Jakby nie był komendantem tylko Franzem. Baczenie mi się przyglądał. Kilku żandarmów kręciło się nieopodal baraku. Wyskoczyłam z wozu. Wolnym krokiem zmierzałam w jego stronę. Im bardziej się zbliżałam, tym większy smutek widziałam na twarzy mężczyzny. Byłam zdziwiona, że pozwolił sobie publicznie okazać emocje.

– Wzywał mnie pan, *Herr Kommandant* Hizel.

– Witaj, Alicjo – powiedział łagodnym głosem.

– Witaj, Franz. – Uśmiechnęłam się delikatnie. Tak miło było znów usłyszeć, jak wymawia moje imię z czułością.

Franz podszedł do mnie bliżej i dotknął dłonią mojej twarzy. Przesuwał palcami po moim policzku, aż zatrzymał je na podbródku. Zawsze, gdy to robił, chwilę później całował mnie żarliwie. Na myśl o tym czułam, jak się czerwienię. Franz domyślił się tego i odpowiedział mi uśmiechem. Mimo to nadal widziałam smutek w jego oczach.

– Alicjo, dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytał zatroskany.

– Franz, nie rozumiem.

Patrzyłam w jego błyszczące jasnobłękitne oczy, szukając odpowiedzi. Na próżno. Franz zrobił dwa kroki w tył, po czym zwrócił się do swoich ludzi.

– Wyprowadzić!

Nagle znowu był komendantem. Wyprostował się jak cięciwa, schował ręce za plecy i przybrał kamienną twarz. Dalej nic nie rozumiałam. Spojrzałam na stojących z boku żandarmów. Właśnie otworzyli drzwi baraku, po czym zniknęli w jego wnętrzu. Po chwili ze środka wyszedł mężczyzna. Był w podartym garniturze, poplamionym tak bardzo, że ciężko było stwierdzić, jaki miał właściwie kolor. Nie posiadał butów, a jego stopy i dłonie były czarne od brudu. Miał długą gęstą brodę i sięgające ramion, zapuszczone czarne włosy, lekko już przyprószone siwizną. Jego twarz była ledwo widoczna. Przyglądałam mu się przez chwilę. Nagle wypuściłam z rąk torbę. Usłyszałam dźwięk uderzających o siebie narzędzi i buteleczek. Zakryłam dłońmi usta. Nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Kilkanaście metrów ode mnie stał mój mąż... Janek... Moje serce przestało bić, płuca zapomniały, jak oddychać. Czułam, że cały świat zatrzymał się w miejscu, a z nim i ja. Z trudem zrobiłam pierwszy krok w jego stronę. Miałam wrażenie, że każdy kolejny wymaga ode mnie tak niewyobrażalnej siły, że odbiera mi rok życia. W końcu przyśpieszyłam i kiedy byłam już praktycznie metr od niego, upadłam mu pod nogi. Zaczęłam zanosić się od łez. Z trudem łapałam oddech między kolejnymi spazmami. Trzymałam się za piersi, bojąc się, że za chwilę zabraknie mi powietrza. Nie miałam odwagi na niego spojrzeć. Widziałam tylko jego bosc, zdarte do krwi stopy.

Zobaczyłam, że on również upadł na kolana. Poczułam, jak swoimi dłońmi delikatnie unosi mnie do góry. Wtedy nasze oczy się spotkały. Jego, czarne, wyglądały wciąż tak samo. Zobaczyłam w nich prawdziwe szczęście. Przytulił mnie z całej siły, a ja przylgnęłam do jego piersi, jak gdybym chciała mieć pewność, że znajdujące się tam serce wciąż bije. Słyszałam jego kojący rytm. Mój mąż żył...

Podniósł się jako pierwszy i pomógł mi wstać. Staliśmy naprzeciwko siebie. Dotknęłam jego wychudzonej twarzy i odgarnęłam włosy z jego oczu. To był on, mój Janek.

– Chodźmy do domu – powiedział ledwie słyszalnym głosem.

Kiwnęłam do niego głową i uśmiechnęłam się. Wciąż nie mogłam nic mówić. Czułam w ustach słony smak łez. Wzięłam go pod rękę i wpatrzeni w siebie ruszyliśmy w kierunku drogi. Odeszłam od niego tylko na chwilę, po to by zabrać torbę. Leżała na ziemi, nieopodal nóg komendanta. Nawet na ułamek sekundy nie spojrzałam w jego stronę. Wzięłam ją po prostu do ręki i wróciłam do męża.

Kolejny miesiąc był niczym piękny sen. Odzyskałam męża, a Klara ojca. Cieszyliśmy się każdą chwilą. Nie odstępowaliśmy sobie nawet na krok. Miałam wrażenie, że jeżeli chociaż przez chwilę spuszczę go z oczu, to znowu go stracę. Całymi dniami przesiadywaliśmy w ogrodzie. Janek próbował wynagrodzić Klarze stracone lata, a ja z radością się im przyglądałam. Wspólnie naprawiliśmy ogrodzenie, które po naszych ostatnich remontach znowu podupało. Robiliśmy wszystko to, co każda rodzina. Janek znowu pomagał ludziom. Momentalnie zobaczyłam, jak wraca mu ten błysk w oku, który przez lata więzienia wyraźnie przygasł. Z każdym kolejnym dniem mój mąż coraz bardziej budził się do życia.

– Nie trzymasz mnie! – krzyczałam do niego, chwytając konar drzewa.

– Trzymam, trzymam. – Śmiał się, zadzierając głowę do góry.

– Widzę, że nie masz rąk na drabinie! Janek! Zobaczysz, że spadnę!

– Nic się nie bój, złapię cię! Albo poskładam!

– Bardzo zabawne! – Rzuciłam w niego papierówką. Zrobił szybki unik, nie wiedząc, że celowo chybiłam.

Nagle zobaczyłam, jak poważnieje. Patrzył w kierunku drogi. Odruchowo spojrzałam w tę samą stronę. Między gałęziami dostrzegłam w oddali znajomą postać. Nie wiedziałam, dlaczego komendant przyszedł do nas i to w dodatku piechotą. Powoli zesłam po drabinie. Janek wiedział, że nic nam nie grozi z jego strony. Opowiedziałam mu prawie całą naszą historię. Oczywiście nigdy nie wyznałam mu całej prawdy. Nie wiedział, że komendant mnie kochał, całował, że ze mną sypiał. Nigdy o to nie pytał, chociaż czasem miałam wrażenie, że i tak wszystko dobrze wiedział. Franz nie spuszczał z nas oczu. Podążał pewnym krokiem wzdłuż ogrodzenia. Wszedł przez bramkę i stanął naprzeciwko nas. W tym samym momencie poczułam rękę Janka na swoim biodrze. Przysunął mnie delikatnie do siebie. Trzymał mnie w swoich objęciach, jakby chciał pokazać, że teraz należę do niego.

– Dzień dobry, *Herr Kommandant* Hizel – powiedziałam, starając zachowywać się naturalnie, chociaż na jego widok serce chciało wyskoczyć z mojej piersi.

– Dzień dobry, pani Sambor, panie Sambor. Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać – mówiąc to, wyciągnął rękę w kierunku mojego męża. – Komendant Franz Hizel.

Janek wypuścił mnie z objęć i wymienił z nim uścisk. Jego dłoń w porównaniu z dłonią komendanta była wyraźnie delikatniejsza. W końcu nie była ona stworzona do walki, a jedynie do operacji. Tylko wzrostem sobie dorównywali.

– Ledwo pana poznałem, panie Sambor.

– To zasługa mojej kochającej żony i jej czułych rąk.

Poczułam ucisk w żołądku.

– Co pana do nas sprowadza, komendancie? – zapytał mój mąż.

– Potrzebuję lekarza. Pocisk drasnął mnie w ramię. Niby nic, a jednak lepiej dmuchać na zimne.

– Naturalnie. – Gestem dłoni zaprosił komendanta do środka.

– Mogę się tym zająć, jeżeli chcesz – szepnęłam mu do ucha, zanim ruszył.

– Nie trzeba, jestem dużym chłopcem, poradzę sobie – odpowiedział spokojnym głosem.

Nie byłam pewna, co mam ze sobą zrobić. Iść za nimi, czy zostać na zewnątrz? Nigdy nie przeszłoby mi przez myśl, że mój mąż i dawny kochanek będą siedzieć pod jednym dachem. A co gorsza, że Janek będzie opatrywał Franza. Stwierdziłam, że zostanę i umyję zerwane jabłka. Podeszłam do studni i wrzuciłam do środka blaszane wiadro. Robiłam to wyjątkowo powoli. Z trudem wyciągnęłam je z powrotem. Kucnęłam i zaczęłam bardzo dokładnie myć każdą papierówkę. Gdy byłam w połowie, usłyszałam otwierające się drzwi. Mężczyźni wyszli na zewnątrz. Serce znowu zaczęło mi mocniej bić. Nie odwróciłam się. Jedynie kątem oka widziałam, jak Franz idzie wzdłuż ogrodzenia. Gdy odkładałam kolejne jabłko na gorące deski studni, podniosłam na moment wzrok i wtedy zobaczyłam jego jasnoblękitne oczy. Przez ułamek sekundy wymieniliśmy spojrzenia. Franz odwrócił wzrok, a ja spuściłam głowę i przekładałam w ręku kolejne jabłko. Tej nocy Janek kochał się ze mną jak nigdy wcześniej, jakby chciał mi coś wynagrodzić albo udowodnić, a może się po prostu czegoś bał... Ja kochałam go tak samo jak zawsze...

W połowie lipca podjęliśmy decyzję, że wracamy do Warszawy. Janek pragnął za wszelką cenę podjąć się znowu operowania, a ja nie potrafiłam mu odmówić. Obiecał, że nie zrobi niczego, co zagrozi jego życiu. Okłamywałam się, że mu wierzę. Za parę dni mieliśmy już na zawsze opuścić nasz wiejski domek. Chociaż niczego nam nie brakowało i byliśmy bezpieczni, czułam, że mój mąż zdania już nie zmieni.

Wiedziałam jednak, że zanim odjadę, po raz ostatni muszę porozmawiać z Franzem. Musiałam wymóc na nim jedną obietnicę... Wzięłam torbę i wyszłam do miasteczka, jak zazwyczaj. Tylko tym razem poszłam prosto na posterunek. Po raz ostatni zapukałam do jego drzwi. Gdy usłyszałam pozwolenie, weszłam do środka. Na mój widok poderwał się na równe nogi.

- Alicjo... – powiedział swoim niskim, zachrypniętym głosem.
- Dzień dobry, *Herr Kommandant Hizel* – odpowiedziałam niepewnie.
- Przyszłam sprawdzić pana ranę...
- Ranę? – zapytał zaskoczony. – Ach... tę ranę...

– Chciałam upewnić się, czy nie wdało się zakażenie. Sam pan powiedział, że lepiej dmuchać na zimne.

– Ma pani rację... – Spojrzał na mnie czule.

Odruchowo odwróciłam głowę. Kątem oka zauważyłam, że podwija rękaw koszuli. Podeszłam bliżej i delikatnie, opuszką palca, dotknęłam jego ramienia. Rana już dawno się zagoiła. Nie cofnęłam dłoni. Wciąż czułam jego skórę pod swoimi palcami.

– Przyszłam się pożegnać – wyszeptałam w obawie, że ktoś inny mógłby mnie usłyszeć.

– Pożegnać? Dlaczego?

Położył swoje dłonie na moich biodrach i przysunął mnie z całej siły do siebie. Dzieliło nas zaledwie kilka centymetrów. Zaczęłam szybciej oddychać.

– Wracamy do Warszawy. Mój mąż chce ponownie pracować z pacjentami. – Tymi słowami dałam mu do zrozumienia, że to nie była moja decyzja.

– Jesteście pewni? Tu będziecie bezpieczni. Z mojej strony nic wam nie grozi, Alicjo.

– Wiem... ale mój mąż, on się domyśla, że darzyłeś mnie specjalnymi względami... że coś między nami było... – powiedziałam nieśmiało.

Położyłam dłoń na piersi mężczyzny. Chciałam po raz ostatni poczuć bicie jego serca.

– Musisz mi coś obiecać, Franz...

Spojrzałam mu prosto w oczy. Przeraziła mnie ich żalność.

– Obiecuj mi, że przeżyjesz... Że cały i zdrowy wrócisz do swojej Bawarii...

Nic nie odpowiedział. Zdjął moją dłoń ze swojej piersi i ucałował. Po chwili ją wypuścił. Cofnęłam się, odwróciłam i podeszłam do pozostawionej pod drzwiami torby. Poczułam w sercu przeszywający ból. Jeżeli miałam go już więcej nie zobaczyć, to nie chciałam niczego żałować. Odwróciłam się i szybkim krokiem ruszyłam w jego stronę. On zrobił dokładnie to samo. Wpadliśmy sobie w ramiona w połowie drogi. Obejmowaliśmy się z całej siły, jakby to miał być ten ostatni raz. Gdy uwolniłam się z jego objęć, ponownie spojrzałam mu w oczy.

– Franz... – wymówiłam jego imię z czułością.

Zobaczyłam, że jego oczy znowu nabierają blasku. Obserwowałam, jak delikatnie zbliża swoją głowę do mojej. Z utęsknieniem wysunęłam twarz w stronę mężczyzny. Już wiedziałam, co się zaraz wydarzy. Chciałam tego. Tak bardzo tego chciałam... Po chwili poczułam smak jego ust. Całował mnie zachłannie, jakby nie mógł się mną nasycić. Ja również pragnęłam więcej. Pragnęłam go całego. Wiedziałam, że jeżeli teraz nie przestanę, za chwilę posuniemy się o krok dalej. Nie mogłam tego zrobić Jankowi. Już i tak wystarczająco go dziś zdradziłam. Choć on nie zawsze był mi wierny, moje sumienie na nic więcej mi nie pozwalało. Odepchnęłam Franza od siebie, a z oczu momentalnie popłynęły mi łzy. Odwróciłam się i ruszyłam w stronę drzwi.

– Alicjo, ty też mi coś obiecaj.

Przystanęłam.

– Obiecaj, że przez najbliższe dni nie będziesz wychodziła do partyzantów.

– Do partyzantów? – zapytałam, udając niezrozumienie.

– Alicjo, przecież ja wszystko wiem – odpowiedział tajemniczo. – Nie wchodź do lasu. To bardzo ważne. Zaczyna się robić naprawdę nerwowo. To już nie potrwa długo...

Wyczułam obawę w jego głosie. Kiwnęłam mu głową i uciekłam. Zalana łzami wracałam do domu. Chciałam, jak najszybciej zobaczyć Janka, bo tylko jego widok mógł mi teraz pomóc.

Obudziło mnie ciche pukanie do drzwi. Zdawało mi się, że jest środek nocy. Oboje z Jankiem zerwaliśmy się na równe nogi. Za drzwiami stał Teodor, sąsiad z budynku stojącego obok posterunku żandarmerii.

– Pani Alicjo, Niemcy szykują się do wejścia do lasu! Wszystko słyszałem! Nazjeżdżało się ich kilka ciężarówek! Dzieje się coś dużego! A najgorsze jest to, że widziałem na ich podwórku Henryka! Tego partyzanta! On wie, gdzie ich szukać! Musimy działać! Musimy coś zrobić! Musi pani im pomóc!

– Niech się pan uspokoi! – mówiłam przerażona, analizując dokładnie jego słowa. – Niemcy nie wejdą w środku nocy do lasu.

– Jaki środek nocy, zaraz świta! Pani Alicjo, co robimy?

– Trzeba ich ostrzec i to jak najszybciej.

Spojrzałam na męża.

– Ja pójdę – zaproponował. – Wytłumaczysz mi, gdzie ich znaleźć.

– Janek, wiesz, że to niemożliwe. Pójdę sama. Znam już ten las, aż za dobrze.

Natychmiast zaczęłam się ubierać. Janek próbował mnie od tego pomysłu odwieść, ale daremnie. Musiałam ich ratować, nie było czasu do stracenia. Na koszulę nocną narzuciłam jedynie cienki płaszcz, zawiązałam na głowie chustkę. Chwilę później już biegłam znajomą ścieżką między drzewami. Świt był coraz bliżej. Pędziłam co sił w nogach, kilka razy potykając się o leżące na ziemi gałęzie. Gdy zobaczyłam wartownika, kazałam mu natychmiast uciekać. Biegając, krzyczałam do niego, co się dzieje. W końcu wpadłam na polanę. Większość partyzantów jeszcze spała, reszta stała na czatach. Zobaczyłam idącego do mnie Zająca. Krzyczałam do niego, błagałam, żeby natychmiast uciekali. Słońce już niemalże wzeszło, Niemcy mogli tu być w każdej chwili. Zobaczyłam Ewę ubraną w wojskową kurtkę z białoczerwoną przepaską na rękawie. Była jedną z nich. Nagle zrobiło się niesamowite zamieszanie. Każdy chwycił za broń, pięć minut później nasi uciekali już w głąb lasu, zostawiając resztę rzeczy. Zając kazał mi iść z nimi, ale stwierdziłam, że zdążę wrócić swoją drogą. Jeżeli Niemców prowadził Henryk, to musieli iść od drogi, a nie moją ścieżką biegnącą od rzeki. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, znowu pędziłam między pniami drzew. Zaczynało się coraz bardziej przejaśniać. Nagle usłyszałam wściekły skowyt psów. Przeraziłam się. Niemcy zabrali ze sobą psy tropiące. Serce waliło mi jak oszalałe, ale nie przestawałam biec. Nie miałam pojęcia, z której strony dochodzą te dźwięki. Chwilę później usłyszałam łamiące się gałęzie, więc skręciłam w bok. Uciekałam inną drogą. Kierowałam się bardziej w stronę rzeki. Coraz wyraźniej słyszałam trzaskające pod ciężarem niemieckich butów suche patyki i głośne ujadanie psów. Pomyślałam, że jedyne wyjście, to szybkie przekroczenie Narwi. Mosty w tej części rzeki były niemalże doszczętnie zniszczone. Stały jedynie na kilku balach i nie miały większości desek. Niemcy nie postawiliby na nich nawet stopy, za to mnie mogło się udać, przecież ważyłam niewiele ponad pięćdziesiąt kilogramów. Pędziłam przed siebie, aby tylko w końcu zobaczyć rzekę. Nagle usłyszałam świst

kul. Odruchowo kucnęłam i przeczołgałam się pod niewielkie wzniesienie. Wiedziałam, że nie mogę tu zostać. Musiałam dalej biec. Z oddali słyszałam coraz wyraźniejszy szum rzeki. Zatem byłam już naprawdę blisko. Wskoczyłam jak oparzona i biegłam w kierunku wody. Po kilku metrach znowu usłyszałam świst wystrzelonej kuli. Zachwiałam się.

– Tutaj! – krzyczał mężczyzna po niemiecku. – Komendancie, mam go!
„Komendancie...” – powtórzyłam w myślach. Czy chodziło mu o Franza? Nie mogłam spokojnie czekać, aby się o tym po prostu przekonać. Każdy Niemiec, poza Franzem, w sekundę mnie zabije. Jednak musiałam się zatrzymać. Schowałam się za szeroki pień drzewa i przylgnęłam do niego plecami. Ciężko oddychałam. Dotknęłam brzucha. Poczułam ciepłą, lepłą maź. Spojrzałam na swoją koszulę. Zobaczyłam rozchodzącą się, wielką plamę krwi. Ściągnęłam z głowy chustę, a blond włosy delikatnie opadły mi na ramiona. Przycisnęłam ją mocno do miejsca po wlocie kuli, aby zatamować krew. Musiałam uciekać, ale nie byłam już w stanie biec. Z trudem posuwałam się do przodu.

W końcu ujrzałam Narew i drewniany most. Przyśpieszyłam, chciałam jak najszybciej być po drugiej stronie. Gdy do niego dobiegłam, spojrzałam pod nogi, żeby ostrożnie postawić pierwszy krok. Widziałam ściekające po koszuli krople krwi. Złapałam ręką za drewnianą poręcz mostu. Powoli przesuwałam się do przodu. Musiałam uważać, żeby nie trafić w dziurę, a nie było to łatwe, ponieważ między pojedynczymi deskami były niemalże metrowe prześwity.

– Nie strzelać! – rozkazał znajomy głos.

Miałam wrażenie, że słyszę go tylko w swojej głowie. Zrobiłam kolejny krok.

– Alicjo? – powtórzył z niedowierzaniem.

Znowu ten głos. Może jednak...

– Alicjo! Na Boga, zatrzymaj się!

– Franz, to naprawdę ty... – powiedziałam uradowana, jak gdyby nigdy nic.

Trzymając mocno poręcz, ostrożnie się odwróciłam. Wtedy go ujrzałam. Mój przystojny komendant. W jego jasnobłękitnych oczach widać było

tylko przerażenie. Nie odrywał wzroku od mojej mokrej od krwi koszuli.

– Alicjo, pomogę ci, chodź do mnie, kochanie.

Uśmiechnęłam się.

– Och Franz... To koniec. Nikt mi już nie pomoże... – mówiłam słabnącym głosem. – Rozpoznanie... Rana postrzałowa brzucha w okolicy przykręgosłupowej lewej, na wysokości L2-L3. Nieduża, z niewielkim wlotem pocisku. Brak rany wylotowej. Silne krwawienie. Diagnoza... Śmierć w ciągu trzydziestu minut.

Zobaczyłam, jak z lasu wyskakuje cały oddział. Wiedziałam, że jeżeli Niemcy zobaczą, że mnie zna i mi pomaga, uznają go za zdrajcę...

– Nie podchodź, Franz! Nic już nie zmienisz! Tak widocznie miało być... Trzy razy mnie uratowałeś... Wygląda na to, że wyczerpałam pułę swojego szczęścia... – Wysiliłam się na sarkazm. – Wyceluj we mnie, Franz, niech widzą, że jesteś z nimi...

– Ale dlaczego? – mówił z pretensją w głosie, nie robiąc sobie nic z otaczających nas nazistów. – Przecież wiedziałaś! Obiecałaś mi to...

Zobaczyłam przed oczami mroczki. Wiedziałam, że za chwilę stracę przytomność. Nie miałam już siły mu odpowiedzieć, że przecież jest wojna, że jesteśmy po dwóch stronach barykady i że każdy walczy na swój sposób. Ale chciałam, by to wiedział. Wypuściłam z ręki chustę i ostatkiem sił uniosłam dłoń. Własną krwią narysowałam na płaszczu literę P... Sekundę później zrobiłam krok przez pękniętą barierkę mostu i swobodnie opadłam w dół. Nim się zorientowałam, byłam już pod wodą. Wciągała mnie czarna głębia. Uniosłam głowę i zobaczyłam oddalające się światło. Zamknęłam oczy, dając się ponieść nurtowi rzeki.

Gdy ponownie otworzyłam oczy, zobaczyłam błękitne niebo. Było tak piękne. Nie wiedząc czemu, zaczęłam zastanawiać się, czy takie samo jest teraz w Bawarii... Franz na pewno odpowiedziałby, że nawet piękniejsze... Unosiłam się na wodzie. Czułam jej przyjemny, orzeźwiający chłód. Było mi tak dobrze. Nie bałam się. Wiedziałam, że Klara i Janek są bezpieczni, a tylko to się teraz liczyło. Ogarnął mnie spokój. Gdy znowu zamykałam oczy, nie czułam żadnego strachu. Po chwili Franz niósł mnie w ramionach... Zupełnie jak wtedy... Woda ściekała z moich ubrań i włosów. Biegł. Uniosłam powieki. Chciałam go

znowu ujrzeć, jednak zamiast niego zobaczyłam twarz człowieka, którego dzieci jakiś czas temu wyleczyłam z gorączki.

Czułam, że leżę na czymś twardym. Ktoś mówił, że wszystko będzie dobrze. Przechyliłam głowę i zobaczyłam kuchenne okno. Wpadały przez nie promienie słoneczne, które rozgrzewały drewnianą podłogę. W południe deski były rozgrzane do czerwoności, tak że z trudem można było latem po nich chodzić. Wręcz czułam ten piekący ból. Ktoś zasłonił mi widok, wyciągnął do mnie rękę i położył kawałek gazy na nosie oraz ustach. Tym razem zasnęłam głęboko.

- Mamo? – Usłyszałam głos córki.
- Klara? – Odruchowo próbowałam się podnieść.
- Alicjo, musisz leżeć spokojnie.
- Janek, gdzie my jesteśmy?

Rozejrzałam się wokół siebie. Leżałam w łóżku w nieznanym mi chacie. Klara i Janek siedzieli obok z zatroskanymi minami. Odruchowo włożyłam rękę pod kołdrę i dotknęłam brzucha. Miejsce po kuli było starannie zabandażowane.

- Co się stało? Jakim cudem ja żyję?
- Mamo, tatuś cię uratował! Był niesamowity! – mówiła Klara podekscytowana. – Mamo, ja widziałam twoją śledzionę! Nawet miałam ją w ręku! Początkowo myślałam, że zemdleję, gdy tata rozciął twój brzuch, ale potem już byłam twarda!
- Musiałem zrobić splenektomię. Kula trafiła w sam środek śledziony. Nie było jak jej ratować, a przynajmniej nie na kuchennym stole.
- A zakażenie? Jak rana? – dopytywałam.
- Naszprycowałem cię wszystkim, co wpadło mi w rękę. Potem twój znajomy, Zając, jak się nie mylę, doniósł jeszcze trochę medykamentów. Mówił, że w ostatniej chwili ich ostrzegłaś. Mieli małą wymianę ognia, ale większość żandarmów nie zdążyła ich dopaść.
- A gdzie my w ogóle jesteśmy?
- W Śniadowie. Zając nas tutaj ulokował jeszcze tego samego dnia. Zostaniemy tu przez kolejny tydzień, a potem pojedziemy do Warszawy.
- Kolejny? Jak długo spałam?

– Miałaś gorączkę. Podawałem ci leki na uspokojenie. Twój organizm musiał wypocząć.

– Dziękuję wam obojgu – powiedziałam, łapiąc ich dłonie. – Naprawdę byłam pewna, że to już koniec. Nie bałam się, bo wiedziałam, że jesteście razem.

W Śniadowie zostaliśmy o wiele dłużej. Pierwszego sierpnia w Warszawie wybuchło powstanie i musieliśmy zapomnieć o powrocie. Szczęśliwie pod koniec miesiąca Armia Czerwona była już bardzo blisko nas. Całymi dniami słyszeliśmy wybuchy bomb, salwy armat i sowieckie katusze. Z tutejszego posterunku żandarmerii w popłochu uciekli wszyscy Niemcy. Kierowali się w stronę swojego wojska, które nadciągało od Łomży. Następnego dnia zaczęło się piekło. Sowietci rzucili bombę na posterunek, jednak zamiast na niego, spadła po drugiej stronie ulicy. Huk był tak straszny, że w kilku sąsiednich domach wyleciały wszystkie szyby z okien, w tym nasze. Ukryliśmy się wtedy w piwnicy. Przytuleni do siebie, spędziliśmy tak kilka godzin, chociaż wiedzieliśmy, że nie jest to bezpieczna kryjówka. Po uderzeniu bomby nie mieliśmy żadnych szans. Baliśmy się jednak wyjść na zewnątrz. Wtedy też zaczęła się wielka bitwa o Śniadowo, a my byliśmy w jej centrum. Po jednej stronie wsi znajdowały się wojska sowieckie ze swoimi działami i katuszami, a po drugiej stronie armia niemiecka. Jedna wielka niekończąca się strzelanina. Gdy ściany naszego domu zaczęły drżeć, nie mieliśmy już wyjścia – postanowiliśmy uciekać do zagajnika widocznego za wsią. Zabraliśmy trochę jedzenia, koce i pędziliśmy co sił w nogach, aby jak najdalej od zabudowań. Samoloty latały nad naszymi głowami tak nisko, że niemalże widzieliśmy twarze pilotów. Wszędzie słyhać było wystrzały z działek przeciwlotniczych. Wokół nas znajdowało się pełno zabitych żołnierzy, jednych i drugich wojsk. Gdy tylko wyszliśmy poza wieś, okazało się, że jesteśmy na samej linii frontu. Usłyszeliśmy wołanie sowieckich żołnierzy. Kazali nam paść na ziemię. Zrobiliśmy to w sekundzie. Padaliśmy i zrywaliśmy się co chwila. Przebiegliśmy kilka metrów i znowu chowaliśmy się na ziemi. Mieliśmy do pokonania zaledwie dwa kilometry, ale trwało to całą wieczność. W pewnym momencie przed nami upadł pocisk – Janek rzucił

się na Klarę, a ja stałam jak wryta. Jakimś cudem jednak nie rozerwał się. Uciekaliśmy dalej. Gdy dobiegliśmy do lasu, nie mogliśmy uwierzyć, że przeżyliśmy to piekło. Leżąc na płasko w niewielkim zagłębieniu, dotrwaliśmy do wieczora. Jednak front ciągle był blisko. Nad naszymi głowami widzieliśmy maszerujących sowieckich żołnierzy. Nie zwracali na nas zupełnie uwagi. Dostrzegaliśmy, jak w oddali pali się Śniadowo i wszystkie okoliczne wsie. Niebo wciąż przecinały samoloty. Sowietci zajęli pozycję kilometr przed nami. Ostrzeliwali Niemców ukrywających się trzy kilometry dalej, w lesie pod Chomentowem. Obserwowaliśmy, jak kolejne drzewa kładą się od ostrzału sowieckich katuszy. Po kilku godzinach las wyglądał tak, jakby ktoś jednym ruchem skosił wszystkie drzewa. Zostały jedynie połamane, wystające z ziemi, gołe konary. Nocą niebo bezustannie przecinały rozbłyski. Były ich tysiące. Momentami tak się rozjaśniało, że dokładnie widzieliśmy swoje twarze. Nie było mowy o spaniu. Gdy tak leżałam, trzymając za rękę Klarę, która była pośrodku nas, przez chwilę pomyślałam o Franzu. Zastanawiałam się, czy był wraz ze swoimi ludźmi w tamtym lesie, czy bał się tak jak my... A może jednak zdecydował się uciekać... A może leżał już martwy z kulą w piersi... Nie było mi żal żadnego Niemca z tamtego lasu oprócz tego jednego...

Nad ranem, gdy wszystko trochę ucichło, popędziliśmy, aby jak najdalej od frontu. Kilka dni później Śniadowo i okoliczne wsie były już wolne. Niemcy wycofali się do Łomży. Mogliśmy wrócić do Śniadowa. Nasz dom szczęśliwie przetrwał. Oprócz brakujących szyb i kawałka dachu, wyglądał lepiej niż niejeden na tej ulicy. W budynku po żandarmerii niemieckiej stacjonowało teraz wojsko sowieckie. Na placu targowym urządzono szpital polowy. Sowietci mieli swojego jednego lekarza, ale skala rannych pacjentów była zatrważająca. Razem z Jankiem zgłosiliśmy się jako ochotnicy. Opatrywaliśmy rannych, amputowaliśmy kończyny, przeprowadzaliśmy operacje. Ich lekarz miał wszelkie możliwe medykamenty. Posiadał nawet specjalny namiot do przeprowadzania zabiegów. Pracowaliśmy bez wytchnienia, po kilkanaście godzin, dzień w dzień. W zamian dostawaliśmy prowiant. Odkąd zaczęła się walka, o jedzenie było coraz trudniej. Praktycznie każdy chodził głodny. Nawet Sowietom się nie przelewało.

Do każdego pacjenta musiałam chodzić z tłumaczem. Nie znałam rosyjskiego, więc pomagała mi młoda dziewczyna ze Śniadowa, która biegle władała ich mową. Gdy opatrywałam młodego chłopaka z raną nogi, od razu na myśl przyszedł mi Max.

– Skąd cię przywieźli? – zapytałam, a dziewczyna tłumaczyła.

– Nie pamiętam nazwy – odpowiedział.

– A była tam rzeka?

Popatrzył na mnie zdziwiony i kiwnął głową.

– A Niemcy na posterunku byli?

Zaprzeczył. Potem zapytałam jeszcze kilku, ale żaden nie umiał mi odpowiedzieć, gdzie konkretnie walczył. Niczego więcej nie dowiedziałam się o swoim komendancie.

Trzynastego września Sowieci odbili Łomżę. Ich lekarz powiedział nam, że uhonorowano to w Moskwie salwą ze stu dwudziestu czterech dział armatnich. Nie wiedzieliśmy, czy mówił prawdę, czy się przechwalał. Rannych zaczęto przewozić do łomżyńskiego szpitala. Zaproponowano nam tam pracę. Bez wahania ją przyjęliśmy. Mieliśmy nadzieję, że w Łomży będzie nam się lepiej żyło, jednak to, co zobaczyliśmy po przyjeździe, sprawiło, że mieliśmy ciarki. Miasto praktycznie nie istniało. Niemcy, wycofując się, wysadzali w powietrze ważniejsze budynki, a pod resztę podłożyli ogień. Z powierzchni ziemi zniknęło trzy czwarte miasta. Jadąc sowiecką ciężarówką, przyglądałam się wysadzonemu w powietrze niemieckiemu więzieniu. Zamiast niego była tylko gigantyczna sterta czerwonych cegieł. Nie pozostał nawet ślad po osadzonych tam więźniach. Z oddali górował nad miastem tylko jeden budynek. Katedra, która jakimś cudem została oszczędzona. Jak się później okazało, łomżyński biskup wybłagał litość u dwóch Niemców, którzy przyszli wysadzać świątynię, mówiąc, że jeżeli ją ocalą, to obydwaj bezpiecznie wrócą do swoich domów. Również szpital stał na swoim miejscu. Od sióstr dowiedziałam się, że doktor Kaufman wycofał się wraz z wojskiem do Prus Wschodnich.

Zamieszkaliśmy z Jankiem w niewielkim pokoju, udostępnionym nam przez szarytki. Przez kolejne tygodnie czas mijał nam wyłącznie na pracy. Pełniliśmy dyżury, jeden za drugim. Musieliśmy przygotować

jeszcze jedną salę operacyjną. Wbrew zmęczeniu i nieludzkim warunkom cieszyliśmy się, że przeżyliśmy i wciąż jesteśmy razem. Uwielbiałam patrzeć na swojego męża, gdy operował. Znowu zaczął nucić swoje piosenki. Siostry były nim zachwycone. I wcale się im nie dziwiłam. Janek był przystojny i elokwentny. Umiał rozmawiać ze wszystkimi kobietami, niezależnie od wieku czy stanu cywilnego. Nie był przy tym ani obsceniczny, ani nachalny. Miał to coś i to wystarczyło. Właśnie tym rozkochał w sobie przecież i mnie.

Gdy mieliśmy wolną chwilę, wybieraliśmy się na miasto, szukaliśmy dla siebie nowego miejsca. Chodziliśmy też na targ, próbując dostać jakieś ubranie lub buty w zamian za medykamenty, które po kryjomu wynosiliśmy z sowieckich zapasów. Podczas jednej z takich wypraw, spotkałam znajomą twarz.

– Zajac! – krzyknęłam uradowana na jego widok, ciesząc się, że udało mu się przeżyć.

– Witek – poprawił mnie, nerwowo rozglądając się wokół.

– Przepraszam, to z przyzwyczajenia. – Odruchowo zakryłam dłonią usta. – Pozwól, że ci przedstawię, to mój mąż, Jan Sambor.

Zajac się zaśmiał.

– Przecież my się znamy. Prawda?

– Mieliśmy tę przyjemność – potwierdził.

– Całkiem zapomniałam! Ale to zrozumiałe, patrząc, w jakim byłam wtedy stanie – powiedziałam zmieszana. – Jak żyjesz?

– Dobrze, ale walka nadal trwa.

Popatrzyłam na niego z niezrozumieniem. Wydawało mi się, że wcale nie mówił o wojnie z Niemcami, ale to nie był ani czas, ani miejsce na takie rozmowy.

– A co u was?

– Leczymy. Tym razem Sowietów – powiedziałam z lekkim uśmiechem.

– Mamy nadzieję, że kiedyś w końcu się to zmieni. Inaczej będziemy zmuszeni do nauki rosyjskiego. Ciężko jest zajmować się pacjentem, którego ani ty nie rozumiesz, ani on ciebie.

Wymieniliśmy jeszcze kilka uprzejmych zdań, po czym Zajac uściśnął nam dłonie i zaczął iść w kierunku ulicy Dwornej.

– Zaraz wrócę – powiedziałam do męża i zanim zareagował, puściłam jego dłoń. Podbiegłam do Zająca i klepnęłam go lekko w ramię. Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Witek, mam do ciebie jeszcze jedno pytanie – powiedziałam zmieszana.

– Słucham?

– Wiesz coś o Niemcach z Nowogrodu?

Spochmurniał. Byłam świadoma, że wolałby tego nie usłyszeć, lecz nie zważałam na to. Musiałam to zrobić. Najgorsza była przecież niewiedza.

– Uciekli albo zginęli. – Wzruszył ramionami. – Kto ich tam wie...

– Rozumiem – odpowiedziałam zgaszona. – Witku, naprawdę cieszę się, że jesteś cały i zdrowy. Byłeś moim jedynym przyjacielem. – Uśmiechnęłam się serdecznie.

– Alicjo... – zaczął niepewnym głosem – możesz zapytać o nich swojego sowieckiego znajomego, tego generała, którego do nas przyprowadziłaś.

– Generała? – zapytałam zaskoczona.

Kiwnął głową.

– Twój pułkownik awansował na generała i teraz tu dowodzi. Całym tym terenem, z którego uciekli Niemcy. Nie wiedziałaś?

– Nie miałam pojęcia – odpowiedziałam. – Dziękuję.

Uścisnęliśmy ponownie swoje dłonie. Wróciłam do Janka. Był jakiś nieobecny. Próbowałam go zagadać, ale nawet nic nie odpowiedział. Przez całą drogę do domu oboje milczeliśmy.

Kolejnego dnia było to samo. Czułam, że coś go gryzie, jednak on zawzięcie milczał, albo mnie unikał. W końcu złapałam go samego na sali operacyjnej, gdy mył się po zabiegu.

– Możesz mi powiedzieć, co cię ugryzło? Obraziłeś się na mnie za to, że rozmawiałam z tamtym mężczyzną?

Dalej nic nie mówił, tylko szorował swoje ręce.

– Przecież wiesz, kim on jest, poznaliście się. Chyba nie powiesz, że jesteś o niego zazdrosny! – wypaliłam.

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami. Widziałam, że jest wściekły.

– Janek, no powiedz w końcu coś do mnie!

Odwrócił się w moją stronę i popatrzył mi prosto w oczy.

– Z nim też spałaś?

Poczułam, jak sztywnieję. Z mojej twarzy odpłynęła cała krew. Zacisnęłam zęby i wyszłam. Trzasnęłam za sobą drzwiami i poszłam prosto do naszego pokoju. W środku była Klara. Czułam, że za chwilę się rozplacę, a nie chciałam, by to widziała. Zgarnęłam płaszcz z wieszaka i założyłam na głowę kapelusz. Musiałam pobyć sama.

Szłam ulicami Łomży, nie wiedząc ani gdzie, ani po co idę. Po jakimś czasie zorientowałam się, że stoję przed siedzibą główną sowieckiej armii. Wielki budynek ogrodzony był od ulicy drutem kolczastym. Z zasłyszanych rozmów swoich pacjentów dowiedziałam się, że właśnie tu trzymają wszystkich niemieckich jeńców z regionu. Wolnym krokiem podeszłam do strażnika. Nie wiedziałam, co, u licha, wyprawiam, ale jakiś wewnętrzny głos popychał mnie do przodu.

– Dzień dobry, chciałam się widzieć z generałem wojsk powietrznodesantowych Armii Czerwonej.

– Coś jeszcze? – Zaśmiał się.

– Jestem jego lekarzem! – wrzasnęłam. – Proszę mnie natychmiast do niego zaprowadzić!

Żołnierz oniemiał, jednak po chwili wprowadził mnie do środka. Kazał mi usiąść na krześle i czekać. Zapytał o moje personalia, aczkolwiek wiedziałam, że generał nie znał ani mojego imienia, ani nazwiska. Powiedziałam mu, żeby przekazał swojemu przełożonemu, iż przyszła lekarka z lasu.

Parę minut później wchodziłam do obszernego, zadymionego gabinetu. Przy wielkim biurku siedział nie kto inny, jak mężczyzna o wyglądzie Gruzina, którego kiedyś gościłam w swoim domu.

– Byłem pewien, że to będzie właśnie pani! – Zaśmiał się na mój widok.

– Lekarka z lasu! Coś w tym jest...

– Dzień dobry, panie generale – powiedziałam, nie ruszając się z miejsca.

– Dzień dobry, proszę zdjąć płaszcz i się rozgościć.

Usiadłam na krześle naprzeciwko jego biurka i nerwowo ścisnęłam w rękę swoją torebkę.

– Widzę, że udało się panu dotrzeć do swoich, panie generale.

– A to wszystko dzięki pani – mówiąc to, odchylił się na krześle.

– Czyli pamięta pan moje zasługi?

– Oczywiście!

– Cieszę się bardzo, bo przyszedłam do pana z prośbą.

Generał wyglądał na zaintrygowanego.

– Słucham, jak mogę pani pomóc?

– Chciałabym się dowiedzieć, czy wśród pana jeńców jest jeden Niemiec.

Mężczyzna uśmiechnął się tajemniczo.

– Domyślam się, że chodzi pani o pewnego komendanta. Tego samego, który przyszedł wtedy do pani domu?

– Nie inaczej, panie generale. Chcę wiedzieć, czy żyje.

– Żyje – odpowiedział krótko.

– Nawet nie zapytał pan, jak się nazywa ów komendant – stwierdziłam podejrzliwie.

– Nie muszę. Ja wiem wszystko o swoich jeńcach. Mieszkała pani w Nowogrodzie, zatem chodzi pani o komendanta Franza Hizela urodzonego w tysiąc dziewięćset drugim roku w Laufen w Bawarii.

Otworzyłam szeroko oczy. Byłam zdumiona.

– Sama pani widzi – powiedział dumny z siebie. – Ale już niedługo. Wszystkich komendantów i wyższych stopniem czeka śmierć przez rozstrzelanie. Nie będzie żadnej litości.

Oblał mnie zimny pot. Musiałam ścisnąć mocniej dłonie, żeby powstrzymać drżenie.

– Panie generale, czy ze względu na fakt, że ryzykowałam dla pana i pańskich żołnierzy życie, że uratowałam rękę pańskiego kolegi i zaprowadziłam pana do partyzantów, czy ze względu na to może pan darować mu życie?

Generał patrzył na mnie, a uśmiech nie schodził mu z ust.

– Przecież gdyby nie ja, nie byłoby tu pana – ciągnęłam z nadzieją, że zmięknie.

– Zgadza się. Ma pani w zupełności rację. Niestety komendant Hizel musi ponieść karę za swoje czyny.

– W zupełności się z panem zgadzam, panie generale, ale czy w takiej sytuacji nie wystarczająca będzie kara więzienia, jak dla pozostałej

części jeńców?

– Przykro mi. Nie zmienię swojego zdania – powiedział stanowczym głosem. – Chyba że mnie pani przekona...

Generał spojrział na mnie jednoznacznie. Zacisnęłam mocniej zęby.

– Panie generale, przedstawił mi się pan jako człowiek honorowy.

– I słowa dotrzymałem, czyż nie? Ani ja, ani moi żołnierze nie zrobiliśmy pani krzywdy.

– A ta propozycja, którą właśnie otrzymałam?

– Jak słusznie pani zauważyła, to tylko propozycja. Nie chcę do niczego pani przymuszać. Oczekuję jednak, że taka piękna kobieta, może mi coś w zamian zaoferować z własnej i nieprzymuszonej woli. Poza tym, o ile dobrze pamiętam, była pani z komendantem tylko na polecenie partyzantów, więc chyba takie rzeczy nie sprawiają pani dużego problemu. Nie musi pani udawać przede mną takiej cnotliwej.

Milczałam. Chciałam podejść i uderzyć go w twarz za te zniewagi. Wyjść i trzasnąć za sobą drzwiami. Unieść się honorem. Udowodnić mu, że się mylił. Jeżeli jednak mówił prawdę i Franz miałby tu zginąć, czy mój honor był ważniejszy od jego życia? Uratował mnie przecież trzykrotnie. Gdyby nie on, nie trafiłabym na przyjęcie, nie spotkałabym Heinricha i nie uratowałabym tamtego Niemca. Dzięki niemu tak naprawdę odzyskałam swojego męża. Nie chciałam, by tu zginął... Chciałam, żeby żył...

Wstałam i podeszłam do okna. Spojrzałam na teren, który rozciągał się na tyłach posterunku. Po lewej i prawej stronie, wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego, ciągnęły się dwa podłużne budynki. Pomiędzy nimi był wydzielony ogromny pas, ogrodzony takim samym drutem. W środku siedzieli stłoczeni niemieccy jeńcy, jeden przy drugim. Były ich setki.

Usłyszałam za sobą kroki generała. Staął tuż za mną.

– Tu go pani nie zobaczy – powiedział zza moich pleców. – Ci, którzy tu siedzą, to szeregowi żołnierze, odsiedzą swoje i wyjdą. Pani komendant jest w jednym z tych budynków. Na końcu każdego z nich mamy wydzielone specjalne pomieszczenie. Jego ściany zobaczy jako ostatnie w swoim życiu.

Przeszedł mnie dreszcz. Nie wiedziałam tylko, czy to na dźwięk tych słów, czy przez dotyk jego dłoni na moich biodrach. Ten ostatni raz

musiałam go uratować, musiałam znowu walczyć...

Zapinając suwak spódnicy, rozglądałam się za swoimi butami. Chciałam czym prędzej stąd wyjść. Stały nieopodal krzesła. Podeszłam i szybkim ruchem wsunęłam je na stopy. Wzięłam torebkę do ręki.

– Mam jeszcze jedną prośbę – powiedziałam, otwierając ją.

– Jeszcze kogoś mam uratować? – Zaśmiał się, a ja zagryzłam wargi.

– Proszę mu to dać. – Położyłam na blacie biurka paczkę papierosów i pudełko zapalek. – Chyba tyle może pan dla mnie zrobić, nie oczekując nic w zamian?

– Dobrze, dla pani wszystko.

– Trzymam pana za słowo, panie generale – powiedziałam, nie patrząc na niego. Wycofywałam się powoli do wyjścia.

– Proszę być spokojną, przecież mówiłem pani, że jestem człowiekiem honoru.

Nie zareagowałam. Nie powiedziałam nic więcej. Chwyciłam za klamkę i wyszłam.

Szłam dalej ulicami Łomży. Bez żadnego celu. Miałam nadzieję, że zanim wrócę do domu, o wszystkim zdołam zapomnieć.

Gdy kładłam się w nocy do łóżka, Janek przysunął się bliżej i szepnął mi do ucha „przepraszam”. Udałam, że już śpię. Po policzku spływały mi łzy, wprost na poduszkę.

Tego dnia zdradziłam męża. Fizycznie, z nic nieznaczącym dla mnie mężczyzną, ale też psychicznie, z mężczyzną, który znaczył dla mnie tak wiele...

Warszawa, 1948

– Klaro, o której dziś wracasz ze szkoły? – zapytałam, gdy była już w drzwiach.

Obróciła się i wyglądała, jakby nad czymś mocno myślała.

– Pewnie około czternastej, a co?

– Zaczynam dyżur o osiemnastej, może byśmy się wybrały na zakupy? Musisz przecież kupić sobie coś na zakończenie roku.

– Po szkole chciałam iść do Ksawerego – odpowiedziała niepewnie. – Ale oczywiście, jeśli chcesz, to zmienię plany.

– Nie za często przesiadujecie u niego w domu? Jego rodzice będą mieli was w końcu dosyć – zażartowałam. – Może byście przyszli teraz do nas?

– Mamo... Wiesz, że odkąd wyrzuciłaś tatę, sytuacja w domu zrobiła się trochę niezręczna... Nie chcę, żeby Ksawery to wszystko widział.

Poczułam, jak coś ściska moje serce. Momentalnie przypomniał mi się dzień, w którym nasze życie znowu legło w gruzach. Zobaczyłam przed sobą zakłopotaną, wręcz zażenowaną twarz Janka, gdy wyznawał mi przy kuchennym stole, że zostanie ojcem... że ta dziewczyna... ta jego studentka... jest z nim w ciąży... Potem pamiętam tylko, że rzucałam w niego wszystkim, co wpadło mi w ręce. Talerze, które stały przygotowane do obiadu. Szklanki. Nawet cukiernica. Wszystko rozbiło się w drobny mak. Kazałam mu wtedy wypieprzać z naszego mieszkania. Wykrzyczałam, że nie chcę go więcej widzieć na oczy. Myślałam, że to co się wydarzyło... że wydorosłał... że nigdy więcej już nie spojrzy na inną...

– Klaro, przepraszam, że na to wszystko patrzysz. Musisz zrozumieć, że staram się, jak mogę, ale jest mi cholernie ciężko.

– Wiem, mamuś. – Klara podbiegła do mnie i przytuliła z całej siły. Miała już szesnaście lat i dorównywała mi wzrostem. Była piękną i mądrą dziewczyną. Najlepszą w swojej klasie. Niesamowicie zaradną jak na swój wiek. Miałam nadzieję, że jej życie nie będzie przebiegało w cieniu kolejnej wojny, że chociaż ona przeżyje je tak, jak chce, bez poczucia ciągłego strachu.

– I nie musisz mnie przepraszać, bo to nie twoja wina, tylko taty – dodała.

– Kochanie, to nie jest takie proste, jak myślisz. Między mną a twoim tatą ostatnimi laty nie układało się najlepiej, ale myślałam, że... – Nie mogłam dłużej mówić. Coś ścisnęło mi gardło. – Klaro, twój tata i ja nadal się kochamy. Po prostu teraz będzie trochę inaczej, ale poradzimy sobie. W końcu wszystko wróci do normalności.

Nie wiedziałam, kogo próbuję przekonać, siebie czy ją.

– Mamo, to może jednak pójdziemy na te zakupy, co?

– Pójdziemy w sobotę, mam wtedy wolne, co ty na to?

Kiwnęła głową.

– No dobrze, a teraz leć na tramwaj, bo za chwilę będziesz spóźniona.

Zmusiłam się do uśmiechu. Zamknęłam za nią drzwi. Zdjęłam szlafrok i dalej położyłam się spać. Musiałam jeszcze trochę odespać wczorajszą nocy. Leżąc w łóżku, rozmyślałam, gdzie popełniliśmy błąd, kiedy przestaliśmy walczyć o nasze małżeństwo. Dlaczego tak bardzo oddaliliśmy się od siebie. Po wojnie od razu wróciliśmy do Warszawy. Okazało się, że niemalże cały personel Szpitala Wolskiego został zamordowany przez nazistów w czasie powstania. Przyjęto nas z otwartymi rękami, jednak nasza radość nie trwała długo.

Dekretem z dwudziestego ósmego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku zarządzone, że każdy kto w czasie wojny odstąpił od narodowości polskiej, poniesie karę, i tak za podpisanie volkslisty groziło dziesięć lat więzienia. Wpisana przez Heinricha do drugiej kategorii, zgodnie z którą uznawałam siebie za osobę przynależącą do narodowości niemieckiej i kultywującą ich kulturę, nie mogłam liczyć na pobłażanie ze strony Urzędu Bezpieczeństwa. W ich oczach byłam zdrajczynią, która powinna zostać rozliczona ze swojej haniebnej przeszłości. Wiedziałam, że prędzej czy później moje akta

wpadną w ich ręce. W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku byłam już kilkakrotnie przesłuchiwana w prokuraturze, a przed procesem uchroniły mnie jedynie koneksje Janka, który w tym czasie leczył kilku ubeków. Niemniej ktoś uprzejmy doniósł do władz szpitala. Informacja o mojej zdradzie rozeszła się w okamgnieniu. Nagle przestano wpisywać mnie na dyżury. Początkowo myślałam, że to przypadek, jednak po kilku dniach zrozumiałam, że po prostu nikt nie chciał ze mną pracować. Wtedy, chcąc nie chcąc, zgłosiłam się na ochotnika na nocną zmianę, której wszyscy unikali jak ognia. Tym sposobem od dwóch lat każdą niemalże noc spędzałam w murach szpitala.

Janek robił, co mógł, aby bronić mnie przed kolegami i personelem, ale nikt mu nie wierzył. Każdy myślał, że jako wzorowy mąż broni po prostu honoru żony. Janek w ich oczach był bohaterem. To on leczył partyzantów w szpitalu z narażeniem życia. To on został wyprowadzony z sali operacyjnej przez Gestapo. To on spędził cztery lata w niemieckim więzieniu. Wiedziałam jednak, że dla niego ta sytuacja również nie była łatwa.

Wciąż pamiętałam bezsilność, którą zobaczyłam na jego twarzy, gdy wracając pewnego dnia z nocnego dyżuru, zauważyłam, jak zamalowywał coś na drzwiach naszego mieszkania. Nie chciał powiedzieć, co było tam napisane, ale gdy farba wyschła, zobaczyłam prześwitujący wciąż napis „lekarka nazistów”. Możliwe, że dlatego tak szybko i bez żadnego żalu zostawił swój ukochany szpital i zdecydował się przyjąć posadę wykładowcy na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie miał uczyć adeptów medycyny. Tak rozdzieliły się ścieżki naszej kariery i naszego życia. Gdy on wracał, ja wychodziłam do pracy. Gdy ja wracałam, on zbierał się do wyjścia. Mimo wszystko kochał mnie. Czułam to. A ja kochałam jego, dlatego teraz cierpliwie czekałam, aż do mnie wróci i przeprosi, i wszystko będzie jak dawniej...

- Halo – powiedziałam, podnosząc słuchawkę telefonu.
- Pani Alicja Sambor? – zapytała kobieta na łączach.
- Tak – potwierdziłam.
- Telefon z Wiednia. Łączyć?

– Z Wiednia? – zapytałam sama siebie. – Tak, proszę – dodałam pośpiesznie.

– Łączę.

Po chwili w słuchawce rozległ się męski, stłumiony głos, który był ledwo słyszalny.

– Czy rozmawiam z panią doktor Alicją Sambor? – powiedział po niemiecku.

– Przy telefonie, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, z tej strony Karl von Burg, rektor Uniwersytetu Wiedeńskiego. Przepraszam, że pozwalam sobie panią niepokoić, ale mam dla pani pewną propozycję. Proszę mi wybaczyć, że tak przez telefon, ale sprawa jest dosyć pilna, a wymiana korespondencji trwałaby nazbyt długo.

– Proszę mówić – zachęciłam rozmówcę.

– Czy byłaby pani zainteresowana stanowiskiem wykładowcy na naszym uniwersytecie z jednoczesnym objęciem kierownictwa Zakładu Chirurgii Operacyjnej i Doświadczalnej?

Nogi się pode mną ugięły, aż usiadłam na stojącym obok mnie krześle.

– Nie wiem, co powiedzieć, zaskoczył mnie pan, panie rektorze.

– To zrozumiałe. Niemniej sytuacja jest niecierpiąca zwłoki. Mamy już początek września. Czy mogę liczyć na pani odpowiedź do końca tygodnia?

– Oczywiście, panie rektorze. Postaram się oddzwonić jak najszybciej.

– Dziękuję – odpowiedział, kończąc rozmowę. – Zapomniałbym – dodał po chwili. – Razem z posadą oferujemy również służbowe mieszkanie, także proszę się nie martwić o lokum.

– Dziękuję, to wspaniałomyślna oferta.

Gdy skończyliśmy, siedziałam na krześle jeszcze przez godzinę. Nie mogłam uwierzyć, że właśnie odbyłam taką rozmowę, że zaproponowano mi stanowisko wykładowcy, i to w Wiedniu... Siedziałam i uśmiechałam się do siebie. Po raz pierwszy w życiu poczułam się doceniona. I chociaż wiedziałam, że nie przyjmę tej propozycji, to ucieszyłam się, że jakimś cudem nie zostałam zapomniana przez matczyną uczelnię i że w końcu ktoś dostrzegł mnie, a nie tylko mojego męża.

Weszłam do restauracji pewnym krokiem. Dopiero gdy zobaczyłam Janka siedzącego przy jednym ze stolików, delikatnie się zawahałam. Wyglądał jak zawsze wytwornie. Miał w sobie coś intrygującego. Jego nienaganne maniery dodawały mu blichtru.

– Witaj, Alicjo – powiedział, wstając od stołu i ostrożnie się do mnie przytulając, jakby nie wiedział, na co może sobie pozwolić.

– Witaj, Janku – odpowiedziałam, całując go w policzek i delikatnie zaciągając się zapachem perfum, który których użył. Od naszego ostatniego spotkania minęły blisko trzy miesiące i zdążyłam za tym zatęsknić. Usiedliśmy naprzeciwko siebie.

– Jak zawsze pięknie wyglądasz – powiedział, uśmiechając się czarująco.

– A ty jak zawsze musisz mi schlebiać. – Odwzajemniłam uśmiech. – Janku, musimy porozmawiać o naszym małżeństwie, o tym... wszystkim. – Nie byłam w stanie wymówić słowa „dziecko”. Dla mnie jedynym dzieckiem była tylko i wyłącznie Klara.

– Też tak myślę.

Wyciągnęłam do niego swoją dłoń. Chwycił ją momentalnie i uściśnął mocno. Pomyślałam, że to dobry znak.

– Janku, przemyślałam sobie wszystko. Zrozumiałam, że to miało prawo się wydarzyć. Wina leży po obydwu stronach, jednak wciąż jesteśmy rodziną. Ty, ja i Klara. Jesteśmy Samborami. Powinniśmy o nas zawalczyć. Dlatego musisz wiedzieć, że ci wybaczyłam i chcę, żebyś wrócił do domu. Bez ciebie nie mogę znaleźć tam sobie miejsca. Nawet Klara woli przesiadywać u Ksawerego. Oczywiście to nie zmieni faktu, że będziesz ojcem tego... dziecka i w pełni to zaakceptuję ze wszystkimi konsekwencjami.

Jego twarz spochmurniała. Wbrew temu, czego się spodziewałam, nie ucieszył się, że mu wybaczam. Do tego momentu byłam pewna, że tego właśnie chciał. Przecież wydzwaniał do mnie niemalże dzień w dzień. Nalegał na spotkanie. Teraz siedział ze spuszczoneym wzrokiem jak zбитy pies.

– Alicjo... – Wypuścił moją dłoń. – Ja nie mogę wrócić. Powinienem zaopiekować się nie tylko dzieckiem, ale i jego matką. Muszę postąpić odpowiedzialnie...

– Odpowiedzialnie!? – krzyknęłam zbyt głośno, czym zwróciłam uwagę pozostałych gości restauracji. Serce waliło mi jak oszalałe. Zaczęło brakować mi tchu w piersiach. Miałam ochotę uciec i nigdy więcej go nie oglądać.

– Marysia dopiero co się obroniła, nigdzie nie pracuje, nie poradzi sobie beze mnie – ciągnął dalej, a dźwięk jej imienia przebił moje serce.

– A ja sobie poradzę?! A Klara, nasza córka?! – zapytałam drżącym głosem.

– Klara jest już prawie dorosła. Rozmawiałem z nią, powiedziała, że będzie u nas pomieszkiwać co drugi tydzień. Rozumie, że teraz będzie miała dwa domy. A ty sobie świetnie radzisz. Zawsze sobie radziłaś...

– Wypominasz mi, że poradziłam sobie bez ciebie?! Wciąż nie możesz mi tego wybaczyć? Przecież to ty kazałeś mi być silną! Kazałeś walczyć! Wciąż powtarzałeś, że jestem Sambor! A teraz obracasz to przeciwko mnie?! – mówiłam wciąż zbyt głośno.

– Alicjo, proszę, uspokój się. Nie chciałem cię w żaden sposób obrazić. Próbowałem złapać mnie za dłoń, ale w ostatnim momencie ją cofnąłem.

– Ale to zrobiłeś...

– Zrozum, nie mogę jej teraz zostawić, nie w takim stanie... Alicjo, będę miał maleńkie dziecko...

– Widziałam ją... – powiedziałam nieoczekiwanie, sama nie spodziewając się, że to mówię. – Widziałam was. Przypadkiem – doprecyzowałam. – Ona jest taka... młoda i piękna... Zupełnie jak ja, gdy prosiłeś mnie o rękę po obronie mojego dyplomu – mówiłam, powstrzymując łzy.

– Alicjo, nie znam piękniejszej od ciebie – próbował mnie pocieszyć.

– Tylko nie pasuje ci już moja pokiereszowana dusza? Moje blizny? Moje stargane wojną ciało?

Widziałam, jak siedzi strapiony, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Zresztą to bez znaczenia. Wyjeżdżam – odpowiedziałam znienacka.

– Wyjeżdżasz? – zapytał z niedowierzaniem. – Dokąd?

– Do Wiednia. Zaproponowano mi stanowisko wykładowcy na twoim byłym uniwersytecie. Mam objąć Zakład Chirurgii Operacyjnej i Doświadczalnej.

Chciałam mu wbić tym szpilę, bo on w Warszawie mógł tylko o tym pomarzyć.

– Klara wie?

– Nie. Dziś jej powiem. Także proszę, do tego momentu nic jej nie mów.

– Dobrze.

– Jeżeli to wszystko, to zakończmy tę farsę – mówiąc to, wstałam od stolika. – Żegnaj, Janku. Wszystkiego dobrego dla ciebie i twojej nowej rodziny...

Uścisnęliśmy sobie dłonie, jakbyśmy właśnie dobili targu, że od tego momentu nie jest moim mężem, a ja nie jestem jego żoną. Chociaż wciąż na naszych palcach połyskiwało żółte złoto obrączek.

Wracając do domu, zastanawiałam się, kto zabrał mi moje małżeństwo i odebrał kochającego męża oraz szczęśliwą rodzinę... Kto zabrał mi bezpieczny dom i mój szpital, w którym uwielbiałam pracować... Odpowiedź była tylko jedna...

Niemcy...

Wiedeń, 1948

Pociąg wjeżdżał do miasta, a ja już z daleka, przyklejona do szyby, obserwowałam jego piękno. Na próżno szukałam wieży katedry Świętego Szczepana, która powinna górować nad pozostałymi budynkami. Zrozumiałam, że wojna również tutaj odcisnęła swoje piętno.

Nie bardzo wiedziałam, na jaki widok powinnam się przygotować i co tutaj zastanę. W rozmowie telefonicznej z rektorem dowiedziałam się tylko tyle, że Austria została obciążona odpowiedzialnością za swój udział w wojnie w nie mniejszym stopniu niż same Niemcy. Kraj został podzielony na cztery strefy okupacyjne. Również Wiedeń był pod kontrolą czterech państw. Zgodnie z jego sugestiami miałam poruszać się wyłącznie po strefach francuskich, brytyjskich i amerykańskich, a unikać strefy radzieckiej. Obiecałam, że tak będę robić, chociaż nie bardzo wiedziałam, w jaki sposób miałam je rozpoznać.

Gdy pociąg wjeżdżał na Dworzec Główny w Wiedniu, zrozumiałam, że to się dzieje naprawdę i że faktycznie jestem w moim ukochanym mieście. Uważnie przyglądałam się ogromnemu budynkowi dworca, który wyglądał jak niedawno odbudowany. Część cegieł wyraźnie nie pasowała do reszty. Zapewne były pozostałościami po oryginalnym budynku. Potem ostrożnie podniosłam się ze swojego miejsca i wysunęłam walizki ułożone jedna na drugiej nad moją głową. Nie miałam pojęcia, jak się z nimi zabrać. Momentalnie pożałowałam, że wzięłam aż tyle rzeczy. Z drugiej strony, miałam tu spędzić cały rok, a w takiej sytuacji cztery walizki nie są chyba nadmiernym bagażem. Na szczęście z pomocą ruszył mi dżentelmen siedzący w tym samym przedziale i wyniósł dwie z nich na peron. Ja podążałam tuż za nim,

taszcząc pozostałe. Stałam na schodkach wagonu i z zapartym tchem podziwiałam widok rozpościerający się przede mną, tych wszystkich ludzi pędzących w każdym możliwym kierunku, ich kolorowe stroje i wyszukane nakrycia głowy, przy których moja brązowa garsonka wyglądała dość skromnie. Mężczyzna odebrał ode mnie dwie kolejne walizki i dostawił do pozostałych, po czym uklonił się uprzejmie. Ostrożnie zrobiłam kolejny krok. Po chwili stałam już w Austrii. Przypomniało mi się, jak kilkanaście lat temu postawiłam tu inny, pierwszy krok. Byłam wtedy taka młoda, pełna planów i nadziei. Uśmiechnęłam się do siebie na myśl o dawnej mnie. Owca

Zaczęłam rozglądać się wokół. Musiałam znaleźć chłopca na posyłki. W Warszawie już dawno opędzałabym się od dzieciaków oferujących swoją pomoc, a tu nie mogłam żadnego namierzyć wzrokiem. W końcu zobaczyłam młodzieńca opierającego się o filar i zamachałam do niego dłonią. Podbiegł do mnie z uśmiechem na ustach, jednak patrząc na mój bagaż, zaczął drapać się po głowie. Ponownie złapałam za dwie walizki, dając mu do zrozumienia, że będziemy nieść je razem. Chłopak ruszył przodem, wskazując mi drogę na postój dorożek. Zanim ruszyłam, raz jeszcze rozejrzałam się wokół. Miałam nieodparte wrażenie, że czegoś nie dostrzegam w otaczającym mnie tłumie, że coś bardzo ważnego mi umknęło. Albo ktoś...

Wiedeń, 4 października 1948

– Kto to powiedział? – zapytałam po raz ostatni, lecz nie doczekałam się odpowiedzi. W głowie wciąż powtarzałam sobie słowa mężczyzny: ... *Bo widzi pani, to jest właśnie ta zagadka. W jaki sposób pacjentowi udało się przeżyć?... Pacjent na koniec wskoczył do rzeki...*

Idąc w czerwonym kostiumie pod audytorium, pożałowałam, że wybrałam na rozpoczęcie roku właśnie ten wściekły kolor. Gdybym musiała uciekać, schować się w tłumie, nie miałabym na to szans... Dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że przecież nie mam żadnego powodu, aby to robić. Ostrożnie pokonywałam kolejne stopnie schodów. Z każdym krokiem moje serce biło coraz mocniej. Będąc w połowie drogi, nagle go ujrzałam. To był on... Siedział oparty o krzesło. Wyglądał na zniecierpliwionego, jakby nie mógł się doczekać, aż podejść bliżej. Kąciki jego ust delikatnie zadrżały. Oczy rozbłyły. Z kolei ja czułam się jak sparaliżowana. Ogarnął mnie wyłącznie strach. Nie wiem, dlaczego to czułam, to irracjonalne, przecież już dawno przestałam się go bać. Jednak jego widok bolał. Tak bardzo bolał... Dlaczego nie potrafiłam zapomnieć? Albo wręcz przeciwnie, dlaczego nie mogłam przypomnieć sobie tego wszystkiego, co razem przeżyliśmy? Zapragnęłam uciec od własnych myśli. Uciec od niego... Nerwowo rozejrzałam się wokół. Oczy wszystkich studentów skierowane były na niego, a on patrzył tylko na mnie. Nie odrywał wzroku od mojej sylwetki. Czułam, jak przeszywa mnie na wskroś. Przełknęłam ślinę i ostatkiem sił się odwróciłam. Powoli szłam w dół, zaciskając dłoń na drewnianej balustradzie. Przed oczami miałam mroczki. Musiałam zmusić się do oddychania. Zdawało mi się, że droga powrotna trwała nienaturalnie długo. Dobijała mnie

panująca wokół głucha cisza. W końcu ponownie chwyciłam się kurczowo mównicy. Uniosłam delikatnie głowę i skierowałam usta do mikrofonu.

– Odpowiedź jest prosta – starałam się mówić spokojnie, przenosząc nerwy na zaciśnięte do bólu palce. – Drodzy studenci, medycyna to nie tylko książki wykute na pamięć czy lata praktyki. Nie wystarczy sama intuicja i sprawne dłonie. Czasem po prostu potrzebny jest łut szczęścia, jakieś dziwne zrządzenie losu czy boska ręka. Nasz pacjent wskoczył do rzeki. Zimna woda obkurczyła jego naczynia krwionośne i spowolniła krwawienie. Rwący nurt zaniósł ciało pacjenta do najbliższych zabudowań, gdzie całkiem przypadkiem ktoś je zauważył i wyciągnął z rzeki. Następnie zaniósł do domu, gdzie, szczęśliwie, na pacjenta czekał wybitny specjalista, krajowej sławy chirurg, który mimo ograniczonego zasobu medykamentów, wyposażony jedynie w proste narzędzia, przeprowadził udany zabieg splenektomii i zaszył krwawiące naczynia. Wtedy, moi drodzy, szanse pacjenta wzrosły do osiemdziesięciu procent. Z boską pomocą wyszło tak, że nie wdało się zakażenie i pacjent przeżył. Tyle i aż tyle. – Zmusiłam się do uśmiechu. – Myślę, że na dziś wystarczy. Z okazji pierwszego dnia nauki, mam dla was niespodziankę – jesteście już wolni. Zapraszam jutro. Zaczniemy ze zdwojoną siłą, punktualnie o ósmej.

Po tych słowach opuściłam głowę. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam przyglądać się wychodzącym z audytorium studentom. Kątem oka obserwowałam, jak mężczyzna również zaczyna powoli podnosić się z miejsca. Przeraziłam się. Nie miałam najmniejszej ochoty na ponowne spotkanie z nim twarzą w twarz. Zbyt wiele się wydarzyło. Zbyt wiele wyrządzono mi krzywd. Moje serce płonęło. Emocje targały moim ciałem. Nie chciałam im się poddać, musiałam je w sobie stłumić. Tylko jak? Jeszcze jedno jego spojrzenie i byłabym stracona... Postanowiłam uciec, w tym momencie nie miałam wystarczająco dużo siły na konfrontację z własną przeszłością, a tym bardziej z nim... Jednak nie mogłam wyjść przed studentami. Mężczyzna najwyraźniej to zauważył i delikatnie przyśpieszył kroku. Wzięłam do ręki torebkę i szybko zesłam z podestu. Od wyjścia dzieliło mnie tylko kilka metrów i kilkoro studentów ociągających się przed drzwiami. Mimo że nie patrzyłam w jego stronę, czułam, że zbliża się do mnie. Moje serce waliło tak głośno, że miałam

wrażenie, iż ten dźwięk odbija się echem w całej auli. Gdy byłam już praktycznie krok od opuszczenia tego miejsca, w drzwiach zobaczyłam postać rektora.

– Dzień dobry, pani Sambor! – powiedział, uśmiechając się szeroko na mój widok.

– Dzień dobry, panie rektorze! – odpowiedziałam speszona.

– Kogo ja widzę! – zwrócił się do mężczyzny stojącego za mną. – Rozumiem, że nie mogłeś doczekać się spotkania z przyjaciółką!

Kompletnie nie wiedziałam, co się dzieje. Jakim cudem oni się znają?

– To panowie się znacie? – zwróciłam się do rektora.

– A jakże! – powiedział, jakby to było coś oczywistego. – A myśli pani, że skąd dowiedziałem się o pani istnieniu? Gdyby nie on, nie wiedziałbym, że w Polsce jest tak utalentowana pani doktor i to z tak imponującym dorobkiem zawodowym! Szczerze mówiąc, to wątpiłem, że zgodzi się pani dla nas pracować i wyjechać tak daleko od swojego kraju, ale podobno jest pani zakochana w Wiedniu? Przynajmniej tak mi powiedziano. – Puścił oczko do mężczyzny stojącego zdecydowanie za blisko mnie. Czułam jego oddech i bijące od niego ciepło...

– To akurat jest prawdą – stwierdziłam chłodno, próbując zamaskować wszelkie emocje. – Niemniej, jestem zaskoczona. Myślałam, że wybrał mnie pan z powodu mojego doświadczenia i tego, że jestem waszą absolwentką. Gdybym wiedziała, to...

– Decydującym kryterium była, rzecz jasna, pani ogromna wiedza i talent, pani Sambor! Po wojnie wciąż mamy braki kadrowe. Jest u nas wielu wykładowców z ościennych państw, ale w życiu nie przyszłoby mi do głowy szukać pani tak daleko.

– W takim razie uspokoił mnie pan. Przepraszam, ale w gabinecie czeka na mnie stos dokumentów, które chciałabym uporządkować, skoro dziś wyjątkowo skróciłam wykład.

– I to mi się podoba! – krzyknął uradowany i już chciał coś dodać, ale ja zdążyłam skinąć mu na pożegnanie głową.

Minęłam obu mężczyzn i z impetem ruszyłam w stronę wyjścia. Dopiero zbiegając schodami na parter budynku, uzmysłowiłam sobie, że on nic nie powiedział, że nie usłyszałam jego głosu. Z drugiej strony, byłoby to tylko kolejną torturą...

Zamiast iść do gabinetu, wybiegłam z gmachu budynku. Stałam na ogromnych schodach prowadzących wprost do uniwersyteckiego parku. Mimo że wciąż było ciepło, na drzewach zauważałam już pierwsze oznaki jesieni. Studenci wolno przemieszczali się grupkami, niepewni, dokąd mają się udać. Ruszyłam przed siebie. Po chwili kroczyłam już parkową alejką. Czułam, jak obcasy delikatnie wbijają się w piasek. Musiałam iść wolno, żeby nie stracić równowagi. Nie wiedziałam ani dokąd idę, ani w jakim celu. Wiedziałam tylko, że chcę znaleźć się jak najdalej stąd. W głowie co chwilę widziałam jego twarz. Przypominały mi się wszystkie wydarzenia z minionych lat. Każdy jego gest, każdy ruch, każdy dotyk... Odtwarzałam je na nowo. Nie mogłam pozbyć się z wyobraźni wyrazu jego twarzy, gdy uciekałam przed nim z auli. Wyglądał na kompletnie zbitego z tropu. Jakby nie takiego powitania oczekiwał...

Nagle usłyszałam przeraźliwy dźwięk klaksonu. Odruchowo odskoczyłam w tył, a rozpedzony samochód minął mnie zaledwie o centymetry. Momentalnie otrzeźwiałam. Rozejrzałam się wokół, stałam na chodniku. Nie bardzo wiedziałam, gdzie jestem. Park został daleko w tyle. Postanowiłam iść przed siebie. Czułam unoszącą się w powietrzu wilgoć, zatem za chwilę powinnam ujrzeć Dunaj. Mijałam kolejne zatłoczone uliczki z wąskimi chodnikami. Bez przerwy ktoś musiał ustępować pierwszeństwa drugiemu, schodząc niemalże na drogę. Miałam wtedy nieodparte wrażenie, że ktoś podąża za mną, jednak gdy się odwracałam, nie widziałam nikogo podejrzanego wśród otaczającego mnie tłumu.

Idąc promenadą w kierunku mojej dzielnicy, co chwilę mijałam małe kawiarenki i restauracje. Nogi zaczęły boleć mnie niemiłosiernie. Przeszłam już kilkanaście kilometrów na wysokich obcasach. W końcu postanowiłam usiąść na jednym z drewnianych krzesełek stojących przed niewielką kawiarnią. Zamówiłam kieliszek czerwonego wina i największy kawałek tortu Sachera. Czekaając, przyglądałam się promieniom jesiennego słońca delikatnie migoczącym na tafli wody. Przypomniało mi się, jak uwielbiałam tu niegdyś przychodzić. Najpierw z Frysią, potem z Heinrichem, a na koniec już z Jankiem. Frysię po raz ostatni widziałam w Warszawie, szła ulicą, trzymając dwójkę dzieci za ręce. Cała trójka miała przypięte do piersi żółte gwiazdy. Nigdy więcej

już jej nie spotkałam. Heinrich zginął w czasie Powstania Warszawskiego. Jego rodzice pisali do mnie listy z prośbą o odnalezienie grobu syna. Próbowałam im pomóc, ale nie byłam w stanie dowiedzieć się o nim niczego więcej – ani kiedy dokładnie zginął, ani gdzie. Nie został po nim nawet ślad. A Janek... Wzięłam do ręki kieliszek i wypiliśmy jednym haustem całą jego zawartość. Potem wbiłam widelczyk w czekoladowe ciasto i, zalewając się łzami, jadłam kawałek po kawałku. Biedny kelner, gdy dolewał mi wina, nie mógł nadziwić się, dlaczego płaczę nad ich ciastem. Szumiało mi w głowie. Postanowiłam posiedzieć jeszcze chwilę, zanim w końcu ruszę w drogę powrotną do pustego mieszkania.

Trzasnęłam za sobą drzwiami. Zrzuciłam buty. Tak przyjemnie było znowu postawić stopę na płaskiej podłodze. Rozpięłam guziki żakietu i zarzuciłam go na oparcie krzesła. Rozsunęłam suwak, a spódnica momentalnie opadła w dół. Weszłam do łazienki, aby napełnić wodę w wannie. Siedząc na jej krawędzi, obserwowałam, jak napełnia się gorącą wodą. Na dźwięk dzwonka do drzwi poderwałam się na równe nogi. Szybko zakręciłam wodę i zarzuciłam na siebie szlafrok, szczelnie zawiązując go w pasie. Spojrzałam przez wizjer. Nikogo tam nie było. Czyżbym się przesłyszała? Przekręciłam zamek i ostrożnie otworzyłam drzwi. Wtedy wyrósł przede mną jak spod ziemi.

– Franz... – wypowiedziałam jego imię zbyt łagodnym głosem, będąc pod wrażeniem jego przybycia. Chciałam zamknąć drzwi, ale przywarł do nich ciałem. – Nie chcę cię tu widzieć! – dopowiedziałam już innym tonem.

– Daj mi pięć minut, proszę. Porozmawiajmy, Alicjo.

Na dźwięk swojego imienia w jego ustach, jeszcze bardziej zapragnęłam, by odszedł.

– Obiecuję, że potem dam ci spokój.

– Nie mamy o czym rozmawiać! – powiedziałam zbyt głośno.

– Możemy jednak zastanowić się nad tym w środku? – Był nieugięty, nie cofnął się nawet o centymetr.

– Daję ci pięć minut, a potem masz zostawić mnie w spokoju.

Przepuściłam go w drzwiach. Niepewnym krokiem wszedł do środka. Wyprzedziłam go i stanęłam przed nim, czekając, aż zacznie. Jednak on milczał.

– To ty mnie śledziłeś? – Nie wytrzymałam.

– Chciałem z tobą porozmawiać. Uciekłaś przede mną z uczelni.

– Dziwisz się? Jakim prawem pojawiłeś się na moim pierwszym wykładzie?! Co chciałeś osiągnąć?! Wyprowadzić mnie z równowagi?! Ośmieszyć na oczach moich studentów?!

– Myślałem, że się ucieszysz... – odpowiedział.

– Ucieszę?! – powtórzyłam drwiąco. – Naprawdę tak pomyślałeś?

Stał wyraźnie zmieszany. Widocznie naprawdę spodziewał się innego powitania.

– Chyba zapomniał pan, kim pan był i co robił w czasie wojny, panie Hizel – mówiłam stanowczym głosem. – Chyba zapomniał pan, co przeszłam przez pana i pana kolegów nazistów, co mi odebraliście, co straciłam... A ja to wszystko wciąż doskonale pamiętam! Do dziś budzę się przez koszmary! Widzę twarze osób, które odeszły! Nie... osób, które zabiliście! Naziści odebrali mi dosłownie wszystko! Zniszczyli mnie! Moją rodzinę! Moją pracę! Nienawidzę ich wszystkich! A pan jest jednym z nich, panie Hizel. Więc nie, nie ucieszyłam się na pana widok! Jedyne, czego pragnę, to nie musieć na pana już nigdy więcej patrzeć!

Franz dalej stał w milczeniu. Przyglądał mi się uważnie, po czym włożył ręce do kieszeni i skierował wzrok w ziemię.

– Wydawało mi się, że... – przerwał, jakby szukał idealnego słowa – że coś między nami było. Kochałem cię, Alicjo. Odniosłem wrażenie, że ty mnie również... Przecież przychodziłaś do mnie, całowałaś, wtulałaś się we mnie...

– Pomylił się pan, panie Hizel. Widział pan tylko to, co miał pan zobaczyć. To była wojna, a ja miałam konkretne zadanie. Wie pan, dlaczego po raz pierwszy się z panem przespałam?

Podniósł na mnie wzrok i patrzył z niepokojem.

– Trzymał pan dwóch partyzantów. Moim zadaniem było przejęcie daty i godziny wyjazdu. Za wszelką cenę – mówiłam dumna z siebie. Chciałam pozbawić go wszelkich złudzeń, pragnęłam, by cierpiał jak ja.

– Brzydziłam się pańskiego munduru, ale nie miałam innego wyboru,

musiałam ich uratować. Potem, oczywiście, pan wszystko zepsuł i musiałam użyć waszego peema, żeby ostrzelać ciężarówkę i ich uwolnić. A pan nawet nie miał o tym zielonego pojęcia! – Zaśmiałam się i podeszłam do kuchennego stołu. Wzięłam łyk wody ze szklanki. Stałam do niego tyłem i z drżącą powieką mówiłam dalej.

– I tak było za każdym razem. Nigdy nie przyszedłam do pana z własnej woli! Identycznie było z tamtym bankietem. Zgodziłam się na niego pójść tylko dlatego, że miałam namierzyć majora i tym samym ułatwić naszym przeprowadzenie na niego zasadzki. Kilka dni później partyzanci wymienili go na trzystu polskich więźniów. A ja miałam w tym swój udział!

Odwróciłam się i spojrzałam mu prosto w twarz. Franz stał z szeroko otwartymi oczami. Był lekko przygarbiony. Jakby cały jego świat nagle się zawalił, a wszystko, czego w życiu pragnął, raz na zawsze odeszło. Ten widok działał na mnie kojąco. Minęłam go i stanęłam za jego plecami.

– Chyba nie myślał pan, że poszłam tam, aby ratować pana przed gniewem przełożonego z Białegostoku? – Zaśmiałam się szyderczo, chociaż czułam, jak zaczyna mi znowu drzeć powieka. – Kochałam tylko jednego człowieka, panie Hizel, i był nim mój mąż, Jan. Wszystko inne, co pan usłyszał z moich ust lub wyczytał z mojego ciała, to jedno wielkie kłamstwo, panie Hizel. Z góry zaplanowane i przemyślane działanie, aby wesprzeć Polaków, a pana osłabić. A teraz, jeżeli to już wszystko, to żegnam pana...

Franz odwrócił się do mnie. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co mówiłam. Wyjął ręce z kieszeni i moim oczom ukazało się pudełko zapalek. Od razu wiedziałam, że to nie przypadek. Serce zabiło mi mocniej. Franz podszedł do stołu i położył je na blacie.

– Skoro tak, to dlaczego poszłaś do Sowietów i uratowałaś mi życie? – mówiąc to, podszedł zdecydowanie zbyt blisko. Stał zaledwie kilka centymetrów ode mnie, czym wyraźnie zbił mnie z tropu. Wiedziałam, że tym razem skłamać nie mogę.

– Jednego nie mogłam zapomnieć. Zawdzięczam panu życie, i to trzykrotnie. Chciałam raz na zawsze spłacić swój dług i uwolnić się od jakichkolwiek zobowiązań względem pana.

– Mam tylko nadzieję, że nie poświęciła pani dla mnie zbyt wiele. Tego jednego nie mógłbym znieść... – powiedział oficjalnym tonem.

Tym razem ja otworzyłam szeroko oczy i zobaczyłam tamtego sowieckiego generała o gruzińskich rysach. Czułam, jak zaczynam drzeć.

– Zwłaszcza że jak widać, bardzo pani tego żałuje... – mówiąc to, szedł już w kierunku wyjścia. – Żegnam panią, pani Sambor. Życzę przyjemnego pobytu w Wiedniu. – Po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Halo, Klara? – mówiłam po raz kolejny do słuchawki telefonu.

– Mama? – W końcu usłyszałam jej głos.

– Klaro, kochanie! Jak mnie słyszać? – upewniłam się.

– Jakbyś mówiła z bardzo daleka. – Zaśmiała się.

– Co u ciebie? Jak w szkole? Jak wam się mieszka razem? Opowiadaj mi wszystko!

– Mamo, wszystko jest w porządku. W szkole jak to w szkole, zarzucają nas materiałem. Nie ma nawet o czym gadać. Zadali nam dziś tyle na poniedziałek, że nie wiem, jak to wszystko zapamiętam.

– Zostaw już naukę przy piątku. Niech umysł się zregeneruje. Jutro do tego przysiądziesz.

– Zaraz wybieram się z Ksawerym na spacer do Łazienek, więc sobie odpoczniemy razem. Nie wiem, jak u ciebie, ale u nas od rana świeci słońce. Tata z Marysią robią właśnie obiad i...

– A jak ci się u nich mieszka? – przerwałam jej.

– Dobrze. Naprawdę. Gdyby było inaczej, to bym ci powiedziała albo wyprowadziła się do Ksawerego.

– Klaro! Nawet tak nie mów! Masz niespełna siedemnaście lat, nie czas i miejsce na takie rzeczy!

– Żartowałam, mamo...

– Klaro, pamiętaj, tak jak ci mówiłam, wystarczy twój jeden telefon, abym rzuciła wszystko i wróciła do Polski, rozumiesz?

– Tak, mamo, mówiłaś mi to milion razy.

– Albo możesz przyjechać do mnie, do Wiednia...

– Wiem, ja już to wszystko wiem, mamó. – Słyszałam irytację w jej głosie. – Lepiej opowiadaj, jak minął ci pierwszy miesiąc na uczelni?! Oblałaś już kogoś?

Zaśmiałam się w głos.

– Nikogo nie oblałam, nie bój się. Moi studenci to ambitni ludzie. Trochę było mi dziwnie na początku, gdy musiałam mówić do tyłu osób wpatrzonych we mnie jak w obrazek, ale teraz już mnie to nie peszy. To całkiem ekscytujące, już wiem, dlaczego Jan tak to zawsze lubił. *À propos*, pozdrów tatę ode mnie i... Marysię również – dodałam po chwili. – Muszę jej podziękować za opiekę nad tobą, ale to może następnym razem... Kochanie, muszę kończyć, bo zapłacę fortunę. Zadzwoń jeszcze w niedzielę. Kocham cię bardzo mocno i tęsknię.

– Ja też cię kocham – powiedziała szeptem do telefonu. – Serwus, mamuś!

– Serwus!

Stare miasto każdego wieczoru tętniło życiem. Przepięknie oświetlone uliczki kusiły swoim romantycznym blaskiem. Z daleka podziwiałam barokowo-klasycystyczną architekturę pałacu zamieszkałego niegdyś przez cesarżową Sisi. Nocą wokół niego unosiła się aura tajemniczości. Chociaż było już późno, nie chciałam jeszcze wracać do mieszkania. Wolałam być wśród ludzi. Patrząc, jak spędzają razem czas, rozmawiają i śmieją się w głos. Restauracje i bary pękały w szwach. Wiedeńscy świętowali koniec tygodnia pracy. Stoliki poustawiane były ciasno jeden przy drugim, wychodziły w głąb rynku i aby móc przejść dalej, trzeba było lawirować między nimi.

– Pani Sambor! – Usłyszałam znajomy głos.

Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam rektora siedzącego w towarzystwie dwóch mężczyzn przy jednym z zewnętrznych stolików.

– Dobry wieczór! – powiedziałam, przeciskając się do nich, po czym uścisnęłam dłoń każdego z nich.

– Może zechciałaby pani do nas dołączyć? Przydałby się nam kobiecy punkt widzenia w naszej rozmowie.

Zobaczyłam dwa wolne krzesła stojące obok. Pomyślałam, że dobrze mi zrobi chwila wytchnienia w miłym towarzystwie. Rektor, nie czekając na

moją odpowiedź, wstał i odsunął mi krzesło.

– Czego się pani napije, pani Sambor?

Spojrzałam na ich puste kufle po piwie. Dopiero wtedy zauważyłam, że były ich cztery, a mężczyzn trzech. Nagle usłyszałam za sobą czyjeś kroki i stukot obijających się o siebie szklanych kufli.

– Franz, będziesz musiał iść po jeszcze jedno piwo, dla pani Sambor! – powiedział rektor do osoby stojącej za moimi plecami.

Zacisnęłam zęby z nadzieją, że to tylko zbieżność imion. Przecież Franz to bardzo popularne imię... Po chwili zobaczyłam, jak mężczyzna nachyla się nad stołem i odstawia cztery piwa, wylewając nieznacznie ich zawartość na i tak mokry już stolik.

– Może wolałabyś czerwone wino, Alicjo? – Usłyszałam przy uchu jego niski, przychrypnięty głos. Przełknęłam ślinę. Serce zaczęło walić mi jak oszalałe. Zastanawiałam się, jak wybrnąć z twarzą z tej niekomfortowej dla nas sytuacji.

– Dziękuję bardzo, ale może innym razem, muszę już wracać do siebie. Chyba pan rektor zapomniał, że polecił mi na poniedziałek przygotowanie miesięcznego raportu. – Zmusiłam się do uśmiechu.

– Przecież dopiero piątek!

– Tak, ale jutro rano zaczynam dyżur w szpitalu, więc jak sam pan widzi, czas mnie goni. – Znowu się uśmiechnęłam. Chciałam, aby wyglądało to jak najbardziej naturalnie.

– Skoro pani musi. – Westchnął. – Zapomniałem, że jest pani taka zapracowana. To godne podziwu.

– Dziękuję i życzę panom miłego wieczoru. – Wstałam delikatnie od stołu.

Franz nadal stał obok mnie, speszony równie mocno, jak ja. Miał na sobie niebieską koszulę, która tylko jeszcze bardziej podkreśliła barwę jego oczu. Minęłam go szerokim łukiem, aby nawet przypadkiem się o niego nie otrzeć. Gdy odchodziłam, usłyszałam za sobą śmiech mężczyzn, którzy wypominali Franzowi, że odstrasza piękne kobiety. Nie miałam odwagi już na nich spojrzeć. Nie widziałam jego reakcji. Szybko wróciłam do domu. Na stole leżał przygotowany i dwukrotnie sprawdzony miesięczny raport. Nalałam sobie kieliszek czerwonego wina, włączyłam radio i rzuciłam się na sofę.

– Dzień dobry, siostró – powiedziałam na widok starszej kobiety ubranej w białe fartuch, spoglądającej na mnie zza stosu papierzyk rozłożonych na niewielkim biurku.

– Dzień dobry, pani doktor – odpowiedziała, poprawiając okulary na nosie.

– Jak nocka?

– Względnie.

– To znaczy? – dopytałam.

– Przywieźli jednego pijaka, strasznie się awanturował, chłopaki musieli zamknąć go w izolatce. Nawet nie dał się zbadać. A taki porządny człowiek... – Westchnęła z ironią w głosie. – Profesor...

– Profesor? – dopytałam zdziwiona. – Co to za krzyki?

Wyszłam z dyżurki i przysłuchiwałam się podniesionym głosem dochodzącym z głębi korytarza. Zanim usłyszałam odpowiedź, ruszyłam w kierunku izolatki. Nie pukając, z impetem weszłam do środka. Znajdowało się tam dwóch rosyjskich sanitariuszy, doktor z nocnej zmiany i Franz Hizeł...

– Co się tu dzieje?! – zapytałam zirytowana całym tym zamieszaniem.

– Słuchać panów na całym oddziale! Przypominam, że to jest szpital!

Mężczyźni rozstąpili się na dźwięk mojego głosu.

– Proszę wyjść. – Zwróciłam się do sanitariuszy. Wykonali moje polecenie bez słowa. Starłam się nie zwracać uwagi na stojącego przede mną Franza, który wciąż miał na sobie wczorajsze ubranie.

– Panie doktorze, proszę powiedzieć, co się tutaj dzieje? – dopytałam stanowczym tonem.

– Pani ordynator, próbuję zbadać pacjenta – wyjaśniał roztrzęsiony. – Pacjent został wczoraj przywieziony z wypadku...

– Z wypadku? – przerwałam mu i z przerażeniem spojrzałam na Franza.

– Nic mi nie jest – odpowiedział spokojnym głosem, delikatnie na mnie zerkając.

– Pacjent został potrącony przez samochód, gdy szedł kompletnie pijany środkiem ulicy. Od wczoraj nie daje się zbadać. Przyszedłem spróbować znowu, ale nic z tego. Musiałem wezwać sanitariuszy, żeby pomogli mi nad nim zapanować.

– Panie doktorze, pacjent w szpitalu powinien czuć się bezpiecznie! Nie ma mojej zgody na używanie jakiegokolwiek siły fizycznej wobec pacjentów!

– Pacjent jest niebezpieczny! – odburknął.

Spojrzałam na niego i podeszłam bliżej.

– Doprawdy? A czy spróbował pan porozmawiać z pacjentem i wyjaśnić powód jego zachowania? – Zbiłam go tym pytaniem z tropu.

– Jak miałem pani zdaniem rozmawiać z tym pijakiem?

Mój poziom irytacji sięgnął zenitu.

– Panie doktorze, proszę wyjść na korytarz i zacząć szukać...

– Nie rozumiem – odpowiedział zaskoczony. – Czego mam tam szukać?

– Empatii, którą najwyraźniej pan gdzieś zgubił! – powiedziałam podniesionym tonem.

Doktor poczerwieniał na twarzy i pośpiesznie opuścił pokój.

– Proszę usiąść – zwróciłam się do Franza, gdy zostaliśmy sami. Jednak on dalej stał niewzruszony.

– Powtarzam, że nic mi nie jest. Chcę opuścić szpital.

– Panie Hizel, bardzo pana proszę o współpracę. Jest pan na moim oddziale, ja tutaj rządzę. Nie opuści pan szpitala, dopóki nie wydam zgody, a nie wydam jej, dopóki pana nie zbadam i nie upewnię się, że jest pan cały i zdrowy. Proszę mi wierzyć, zrobię to szybko i postaram się być przy tym bardzo delikatna – mówiłam to, nie spuszczając z niego wzroku. Byłam pewna siebie. Franz po chwili usiadł na brzegu łóżka. Wyjęłam z kieszeni małą baterijkę i nachyliłam się nad nim. Zobaczyłam z bliska jego jasnobłękitne oczy. Wpatrywałam się w nie zdecydowanie zbyt długo. Czułam, że to zauważył. Po chwili skierowałam niewielki strumień światła prosto w źrenice, bacznie obserwując ich reakcję.

– Teraz proszę nie ruszać głową i podążać wzrokiem za moim palcem – tłumaczyłam, jednocześnie przesuwając palec z prawej do lewej strony i z powrotem. – Teraz proszę się położyć, chciałabym zbadać pana brzuch.

Stałam wyprostowana i czekałam, aż posłusznie wykona moje polecenie. Franz chwilę się zastanawiał, po czym położył się na plecach.

Delikatnie podciągnął koszulę, ledwie odsłaniając skrawek ciała. Położyłam dłonie na jego brzuchu i zaczęłam go z wyczuciem uciskać.

– Wszystko w porządku. – Zabrałam dłonie. – Proszę ponownie usiąść i zdjąć koszulę.

Włożyłam słuchawki fonendoskopu do uszu, usiadłam na brzegu łóżka i czekałam, aż zrobi to samo.

– Nic mi nie jest – powtórzył po raz trzeci.

– Chciałabym mieć taką pewność – odparowałam. – Zapewniam, że to już ostatnie badanie. Bardzo proszę – dodałam po chwili, widząc, że w dalszym ciągu się opiera.

Franz patrzył na mnie wyraźnie zmieszany. Nieśpiesznie zaczął rozpinąć guziki. Po chwili zrozumiałam, dlaczego tak usilnie bronił się przed badaniem. Pod rozpiętą już koszulą zauważyłam blizny. Udawałam, że ich nie widzę. Skupiłam się na trzymanym w rękę fonendoskopie. Franz nie zdjął koszuli, tylko ją rozpiął. Ostrożnie włożyłam końcówkę fonendoskopu pod niebieski materiał na wysokości serca, przytrzymując go jednocześnie dłonią, aby zbyt nie odsłonić jego ciała. Skierowałam głowę w stronę ściany i wyteżyłam słuch, nie zwracając na nic więcej uwagi.

– Pana serce bije zdecydowanie zbyt szybko – stwierdziłam. – Zawsze pan tak ma?

– Zawsze przy pani – odpowiedział, a ja zacisnęłam mocniej zęby, próbując zachować kamienną twarz.

– Rozumiem, że moja obecność może budzić pana dyskomfort.

Nic nie odpowiedział.

– Teraz proszę głęboko oddychać, dobrze?

Przesuwałam końcówkę fonendoskopu po jego piersiach. Kątem oka widziałam coraz to nowsze blizny, chociaż starałam się, jak mogłam, przytrzymywać jego koszulę i patrzeć głównie na biel ściany.

– Proszę teraz się odwrócić. Osłucham plecy.

Franz przesiadł się, a ja główkowałam nad tym, jak włożyć fonendoskop pod materiał, nie odsłaniając pleców. Zanim cokolwiek wymyśliłam, zobaczyłam, jak powoli zdejmuje koszulę. Moim oczom ukazała się poharatana skóra. Nie istniało ani jedno miejsce, w którym nie byłoby śladu po ranie. Blizny ciągnęły się niemalże od szyi aż po

krzyż. Gdzieniegdzie ubytki w skórze były na tyle głębokie, że gołym okiem zauważałam wgłębienia. Z przerażenia zasłoniłam usta dłonią. Próbowałam zapanować nad emocjami, ale nie byłam w stanie. Poczułam, jak do oczu napływają mi łzy. Chciałam go dotknąć, ale w ostatnim momencie cofnęłam rękę.

– Kto ci to zrobił? – wypaliłam bez zastanowienia. – Generał czy jego ludzie?

– Generał, jego ludzie, co za różnica... – odpowiedział spokojnym głosem, jakby pogodził się z tym. Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Czułam, jak coś ściska moje gardło.

– Gdy przyszedł do mnie i dał mi tamtą paczkę fajek oraz zapalki, od razu wiedziałem od kogo to... Nie mogłem uwierzyć, że wciąż żyjesz... Nawet nie wiesz, ile dałaś mi wtedy siły... Bez znaczenia było, co ze mną robili. Wtedy myślałem tylko o tobie i o tym, że jeszcze kiedyś cię zobaczę...

Milczałam.

– Wiem, co zrobiłaś, żeby mnie uratować... Opowiadał mi, jaka jesteś piękna, jak pachniesz, jak wygląda każdy kawałek twojego ciała... Początkowo myślałem, że to blef, ale gdy wspomniał o twoich bliznach na brzuchu i żebrach... To dopiero były prawdziwe tortury... – Gdy skończył mówić, zobaczyłam, że odwraca się w moją stronę. Byłam już cała we łzach. Momentalnie zerwałam się na równe nogi, żeby nie widział, jak płaczę. Ruszyłam w kierunku drzwi.

– To wszystko, panie Hizel – powiedziałam, próbując zachować normalny ton głosu. – Pójdę przygotować pański wypis. Do widzenia.

Wyszłam, nie odwracając się do niego. Będąc na korytarzu, zaczęłam szlochać. Uciekłam pędem do swojego gabinetu i przez kolejną godzinę próbowałam się uspokoić.

– Dzień dobry – powiedziałam do młodej dziewczyny siedzącej za biurkiem. – Byłam umówiona z rektorem.

– Tak, wiem, panowie już na panią czekają.

– Panowie? – dopytałam. – Nie wiedziałam, że ktoś jeszcze będzie.

Dziewczyna już w żaden sposób nie zareagowała. Czekala, aż w końcu zniknę za kolejnymi drzwiami sekretariatu. Gdy weszłam do gabinetu rektora, zauważyłam siedzącego naprzeciwko niego Franza. Jego obecność kompletnie mnie zaskoczyła. Rektor przez telefon wyraźnie zaznaczył, że chciałby porozmawiać o mojej pracy.

– Pani Sambor! Jak zwykle punktualna! – krzyknął, wstając zza biurka.

Franz również się podniósł. Szybkim krokiem podeszłam do wolnego krzesła i usiadłam obok niego.

– Dzień dobry panom! Franz, nie wiedziałam, że ty również tu będziesz – powiedziałam, wysilając się na uśmiech.

– Zaprosiłem Franza, żeby pomógł mi panią przekonać.

– Przekonać do czego, panie rektorze, jeżeli można wiedzieć?

– Jest już pani z nami ponad dwa miesiące, a mam wrażenie, że mało się pani z nami integruje. Jakby nas pani nie lubiła. Pani Sambor, praca to nie wszystko, nasza uczelnia to też ludzie. Musimy trzymać się razem.

– Rozumiem, faktycznie ostatnie tygodnie były dość pracowite, a ja nie chciałam, żeby pan żałował swojej decyzji, więc skupiłam się wyłącznie na moich studentach.

– Ale teraz nadszedł czas, pani Sambor, na integrację! Prawda, Franz?

– Tak – odchrząknął. – Nie samą pracą człowiek żyje.

– Franz, pani Sambor zawsze była taka pracowita? A właśnie, skąd wy się w ogóle znacie?

Spojrzałam na Franza, a on na mnie. Widziałam lęk w jego oczach.

– To całkiem zabawna historia, prawda Franz? – powiedziałam, kładąc mu dłoń na ramieniu, dając mu tym samym znać, żeby milczał. – Jak pan rektor wie, swojego czasu studiowałam w Wiedniu. Pewnego razu wybrałam się na wystawę sztuki awangardowej. Franz, pamiętasz, czyja to była wystawa?

– Frederica Kieslera – odpowiedział bez namysłu.

– Właśnie! A ja byłam zielona w tym temacie i w ogóle nie wiedziałam, na co mam się nastawiać. Zwiedzając wystawę, z niedowierzaniem przyglądałam się większości eksponatów. W końcu stanęłam przed jednym, wokół którego było najwięcej osób. Każdy coś komentował, kiwał głową z aprobatą, a ja nawet nie wiedziałam, na co patrzeć. W pewnym

momencie podszedł do mnie Franz, którego jeszcze wtedy nie znałam, i zaczął opowiadać mi o tym dziele. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że on również nie miał zielonego pojęcia, co przedstawia tamta rzeźba, więc oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Franz był wtedy ze swoją śliczną żoną Martha, a ja z narzeczonym Janem. Razem spędziliśmy miły wieczór. Potem przez pewien czas mieliśmy jeszcze ze sobą kontakt, ale, niestety, z biegiem lat, nasza znajomość się poluzowała, jeżeli tak to mogę nazwać.

– I dlatego teraz trzeba ją odnowić! I właśnie jutro będzie ku temu okazja! Mamy tutaj taki zwyczaj, że raz w miesiącu spotykamy się w barze i świętujemy. Przychodzi oczywiście, kto może, bez nacisków, ale chciałbym, żeby jutro jednak pani się pojawiła. Chwila relaksu dobrze pani zrobi. Prawda, Franz?

– Prawda.

– Oczywiście, przyjdę, z miłą chęcią. – Wysiliłam się na kolejny uśmiech. – Franz, ty też będziesz?

– Będzie, będzie! – Rektor odpowiedział za niego. Franz tylko się uprzejmie uśmiechnął.

Byłam jedną z pierwszych osób w restauracji. Zająłam miejsce z widokiem na okno ukazujące ulicę, żeby obserwować wszystkie wchodzące osoby. Nie chciałam, aby obecność Franza nagle mnie zaskoczyła. Co chwilę ktoś przychodził. Z mojej katedry były już cztery osoby. Powoli w lokalu zaczęło robić się tłoczno. Byłam jedyną „nową”, więc trochę czasu zajęło mi, zanim z każdym się uprzejmie przywitałam i wymieniałam kilka kurtuazyjnych zdań. Potem wróciłam na swoje miejsce i dalej nerwowo zerkałam w stronę drzwi, jednak Franza nadal nie było. Spojrzałam na zegarek. Spóźnił się już trzydzieści minut, co było do niego niepodobne. Chociaż czułam lekkie podenerwowanie, to jednak musiałam przyznać, że przyście tutaj okazało się naprawdę dobrym pomysłem. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz czułam się taka odprężona. Towarzystwo było wyjątkowo zabawne, a po dwóch piwach zaczęły się rubaszne żarty, więc co chwilę wybuchaliśmy wszyscy gromkim śmiechem. Kobiety oczywiście nie omieszkały opowiedzieć mi najnowszych plotek ze wszystkich możliwych wydziałów. Większości

nawet nie zapamiętałam i nie miałam też pojęcia, o kim właściwie jest mowa, ale sam fakt uczestniczenia w rozmowie sprawiał, że czułam się po prostu normalnie. Przez wojnę straciłam większość przyjaciół, którzy albo zginęli, albo przeprowadzili się w inne rejony Polski. Wśród personelu nie miałam żadnych koleżanek. Jedyłą moją prawdziwą przyjaciółką pozostała Stefcia, ale widywałyśmy się jedynie wtedy, gdy w czasie wakacji jeździłyśmy z Klarą na wieś. Jan nie bardzo chciał wracać do Nowogrodu, a mnie ciągnęło tam bardziej niż kiedykolwiek. Zawsze, gdy tam byłam, puszczałam na wodzie wszystkie kwiaty, które rosły w naszym ogrodzie. Nigdy nie powiedziałam ani Klarze, ani Janowi, dlaczego to robię. O swojej stracie wiedziałam tylko ja... Nagle poczułam na sobie czyjś wzrok. Odruchowo spojrzałam w kierunku wejścia, ale nikogo tam nie było. Przesunęłam wzrok na okno wychodzące na ulicę i wtedy zauważyłam żarzącego się papierosa wśród panującej tam ciemności. To był Franz. Czułam to, chociaż nic więcej nie widziałam. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Serce zaczęło mi bić mocniej. Oddech przyspieszył. Próbowałam dostrzec go w blasku księżyca, ale Wiedeń pogrążony był w ciemnościach. W końcu małe pomarańczowe światełko zniknęło. Franz odszedł. Nie pojawił się już w restauracji. Z jednej strony w duchu mu za to dziękowałam. Dzięki temu ten wieczór należał do mnie. Mogłam w spokoju uśmiechać się do ludzi, z zapartym tchem słuchać ich historii i opowiadać własne anegdoty. Miałam wrażenie, że mnie polubili. Już zapomniałam, jakie to przyjemne uczucie. Z drugiej strony poczułam niespodziewane ukłucie w sercu. Skrycie pragnęłam go znowu zobaczyć.

- Klaro? Słyszysz mnie? – mówiłam do słuchawki telefonu.
- Tak, mamó – odpowiedziała pośpiesznie. – Słyszałaś już?!
- Tak, kochanie, słyszałam, tata mi powiedział.
- Dzidzius jest taki śliczny! Nie mogę przestać na niego patrzeć! Ma takie malutkie rączki! Nie mogę uwierzyć, że zmieścił się w brzuchu! Zaśmiałam się do telefonu.

– To pomyśl, że ty też kiedyś byłaś w moim! Klaro, ale wiesz, że teraz tata i Marysia mogą mieć trochę mniej czasu dla ciebie?

– Wiem, to oczywiste! Ale ja pomagam im, jak mogę!

– Rozumiem, ale gdybyś poczuła taką potrzebę, to możesz przyjechać do Wiednia, wszystko załatwię. A jak nie, to ja i tak planuję przyjechać na przerwę zimową, więc już za miesiąc się zobaczymy.

– Wiem, mamuś, nie mogę się cię doczekać! Ale zobaczysz malutkiego?

– Pomyślmy – odpowiedziałam speszona. – Klaro... a czy tata ostatnio może rozmawiał z tobą na nasz temat?

– Że się rozwodzicie? – wypaliła wprost.

– Tak, skarbie, właśnie o tym. Przepraszam, że nie mogłam ci tego osobiście powiedzieć, ale nie chcieliśmy odkładać już dłużej tej decyzji, zwłaszcza teraz, gdy dziecko jest już na świecie. I jak się trzymasz?

– Mamo, przecież to do tego zmierzało. Już dawno się z tym pogodziłam. Tylko...

– Tylko co?

– Tylko musisz sobie kogoś znaleźć! Tata ma już nową rodzinę, a ty jesteś sama... Mamo, martwię się o ciebie, nie chcę, żebyś ciągle była smutna.

– Klaro, skąd pomyśl, że jestem ciągle smutna?

– Masz taki głos...

– To przez tę odległość – skłamałam. – Poza tym naprawdę świetnie się tu bawię! Wiedeń nigdy nie śpi! A dziś idę na bal! Uwierzysz?! – Próbowałam wykrzesać z siebie zachwyty, chociaż wcale nie miałam ochoty na niego pójść, ale nie mogłam odmówić rektorowi.

– Jaki bal?! – pytała podekscytowana.

– Noworoczny, organizowany co roku przez władze uczelni. Wszyscy są zaproszeni. Kupiłam nawet przepiękną suknię! Tylko teraz nie wiem, czy w moim wieku wypada ją założyć...

– To jak ona wygląda?

– Jest czarna, długa i trochę zbyt obcisła. – Zaśmiałam się. – Dekolt ma zdobiony srebrnymi aplikacjami, przechodzącymi aż na wycięcie na plecach, które teraz wydaje mi się zbyt głębokie! Może jednak założę jakąś starą sukienkę, jak myślisz?

– Nie! Zabraniam ci! Idź w tej czarnej! Nie jesteś taka stara! Masz dopiero czterdzieści cztery lata!

– To mnie pocieszyłaś. – Zaśmiałam się w głos.

– Idź i poderwij jakiegoś laryngologa!

Znowu wybuchnęłam śmiechem.

– Widzę, że masz wobec mnie konkretne oczekiwania.

– Poderwij, kogo tylko chcesz. – Usłyszałam w słuchawce głos córki.

– Dobrze, pójdę w tej czarnej, ale nie będę nikogo podrywać. W końcu jest mi dobrze samej ze sobą. Musisz mi uwierzyć. Dobra, będę kończyć, bo muszę zacząć się szykować, a jestem w proszku. Serwus, kochanie!

– Serwus, mamuś!

Wychodząc z domu, po raz ostatni spojrzałam w lusterko. Wokół oczu miałam delikatne zmarszczki. Włosy próbowałam zakręcić, ale zamiast loków wyszły mi delikatne fale. Nie miałam ani czasu, ani ochoty układać ich po raz drugi. Założyłam gładką bieliznę i czarne pończochy. Szybkim ruchem włożyłam na siebie suknię. Mimo upływu czterech lat wciąż nie potrafiłam znieść widoku swojego nagiego ciała. Blizny zbyt mocno przypominały mi o tym wszystkim, co wcale nie tak dawno przeszłam. Wygładziłam ręką czarny materiał. Czułam, jak opina moje pośladki i biust. Ponownie spoglądałam na siebie w lusterku i zastanawiałam się, czy tak wypada. W końcu wsunęłam stopy w czarne pantofle i wrzuciłam papierosy do torebki. Idąc w stronę wyjścia, delikatnie zsunęłam obrączkę z serdecznego palca i położyłam na kuchennym blacie. Teraz byłam gotowa...

Wiedeń, 15 stycznia 1949

Nie miałem najmniejszej ochoty tu przychodzić. Gdybym miał wybór, zostałbym w domu i, jak w każdą sobotę, zasnął ze szklanką whisky przed telewizorem. Czułem, że ubrany w ten czarny smoking i muchę wyglądałem jak błazen, jednak rektorowi się nie odmawia. W końcu w jakiś sposób uratował mi życie, oferując tu pracę. Po wyjściu z więzienia, nie miałem już czego szukać w moich rodzinnych stronach. Martha miała nową rodzinę. Poza tym tam wszyscy wiedzieli, kim byłem. Musiałem gdzieś wyjechać. Wiedeń był oczywistym rozwiązaniem. Przyjechałem tu też z jedną myślą. Ściągnę ją do siebie. Przecież kochała to miasto. Kiedyś kochała też mnie. Wmawiałem sobie, że wciąż jej na mnie zależy, że myśli o mnie tak samo, jak ja o niej. Bezustannie, czule. Że pragnie mnie tak bardzo, jak ja jej. Jednak widząc jej wyraz oczu, gdy podeszła do mnie na auli w trakcie swojego wykładu, wiedziałem, jak bardzo byłem w błędzie. W zielonych oczach zobaczyłem jedynie strach. Tak bardzo się mnie bała. Potem, gdy poszedłem do jej mieszkania, gdy powiedziała mi, że łączące nas uczucie było tylko jednym, wielkim kłamstwem, chciałem umrzeć. Rzucić się z mostu, jak ona wtedy. Alicja była jedynym sensem mojego życia. Nagle wszystko przestało mieć znaczenie.

Teraz, siedząc przy okrągłym stoliku w otoczeniu samych rozwodników i starych kawalerów, zastanawiałem się, jak długo muszę odczekać, zanim będę mógł wyjść niezauważony. Chciałem, jak najszybciej stąd uciec. Nie mogłem znieść widoku tych wszystkich świetnie bawiących się ludzi. Wtedy ją zobaczyłem... Weszła do środka jak zawsze z impetem. Jakby miała znowu ratować czyjeś życie. Stała przed drzwiami

i rozglądała się nerwowo wokół, szukając twarzy swoich znajomych. Chciałem uratować ją z tej niezręcznej sytuacji, wskazać stolik przy samym balkonie, gdzie wśród innych lekarzy czekało już na nią miejsce, jednak zamiast tego, wpatrywałem się w nią jak zamroczony. Jej uroda była olśniewająca. Miałem wrażenie, że czas się dla niej zatrzymał. Wyglądała jeszcze piękniej niż wtedy, gdy zabrałem ją na tamten bankiet. Czarna suknia leżała na niej zbyt dobrze, jakby została uszyta specjalnie dla jej smukłego ciała. Miałem ochotę zakryć ją, żeby nikt więcej nie mógł jej oglądać. Widziałem, jak mężczyźni na nią reagowali. Odkąd weszła, wszyscy pożerali ją wzrokiem. Nie mogłem się im dziwić. Była najpiękniejszą i najseksowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem w swoim życiu. Alicja w końcu zauważyła swoich znajomych i ruszyła w stronę ich stolika. W tym samym momencie nasze oczy po raz pierwszy się spotkały. W ułamku sekundy odwróciła wzrok, a ja poczułem, jak zwykle w takich momentach, jakby wbiła mi sztylet w serce. Opuściłem głowę i zatrzymałem spojrzenie na pustej szklance.

Przez kolejną godzinę przyglądałem się, jak siedzący po jej prawej stronie mężczyzna usilnie próbuje nawiązać z nią bliższą więź. Co rusz nachylał się nad nią i szeptał jej coś do ucha, po czym uśmiechał się do niej szeroko. Alicja jedynie zdawkowo odwzajemniała jego zadowolenie. Parę razy dotknął jej dłoni, jednak ona za każdym razem pośpiesznie cofała rękę. Miałem ochotę podejść do niego i kazać mu przestać. Widziałem, że ona sobie tego nie życzy. Z daleka czuć było, że męczą ją jego zaloty. Zamiast tego siedziałem i kurczowo trzymałem szklankę, tak mocno, aż zbieleły mi palce. Zawsze byłem o nią cholernie zazdrosny. Doskonale pamiętam, jak miałem ochotę rozszarpać tego jej przyjaciela Austriaka, który lubieżnie obłapiał ją w tańcu. Wtedy i teraz nie mogłem jednak nic zrobić. Ale najbardziej zazdrościłem jej mężowi... I nie tylko tego, że miał ją całą dla siebie, ale przede wszystkim zazdrościłem mu tego uczucia, którym go szczerze darzyła. Gdy zobaczyłem, jak płacze na jego widok, jak go przytula, zrozumiałem, że kochała go całym sercem i dopóki on żyje, nigdy go nie opuści. Wtedy ją straciłem. Myślałem, że już na zawsze. Zrodziła się we mnie iskierka nadziei, gdy dowiedziałem się, że przyjęła propozycję i że przyjedzie do Wiednia sama. Zdawało mi się, że może jest dla mnie jeszcze szansa...

– Franz, kogo tak świdrujesz wzrokiem? – odezwał się znajomy fizyk siedzący naprzeciwko mnie. – Chyba nie piękną panią doktor? – Zaśmiał się.

– A co cię to interesuje, Peter? – rzuciłem od niechcienia, prostując się na krześle.

– Interesuje, bo sam mam na nią ochotę. – Znowu się zaśmiał. – Czekam tylko, aż rozbrzmi muzyka, a szampan, który właśnie wypija, zacznie na nią działać, i wtedy uderzam do ataku.

– Doskonały plan, kolego – stwierdziłem z sarkazmem. – Na pewno ci się uda.

– Uda się, uda, zobaczysz. Zamiast robić do niej maślane oczy jak ty, ja trochę podpytałem tu i ówdzie, zrobiłem mały wywiad na jej temat, bo widzisz Franz, wroga najpierw trzeba poznać – mówił dumny, jakby w wojsku miał co najmniej stopień oficerski, chociaż dobrze wiedziałem, że jak wybuchła wojna, to siedział z matką na wsi i z domu nie ruszył się nawet na krok.

Milczałem. Nie chciałem ciągnąć tematu Alicji.

– Pani doktor jest niestety mężatką, ale nikt jej męża jeszcze nie widział. Teraz też go nie ma. Więc wiesz, co to dla mnie oznacza? – Uśmiechał się pod wąsem. – To jest okazja, Franz! Moja okazja! Przykro mi, kolego, ale ty i tak nie miałbyś u niej najmniejszych szans...

– Tak myślisz? – zapytałem zuchwale.

– Franz, pani doktor jest Polką, a ty Niemcem... Nie sądzisz, że to różnica nie do pogodzenia? W końcu to wy napadliście na jej kraj – mówiąc to, patrzył mi prosto w oczy.

– Peter, o ile dobrze pamiętam, Austriacy brali udział w tej samej wojnie i to po tej samej stronie. – Upiłem łyk whisky.

Nie chciałem ciągnąć również tego tematu. Miałem ochotę wyjść, ale nie mogłem zostawić Alicji samej, zwłaszcza teraz, gdy kolejny amant właśnie wstał od stolika i pewnym krokiem ruszył w jej stronę. Orkiestra zaczęła grać i na parkiecie pojawiła się pierwsza para, a za nią ruszyły kolejne. Nie spuszczałem oka z Petera. Widziałem, jak kłania się Alicji do pasa i całuje jej dłoń. Mówi jej coś do ucha. Ona mu odpowiada. Uśmiecha się do niego serdecznie. Poczujęm, jak coś ściska mi serce. Gdyby tak jeszcze ten jeden raz uśmiechnęła się w ten sposób

do mnie. Tyle by mi wystarczyło... Po chwili Peter wyprostował się i z nietęgą miną szedł z powrotem w naszym kierunku. Usiadł na swoim krześle i upił duży łyk szkockiej. Kąciki moich ust delikatnie uniosły się do góry. Chociaż nie miałem jej dla siebie, to przynajmniej i on jej nie miał.

– Jak tam, Peter? Dobrze się tańczyło z panią doktor? A może szampan na nią jeszcze nie zadziałał? – Tym razem ja się zaśmiałem.

– To nie tak, jak myślisz – odburknął, płonąc ze wstydu. – Alicja, bo tak ma na imię, powiedziała, że od wojny boli ją kolano i nie tańczy. Musiała mi odmówić, chociaż widziałem w jej oczach, że gdyby nie to, już byśmy szaleli na parkiecie.

– Skoro tak mówisz, Peter. – Wciąż się uśmiechałem, popijając swój trunek.

– Jeszcze raz spróbuję, ale później.

– Peter, ona ma męża, co ci miała odpowiedzieć...

– Ma albo i nie ma. Obrączki na jej palcu jakoś nie zauważyłem...

Na ułamek sekundy otworzyłem szeroko oczy. Czyżby to była prawda? Odruchowo zerknąłem w jej stronę. Kolejny prosił ją do tańca i kolejny odszedł z niezadowoloną miną. Przez całe godziny nie zatańczyła z żadnym. Było to jedyne moje pocieszenie.

Najgorsze było to, że ona wcale nie patrzyła w moją stronę, podczas gdy ja nie potrafiłem oderwać od niej wzroku. Miałem ją tak blisko i nie mogłem nic zrobić. Istne tortury, których nie potrafiłem przerwać. Mógłbym wstać i odejść, ale wtedy ponownie straciłbym ją z oczu. Wolałem zostać i cierpieć. Sam wymierzałem sobie tę karę... Alicja miała rację, byłem zbrodniarzem. Wyrządziłem wiele zła. Jej i innym. Nigdy mi tego nie zapomni, a ja nie miałem prawa żądać od niej przebaczenia. Zasłużyłem na wszystko, co mnie w życiu spotkało. Nagle dobiegły mnie znajome dźwięki. Orkiestra zaczęła wygrywać pierwsze takty walca wiedeńskiego. Zrobiło się wielkie poruszenie. Ludzie momentalnie poderwali się od stolików i ruszyli na parkiet. Próbowałem dostrzec ją między wirującymi parami. Siedziała tyłem do mnie, nienaturalnie wyprostowana jak strzała. Gdybym mógł dostrzec wyraz jej twarzy... Czy pamiętała... To był przecież nasz taniec... Niemalże

czułem jej ciało w swoich ramionach. Była wtedy cała moja, tylko moja. Poddawała mi się wtedy bez reszty. Jej ciało reagowało na każdy mój gest. Pamiętałem, jak pięknie odchyłała szyję, jak zwiewny materiał sukni przy każdym obrocie odsłaniał jej długą nogę. Byłem wtedy najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Teraz pragnąłem tylko, aby chociaż przez moment na mnie spojrzała. Dała znać, że ona też pamięta. Nic więcej. Dostrzegłem, jak bierze torebkę do ręki i nerwowo czegoś w niej szuka. Po chwili zobaczyłem w jej dłoni paczkę papierosów. Wyjęła jednego i dalej szukała czegoś w jej wnętrzu. Odłożyła w końcu torebkę na stół. Z gracją podniosła się z krzesła. Idąc w kierunku zewnętrznego tarasu, dosłownie przez moment rzuciła mi ukradkowe spojrzenie. Patrzyła wprost na mnie. Byłem tego pewien. Odruchowo wstałem z krzesła i wolnym krokiem podążyłem za nią.

Gdy wyszedłem na zewnątrz, powiało chłodem. Od razu ją zobaczyłem. Odchodziła od grupki osób, trzymając w ręku wciąż nieodpalonego papierosa. Nie widziała mnie. Podeszła do Petera i stojących wokół niego pozostałych gości z naszego stolika. Ostrożnie zacząłem się zbliżać. Nie chciałem jej wystraszyć. Zauważyłem, że za każdym razem, gdy słyszała mój głos, nieznacznie drżała.

– Czy mają panowie ogień? Proszę, uratujcie mnie i powiedzcie, że tak.
– Zaśmiała się delikatnie.

Jej głos brzmiał jak najpiękniejsza melodia. Zawsze działał na mnie tak kojąco. Uwielbiałem jej słuchać. Nie wiedzieć czemu, to ona zazwyczaj kazała mi opowiadać, a sama milczała, leżąc w moich ramionach.

– Dla pani oddałbym wszystko, ale niestety nie palę. – Usłyszałem żalostny głos Petera. – Ale Franz na pewno ma ogień! On nigdy nie rozstaje się z zapałkami! Franz! Chodź do nas!

Chociaż stała do mnie tyłem, zauważyłem, że na dźwięk mojego imienia spięła całe swoje ciało. Chciałem odejść, dać jej spokój, jednak nie mogłem się teraz wycofać. Ostrożnie podszedłem bliżej i stanąłem tuż obok niej, ale na tyle daleko, żeby przypadkiem jej nie dotknąć. Zacząłem przeszukiwać kieszenie marynarki.

– Przykro mi, ale zostawiłem zapałki na stoliku – odpowiedziałem, gdy zorientowałem się, że zostały w środku.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała łagodnie. – Może to znak, że powinnam rzucić. Przepraszam panów, ale wracam do środka.

Odwracając się, przelotnie spojrzała mi prosto w oczy, lecz równie szybko spuściła wzrok. Czułem jej dłoń zaledwie kilka centymetrów od mojej. Obejrzałem się za nią. Chciałem, by została. Chciałem jeszcze raz usłyszeć jej głos. Zamiast tego w milczeniu przyglądałem się, jak wyrzuca papierosa do kosza i rozsuwa zasłony wiszące w wejściu. Po chwili zniknęła.

– Franz. – Usłyszałem śmiech Petera. – Pierwszy raz w życiu zapomniałeś ognia i taka okazja przeszła ci obok nosa! To trzeba mieć pecha!

Zagryzłem mocniej zęby. Nic nie mówiąc, opuściłem towarzystwo i wróciłem do środka.

– Franz, nie gniewaj się! Ja tylko stwierdzam fakty! – Usłyszałem za sobą jego wołanie.

Przeszukałem salę wzrokiem, jednak nigdzie nie mogłem jej znaleźć. Czyżby już wyszła? Poczułem ukłucie w sercu na myśl, że więcej jej nie zobaczę... Nagle dobiegł mnie jej głos. Stała zaledwie kilka metrów ode mnie, pod oknem. Rozmawiała z tym samym lekarzem, który siedział obok niej. Znowu jej się naprzykrzał. Nachylał się nad nią stanowczo zbyt nachalnie. Widziałem, jak zrobiła krok w stronę okna. Gdy mnie zobaczyła, znowu napięła całe ciało i rozchyliła delikatnie usta. Po chwili przygryzła wargi. Powiedziała coś do mężczyzny i, nie czekając na odpowiedź, ruszyła w kierunku swojego stolika. On podążył za nią.

Zbliżała się północ. Postanowiłem opuścić to miejsce zaraz po tym, gdy zegar wybije dwunastą. Każda kolejna minuta, każde spojrzenie na nią sprawiało cierpienie. Nie byłem w stanie już więcej tego znieść. Siedziałem nad wciąż pustym talerzem. Tego wieczoru nie mogłem niczego przełknąć. Oparłem głowę o rękę i zastanawiałem się, czy moje życie ma jeszcze jakikolwiek sens... W Wiedniu nie było dla mnie miejsca, w jej życiu również. Wiedziałem, że muszę wytrzymać do końca semestru, a potem będę mógł skończyć to wszystko raz na zawsze... Nagle przy naszym stoliku zrobiło się jakieś zamieszanie. Słyszałem nerwowe szepty kolegów.

– Idzie tu... – Usłyszałem podekscytowany głos Petera, jednak niewiele mnie to obchodziło. Siedziałem bez ruchu. Myślami byłem daleko stąd.

– Słyszałam, że jest pan najlepszym tancerzem w całym Wiedniu... – powiedziała tym swoim przepięknym, delikatnym głosem. – Wręcz wybornym... – dodała po chwili.

Odwróciłem głowę w bok i zobaczyłem czarny materiał jej sukni. Powoli podnosiłem wzrok, bojąc się, że to tylko sen. Jednak nie. Alicja stała przede mną. Uśmiechała się do mnie. Nigdy nie widziałem piękniejszego uśmiechu. Patrzyła prosto w moje oczy. Momentalnie przytomniałem i stanąłem obok niej. Ona wciąż tu była. Nigdzie nie uciekła. Wyciągnęła rękę w moją stronę. Przyglądałem się jej smukłym palcom i nie mogłem uwierzyć, że właśnie tego chce. W końcu odważyłem się jej dotknąć. Chwyciłem ostrożnie jej dłoń i położyłem na swoim ramieniu. Nie mówiąc nic, ruszyliśmy w kierunku parkietu. Serce waliło mi jak nigdy przedtem. Zawsze na jej widok przyśpieszało, ale nie aż tak. Stanęliśmy naprzeciwko siebie. Orkiestra wygrywała wolny, jazzowy kawałek. Położyłem dłoń na jej biodrze, a drugą wyciągnąłem w bok. Czekałem na jej ruch. Nie chciałem zrobić niczego, czego by sobie nie życzyła. Nie patrząc mi w oczy, położyła rękę na moim ramieniu, a drugą subtelnie na mojej dłoni. Nie mogłem uwierzyć, że trzymam ją w swoich objęciach, że czuję dotyk jej ciała. Powoli zacząłem poruszać się w takt muzyki, a ona mi wtórowała. Bałem się zrobić gwałtowniejszy ruch w obawie, że znowu ją spłoszę. Gdy była tak blisko mnie, nie mogłem myśleć o niczym innym, jak tylko o jej zielonych oczach, które pragnąłem znów ujrzeć. Jednak ona tańczyła ze spuszczonym wzrokiem. Skierowałem głowę w drugą stronę. Nie chciałem jej dodatkowo krępować swoim spojrzeniem. Patrzyłem w głąb sali. Widziałem, jak wszyscy nas obserwują, a zwłaszcza Peter, siedzący przy naszym stoliku z otwartymi z niedowierzania ustami. Nagle poczułem, że Alicja mi się przygląda, jednak nie dałem tego po sobie poznać. Kątem oka widziałem, że od dłuższego czasu trzyma głowę skierowaną prosto na moją twarz. Mocniej chwyciłem jej dłoń. Nie poczułem nacisku obrączki pod skórą. Serce waliło mi jak oszalałe. Nie wytrzymałem i spojrzałem na nią. Zobaczyłem głębię jej zielonych oczu. Były niesamowicie piękne. Przypominały mi moją Bawarię. Zatraciłem się w nich od pierwszego

wejrzenia. Odkąd spojrzała na mnie na tamtej leśnej drodze, gdy ratowała mojego żołnierza. Już wtedy wiedziałem, że ta kobieta będzie mogła zrobić ze mną wszystko, co tylko będzie chciała. Nie myliłem się. Zawładnęła mną całkowicie. Za każdym razem, gdy przychodziła na posterunek, nie mogłem nad sobą zapanować. Brakowało mi tchu. Szukałem kolejnych wymówek, aby być bliżej niej. W końcu, gdy była już moja, odmieniła mnie, obdarła z mojego pancerza. Przy niej byłem całkowicie bezbronny, przy niej stawałem się dawnym Franzem.

Teraz znów poczułem, jak się w niej coraz bardziej zatracam. Spojrzałem na jej usta. Miałem ochotę znowu poczuć ich ciepły smak. Rzucić się na nie. Całować raz za razem i nigdy nie przestawać. Wydawało mi się, że odgadła moje myśli, bo jej policzki zalały się rumieńcem. To było w niej tak urocze. Uśmiechnąłem się, jak zawsze, gdy tak się działo. Muzyka przycichła, a ja nie chciałem wypuszczać jej ze swoich objęć. Jeszcze nie teraz. Czekałem na jakiś ruch z jej strony. Myślałem, że wysunie rękę i odejdzie na zawsze, jednak nic takiego się nie wydarzyło. Alicja stała niespeszona brakiem muzyki. Wciąż trzymała swoją dłoń na mojej. Gdy orkiestra ponownie zaczęła grać, dalej podążaliśmy w takt dochodzących nas dźwięków. To, że nie uciekła, dodało mi pewności siebie. Przysunąłem ją bliżej, tak że poczułem przy sobie jej smukłe ciało. Położyłem dłoń na jej plecach. Ona z kolei ulokowała swoją rękę tak wysoko na moim karku, że aż czułem dotyk opuszków jej palców na szyi. Nie odwracała już ode mnie wzroku. Patrzyliśmy na siebie, jakbyśmy próbowali nadgonić stracony czas. W końcu przysunąłem twarz bliżej jej ucha i cicho szepnąłem:

– Jeden taniec z tobą był spełnieniem moich marzeń. Za drugi każdy mężczyzna na tej sali gotów jest mnie teraz zabić.

Poczułem, jak na dźwięk moich słów przeszedł ją dreszcz. Odchyliłem się i spojrzałem na nią pełen obaw. Zobaczyłem, jak znowu oblewa się tym samym, uroczym rumieńcem.

– Franz, tak bardzo za tobą tęskniłam... – Usłyszałem, jak czule wymawia moje imię. W tym momencie już wiedziałem. Nie byłem jej obojętny. Nigdy nie byłem. Wszystko, co mi wtedy powiedziała, było kłamstwem. Kochała mnie. Może nawet tak samo mocno, jak ja ją, a jeżeli nie, to będę kochał za nas dwoje.

– Wiem, najdroższa. – Przytuliłem ją z całych sił. – Nie było dnia, żebym o tobie nie myślał. Tak bardzo tęskniłem. Alicjo, kochałem cię tak bardzo... I wciąż cię Kocham...

– Franz... – Odchyliła się i popatrzyła na mnie błyszczącymi od łez oczami. – Czy my możemy być razem szczęśliwi?

Położyłem delikatnie dłoń na głowie Alicji i pogładziłem ręką jej włosy. Chciałem ująć jej twarz i obsypać czułymi pocałunkami, ale wiedziałem, że nie jesteśmy tu sami.

– Ja już jestem... – szepnąłem wprost do jej ucha. – Trzymam w ramionach całe moje szczęście.

Wtedy zobaczyłem miłość w jej zielonych oczach. Objąłem ją pewniej. Chciałem, żeby wiedziała, że mówię prawdę, iż jest całym moim życiem. Powodem, dla którego wciąż żyję. Sensem mojego istnienia. I że nigdy już jej nie wypuszczę z moich ramion.

Płynęliśmy przez parkiet w takt dochodzącej nas muzyki. Wirowaliśmy między innymi parami, nie odrywając od siebie wzroku. Pragnąłem uszczęśliwiać ją każdego dnia... Kochać ją tak długo, jak będzie nam to dane...

EPILOG

Nowogród, 20 lipca 1944

Obudziły mnie podniesione głosy chłopaków. Zerwałam się na równe nogi. Odkąd dołączyłam do partyzantów, zawsze spałam lekkim snem, jakbym była w nieustannej gotowości do walki. Nagle zobaczyłam nie kogo innego, jak tamtą lekarkę nazistów. Rozmawiała nerwowo z Zającem. Była zdyszana, jakby biegła przez całą drogę tutaj. Spojrzałam między drzewa. Z oddali wyłaniały się pierwsze promienie słońca.

– Zasadzka! – krzyknął Zajęc. – Wycofujemy się!

Wszyscy poderwali się na równe nogi. Ja również. Nie było czasu na nic. Tak jak staliśmy, mieliśmy biec w głąb lasu. Podobno od strony Nowogrodu wkraczali Niemcy, prowadzeni przez tego zdrajcę Henryka. Poprawiłam broń przypiętą do paska i ruszyłam z pozostałymi. Wkrótce rozdzieliliśmy się na kilka mniejszych grup, żeby bardziej ich zmylić. Zdecydowanie nie byłam tak szybka jak pozostali, ale wolałam, żeby tego nie zauważyli. Ostatnia rzecz, której chciałam, to aby inni czuli się w obowiązku czekać na mnie. Zwłaszcza teraz, gdy gonią nas naziści. Zajęc i tak z wielką niechęcią przyjął mnie do swojego oddziału. Musiałam nachodzić go przez kilka tygodni z rzędu, aby w końcu się zgodził. Przekonałam go dopiero wtedy, gdy zagroziłam, że pójdę do oddziału w Czerwonym Borze. Zajęc najwidoczniej wolał mieć mnie na oku i ostatecznie pozwolił mi zostać. Dostałam nawet swoją własną broń. Od tego momentu czułam się bezpiecznie. W końcu miałam się czym ratować. Z kucharki nazistów stałam się partyzantką. Gdy tamtego dnia zobaczyłam twarz Tadka, leżącego bez życia na podwórku przed posterunkiem, poprzysięgam sobie, że zabiję tylu Niemców, ilu zdołam,

że pomszczę śmierć jego i mojego brata. Teraz miałam taką możliwość. Miałam już do tego narzędzia.

Z trudem łapałam każdy oddech. Widziałam oddalające się sylwetki chłopaków. Honor nie pozwolił mi do nich krzyknąć, zatrzymać ich. Rozejrzałam się wokół. Musiałam choć na chwilę odpocząć. Brzuch bolał mnie już z wysiłku. Zobaczyłam wielką polanę paproci. Niewiele myśląc, schowałam się między nie i przylgnęłam nisko do ziemi. Słyszałam głośne łomotanie swojego serca. Nagle dobiegł mnie dźwięk łamiącej się gałęzi. Wiedziałam, że ktoś się zbliża. Nie mogłam się poruszyć, bo od razu ujawniłabym swoją kryjówkę. Cierpliwie czekałam, aż nadchodząca postać zbliży się bardziej. Na tyle blisko, żebym mogła zobaczyć, czy jest przyjacielem, czy wrogiem, a jeżeli wrogiem, to żebym miała go w zasięgu broni.

W końcu go ujrzałam. Rozpoznałam z daleka zniechęcony kolor munduru. Kroczył wolno, uważnie rozglądając się na boki. Mnie jednak nie widział. Minął mnie i szedł dalej. Trzymał broń wycelowaną przed siebie, gotowy oddać strzał w każdym momencie. Gdy był już kilka metrów ode mnie, ostrożnie podniosłam się z ziemi. Wyciągnęłam w jego stronę swój pistolet.

– *Hände hoch!* – krzyknęłam, odbezpieczając broń.

Niemiec momentalnie zatrzymał się w miejscu. Powoli unosił do góry obie ręce. Zaczęłam podchodzić bliżej niego, nie spuszczać go z muszki. Pod palcem czułam spust broni. Wystarczyło lekko go docisnąć i w sekundzie kula przeszyje jego ciało. Niemiec zaczął się wolno obracać w moją stronę.

– Ręce wysoko! – krzyknęłam ponownie.

Po chwili staliśmy już naprzeciwko siebie. Wtedy zobaczyłam swojego przeciwnika. To był Max Werner... Ujrzałam przerażenie na jego twarzy. Jego niebieskie oczy błyszczały ze strachu. Nagle poczułam, jak ogarnia mnie panika. W głowie miałam tysiąc myśli. Nie spuszczałam z niego wzroku. Staliśmy bez ruchu. Zrozumiałam, że nie potrafię odebrać mu życia. Zrozumiałam, że nikomu nie potrafię go odebrać...

Nerwowo zerkałam na boki, szukając dla siebie ratunku. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Nie mogłam przecież opuścić broni. Nie mogłam tak po prostu zacząć uciekać. Wiedziałam, że albo on, albo ja.

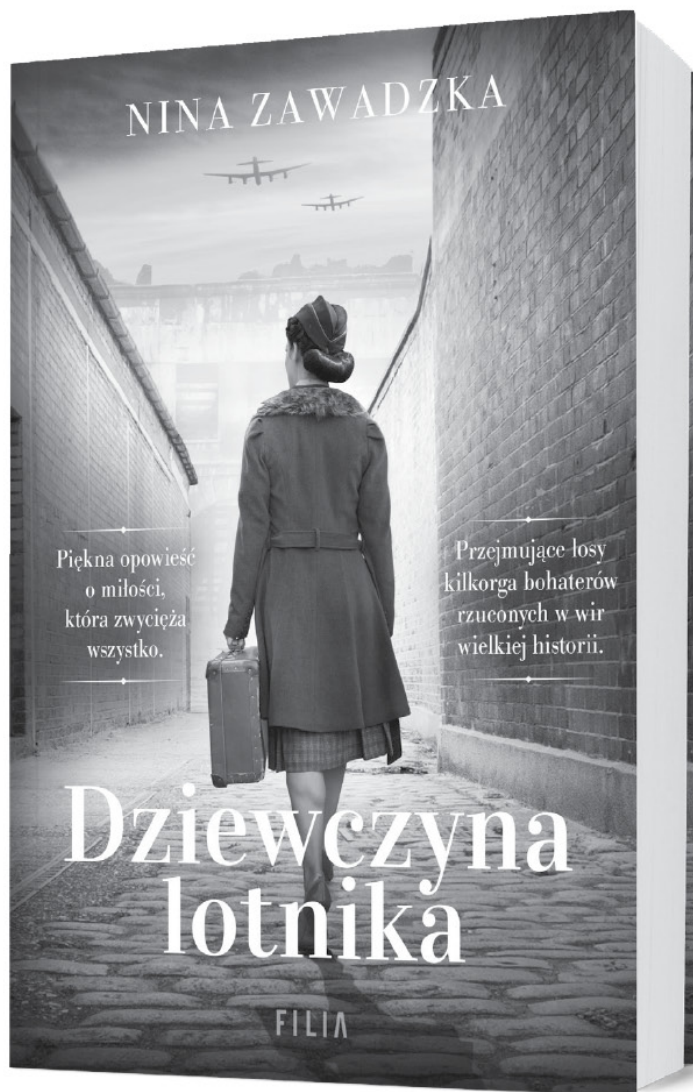
Max wciąż trzymał w uniesionych rękach naładowaną i gotową do użycia broń. Poczułam, jak ogarnia mnie bezradność. Do oczu napłynęły mi łzy. Jedna po drugiej skapywały mi po policzkach. W końcu puściłam karabin. Poddalam się. Max momentalnie opuścił swoje ręce i wycelował we mnie. Nasze role się odwróciły. Teraz to on miał mnie na muszce. Przyjął postawę gotową do oddania strzału. Patrzyłam na niego, ale nie czułam już przerażenia. Wytarłam rękawem łzy. Byłam gotowa. Max przyglądał mi się tak samo jak ja przed chwilą jemu. Ciągłe poprawiał dłonie na broni. Z oddali słychać było już jego kolegów, powoli nadchodzących w naszym kierunku.

– Ewo, uciekaj... – powiedział po cichu łamaną polszczyzną.

Przez moment jeszcze się w niego wpatrywałam. Chciałam go zapytać: dlaczego? Dlaczego wciąż mi pomaga? Zamiast tego zrobiłam krok wstecz i zaczęłam biec.

Gdy byłam już daleko, obejrzałam się przez ramię. Max stał ciągle w tym samym miejscu, obserwując, jak coraz bardziej się od niego oddalam. Biegłam co sił w nogach. Po chwili już na zawsze straciłam go z oczu...

PIĘKNA OPowieść o ŻYCIU W CIENIU WOJNY,
O ZNISZCZONYCH MARZENIACH I O MIŁOŚCI,
KTÓRA ZWYCIĘŻA WSZYSTKO.



JAK WIELE MOŻNA POŚWIĘCIĆ, BY URATOWAĆ
UKOCHANĄ OSOBĘ?
CZY MIŁOŚĆ RZUCONA W WIR OKRUTNEJ HISTORII
W KOŃCU ZWYCIĘŻY?

FILIA

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Cytat

PROLOG. Wiedeń, 4 października 1948

Nowogród, 1941

Nowogród, 1942

Nowogród, 1943

Nowogród, 1944

Warszawa, 1948

Wiedeń, 1948

Wiedeń, 4 października 1948

Wiedeń, 15 stycznia 1949

EPILOG. Nowogród, 20 lipca 1944

Reklama

Karta redakcyjna

Copyright © by Anna Kłosińska-Rybakiewicz, 2022
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Zdjęcie na okładce: © Stephen Mulcahey/Arcangel

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-528-4

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.